

# STAR WARS

Komandosí Republikí



BEZPOŠREDNÍ KONTAKT  
KAREN TRAVISS

# STAR WARS

Komandosi Republiki  
BEZPOŚREDNI KONTAKT

KAREN TRAVISS



Tytuł oryginału  
*Republic Commando: Hard Contact*

Copyright © 2004 by Lucasfilm, Ltd. & <sup>TM</sup>.  
All Rights Reserved. Used Under Authorization.  
For the Polish translation  
Copyright © 2006 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Przekład  
Andrzej Syrzycki

Redaktor serii  
Zbigniew Foniok

Redakcja stylistyczna  
Magdalena Stachowicz

Redakcja techniczna  
Andrzej Witkowski

Korekta  
Zofia Firek  
Barbara Opłowska

Ilustracja na okładce  
Greg Knight

Skład  
Wydawnictwo Amber

ISBN 83-241-2684-8

Warszawa 2006. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63  
tel. 22 620 40 13, 22 620 81 62  
[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)



# CHRONOLOGIA WOJEN KLONÓW

Po wojnie o Geonosis Republika pogrążyła się w nowym konflikcie. Po jednej stronie znalazła się Konfederacja Niezależnych Systemów (zwana Separatystami) pod wodzą charyzmatycznego hrabiego Dooku, cieszącego się poparciem wielu potężnych gildii i organizacji handlowych wraz z ich armiami robotów.

Po drugiej stronie stanęli lojaliści Republiki wraz z nowo utworzoną armią klonów pod przywództwem Jedi. Wojna toczy się na tysiącach frontów, z wielkim poświęceniem i heroizmem po obu stronach.

## *Miesiące po Ataku Klonów*

- 0 – Bitwa o Geonosis
- 0 – Komandosi Republiki
- 0 – Pościg za hrabią Dooku
- 1 – Projekt „Czarny Kosiarz”
- 1 – Bitwa o Raxus Prime
- 1,5 – Spisek na Aargau
- 2 – Bitwa o Kamino
- 2 – Durge i Boba Fett
- 2,5 – Obrona Naboo
- 3 – Wyprawa na Quilurę
- 6 – Devarońska pułapka
- 6 – Kryzys na Haruun Kai
- 6 – Zabójstwo na Nuli
- 12 – Zagrożenie ze strony biorobotów
- 15 – Bitwa o Jabiim
- 16 – Ucieczka z Rattataka

- 24 – Ofiary z Drongara
- 29 – Atak na Azure
- 30 – Podbój Praesitlyn
- 31 – Cytadela na Xagobah
- 33 – Polowanie na Darth Sidiousa
- 36 – Anakin przechodzi na Ciemną Stronę

# PROLOG

Opowiem wam, jak do tego doszło.

W dole panują nieprzeniknione ciemności, a my zjeżdżamy szybko po linach w głąb rozpadliny. Zbyt szybko, bo kiedy ląduję na dnie, moje górne zęby zderzają się z dolnymi. Jestem pierwszy. Omiotam rozpadlinę snopem światła z minireflektora hełmu.

Od Geonosjan oddziela nas płyta zamkniętych na trzy spusty blasteroodpornych wrót, a ja nie mam dość czasu, żeby ocenić siłę ładunku wybuchowego, koniecznego do ich wysadzenia. Oznacza to, że muszę użyć jak najwięcej materiału... M – czyli mnóstwo, jak mnie szkolono. Upchnąć termiczną taśmę wokół krawędzi i wcisnąć detonator. Łatwiej powiedzieć niż wykonać, bo sporządzoną z jakiegoś stopu płytę drzwi pokrywa gruba warstwa błota.

Ze słuchawki komunikatora hełmu wydobywa się głos dowódcy Drużyny Delta:

- Urządzacie tam przyjęcie, Theta?
- Nie można przynaglać mistrza specjalisty...
- Zamierzasz powiedzieć to robotom-pająkom?
- Cierpliwości, Delto. – Szybciej, szybciej, przyłgnij wreszcie do tego metalu, dobrze? – Już kończę.
- Zaraz będzie tam całe mnóstwo robotów-pająków...
- Słyszę cię, Delto.
- Jak sobie życzysz. Nie wywieram na ciebie żadnej presji. Absolutnie żadnej...
- Gotowe!

Przyklejamy się do ścian rozpadliny. Na ułamek sekundy zalewa nas jaskrawe białe światło. Słyszymy ogłuszający huk i czujemy, jak sypie się na nas pył zmieszany z grudkami gleby. Kiedy przejaśnia się na tyle, że możemy coś zobaczyć, zauważamy szczątki wrót wgięte do środka. Z ogromnej dziury w płycie wydobywają się kłęby dymu.

- Drużyno, macie pozwolenie na wejście do środka. Działać,



działać, działać!

– Już myśleliśmy, że nigdy nas tam nie zaprosicie.

Drużyna Delta wpada do środka i rozpląszcza się na miękkim gruncie. Nieprzyjaciele są prosto przed nami. Nie przestają strzelać. Zrywamy się, cofamy i odpowiadamy na ogień sześciu przeciwników. Za wrotami trafiamy na istny labirynt komór i tuneli. Jeżeli nie zachowamy ostrożności, ktoś może nas zaatakować z najmniej spodziewanej strony.

Mój hełm ma teoretycznie chronić przed zalewem decybeli, ale ta wojna jest głośna. Naprawdę głośna. Z powodu łoskotu wystrzałów z geonosjańskiej broni sonicznej i odgłosów naszych blasterów nie słyszę rozkazów, jakie mogą się wydobywać ze słuchawki komunikatora hełmu. Rejestruję jednak dźwięki wystrzałów z broni przeciwpancernej. Fierfek! Wyczuwam to przez podeszwy butów.

Moją uwagę zwraca jakiś ruchomy kształt z przodu, ale na krótko. Spoglądam w tamtym kierunku przez lunetę DC-17 i upewniam się, że to tylko moja wyobraźnia. Taler pokazuje widoczne prosto przed nami wyloty pięciu tuneli.

– Darman, zlikwiduj tamten E-Web i utrzymaj pozycję!

Gestem daje znak, po którym Vin i Jay, niemal zetknięci plecami, ruszają w stronę wylotu tunelu, rozglądając się we wszystkie strony.

Unoszę głowę i spoglądam na sklepienie jaskini.

Wokół nas widać więcej Geonosjan, niż się spodziewaliśmy. O wiele więcej. Trafiam dwóch, którzy znajdują się nade mną ale z tunelu po lewej już wyłaniają się następni. Od razu otwieram do nich ogień z samopowtarzalnego blastera, bo jeżeli pozwolę im się zbliżyć, eksplozje mogą mnie przysmażyć.

Mimo to cofam się pod wpływem siły odrzutu, zupełnie jakby ktoś uderzył mnie obuchem młota.

– Taler, tu Darman, odbiór. – Nie widzę go. Nie widzę nikogo z drużyny, ale do moich uszu docierają odgłosy szybko następujących po sobie strzałów. – Taler, tu Darman, słyszysz mnie? Odbiór.

Nie odbieram żadnego znajomego głosu. Dopiero po chwili słyszę fragmenty urywanych okrzyków:

– ...trafiony! Został trafiony! Zastanawiam się kto. Kto został

trafiony?

– Taler? Vin? Jay? Słyszycie mnie? Odbiór!

Straciłem łączność z pozostałymi członkami swojej drużyny. Już ich więcej nie widziałem.

# ROZDZIAŁ

# 1

NAGŁÓWEK ZASZYFROWANY

CZEKAĆ W POGOTOWIU CZEKAĆ W POGOTOWIU.

WYSUNIĘTE STANOWISKO DOWODZENIA NA GEONOSIS DC BAZY ZAOPATRZENIOWEJ  
FLOTY, ORD MANTELL.

PRZYGOTOWAĆ SIĘ NA PRZYJĘCIE TRANSPORTOWCÓW Z EWAKUOWANYMI  
ŻOŁNIERZAMI. EKIPY MEDYCZNE OCENIAJĄ LICZBĘ POWAŻNIE RANNYCH NA DWANAŚCIE  
TYSIĘCY, POWTARZAM: DWANAŚCIE TYSIĘCY. LŻEJ RANNYCH OSIEM TYSIĘCY,  
POWTARZAM: OSIEM TYSIĘCY. PRZYBLIŻONY CZAS PRZYLOTU DZIESIĘĆ GODZIN.

LOGISTYCZNY PRIORYTET DLA PERSONELU OBSŁUGI ZBIORNIKÓW BACTA.

PRZYGOTOWAĆ SIĘ NA PRZYJĘCIE SIEDEMDZIESIĘCIU DWÓCH TYSIĘCY ZDOLNYCH DO  
WALKI ŻOŁNIERZY, POWTARZAM: SIEDEMDZIESIĘCIU DWÓCH TYSIĘCY, KTÓRZY ZOSTANĄ  
WYSŁANI W INNE MIEJSCA. PRIORYTET DLA ZAOPATRZENIA W BROŃ ODDZIAŁÓW  
KOMANDOSÓW.

KONIEC. BEZ ODBIORU.

**OKRĘT SZTURMOWY REPUBLIKI „NIEUBŁAGANY”:  
ZADANIE EWAKUACJI Z POWIERZCHNI GEONOSIS.  
CZEKAĆ W POGOTOWIU.**

Republikański komandos 1136 patrzył na tych, którzy czekali w

kolejce, żeby wejść na pokład kanonierki.

Niektórzy nosili hełmy, inni nie, ale wszyscy mieli jego twarz... i wszyscy byli obcy.

– Ruszać się! – wykrzyknął podoficer załadunkowy, zamaszystymi gestami przynaglając żołnierzy do pośpiechu. – Tempo, nie guzdrać się, ludzie... tak szybko, jak umiecie!

Kanonierki osiadały w chmurach pyłu, a żołnierze wskakiwali na pokład. Niektórzy odwracali się i wciągali towarzyszy, żeby okręty mogły szybciej wystartować. Nie było powodu, by się tłoczyć czy przepychać. W końcu ćwiczili to tysiące razy, więc byli świetnie przygotowani do odwrotu z pola prawdziwej walki. A zresztą to nie był odwrot, bo tego dnia odnieśli pierwsze zwycięstwo.

Podczas lądowania każdej kanonierki wzbijały się w powietrze chmury czerwonej geonosjańskiej gleby. RC-1136 – Darman – zdjął hełm i przejechał ostrożnie rękawicą po jego jasnoszarej kopule. Kiedy usunął kurz, zauważył kilka zadrapań i zwęglonych linii.

Podoficer załadunkowy odwrócił się do niego. Był niskim, pomarszczonym Durosjaninem... jedną z naprawdę niewielu obcych istot, które pełniły służbę w Wielkiej Armii. Darman jeszcze nigdy nie widział kogoś tak zniecierpliwionego i zirytowanego.

– A ty co, czekasz na specjalne zaproszenie? – warknął podoficer. Komandos dalej wycierał hełm z kurzu.

– Czekam na moich towarzyszy – powiedział.

– Rusz swój błyszczący srebrzysty tyłek... natychmiast! – rozkazał rozgniewany Durosjanin. – Muszę się trzymać rozkładu.

Darman ostrożnie podsunął płytkę kłykciową pod brodę podoficera i odczekał chwilę. Nie musiał wysuwać ukrytego wibroostrza ani nawet odpowiadać. Wystarczająco dobitnie dał do zrozumienia, co myśli o zachowaniu gburowatego Durosjanina.

– No cóż, możesz wejść na pokład, kiedy zechcesz – powiedział w końcu podoficer i cofnął się, żeby przynaglic kilku innych sklonowanych żołnierzy. Zadzieranie z komandosem nie było najrozsądniejszym pomysłem, zwłaszcza jeżeli ten komandos wciąż jeszcze nie ochłonął po wcześniejszej bitwie.

RC-1136 nigdzie nie widział pozostałych członków swojej

drużyny. W końcu doszedł do wniosku, że dalsze czekanie na nich nie ma sensu, skoro się nie zgłosili. Może mieli tylko uszkodzone komunikatory, a może dostali się na pokład innej kanonierki.

Pierwszy raz w sztucznie krótkim życiu nie mógł się spotkać z ludźmi, z którymi go wychowywano.

Mimo to zaczekał jeszcze pół standardowej godziny, dopóki kanonierki nie zaczęły lądować rzadziej, a kolejki żołnierzy się nie skróciły. W końcu na pustynnej równinie został tylko on, podoficer załadunkowy i sześciu sklonowanych żołnierzy. Mieli się wznieść w powietrze ostatni.

– Lepiej wejść na pokład, kolego – odezwał się pojednawczym tonem Durosjanin. – Nikogo więcej nie brakuje. To znaczy, nikogo żywego.

Darman ostatni raz omiół spojrzeniem horyzont. Czuł się, jakby odwracał się plecami do kogoś, kto potrzebuje jego pomocy.

– Już wchodzę – powiedział i zajął miejsce na końcu kolejki. Kiedy kanonierka wzniosła się w powietrze, obserwował wirujące kłęby pyłu, malejące formacje skalne oraz rozsiane tu i ówdzie kępki roślin, dopóki Geonosis nie przemieniła się w rozmytą brązowo-czerwoną plamę.

Wciąż jeszcze mógł prowadzić poszukiwania na pokładach „Nieubłaganego”. Nie wszystko było stracone.

W końcu kanonierka przeleciała przez ogromny otwór wrót hangaru okrętu i Darman powiódł spojrzeniem po przypominającym jaskinię pomieszczeniu. Roiło się w nim od zakutych w białe pancerze żołnierzy, kierujących się na wyznaczone miejsce zbiórki. Kiedy pilot wyłączył repulsory i kanonierka osiadła na płycie lądowiska, Darman przekonał się z zaskoczeniem, że wszyscy zachowują się bardzo spokojnie i cicho.

Powietrze w przepelnionym żołnierzami hangarze cuchnęło zatechłym potem i drażniącą gardło wonią używanych karabinów blasterowych. Na lądowisku panowała taka cisza, że gdyby Darman nie widział wyczerpanych i rannych klonów, mógłby pomyśleć, że w ciągu poprzednich trzydziestu godzin nie wydarzyło się nic szczególnego.

Pokład drżał pod podeszwami jego butów. Komandos wpatrzył się w przypadkowe wzory, jakie utworzyły na nich drobiny geonosjańskiego pyłu, i wtedy w polu widzenia zobaczył parę identycznych butów.

– Twój numer? – usłyszał głos, który był także jego głosem. Dowódca omiół go promieniem identyfikacyjnego skanera. Nie musiał go zresztą pytać o numer ani o nic innego, bo elektroniczne czujniki w udoskonalonej zbroi typu Katarn, w jaką zakuty był podwładny, wyjawiały natychmiast wszystkie informacje, Darman nie odniósł żadnych poważnych obrażeń i sanitariusze ekip medycznych na Geonosis przepuścili go bez badania. Robiąc przegląd rannych, ignorowali zarówno żołnierzy, którzy odnieśli rany zbyt ciężkie, by można im jeszcze pomóc, jak i tych, którzy mogli sami zadbać o siebie. – Słyszysz mnie? Odezwij się, synu.

– Nic mi nie jest, panie kapitanie – odparł w końcu podwładny. – Nazywam się RC-jeden-jeden-trzy-sześć. Nie przeżyłem wstrząsu. Czuję się dobrze. – Urwał. Już nikt nie zwróci się do niego przydomkiem, pod jakim go znali pozostali członkowie drużyny... Darman. Wiedział, że bracia nie żyją. Jay, Vin, Taler... Po prostu to wiedział. – Panie kapitanie, czy ma pan jakieś wieści o RC-jeden-jeden-trzy-pięć...

– Nie – uciał dowódca, który na pewno słyszał podobne pytanie za każdym razem, ilekroć sprawdzał tożsamość jakiegoś żołnierza. Wskazał kierunek gestem dłoni, w której trzymał krótką laskę. – Jeżeli ich nie ma w ośrodku medycznym ani na liście rannych, to znaczy, że nie przeżyli.

Darman głupio zrobił, że zapytał. Powinien znać odpowiedź. Sklonowani żołnierze, a zwłaszcza komandosi Republiki, po prostu wykonywali swoją pracę. To był jedyny cel ich życia. Szkolący ich sierżant wielokrotnie powtarzał, że mają wielkie szczęście. W rzeczywistym świecie istoty wszystkich ras galaktyki zadawały sobie pytanie o sens i znaczenie życia i czasami nie potrafiły go znaleźć aż do śmierci. Klony nie musiały zaprzętać sobie tym głowy. Klony wiedziały. Były hodowane i szkolone tylko w jednym celu. Wątpliwości nigdy nie mąciły jasności ich umysłów.

Aż do tej pory Darman nie wiedział, co to wątpliwości. Nie przygotowało go do tego żadne szkolenie. Wypatrzył wolne miejsce pod jakąś grodzia, usiadł i oparł się plecami o zimną ścianę.

Obok zajął miejsce sklonowany żołnierz. Wciskając się między niego a sąsiada, z cichym klekotem otarł się płytką naramiennika o pancerz Darmana. Popatrzyli na siebie. RC-1136 rzadko miał okazję rozmawiać z innymi klonami, bo komandosów szkolono inaczej niż wszystkich pozostałych, nie wyłączając członków elitarnych oddziałów zwiadowców. Pancerz żołnierza był biały, lżejszy i mniej odporny niż udoskonalona zbroja komandosa, która zapewniała lepszą ochronę. Na pancerzu Darmana nie było też żadnych barwnych pasków, oznaczających stopień wojskowy.

Mimo to każdy z nich wiedział, kim i czym jest.

– Fajny Dece – odezwał się żołnierz z nutką zazdrości w głosie, zerkając na należący do Darmana karabin typu DC-17. Zwykli żołnierze mieli cięższe i mniej wszechstronne karabiny typu DC– 15.

– Blaster impulsów jonowych, miotacz raketowych granatów przeciwpancernych i snajperski karabin?

– Ta-a – odparł Darman. Każdy element jego wyposażenia był udoskonalony. Życie żołnierza miało mniejszą wartość niż życie komandosa. To było normalne i Darman nigdy się nad tym nie zastanawiał... a przynajmniej nie długo. – Pełny zestaw funkcji.

– Coś pięknego. – Żołnierz pokiwał głową z aprobatą. – Obowiązek spełniony, co, kolego?

– Ta-a – odparł cicho komandos. – Obowiązek spełniony.

Żołnierz nie powiedział nic więcej. Może wolał mieć się na baczności, ilekroć rozmawiał z komandosami? Darman wiedział, co żołnierze sądzą o nim i jego towarzyszach z formacji wojskowej. „Nie szkolą się jak my i nie walczą jak my. Nawet nie mówią jak my. Banda primadonn”.

Nie uważał się za zarozumialca. Po prostu potrafił wykonać każde zadanie, jakie powierzano zwykłym żołnierzom, i jeszcze więcej. Mógł brać udział w szturmie z obłączenia, tłumić rozruchy i powstania, uwalniać zakładników, wysadzać w powietrze, eliminować nieprzyjaciół, szpiegować i zbierać informacje, a także wykonywać

wszelkie inne zadania w każdym terenie, w każdym środowisku i o każdej porze. Wiedział, że to potrafi, bo został do tego wyszkolony. Ćwiczył najpierw przy użyciu symulowanej, a później ostrej amunicji. Szkolił się z członkami swojej drużyny – trzema braćmi, z którymi spędził każdą chwilę świadomego życia. Rywalizowali z tysiącami innych drużyn, podobnych, ale nie takich samych, bo tylko oni byli braćmi z drużyny i tylko ich łączyła szczególna więź. Mimo to nigdy nie nauczono ich, jak żyć z daleka od pozostałych. Darman miał się tego dowiedzieć w najboleśniejczy możliwy sposób. Był absolutnie przekonany, że jest jednym z najlepszych żołnierzy, jakich kiedykolwiek stworzono do wykonywania specjalnych operacji. Jego uwagi nie musiały rozpraszać codzienne problemy związane z zakładaniem rodziny czy zapewnianiem jej utrzymania. Zdaniem instruktorów miał szczęście, że nigdy nie będzie się musiał o to troszczyć.

Obecnie jednak czuł się samotny. Bardzo, bardzo samotny. Nie mógł przestać o tym myśleć.

Zastanawiał się nad tą sprawą długo, siedząc w milczeniu pod zimną ścianą. To, że przeżył, podczas gdy pozostali członkowie drużyny zginęli, nie stanowiło powodu do dumy. Damian odczuwał coś, co szkolący ich sierżant określał mianem wstydu. Prawdopodobnie tak się czuł ktoś, kto przegrał bitwę.

Tyle że oni wygrali. To była ich pierwsza bitwa, a oni zwyciężyli.

W końcu rampa ładownicza „Nieubłaganego” opadła i do hangaru wpadły jaskrawe promienie słońca Ord Mantella. Darman machinalnie włożył hełm i stanął w kolejce, żeby zejść na ląd i otrzymać inny przydział. Miał zostać zamrożony i przetrwać w takim stanie, dopóki nie dostanie nowego powołania do służby.

A zatem tak wyglądało pokłosie zwycięstwa. Darman był ciekaw, o ile gorzej musi smakować gorycz porażki.

**IMBRAANI, QIILURA:  
CZTERDZIEŚCI LAT ŚWIETLNYCH OD ORD**



## **MANTELLA, RAMIĘ TINGEL**

Łany dojrzewającego zboża barą falowały w podmuchach południowozachodniego wiatru, rzucając srebrzysto-rubinowe błyski. Lato dobiegało końca, a ciepły dzień mógł być naprawdę wspaniały, gdyby nie był jednym z najgorszych w życiu Etain Tur-Mukan.

Młoda kobieta biegła i biegła, aż opadła z sił. Nie troszcząc się o to, gdzie się znajduje, rozpląszczyła się między bruzdami i wstrzymała oddech. Nie poruszyła się nawet wówczas, kiedy zachlupotała pod nią cuchnąca ciecz.

Wiedziała, że ścigający ją Weequay nie może jej usłyszeć przez szum wiatru, ale i tak starała się nie oddychać.

– Hej, dziewczyno! – Etain usłyszała dobiegający z bliska chrzęst jego butów. Weequay ciężko dyszał. – Dokąd ty pójść? Nie być taka płochliwa!

Nie oddychaj, powiedziała sobie.

– Mam butelka urrąła – ciągnął jej prześladowca. – Ty chcesz się zabawić? – Dysponował zdumiewająco bogatym zasobem słów jak na Weequaya, chociaż tylko tych, które określały zaspokajanie najbardziej prymitywnych potrzeb. – Ja zabawa, kiedy ty mnie lepiej poznać!

Powinnam była poczekać, aż się ściemni, pomyślała Etain. Mogłabym wtedy wpłynąć na jego umysł i postarać się, żeby dał mi spokój.

Nie zrobiła tego. Nie mogła, chociaż bardzo starała się skupić. W jej żyłach płynęło zbyt wiele adrenaliny, a umysł zaczynała ogarniać panika.

– Daj spokój, chudzino! Gdzie ty się podział? Ja ciebie znaleźć...

Słysząc było, że prześladowca przedziera się przez łany i zbliża do niej. Etain wiedziała, że gdyby wstała i znów rzuciła się do ucieczki, byłoby po niej. Jeżeli jednak zostanie w miejscu, w którym upadła, pijany Weequay wcześniej czy później ją odnajdzie. Nic nie wskazywało, żeby miał się zniechęcić czy zrezygnować z pościgu.

– Dziewcino...

Głos Weequaya dobiegał z bliska i z prawej strony, mniej więcej z odległości dwudziestu metrów. Etain zaryzykowała, nabrała powietrza w płuca i zaraz zacisnęła usta. Czuła w piersi ból, a oczy o mało nie wyszły z orbit.

– Dziewcino... – Jej prześladowca się zbliżał. Etain pomyślała, że na pewno zaraz na nią nadejście. – Dziewcino-o-o...

Wiedziała, co jej zrobi, kiedy ją odnajdzie. Jeżeli będzie miała szczęście, na końcu ją zabije.

– Dziew...

Weequay urwał i zaraz rozległo się głośnie plaśnięcie. Stęknął i chwilę później Etain usłyszała drugie plaśnięcie... tym razem krótsze, głośniejsze i mocniejsze, po którym dał się słyszeć jęk bólu.

– Ile razy muszę ci to powtarzać, di'kucie? – rozległ się głos nawykłego do rozkazywania mężczyzny. Kolejne plaśnięcie. – Nie... marnuj... mojego... czasu! – Jeszcze jedno plaśnięcie i następny jęk bólu. Etain przycisnęła twarz do wilgotnej gleby. – Jeżeli jeszcze raz się urznieś albo zaczniesz prześladować jakąś kobietę, poderżnę ci gardło... stąd dotąd.

Weequay zaskomlał jak zwierzę, które nie może znieść bólu. Etain zbyt często słyszała ten dźwięk w ciągu krótkiego czasu, jaki spędziła na Qiilurze. Wreszcie zapadła cisza.

Nigdy wcześniej nie słyszała głosu mężczyzny, ale nie musiała. Dokładnie wiedziała, kim jest człowiek, który spoliczkował Weequaya.

Wyteżyła słuch, licząc się z tym, że zaraz jej plecy przygniecie ciężka podeszwa, ale usłyszała tylko chrzęst i szelest dwóch par butów, oddalających się przez łąny zboża. Od czasu do czasu wiatr przynosił strzępki zdań, z których wywnioskowała, że mężczyzna nie przestaje wymyślać Weequayowi:

– ...ważniejsze...

Co mogło być ważniejszego?

– ...później, ale w tej chwili, di'kucie, chciałbym, żebyś... rozumiesz? Bo inaczej naprawdę poderżnę...

Etain uzbroiła się w cierpliwość i leżała nieruchomo. W końcu

doszła do wniosku, że słyszy tylko szmer wiatru, szelest źdźbeł zboża i dochodzący od czasu do czasu, piskliwy jak dźwięk fletu, głos ziemnego węgorza, usiłującego przywabić samicę. Można już było normalnie oddychać. Dopóki się jednak nie ściemniło, Etain leżała z twarzą przyciśniętą do cuchnącego nawozu. W końcu uświadomiła sobie, że nie może dłużej zwlekać. Niedługo wyjdą z nor na łowy stada gdanów, a poza tym zaczynał się jej dawać we znaki fetor, na który nie zwracała uwagi, dopóki paraliżowało ją przerażenie.

Wsparła się na łokciach i kolanach, wystawiła głowę ponad falujące kłosa i zaczęła się rozglądać po okolicy.

Ciekawa była, dlaczego o tej porze ktoś zadał sobie trud rozrzucenia obornika na polu dojrzewającego barqa. Etain poszperała w kieszeniach i znalazła chustkę. Gdyby w pobliżu płynął jakiś strumień, mogłaby się umyć i mniej więcej doprowadzić ubranie do porządku. Wyrwała garść źdźbeł zboża, zgmiotła je w kulę i zaczęła zdrapywać z ubrania nawóz z grudkami gleby.

– To zbyt cenne zboże, żeby wykorzystywać je w takim celu – usłyszała nagle głos jakiegoś mężczyzny.

Przełknęła ślinę, odwróciła się i zobaczyła miejscowego farmera w niechlujnym kombinezonie. Nieznajomy, chudy jak szczapa, trzymał narzędzie do młócenia zboża i piorunował ją spojrzeniem. Wyglądał na przepracowanego i zirytowanego.

– Wiesz, ile to jest warte? – dodał.

Przepraszam – powiedziała Etain. Dyskretnie wsunęła dłoń między fałdy płaszcza i zacisnęła palce na znajomym cylindrze. Nie chciała, aby Weequay się dowiedział, że ściga Jedi, ale gdyby nieznajomy farmer się zastanawiał, czy nie wydać jej za kilka bochenków chleba albo butelkę urrqala, musiała mieć świetlny miecz pod ręką. – Obawiam się, że miałam do wyboru: twój barq albo moje życie.

Farmer zacisnął wargi w wąską linię, spojrzał na zgniecione łodygi i rozrzucone paciorkowate ziarna. Rzeczywiście barq osiągał zawrotną cenę w restauracjach na Coruscant. Na taki luksus nie mogli sobie pozwolić uprawiający zboże na eksport qiilurańscy farmerzy. Naturalnie nic to nie obchodziło kontrolujących handel tym zbożem Neimoidian. Nigdy im to nie przeszkadzało.

– Zapłacę za wyrządzone szkody – zaproponowała Etain, nie wysuwając dłoni spomiędzy fałdów płaszcza.

– Właściwie dlaczego cię ścigali? – zapytał farmer, ignorując jej ofertę.

– Z tego samego powodu, co zwykle – odparła młoda Jedi.

– O-a. Wcale nie wyglądasz tak atrakcyjnie – zdziwił się mężczyzna.

– Dzięki za komplement.

– Wiem, kim jesteś.

O nie. Etain zacisnęła palce na rękojeści świetlnego miecza.

– Naprawdę? – zapytała.

– Tak mi się wydaje.

Trochę więcej jedzenia dla członków jego rodziny. Kilka godzin upojnego zapomnienia, jakie dawał urrqał. Tylko tyle dla niego znaczyła. Kiedy farmer drgnął, jakby chciał zrobić krok w jej stronę, Etain wyciągnęła rękę spomiędzy fałdów płaszcza. Miała dosyć uciekania i nie podobał się jej wygląd narzędzia do młócenia.

Yzzzzzmmmm.

Farmer spojrział na kolumnę niebieskiego światła.

– Och, coś wspaniałego – mruknął. – Tylko nie to. Wcale was tu nie potrzebujemy.

– Właśnie to – odparła Etain, trzymając klingę broni nieruchomo przed twarzą. W żołądku czuła ciężki kamień, ale starała się panować nad drzeniem głosu. – Jestem padawanką i nazywam się Etain Tur-Mukan. Jeżeli chcesz sprawdzić moje umiejętności, możesz spróbować mnie wydać, ale wolałabym, żebyś zamiast tego mi pomógł. Twoja kolej, nieznajomy.

Farmer wpatrywał się w energetyczną klingę, jakby starał się ocenić wartość broni Jedi.

– Nie bardzo pomogła twojemu mistrzowi, prawda? – zapytał w końcu.

– Mistrz Fulier nie miał szczęścia – zauważyła padawanką. – I został zdradzony – dodała po chwili. Opuściła klingę miecza, ale nie wyłączyła broni. – Pomożesz mi?

– Jeżeli to zrobię, wkrótce będziemy mieli tu pełno siepaczy

Gheza Hokana... – zaczął farmer.

– Prawdopodobnie są w tej chwili zajęci czymś innym – przypomniała mu Etain.

– Jakiej pomocy ode mnie oczekujesz?

– Na razie schronienia – odparła padawanka.

Farmer wciągnął z sykiem powietrze przez zaciśnięte zęby i chwilę milczał, jakby się zastanawiał.

– W porządku – odezwał się w końcu. – W takim razie chodźmy, padawanko...

– Wolałabym, żebyś nazywał mnie po prostu Etain. – Młoda kobieta przycisnęła kciukiem guzik na obudowie i wyłączyła energetyczną klingę. Kiedy światło zgasło z dźwiękiem podobnym do ffumm, Etain wsunęła rękojęść z powrotem między fałdy płaszczka. – Na wszelki wypadek – dodała.

Podążyła za farmerem, usiłując nie zwracać uwagi na przyprawiający o mdłości fetor, ale przychodziło jej to z wielkim trudem. Nawet wrażliwe na zapachy gdany nie uznałyby jej za istotę ludzką. Zaczynało się ściemniać. Farmer raz po raz oglądał się na nią przez ramię.

– O-a – odezwał się w pewnej chwili jakby do siebie i pokręcił głową. – Nazywam się Birhan, a to moja ziemia. Sądziłem, że ty i inni twojego pokroju potraficie się uciekać do różnych myślowych sztuczek.

– A skąd wiesz, że ich nie zastosowałam? – skłamała młoda padawanka.

– O-a – powiedział Birhan, ale nie dodał nic więcej.

Jeżeli do tej pory sam się nie zorientował, Etain nie zamierzała mu wyjawiać oczywistej prawdy. Zawiodła swojego mistrza, więc chyba nie była najlepszą padawanką. Miała kłopoty z samodyscypliną i z panowaniem nad Mocą. Trafiła na Qiilurę, bo ona i jej mistrz znajdowali się akurat w pobliżu, kiedy trzeba było wykonać pewne zadanie. Fulier nigdy jednak nie umiał oceniać sytuacji i nawet jeśli szanse były nikłe, nie potrafił oprzeć się wyzwaniu. Wszystko wskazywało, że zapłacił za to najwyższą cenę. Do tej pory nikt nie odnalazł jego ciała, ale też i nikt nie miał od niego żadnej

wiadomości.

Tak, Etain była padawanka, przynajmniej formalnie.

Dosłownie włos dzielił ją od budowania permakopuł w ośrodkach dla uchodźców. Uważała, że częścią umiejętności Jedi jest podstawowa znajomość psychologii. A jeżeli Birhan przypuszczał, że Moc jest w niej silna i że pod zewnętrzną powłoką niezgrabnej, poplamionej nawozem, prostej dziewczyny kryje się coś więcej, nie miała nic przeciwko temu.

Taka opinia pozwoli jej przeżyć, dopóki się nie zastanowi, co z sobą począć.

**BAZA ZAOPATRZENIOWA FLOTY,  
ORD MANTELL,  
ZESPÓŁ BARAKÓW PIĘĆ EPSILON**

To było marnotrawstwo, bezsensowne marnotrawstwo.

RC-1309 doprowadzał do porządku buty. Oczyszczył zatrzaski, zdmuchując czerwony pył strumieniem sprężonego powietrza z pneumatycznego pistoletu. Zwilżył wykładzinę i potrząsnął, żeby usunąć krople wody. Nie było sensu siedzieć beczynn timer i czekać na zamrożenie.

– Panie sierżancie – usłyszał nagle czyjś głos.

Uniósł głowę. Komandos, który właśnie wszedł, położył na sąsiedniej pryczy pakiet umożliwiający przeżycie, pancerz i czarny kombinezon. Spojrzał na RC-1309. Panel identyfikacyjny dowodził, że nieznamy nazywa się RC-8015.

– Jestem Fi – oznajmił i wyciągnął rękę, żeby się przywitać. – A zatem i ty straciłeś wszystkich swoich towarzyszy?

– Nazywam się Niner – przedstawił się RC-1309, ale zignorował wyciągniętą rękę. – Ty także, ner vod, mój bracie, jesteś jedynym, który przeżył?

– Tak.

– Zostałeś z tyłu, kiedy twoi bracia rzucili się do ataku? – domyślił się RC-1309. – A może po prostu miałeś szczęście?

Stojąc przy pryczy, Fi ujął się pod boki. Pod każdym względem wyglądał jak Niner, a jednak był... inny. Mówił trochę inaczej, uśmiechał się w subtelnie odmienny sposób i poruszał się nie tak jak członkowie drużyny Ninera.

– Wykonałem zadanie – odezwał się w końcu RC-8015. – Wolałbym być teraz z nimi niż ta... ner vod.

Niner spoglądał na niego jakiś czas, ale później wrócił do czyszczenia butów. Fi złożył swój sprzęt w zamkniętym schowku obok pryczy, po czym jednym płynnym ruchem wskoczył na najwyższe piętro. Podłożył ramiona pod głowę i wpatrzył się w przepierzenie, jakby pogrążył się w medytacji.

Gdyby to był Sev, Niner wiedziałby dokładnie, czym się zajmuje. Nawet by nie musiał na niego patrzeć. Ale Sev zginął.

Sklonowani żołnierze tracili braci podczas ćwiczeń. Podobny los spotykał także niektórych komandosów. Żołnierze utrzymywali jednak bliskie kontakty z całymi plutonami, kompaniami, batalionami, a nawet pułkami, a to oznaczało, że nawet po nieuniknionej daninie śmierci podczas ćwiczeń z użyciem ostrej amunicji wciąż jeszcze mieli wokół siebie wielu towarzyszy, z którymi się przyjaźnili. W przeciwieństwie do nich komandosi wykonywali zadania w małych grupach.

Podobnie jak Fi, Niner stracił wszystkich, z którymi dorastał.

Stracił brata – Dwa-Osiem – już wcześniej podczas ćwiczeń. Pozostali przy życiu trzej komandosi zaprzyjaźnili się z jego następcą, chociaż zawsze mieli wrażenie, że tamten czymś się od nich różni. Odnosił się do nich z rezerwą jakby nie do końca wierzył, że go zaakceptowali.

Mimo to wszyscy wykonywali powierzane im zadania doskonale – a dopóki to robili, ich kaminoañscy technicy i instruktorzy najróżniejszych ras nie zwracali uwagi na to, co odczuwają ich podwładni.

Ale zwracali na to uwagę komandosi. Tyle że nikomu się z tego nie zwieriali.

– To było marnotrawstwo – odezwał się w końcu Niner.  
– Co takiego? – zainteresował się Fi.  
– Wysyłanie nas do udziału w takiej operacji, jak ta na Geonosis – odparł Niner. – To było zadanie dla piechoty, nie dla oddziałów specjalnych.

– To brzmi jak krytyka...  
– Staram się tylko dowieść, że po prostu nie mogliśmy się wykazać maksymalną skutecznością.

– Rozumiem – odparł Fi. – Może po ożywieniu będziemy znów mogli robić to, do czego zostaliśmy wyszkoleni.

Niner chciał wspomnieć, że brakuje mu pozostałych członków drużyny, ale podobnych informacji nie przekazywało się obcej osobie. Obejrzał buty i stwierdził, że są w porządku. Rozłożył kombinezon na materacu swojej pryczy i omiół go promieniem sensora z rękawicy, żeby się upewnić, czy nadal jest odporny na oddziaływanie próżni. Cały rytuał był tak głęboko zakorzeniony w świadomości komandosów, że wykonywali wszystkie czynności automatycznie: utrzymywać w stanie zdatności buty, kombinezon i płyty pancerza, dokonać ponownej kalibracji systemów hełmu, sprawdzić wyświetlacz projektora w polu widzenia żołnierza, rozebrać i złożyć karabin typu DC-17, a także sprawdzić zawartość pakietu umożliwiającego przeżycie, po czym zapakować go na nowo. Gotowe. Zajęło mu to dwadzieścia sześć minut i dwadzieścia sekund, plus minus dwie sekundy. Dbalność o sprzęt decydowała często o życiu lub śmierci... podobnie jak te dwie sekundy.

Zamknął klapę plecaka z cichym szczękiem i zabezpieczył uszczelkę. Sprawdził zatrzaski utrzymujące pakunek z ładunkami wybuchowymi, żeby sprawdzić, czy się nie zakleszczyły. Miało to duże znaczenie, kiedy trzeba było się nimi szybko posłużyć. Uniósł głowę i zauważył, że wsparty na łokciu Fi obserwuje go w milczeniu z górnej pryczy.

– Suche racje żywnościowe powinny się znajdować na piątym poziomie – powiedział.

Niner zawsze umieszczał je głębiej, między zapasową liną do zjeżdżania a przyborami do utrzymywania higieny osobistej.



– Może w twojej drużynie – odparł i wrócił do pracy.

Fi zrozumiał aluzję i obrócił się znów na plecy. Pewnie się zastanawiał, z iloma różnicami spotka się jeszcze w dalszym życiu. Po chwili zaczął cichutko nucić:

– *Kom 'rk tsad droten troch nyn ures adenn, Dha Werda Verda a 'den tratu.* Byli gniewem cienia wojowników i rękawicą Republiki.

Niner znał tę pieśń. Tradycyjna mandaloriańska przyśpiewka wojenna miała podtrzymywać na duchu zwykłych mężczyzn, którzy przed walką potrzebowali odrobiny psychicznego wsparcia. Słowa zostały trochę zmienione, żeby miały sens dla armii sklonowanych wojowników.

No cóż, nam coś takiego nie jest potrzebne, pomyślał Niner. Zostaliśmy zrodzeni do walki, i tylko do tego.

Wkrótce jednak przyłączył się do śpiewania, co przyniosło mu ulgę. Umieścił sprzęt w zamykanej szafce, ułożył się na pryczy i dostosował ton i rytm do głosu drugiego komandosa. W opustoszałym baraku koszar rozległy się dwa identyczne głosy.

Niner zamieniłby każdą pozostałą mu jeszcze chwilę życia na okazję przeżycia na nowo bitwy z poprzedniego dnia. Powstrzymałby wtedy Seva i DD i wysłałby ZeroCzwórkę na zachód z działkiem E-Web.

Żałował, że tego nie zrobił.

– *Gra 'tua cuun hett su dralshy 'a.* Nasza zemsta płonie jeszcze jaśniej.

Fi umilkł ułamek sekundy wcześniej niż Niner, który usłyszał, że leżący wyżej komandos przetyka ślinę.

– Byłem tam z nimi, sierżancie – odezwał się cicho. – Nie zostałem z tyłu. Naprawdę.

Niner zamknął oczy. Ubolewał, że Fi tak wziął sobie do serca jego pytanie, sugerujące brak zaangażowania w walkę.

– Wiem, bracie – powiedział. – Wiem.

# ROZDZIAŁ

## 2

*Sklonowani żołnierze są obdarzeni wolną wolą, nawet jeżeli wykonują rozkazy. Gdyby nie potrafili samodzielnie myśleć, lepiej byśmy poradzili sobie z robotami... zwłaszcza że roboty są o wiele tańsze. Żołnierze muszą umieć reagować w sytuacjach, których nie możemy sobie wyobrazić. Czy to może zmienić ich w sposób, jakiego nie potrafimy przewidzieć? Możliwe. Muszą być jednak przygotowani pod względem umysłowym do wygrywania wojen. A teraz odmroźcie tych ludzi. Mają do wykonania ważne zadanie.*

*— mistrz Jedi Arligan Zey, funkcjonariusz wywiadu*

### **BEZPIECZNA SALA ODPRAW, BAZA ZAOPATRZENIOWA FLOTY, ORD MANTELL, TRZY STANDARDOWE MIESIĄCE PO BITWIE O GEONOSIS**

Bazy Zaopatrzeniowej Floty nie zbudowano z myślą o zakwaterowaniu dziesiątków tysięcy żołnierzy i prawda ta od razu rzucała się w oczy. Salę odpraw urządzono w chłodni, w której wciąż jeszcze pachniało jedzeniem i przyprawami. Darman widział pod

sufitem szyny systemu przeładunkowego, ale starał się skupiać uwagę na umieszczonym przed nim holoeckranie.

Wcale nie czuł się źle po wybudzeniu z zamrożenia. Nadal był komandosem. Nie został przekwalifikowany, co oznaczało... oznaczało, że podczas walki na Geonosis spisał się zgodnie z oczekiwaniami. A więc spisał się doskonale. Czuł się świetnie.

Stwierdził jednak, że w jego hełmie zaszły pewne zmiany. Na projekcyjnym wyświetlaczu w polu widzenia widział obecnie o wiele więcej informacji. Wydając polecenia energicznym mruganiem, jakiś czas zmieniał rodzaje pracy i zauważył, że od czasu bitwy o Geonosis zainstalowano dodatkowe systemy i urządzenia.

Po jego lewej stronie siedział nowy sierżant, który wolał, żeby nazywano go Niner, jeżeli w pobliżu nie kręcili się zwierzchnicy, a także RC-8015 o przydomku Fi. Oni także byli jedynymi ocalałymi członkami swoich drużyn i na pewno wiedzieli, co czuje komandos po śmierci pozostałych braci.

W ich rzędzie stało jeszcze jedno prowizoryczne krzesło – wykonany z niebieskiego stopu okrągowany pojemnik – ale pozostawało na razie niezajęte. Mistrz Jedi Arligan Zey przechadzał się z dłońmi splecionymi za plecami, powiewając fałdami płaszcza, tam i z powrotem przed ekranem, za każdym razem zakłócając wyświetlany hologram. Inny Jedi, którego nazwiska nie wymieniono, spoglądał raz po raz to na mistrza Zeya, to na komandosów, siedzących nieruchomo w pancerzach i hełmach na pozostałych pojemnikach.

Błyszczące ściany chłodni, spryskane środkiem czyszczącym, umożliwiały Darmanowi dyskretne obserwowanie niezwyklej obcej istoty, jakiej komandos nigdy wcześniej nie widział. Podczas szkolenia kazano mu zwracać uwagę na każdy szczegół otoczenia, ale i tak nie mógłby przeoczyć niezwyklej nieznajomego.

Obca istota miała mniej więcej półtora metra długości i była porośnięta błyszczącą czarną sierścią. Obchodząc pomieszczenie na czterech długich, delikatnych łapach, co chwila pociągała nosem i obwąchiwała ściany. Wciskała wąski pysk w każdą szczelinę, by po chwili wypuścić głośno powietrze. Nieco wcześniej Darman słyszał,

jak mistrz Zey zwraca się do niej po imieniu, które brzmiało Valaqil, i oznajmia wszystkim, że nieznajomy jest istotą zmienno kształtną, Gurlaninem.

Podczas szkolenia Darman słyszał o istotach zmienno kształtnych, ale tym razem nie miał przed sobą istoty rasy Clawdite. Kiedy spoglądał kątem oka na odbicie istoty w ścianie, drzwi do pomieszczenia się otworzyły i na progu stanął jeszcze jeden komandos. Przyciskając hełm ręką do boku, dziarsko zasalutował.

– Melduje się RC-trzy-dwa-dwa-dwa, panie generale – powiedział.  
– Przepraszam, że kazałem wszystkim czekać, ale lekarze nie chcieli mnie wypuścić z pokładowego szpitala.

Nikogo to nie zdziwiło, bo twarz nowo przybyłego komandosa szpecił pasek niezabliźnionego ciała, który zaczynał się pod prawym okiem, biegł przez usta i kończył się po lewej stronie brody. Komandos nie wyglądał obecnie jak pozostałe klony. Damian zastanawiał się, do jakich perswazji musiał się uciec nowo przybyły żołnierz, żeby przekonać lekarzy, aby oszczędzili mu kuracji w płynie bacta.

– Jesteś zdrow, żołnierzu? – zainteresował się Zey.

– Zdatny do walki, panie generale. – Komandos podszedł do niezajętego pojemnika, usiadł sztywno i przelotnym spojrzeniem powitał Darmana. A zatem tak wyglądał czwarty członek ich zespołu. Przynajmniej pod względem liczebnym byli znów drużyną... o kryptonimie Omega.

Drugi Jedi spoglądał na przybysza z wyraźnym i nieukrywanym zdumieniem. Zey chyba to zauważył, bo szturchnął kolegę łokciem pod żebro.

– Padawan Jusik, jak zresztą my wszyscy, jeszcze nie przywykł do widoku armii sklonowanych żołnierzy – powiedział. Darman nie widział w tym nic dziwnego. Przed bitwą o Geonosis nie widział ani jednego Jedi i był nie mniej zafascynowany ich widokiem. – Zechciejcie wybaczyć jego ciekawość.

Wskazał na holoekran.

– To jest wasz cel, panowie: Qiilura zaczął z powagą. Przeniósł spojrzenie na ekran komputerowego notatnika i szybko przeczytał

kilka informacji. – Dane uzyskano podczas zwiadu prowadzonego z bardzo dużej wysokości, więc obraz ma swoje ograniczenia.

Przerwał na chwilę, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Oficjalnie Qiilura pozostaje planetą neutralną – podjął po chwili.  
– Na nieszczęście taki stan ulegnie wkrótce zmianie.

Zey zwracał się do nich „panowie”, więc pewnie nie wiedział, jak tytułować komandosów. Dla wszystkich to był sam początek znajomości.

Z początku obraz na holoeckranie przedstawiał błękitno-biały krąg, ale kiedy się powiększył, pojawiły się łańcuchy wysp, ujścia głębokich rzek i usiane pagórkami równiny ze spłachetkami lasów i szachownicami pól uprawnych. Planeta wyglądała uroczo i tchnęła spokojem, i może właśnie dlatego, patrząc na nią Darman czuł się nieswojo. Bądź co bądź całe życie poza Tipoca City spędził na polach walk, czy to prawdziwych, czy też symulowanych.

– Widzicie tu osady farmerów. Prawie wszystkie znajdują się w tym rejonie ze względu na żyzność ziemi – ciągnął Zey. – Tubyłcy uprawiają barq i kushayan. Produkują pięćdziesiąt procent luksusowych artykułów żywnościowych i trunków galaktyki, zajmują się także wydobywaniem szlachetnych kamieni. Mimo to ledwo wystarcza im na życie, bo planeta nie ma ustawodawstwa innego niż prawo, które nakazuje ciągnąć z handlu jak największe zyski. Praktycznie właścicielami Qiilury są Neimoidianie, bo władają rejonami upraw, które przynoszą im ogromny dochód. Sprawują tam władzę dzięki milicji, na której czele stoi Ghez Hoka, Mandalorianin tak bezwzględny i brutalny, że niedawno poproszono go o odejście z Eskadry Śmierci, bo jego działalność sprawiała mu zbyt wielką radość.

Jusik uniósł głowę znad swojego notatnika. Widać było, że uważnie śledzi słowa mistrza Jedi.

– To szumowiny – dodał mistrz. – Tak określił ich jeden z naszych informatorów... W każdym razie to bardzo nieprzyjemna grupa osób.

Zey urwał, jakby chciał się upewnić, że ostatnia informacja dotrze do świadomości słuchaczy.

– Nasze siły są bardzo rozproszone, więc do tej pory nie mogliśmy

znaleźć uzasadnienia dla interwencji, która położyłaby kres niesprawiedliwości na Qiilurze – podjął po chwili. – Nasz wywiad zdobył jednak nowe informacje, z których wynika, że na planecie znajduje się ważny cel o ogromnym znaczeniu wojskowym.

Darman słuchał uważnie, ale cały czas zerkał z ukosa na myszkującego Gurlanina. Kiedy istota skończyła obchód pomieszczenia, usiadła wyprostowana obok Jusika i zaplotła na torsie przednie łapy. RC-1136 starał się też obserwować młodego Jedi. Padawan cały czas sprawiał wrażenie zafascynowanego widokiem komandosów. Darman nie dawał po sobie poznać, że się w niego wpatruje, zresztą hełm ukrywał wszystkie ruchy jego gałek ocznych. Wiedział jednak, że Jedi mają sposoby, by uświadomić sobie coś, czego nie widzą na własne oczy. Powiedzieli mu to instruktorzy. Jedi byli wszechwiedzący i wszechpotężni, więc należało im zawsze okazywać bezwzględne posłuszeństwo.

Darman chłonał każde słowo mistrza Zeya.

– Qiilura nie znajduje się na głównym szlaku, jeżeli mogę to tak określić – ciągnął Jedi. – Idealnie nadaje się na kryjówkę dla kogoś, kto tego potrzebuje. I rzeczywiście, ukryto na niej to i owo. Musimy tam aresztować jedną osobę, badaczkę Separatystów Ovolot Qail Uthan, i zniszczyć rezultat jej ostatnich badań nad nanowirusem. Mamy powody uważać, że i ona, i te materiały znajdują się w ośrodku badawczym na Qiilurze.

Zey urwał, a Jusik od razu podjął wątek.

– Wysłaliśmy tam mistrza Jedi, Kasta Fuliera, ale od kilku tygodni nie mamy żadnej wiadomości ani od niego, ani od jego padawanki – powiedział.

– Zapewniam was, że uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby się z nimi skontaktować – dodał Zey. – Wiemy, gdzie mieści się ośrodek doktor Uthan, ale nie mamy planów jego pomieszczeń. A przy istniejących kłopotach z łącznością porwanie badaczki i zniszczenie placówki może wam sprawić większą trudność, niż na to wygląda. Są jakieś pytania?

Niner uniósł osłoniętą rękawicą rękę.

– Panie generale, na czym polegają te kłopoty z łącznością o

których pan wspominał? – zapytał.

– Neimoidianie – odparł zwięźle mistrz Jedi.

– Niezupełnie rozumiem, panie generale – przyznał komandos.

Zey popatrzył z niedowierzaniem, ale po chwili na jego twarzy odmalowało się zrozumienie.

– Neimoidianie są właścicielami całej infrastruktury na Qiilurze – wyjaśnił. – Tubylcom muszą wystarczać doły w ziemi zamiast toalet, za to ich władcy mogą się poszczycić najwspanialszą siecią ośrodków łączności i kontroli ruchu powietrznego, jaką da się kupić za kredyty. Lubią mieć pewność, że nikt nie zrobi niczego bez ich wiedzy i zgody. Nadzorują wszystkich i wszystko, więc z planety nie wydostają się żadne informacje. Będziecie musieli zrezygnować z używania dalekosiężnych komunikatorów. Zrozumieliście mnie, żołnierzu?

– Tak jest, panie generale – odparł Niner.

Zapadła długa cisza. Zey objął spojrzeniem trzy hełmy i poranioną twarz czwartego komandosa, jakby na coś czekał. Jedi uprzedził, że nigdy dotąd nie współpracował z klonami, więc pewnie się spodziewał, że zażądają więcej szczegółów. Podszedł do Damiana. Nie chcąc wprawiać mistrza Jedi w zakłopotanie, komandos postanowił przerwać przedłużającą się ciszę, zadając dosyć oczywiste pytanie:

– Właściwie czym się charakteryzuje ten nanowirus, panie generale?

Zey wyprostował się i uniósł głowę.

– To inteligentne i ważne pytanie – ocenił.

– Dziękuję, panie generale – odparł Darman.

– Odpowiedź powinna was zainteresować – ciągnął Jedi. – Wszystko wskazuje, że wyhodowano go z myślą o sklonowanym personelu.

Smukły czarny Gurlanin jeszcze bardziej się wyprostował.

– Obawiają się was i mają po temu powody – zaczął głębokim tonem, który brzmiał jak plusk płynącej wody. – A zatem pragną was zabić. Tak postępują wszystkie prostackie istoty, ilekroć natkną się na coś, czego się obawiają i czego nie potrafią zrozumieć.

Cały czas się prostował i wyciągał do góry, aż w końcu przybrał wygląd czarnej kolumny.

– Ta-ak – przyznał powoli Zey, przeciągając słowo, jakby miało dwie sylaby. Z trudem oderwał spojrzenie od przemieszczających się cząsteczek ciała Gurlanina. – Na razie dysponujecie pewną przewagą bo Separatyści raczej nie uświadamiają sobie waszych możliwości jako sklonowanych komandosów. Nie mają pojęcia, do czego jesteście zdolni, prawdopodobnie nawet wy sami także nie jesteście tego świadomi. Stworzono was jako istoty doskonałe, a najbardziej doświadczeni instruktorzy galaktyki wyszkolili was, żebyście poznali swój potencjał. Bardzo wiele się po was spodziewamy. – Wsunął dłonie między fałdy płaszcza i pochylił lekko głowę. – Będziemy zachwyceni, jeżeli odnajdziecie mistrza Fuliera całego i zdrowego, ale wasze główne cele to doktor Uthan i jej ośrodek badawczy. Czy zrozumieliście wszystko, co wam powiedziałem?

– Tak jest, panie generale – wyskandowali komandos. Kiwnęli głowami, choć niezupełnie równo. Wkrótce dojdziemy do większej wprawy, pomyślał Darman. Kilka dni ćwiczeń powinno wystarczyć. Trzeba ciężko ćwiczyć, żeby było łatwo walczyć.

– A zatem powierzam was opiece swojego padawana – podjął Zey i ruszył do wyjścia. Przystanął w drzwiach i obejrzał się na komandosów, przechylając głowę na bok. Był albo zdumiony, albo rozbawiony. Albo jedno i drugie.

Jusik z wysiłkiem przełknął ślinę, a Gurlanin znów zmienił się z kolumny w czworonogie stworzenie. Podeszedł, usiadł obok RC– 3222 i wbił spojrzenie w jego twarz. Komandos nie zareagował.

– Ach-ch-ch – westchnął cicho Valaqlil. Jego głos nadal brzmiał jak szmer ciurkającej wody. – Słowo daję, to rzeczywiście twarz Fetta. Fascynujące.

Jusik wskazał ręką wyjście.

– Jestem waszym zbrój mistrzem – oznajmił z dumą. – Broń i informacje. Jeżeli zechcecie mi towarzyszyć, pokażę wam, co macie do dyspozycji.

Komandos wstali mniej więcej równocześnie i podążyli za nim korytarzem, wciąż jeszcze zastawionym pojemnikami z racjami żywnościowymi. Nawet przez maskę filtrującą Darman wyczuwał woń gulaszu z nerfa. Gurlanin szedł przed nimi, jakby płynął, przybierając



różne kształty – to wyginającego ciało w sinusoidę drapieznika, to znów biegnącego truchtem czworonoga.

Jusik znieruchomiał dopiero przed drzwiami na końcu korytarza i odwrócił się do komandosów.

– Czy mógłbym prosić pozostałych o zdjęcie hełmów? – odezwał się.

Nikt nie zapytał o powód jego prośby. Komandosi od razu usłuchali, chociaż padawan nie nadał głosowi rozkazującego tonu, którego wszyscy się po nim spodziewali. Rozhermetyzowywane uszczelki hełmów cicho zasyczały.

– Och – szepnął Jusik i szybko omiótł spojrzeniem twarze komandosów. W końcu odwrócił się, otworzył drzwi i wpuścił ich do prowizorycznej zbrojowni.

Pomieszczenie wyglądało jak jaskinia pełna skarbów, a głównie udoskonalonego sprzętu uzupełniającego, o którym Darman wiedział, że może pasować do jego dotychczasowego wyposażenia. Dostrzegł także materiały wybuchowe, których nigdy dotąd nie widział, zapewne wytwór myśli naukowców Republiki. Wiele przedmiotów miało wygląd wręcz... egzotyczny. Na blatach stołów o skrzyżowanych nogach leżała poukładana równo broń z wyposażenia istot wielu obcych ras galaktyki... a obok niej taka, której Darman nigdy nie widział. Wyglądało to naprawdę zachęcająco.

– Ten sprzęt wygląda, proszę pana, jakby się mógł nam przydać – odezwał się w końcu Niner.

– Drużyna Delta zbierała wszystko, na co się natknęła tu i tam – wyjaśnił Jusik. Pozostali komandosi zwracali uwagę głównie na broń, ale Darman śledził z coraz większym zainteresowaniem zachowanie młodego Jedi. Padawan został przy drzwiach, żeby podwładni mogli lepiej obejrzeć broń, ale cały czas dyskretnie ich obserwował. – Nie jesteście podobni do robotów, prawda? – zagadnął w końcu.

– Nie, proszę pana – odparł Fi. – Jesteśmy istotami z krwi i kości, wyhodowanymi i tak wyszkolonymi, żebyśmy byli najlepsi.

– Jak członkowie elitarnych oddziałów zwiadowców? – podsunął padawan.

– Niezupełnie, panie generale – wyjaśnił Fi. – Nie jesteśmy także

podobni do sklonowanych piechurów. Nie działamy sami ani w dużych grupach. Po prostu wszyscy wyglądamy tak samo.

– A więc stanowicie grupę? – zapytał Jusik. – Jesteście drużyną? – Potem, jakby pospiesznie przypomniał sobie odrobioną lekcję, dodał: – Jesteście prawie jak rodzina?

– Teraz nią jesteśmy – przyznał Niner. Sięgnął po przenośną wyrzutnię raket, różniącą się trochę od wersji standardowej. – Lekka – stwierdził z aprobatą. – Bardzo lekka.

– To prototyp z firmy Merr-Sonn – poinformował Jusik. – Nowatorski stop, zwiększona siła rażenia, większy zasięg. Ma mikrorepulsorowy zespół stabilizatorów, ale naukowcy nie rozwiązali jeszcze wszystkich technicznych problemów, więc powinniście z niej strzelać z ramienia. – Przyjrzał się bliźnie na twarzy DC-3222. – Czy to boli? – zapytał.

– Tylko trochę, proszę pana – odparł komandos, ale widać było, że rana mu sprawia dotkliwy ból. Na brzegach wciąż jeszcze zwisały strzępy oddartej skóry. – Zatrąszczę się o to później.

Padawan chrząknął cicho. Najwyraźniej nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Może przypuszczał, że podobnie jak roboty, klony także nie odczuwają bólu.

– Macie jakieś imiona? – zapytał. – Nie chodzi mi o numery. Chcę znać wasze imiona.

Imiona były dla klonów czymś bardzo osobistym. Znali je tylko członkowie drużyny i szkolący ją sierżant. Darman poczuł zakłopotanie.

– Moja drużyna mówiła na mnie Atin – odezwał się w końcu ranny komandos.

Niner spojrział na Fi, ale nic nie powiedział. Atin oznaczało po mandaloriańsku „uparty”.

Jusik uniósł w powietrze dwie szpule z nawiniętymi matowymi taśmami. Jedna była czarna, a druga biała. Odwinął po niewielkim kawałku każdego koloru, skrzył końce i w jednej dłoni uniósł plecionkę, a w drugiej mały jak koralik detonator.

– Jeden metr bieżący tego ma siłę rażenia termicznego detonatora, ale te wstążki mają kierunkowe działanie – powiedział. – Idealny

materiał framugowy do wyważania drzwi, ale musicie uważać z ilością, jeżeli chcecie się tylko dostać do budynku, a nie zrównać go z powierzchnią gruntu. Do tego celu służą specjalne implozyjne ładunki wybuchowe.

– Macie tu coś, czym można byłoby rzucać? – zapytał Darman. – Granaty ogłuszające?

– Mamy kilka geonosjańskich sonicznych detonatorów i skrzynkę ładunków wyzwajających impulsy elektromagnetyczne do zwalczania robotów – odparł Jusik.

– To mi wystarczy – stwierdził komandos. – Biorę wszystkie.

Niner nie spuszczał z niego oczu.

– Wygląda na to, że zostaniesz naszym specjalistą od ładunków wybuchowych – powiedział wreszcie i odwrócił się do padawana. – Przeszliśmy intensywne szkolenie, proszę pana – dodał po chwili. – Może pan mieć do nas całkowite zaufanie.

Darman doszedł do wniosku, że to prawda. Zostali poddani niezwykle wyczerpującemu szkoleniu. Ćwiczyli dzień w dzień dziesięć lat, a jedyne dłuższe przerwy wykorzystywali na spanie. Wprawdzie nie przeszli próby jako drużyna do zadań specjalnych – jeżeli nie liczyć zabawy w piechurów przed trzema miesiącami – ale Darman nie wątpił, że zachowają się zgodnie z wymaganymi standardami. Cieszył się, że przypadła mu w udziale rola specjalisty od materiałów wybuchowych. Był dumny ze swojej umiejętności, zwanej taktownie szybkim przenikaniem do zamkniętych pomieszczeń i obiektów.

– Jak pan myśli, co mogło się przydarzyć mistrzowi Fulierowi, proszę pana? – zapytał padawana. Zazwyczaj nie zadawał niepotrzebnych pytań, ale Arliganowi Zeyowi chyba spodobała się jego dociekliwość podczas wcześniejszej odprawy. Darman był przyzwyczajony do spełniania życzeń zwierzchników, a zwłaszcza generałów Jedi.

Jusik otworzył pudełko z kaminoańskimi strzałkami i wyciągnął w jego stronę, jakby podawał mu tacę z ciasteczkami uj.

– Valaqlil przypuszcza, że Fulier został zdradzony przez jednego z tubylców – powiedział. – Słyszą z tego, że zrobiliby wszystko, byle

tylko zdobyć jedzenie albo kilka kredytów.

Darman zastanawiał się, jakim cudem mistrz Jedi mógłby zostać pokonany przez oddział mniejszy niż armia. Widział, jak rycerze Jedi walczyli na Geonosis. Jego sposób walki był wynikiem długiej nauki, ale ich wyglądał bardziej jak sztuka.

– Nie miał swojego świetlnego miecza? – zapytał.

– Miał – odparł Gurlanin. – Mistrz Fulier ma jednak... a raczej miał pewne kłopoty z dyscypliną.

Darman był żołnierzem i na polu walki umiał stawiać czoło wszelkim trudnościom. Najbardziej się obawiał śmierci ze starości, nie podczas pojedynku, więc na myśl o tym, że Jedi mógłby mieć jakiegokolwiek słabości, poczuł niewytłumaczalny niepokój.

– Mistrz Fulier był... jest odważnym Jedi – dodał Jusik, na chwilę niemal tracąc opanowanie. – Po prostu nie znosi niesprawiedliwości.

Niner postanowił rozładować atmosferę, a ton pewności siebie w jego głosie uspokoił Darmana.

– Proszę pana, ile czasu zajmie nam planowanie tej wyprawy i ćwiczenia? – zapytał sierżant.

– Osiem standardowych godzin – odparł bez namysłu młody Jedi.

– Bo tyle potrwa wasza podróż na Qiilurę. Startujecie natychmiast.

Etain wysypała zawartość worka na słomiany materac w stodole, która pełniła funkcję suszarni.

Niepozorny budynek służył także za pomieszczenie gościnne. O tej porze roku tubylcy nie wpuszczali do stodoł zwierząt, bo merlie lubiły ziarno barqa, a tuczenie ich nim było zbyt kosztownym sposobem hodowli. Pozwalali im jednak przebywać w budynku mieszkalnym, a w zimie nawet sypiać, żeby ogrzewały pomieszczenia i chroniły mieszkańców przed grasującymi gdanami.

W domu czuło się obecność merlie. Wykorzystywano wszystko, co było związane z ich hodowlą a zwłaszcza ciepło ich ciał czy nawet drażniący nozdrza odór.

– Odstrasza szkodniki – wyjaśnił Birhan. – To pożyteczny smród.

Etain uklękła obok materaca i jakiś czas tak trwała, starając się

wymyślić sposób wybrnięcia z trudnej sytuacji. Mistrz Fulier prawdopodobnie zginął, bo gdyby żył, na pewno by do niej powrócił. Kiedy się postarał, potrafił być błyskotliwy i utalentowany. Czasami grzeszył jednak niecierpliwością i lubił wychodzić naprzeciw problemom, którymi nie powinien się w ogóle interesować. Obie te cechy nie wróżyły najlepiej tajnej misji, którą mu powierzono.

Mistrz Fulier doszedł do wniosku, że jeden z siepaczy Hokana musi dostać nauczkę, aby zapamiętał, że ma szanować tubylców. Wystarczyło jednak, żeby jeden z poruczników Mandalorianina zaproponował tym samym tubylcom więcej kredytów, niż wynosiła cena butelki urrqala, aby wyjawili mu, gdzie i kiedy Fuliera będzie można znaleźć w mieście.

Miasto. Określanie osady tym mianem zakrawało na ponury dowcip.

Naturalnie Imbraani nie dorównywało Coruscant, i to pod żadnym względem. Jedyne budynki, wyróżniające się spośród stłoczonych domostw miejscowych farmerów, służył wszystkiemu, co wiązało się z uprawą, magazynowaniem i eksportem zborów zyskownych zbóż, a także było potrzebne dla wygody handlujących nimi nadzorców. Etain dorastała na planecie, na której można było podróżować bez ograniczeń i mieć dostęp do wszelkich informacji, ale na Qiilurze nie mogła nawet marzyć o korzystaniu z urządzeń umożliwiających odbieranie czy wysyłanie jakichkolwiek wiadomości.

Musiała wymyślić sposób, jak wydostać się z Qiilury albo przynajmniej wysłać z niej zbiór danych. Chciała wykonać do końca powierzone jej zadanie, choćby tylko po to, żeby poświęcenie mistrza Fuliera nie poszło na marne. Sięgnęła po leżącą na materacu niewielką kulę i rozłamała ją na pół niczym owoc shefna.

Między jej dłońmi rozkwitła trójwymiarowa holomapa, a po niej następna i następna. Padawanka dysponowała planami pomieszczeń sześciu pobliskich budowli Neimoidan i Separatystów, bo Fulier nie był jedyną nieostrożną osobą w okolicy. Po kilku butelkach urrqala miejscowi robotnicy budowlani przestawali zwracać uwagę na to, jakie wyjawiają informacje.

Etain nie była ani urodzoną wojowniczką ani szczególnie

uzdolnioną czarodziejką ale miała talent do wykorzystywania okazji. Starła się w ten sposób nadrabiać niedociągnięcia swojego charakteru.

Nie była pewna, czy los jej mistrza ma coś wspólnego z holograficznymi schematami ani czy Fulier został uznany za bezpośrednie zagrożenie dla doktor Uthan. Podejrzewała, że Ghez Hokan mógł pozbawić go życia po prostu dlatego, że nie lubi Jedi... zabawnych wojowników, jak ich często nazywał. Gardził każdym, kto podczas walki nie posługiwał się twardym metalem czy pięściami. Mandalorianie słynęli z zadziorności, ale pod względem brutalności Hokan nie miał sobie równych. Etain uświadomiła sobie to w chwili, kiedy ona i Fulier przechodzili przez gruzy czterozagrodowej osady, której mieszkańcy musieli w jakiś sposób mu się narazić.

Nie mogła później usunąć z pamięci widoku tych scen. Dwukrotnie każdego dnia oddawała się medytacjom, ale bezskutecznie. Uklękała i spróbowała jeszcze raz spowolnić tempo oddychania i bicia serca.

Nagle usłyszała chrzęst żwiru na ścieżce przed stodołą.

Ukryła kulę z holomapami w kieszeni tuniki i sięgnęła po spoczywającą na materacu rękojeść świetlnego miecza. Zbliżyła kciuk do włącznika na obudowie. Powinna była wyczuć, że ktoś nadchodzi, ale pozwoliła, żeby górę nad jej zmysłami wzięły zmęczenie i desperacja. Nie upewniłam się, czy istnieje stąd drugie wyjście, pomyślała. Jestem głupia, głupia, głupia. Mogłabym się stąd wymknąć...

Kiedy zbite z desek drzwi się otworzyły, przycisnęła guzik i przesycone kurzem powietrze przecięła kolumna błękitnego blasku. Do stodoły weszło merlie, ale klinga nie wywarła na zwierzęciu żadnego wrażenia. Tak samo jak na starszej, niskiej kobiecie, która weszła tuż za zwierzęciem.

– Jesteś nerwowa – stwierdziła nieznajoma. Trzymała przykrytą tacę i jakieś zawiniątko, które przyciskała łokciem do boku. Merlie trąciło nosem kolana Etain, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Porośnięte długą, falistą brązową wełną zwierzęta mierzyły metr wysokości w kłębie i były niepokojąco inteligentne, a ich okrągłe

zielone ślepie tak bardzo przypominały oczy ludzi, że Etain czuła się nieswojo. – Przyniosłam ci kolację.

– Dziękuję – odparła padawanka. Przyglądała się, jak kobieta stawia na materacu przykrytą płótnem tacę i kładzie obok niej zwinięte ubranie z brązowej tkaniny.

– Napracowałam się, zdrapując ten gnój z płaszczu – stwierdziła nieznajoma, patrząc na świetlistą klingę miecza z takim samym niesmakiem, jak poprzednio Birhan. – Wciąż jeszcze jest trochę wilgotny, ale czysty.

– Dziękuję – powtórzyła Etain. Wyłączyła energetyczne ostrze i odsunęła na bok przykrywające tacę płótno. Na jednym talerzu z chropowatej gliny zobaczyła kilka cienkochlebów, a na drugim gulaszową papkę, na której widniały całe ziarna barq. Padawanka wyraźnie czuła ich intensywną piżmową woń.

Ziarna barq były warte tyle, ile wynosił tygodniowy zarobek tych ludzi.

– Nie powinniście byli zadawać sobie dla mnie tyle trudu – powiedziała zakłopotana Etain.

– Jesteś naszym gościem – przypomniała kobieta. – Zresztą kiedy w końcu zdrapałam nawóz z twojego płaszczu, wstyd byłoby marnować ziarna, które do niego przywarły, nie uważasz?

Etain poczuła, że jej żołądek podchodzi do gardła, ale nie zmieniła wyrazu twarzy. Cóż, obowiązujące na Coruscant przepisy higieniczne pewnie nie miały zastosowania na Qiilurze.

– To bardzo miło z twojej strony – stwierdziła, uśmiechając się z przymusem.

– Zbliżają się. Wiesz o tym, prawda? – zapytała nieznajoma.

– Będę gotowa – skłamała padawanka, pokazując rękojeść świetlnego miecza.

– Nie miałam na myśli siepaczy Hokana – zastrzegła kobieta. – Wcale a wcale.

Etain już chciała poprosić o wyjaśnienia, ale postanowiła z tym poczekać. Nie miała pojęcia, z kim ma do czynienia.

Kobieta westchnęła i kilkoma niecierpliwymi gestami wypędziła merlie za drzwi.

– Zbliżają się, jestem tego pewna – powtórzyła. Uśmiechnęła się i zamknęła drzwi stodoły.



# ROZDZIAŁ

# 3

TAJNE, SPECJALNEGO PRZEZNACZENIA:

TYLKO W STANIE ZASZYFROWANYM

*Jesteście najlepsi w swoich dziedzinach... najlepsi żołnierze, tacy, saperzy, łącznościowcy i specjaliści od przeżycia. Wybrałem was osobiście, bo macie szkolić najlepszych komandosów galaktyki. Możecie dostać wszystko, czego potrzebujecie i czego zapragniecie, z wyjątkiem jednego: domu. To ściśle tajna operacja. Nie wyjawicie nikomu, dokąd lećcie, i nigdy nie opuścicie Kamino. Dla swoich przyjaciół i członków rodzin jesteście już martwi.*

— Jango Fett, kiedy osobiście werbował wybranych instruktorów komandosów, Cuy'vul Dar – po mandaloriańsku „tych, którzy już nie istnieją”

Neimoidianie lubili się pławić w niestosownym i całkowicie niepotrzebnym luksusie i właśnie z tego powodu Ghez Hokaan nimi gardził.

Olbrzymia willa Lika Ankkita wznosiła się na wierzchołku wzgórza, z którego rozciągał się widok na plantację kushayana. Nie był to dobry wybór z uwagi na kierunek wiejących najczęściej wiatrów, ale Neimoidianin postanowił prawdopodobnie udowodnić wszystkim, kto jest szefem. Miejsce mogłoby mieć znaczenie z wojskowego punktu widzenia, ale Ankkit, podobnie jak wszystkie inne istoty jego rasy, był tchórzliwym dusigroszem, więc nie musiał zaprzętać sobie głowy problemami obronności.

Tak, Neimoidianin jest di'kutem, pomyślał Hokan. Kompletnym i całkowitym di'kutem.

Wojownik wbiegł po obrzeżonych żywoplotem stopniach werandy ciągnącej się wzdłuż całego frontu willi. Przyciskał hełm ręką do ciała, a za pasem spodni miał prowokacyjnie wciśnięte karabin rozpryskowy, noże i sznurokolec.

Nie spieszył się wcale na spotkanie z pracodawcą. Zależało mu tylko na tym, żeby jego wizyta jak najszybciej dobiegła końca. Ignorując służących i lokajów, wpadł do przestronnego gabinetu Ankkita, z którego rozciągał się widok na panoramę okolicy. Władający Qiilurą nadzorca handlowy był zajęty podlewaniem kwiatów w doniczkach na parapecie. W pewnej chwili musnął któryś palcem i w powietrzu rozszedł się silny, ale przyprawiający o mdłości zapach. Neimoidianin rozkoszował się nim z rozchyłonymi ustami.

– Naprawdę wolałbym, żebyś pukał, Hokan – odezwał się, nie odwracając głowy. – Twoje zachowanie jest wysoce naganne i świadczy o braku dobrych manier.

– Wzywałeś mnie – powiedział bez jakiegokolwiek wstępu Mandalorianin.

– Chciałem zapytać, jak postępują twoje rozmowy z tamtym Jedi – odparł Ankkit.

– Gdybym poczynił jakieś postępy, na pewno bym cię o nich powiadomił – burknął Hokan.

– Mam nadzieję, że go nie zabiłeś? – zaniepokoił się Neimoidianin.  
– Powiedz mi, że tego nie zrobiłeś. Muszę wiedzieć, czy jego działalność mogłaby wywrzeć wpływ na ceny na rynku.

– Nie jestem amatorem.

– Ale trzeba sobie radzić z takimi podwładnymi, jakich się ma, prawda?

– Sam odwalam swoją brudną robotę, jeżeli o to ci chodzi – syknął wojownik. – Nie, więzień nie pisnął ani słowa. Jest dosyć... uparty jak na Jedi.

Gdyby Ankkit miał nos, prychnąłby pogardliwie. Hokan zwalczył chęć pokazania temu zarozumiałemu handlarzynie... temu sknerusowi, gdzie jest jego miejsce. Mimo wysokiego wzrostu

Neimoidianin był wrażliwy i słaby, a siłę zapewniała mu tylko wysokość konta w banku. Zamrugał pozbawionymi wyrazu, wilgotnymi czerwonymi oczami. Hokan musiał się przemóc, żeby nie zacisnąć palców na rękojeści sznurolca.

– Jedi nie odwiedzają planet takich jak ta w celach leczniczych, Hokan – stwierdził Ankkit. – Upewniłeś się, czy miał współpracę?

– Jest mistrzem Jedi. Widywano go w towarzystwie padawanki – warknął Mandalorianin.

– Mimo to chyba nie zależało mu na zachowywaniu dyskrecji, jaka przystoi mistrzowi Jedi.

Fulier nie umiał oceniać szans, bo w przeciwnym razie nigdy by nie zadarł z GarUlem w tamtej tawernie. Przynajmniej jednak był gotów stawić mu czoło, mimo wszystkich mistycznych bzdur, jakie wygadywał. Hokan podziwiał odwagę, chociaż na ogół jej nie tolerował. Odwaga była zawsze towarem deficytowym.

– Znajdziemy tę padawanę i przekonamy się, czy Fulier zebrał jakieś tajne informacje – obiecał.

– Dopilnuj tej sprawy – polecił Ankkit. – Od tego zależy pewien bardzo zyskowny kontrakt.

Hokan nauczył się trzymać nerwy na wodzy, ale nie widział powodu, żeby tym samym ograniczeniom poddawać usta.

– Jeżeli odniosę sukces, to tylko dlatego, że jestem dumny ze swojej pracy – powiedział.

– Ale zależy ci na kredytach – odciął się Neimoidianin.

– Na razie – przyznał Hokan. – Ale pewnego dnia, Ankkit, przestanę cię potrzebować.

Neimoidianin zebrał fałdy szaty i wyprostował się na całą wysokość. Jego dumna postawa nie wywarła jednak na rozmówcy żadnego wrażenia.

– Musisz się zacząć przyzwyczajać, że ty i twoi pobratymcy już nie odgrywacie tak ważnej roli w galaktyce jak niegdyś, Hokan – zaczęła. – Przestała się w niej liczyć brutalna siła, z której tak słynęli twoi wojowniczo nastawieni przodkowie. Dzisiaj potrzebujemy żołnierzy, którzy potrafią myśleć i znają się na handlu. Powinieneś już wiedzieć, że dalsze paradowanie z dumnie podniesioną głową w tym

muzealnym stroju nie przywróci twojej... chwalebnej przeszłości. Niestety, w końcu nawet sam wielki Jango Fett uznał wyższość Jedi.

Wieści rozchodziły się szybko. Fett był idolem dla garstki rozproszonych po całej galaktyce Mandalorian i jeżeli nawet walczył dla pieniędzy, uważano go za najlepszego. Ankkit musiał sobie świetnie zdawać sprawę, jak bardzo jego złośliwa uwaga zabolą rozmówcę.

Hokan jednak nie dał po sobie poznać, jakie wrażenie wywarły na nim słowa Neimoidianina. W każdym razie usiłował o tym nie pamiętać podczas przesłuchiwania Fuliera, chociaż uważał, że winę za poniżenie sławnego bohatera ponoszą wszyscy Jedi. Musiał sobie powtarzać, z jakiego powodu łamie kości schwytanego rycerza. Zemsta była niegodna zawodowca, za jakiego się uważał. Odczekał chwilę i głęboko odetchnął.

– Czy zdarzyło ci się trzymać gdany jako zwierzątko domowe, Ankkit? – zapytał. – Podobno właśnie tak postępują istoty z innych planet.

– Gdany? – zachnął się Neimoidianin. – Nie. To parszywe małe szkodniki. Bardzo dzikie.

– Ale gdybyś jakiegoś hodował w domu i kiepsko karmił, czy byłbyś zdziwiony, gdyby cię ugryzł?

– Raczej nie.

– Więc staraj się karmić mnie jak najlepiej.

Odwrócił się i nie prosząc o pozwolenie, ruszył szybko do wyjścia. Nie zamierzał zostawiać Ankkitowi czasu na odpowiedź. Włożył hełm i zbiegł po schodach absurdalnie ekstrawaganckiej willi.

Nie zdziwiłby się, nawet gdyby Ankkit postanowił wynająć całą planetę naukowcom Separatystów. Oni także nie byli dość honorowi, żeby walczyć prawdziwą bronią... wymyślali wirusy, które miały to robić za nich. To niegodne uciekać się do metod tak jawnie przeciwnych naturze.

Sięgnął do kieszeni krwistoczerwonej kurtki i zacisnął palce na cylindrze broni rycerza Jedi. Miała zaskakująco niepozorny wygląd i dawała się zdumiewająco łatwo włączać, chociaż opanowanie sztuki władania nią mogło się okazać o wiele trudniejsze. Wyjął z kieszeni

metalowy cylinder i przycisnął guzik na obudowie. Z rękocyści wyskoczyła jasna jak dzień, pomrukująca kolumna błękitnego światła. Hokan machnął ostrzem jak kosą nad starannie przystrzyżonym żywopłotem tarmul i zmniejszył jego wysokość o połowę.

Świetlny miecz nie był złą bronią dla niezaprawionych w walkach Jedi.

Hokan podejrzewał, że taki miecz nie pasuje do jego tradycyjnego mandaloriańskiego hełmu z charakterystycznym rozcięciem w kształcie litery T na wysokości oczu, ale wojownik musi się umieć przystosować.

A Fulier musiał mu odpowiedzieć na kilka pytań.

**PLATFORMA LĄDOWNICZA D-768,  
STACJA NAPOWIETRZNA BAZY ZAOPATRZENIOWEJ  
FLOTY,  
ORD MANTELL**

Na płycie lądowiska stał pochodzący z Nar Shaddaa rolniczy opylacz zbiorów, który wyglądał, jakby tylko rdza nie pozwalała mu się rozlecieć. Był, żeby użyć nieoczekiwanie dosadnego określenia Jusika, „starą balią”.

A jednak miał im pomóc wylądować na Qiilurze. Lecąc nad terenami zajętych pod uprawy, nie powinni zwracać niczyjej uwagi... chyba że podczas lotu opylacz zacznie się rozpadać na kawałki. Nie można było wykluczyć takiej ewentualności.

– No cóż, teraz już takich się nie konstruuje – stwierdził Fi.

– To dlatego, że nawet Huttański Urząd do spraw Lotnictwa nie uznałby tego narshańskiego pojemnika na odpadki za zdatną do lotu maszynę – stwierdził Niner, mając nadzieję, że ciężar plecaka jeszcze nie złamał mu kręgosłupa. Jeżeli nie liczyć wyposażonego w silniczki awaryjnego spadochronu, dźwigał prawie pięćdziesiąt kilogramów – niemal dwukrotnie więcej niż zazwyczaj. Prawdę mówiąc, nigdy nie

miał do czynienia z huttańskimi urzędnikami, ale przyswoił sobie wszystkie informacje, jakie czytał, widział albo słyszał w życiu. – A poza tym musi tylko wylądować z nami na Qiilurze.

– Zdobywa się na szlachetne poświęcenie – zauważył Jusik, który nagle stanął za ich plecami. Uśmiechnął się i powtórzył półgłosem: „Pojemnik na odpadki”. Najwyraźniej to określenie go rozbawiło. A Niner zastanawiał się, czy przypadkiem, używając tych słów, nie palnął jakiejś gafy. – Jesteście pewni, że sobie poradzicie? – zapytał padawan. – Mógłbym poprosić mistrza Zeya, żeby pozwolił mi lecieć z wami.

Niner miał ochotę parsknąć śmiechem, ale nie wypadało się śmiać z Jedi, zwłaszcza z takiego, który – jak na to wyglądało – troszczył się o los komandosów.

– I tak straciliśmy zbyt wielu oficerów na Geonosis, proszę pana – powiedział. – Was nie można hodować na zawołanie.

Jusik spuścił głowę.

– To bardzo miłe, że uważacie mnie za oficera, sierżancie – odezwał się w końcu.

– Jest pan teraz dowódcą – przypomniał Niner. – Nie zawieziemy pańskiego zaufania. Nikt nie jest lepiej niż my przygotowany do wykonania tego zadania.

– To wasze pierwsze specjalne zadanie, prawda?

– Tak jest, proszę pana.

– Czy to was nie niepokoi?

– Nie, absolutnie. Pamiętamy o OPUSA, proszę pana. Odpowiednie Przygotowanie Uniemożliwia Spie... uhm, Fiasko Akcji.

Jusik wyglądał na zamyślonego, jakby chciał zapamiętać ten skrót, ale po chwili uniósł głowę.

– To będzie prawdziwa wyprawa, sierżancie – zauważył.

Mimo wszystkich swoich umiejętności i całej mądrości Jedi wciąż jeszcze nie wiedzieli tego i owego, ale Niner nie kwapił się pouczać Jusika.

Prawdziwa wyprawa... O tak. Niner wiedział, co to znaczy prawdziwa wyprawa. Bez dwóch zdań.

Padawan Bardan Jusik na pewno nie widział Domu Śmierci na

planecie Kamino. Nigdy nie wdzierał się do budynku z krętymi korytarzami i niezliczonymi ciągami schodów. Nie miał pojęcia, ilu komandosów zginęło podczas ćwiczeń z użyciem ostrej amunicji, kiedy terroryści – czy kimkolwiek byli danego dnia ich przeciwnicy – strzelali, żeby zabić, i często im się to udawało.

Nie wiedział, co czuje komandos, leżąc plackiem cztery dni z karabinem gotowym do strzału pod osłoną kępki wątlých krzaków. Nie mógł się nawet domyślać, co to znaczy oddawać mocz w miejscu, w którym się leży, bo nie można się poruszyć, żeby nie zdradzić swojej pozycji. Nie umiał oceniać ilości ładunku wybuchowego, niezbędnego do szybkiego wdarcia się do budynku. Nie wiedział, że jeżeli ktoś w pośpiechu albo pod ostrzałem użyje zbyt wiele materiału, siła eksplozji może mu oderwać głowę. Właśnie taki los spotkał Dwa-Osiem.

Jusik nie mógł też wiedzieć, jak daleko i jak długo można nieść na plecach ранego towarzysza, kiedy zachodzi taka konieczność. Prawdopodobnie nie miał pojęcia, jak za pomocą wibroostrza i czystego kawałka przewodu paliwowego wykonać w warunkach polowych zabieg zwany tracheotomią.

To nie była wina Jusika, który miał na głowie o wiele ważniejsze sprawy. Dowódca Jedi nie miał powodu interesować się szczegółami egzystencji sklonowanego komandosa. Mimo to Niner przypuszczał, że Jusik chciałby się tego dowiedzieć, i jeszcze bardziej go za to podziwiał.

– Poradzimy sobie, proszę pana – odezwał się w końcu. – Szkoliliśmy się w warunkach bardzo zbliżonych do rzeczywistych.

Z ładowni narshańskiego opylacza usunięto zbiorniki, a ściany i przegrody wyposażono w zabezpieczające pasy i uchwyty. Całą maszynę wyłożono materiałem, dzięki któremu ładunek miał być niewidoczny dla promieni sond i skanerów.

Niner rozumiał, że czterem mężczyznom z wypchanymi plecakami i całym uzbrojeniem będzie w środku bardzo ciasno... tym bardziej że zabierali także kilka samopowtarzalnych ciężkich Masterów typu E-Web firmy BlasTech, a także – na życzenie Atina – dwa trandoshańskie karabiny udarowe LJ-50.

Sina szrama na twarzy komandosa wyglądała już jakoś mniej niepokojąco, ale miała mu pozostać do końca życia. Płyn bacta potrafił działać cuda, jeżeli się go zastosowało szybko po odniesieniu obrażenia, lecz nie likwidował zasklepionych blizn. Atin stał przed otwartym włazem z blasterem matrycowym typu APC w dłoni i z przewieszonym przez plecy karabinem DC-17. Z trudem utrzymywał równowagę pod ciężarem plecaka. Darman, który pełnił obowiązki załadunkowego, pomógł mu wejść na pokład i spojrzął na blaster.

– Tak bardzo lubisz trandoshański sprzęt? – zapytał.

To cacko radzi sobie z ochronnymi polami lepiej niż E-Web – zapewnił Atin. – A LJ-Pięćdziesiątka jest lepszą bronią wsparcia, kiedy się wdzieramy do budynków. To tak na wszelki wypadek. Republika nie zawsze dysponuje najskuteczniejszym sprzętem.

Niner zastanawiał się, czy Atin kiedykolwiek mówi o czymś innym niż sprzęt lub wyposażenie. Jego drużyna musiała być bardzo słaba, bo miała kiepskiego szkoleniowca. Na pierwszy rzut oka klony mogły wyglądać identycznie, ale kumulujący się wpływ doświadczenia i sposobu szkolenia instruktorów kształtował każdą drużynę w trochę inny sposób. Każdy batalion komandosów przyswajał sobie od niesklonowanego szkoleniowca jakąś część jego – albo jej – słownictwa i cech charakteru.

Uczymy się, pomyślał Niner. Uczymy się szybko i niestety zapamiętujemy wszystko. Nawet określenia w rodzaju „pojemnik na odpadki”.

Każda drużyna miała także własną dynamikę, wynikającą z głęboko zakorzenionych cech charakteru istot ludzkich. Jeżeli czterech mężczyzn łączyło się w grupę, rola każdego z nich i cechy charakteru prowadziły do tworzenia się hierarchii. Niner wiedział o tym. Przypuszczał, że potrafi przewidzieć w ogólnych zarysach przyszłość Fi i całkiem dokładnie przyszłość Darmana. Na razie zagadką pozostawał dla niego tylko Atin.

Fi był uzbrojony w geonosjańską pikę mocy. Zważył ją w dłoni i pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– Skąd to masz? – zainteresował się w pewnej chwili Atin.

– Pamiątka z Geonosis – odparł komandos i mrugnął



porozumiewawczo. – Szkoda byłoby, żeby się zmarnowała. – Wyciągnął rękę z bronią i obrócił pikę w powietrzu w taki sposób, że zawirowała o starannie wyliczoną szerokość dłoni przed Atinem. Komandos nie zareagował. – Nie trzeba nawet nastawiać siły rażenia, widzisz? – Pokazał. – Jest ciężka, bardzo ciężka. – Machnął nią z góry na dół, jakby kogoś rozcinał. – Łup! Po czymś takim oczy przeciwnika wypełniły się łzami.

– Chyba bym wolał nie zabierać z Geonosis jakichkolwiek pamiątek – odparł lodowatym tonem Atin. – Można powiedzieć, że widok tej piki budzi we mnie niezatarte wspomnienia.

– Hej... – zaczął Fi.

– Pogadacie sobie później – uciął szorstko sierżant. – Dajcie mi przejść, ludzie.

Niner wiedział, że będzie się musiał porządnie napracować nad Atinem. Ciekaw był, czy znajdzie coś, co wyzwoli u podwładnego wrodzoną chęć, by zostać pełnowartościowym członkiem drużyny. Zastanawiał się także, skąd wzięło się jego rzucające się w oczy negatywne nastawienie. Wcześniej czy później Atin się z tego otrząśnie, powiedział sobie. Nie będzie miał wyboru.

Oparł się o poręczny występ bakburtowej grodzi, odpiął plecak i postawił go na płytach pokładu. Pozbawiony czterdziestu kilogramów ciężaru, przecisnął się między Fi a Atinem i zajrzał do kabiny.

Za sterami siedział astromechaniczny robot typu R5. Podskakując i pogwizdując do siebie, przepompowywał paliwo ze zautomatyzowanego zbiornika do silnika. Niner pochylił się i włączył komputerowy notes do gniazda w konsolce opylacza. Chciał uzyskać potwierdzenie planu lotu, żeby móc zsynchronizować go z aktualną trajektorią statku.

R5 nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Miał przecież lecieć zaprogramowaną wcześniej trasą.

Komandosi powinni umieć improwizować, dokonywać bieżących korekt planu i wykorzystywać jak najwięcej dostępnych środków. Nie mogli także zapominać o zdobywaniu odpowiednich informacji. Te, którymi dysponowali, nie wystarczały do zaplanowania sposobu wykonania zadania, a to oznaczało, że musieli albo dowiedzieć się

więcej, albo ponieść klęskę. Niner nie chciał zawieść zaufania padawana Jusika. Wyciągnął wtyczkę komputerowego notesu z gniazda. Starając się nie potrącić Fi ani Atina, wycofał się do ładowni i stanął obok włazu.

Do wnętrza statku zajrzał Jusik.

– Od chwili startu macie zachowywać ciszę w eterze – polecił. – Do przestworzy Qiilury leci okręt szturmowy „Majestatyczny”. Pozostanie w gotowości jakiś parsek od planety, dopóki kapitan nie usłyszy waszej prośby o zabranie. Godzinę później w punkcie o współrzędnych, które podacie, wylądują nasze kanonierki.

Niner o mało nie zapytał, jak długo „Majestatyczny” pozostanie w pogotowiu. W ostatniej chwili uznał, że wyglądałoby to, jakby wątpił w umiejętności członków drużyny. A zresztą znał odpowiedź: kapitan okrętu musi poczekać, dopóki komandosi nie dostarczą na pokład pani doktor Uthan, nawet gdyby w kolejce oczekiwało kilka innych wypraw komandosów. Nie chodziło tu o zabranie z Qiilury członków Drużyny Omega.

– Nie każemy mu długo czekać – odezwał się sierżant.

– Potrzebujecie jeszcze czegoś? – zapytał Jusik. Niner pokręcił głową.

– Nie, proszę pana – powiedział.

Darman zajął miejsce z boku rampy, niczym honorowy strażnik. Czekał, aż obaj Jedi opuszczą płytę lądowiska.

– W porządku – odezwał się w końcu Jusik z wahaniem, jakby chciał już iść, ale się rozmyślił. – Mam nadzieję, że kiedy wrócicie, osobiście poinformuję was o wszystkim, co się wydarzyło podczas waszej nieobecności.

Niner doszedł do wniosku, że Jusik właśnie to miał na myśli, chociaż padawan spoglądał na niego, jakby chodziło mu o coś zupełnie innego. Nie było w tym nic dziwnego, że dowodzący oddziałem Jedi chce się zapoznać ze wszystkimi informacjami, jakie jego podwładni mogli zebrać podczas wyprawy. Kiedy Jusik odwrócił się i odszedł, do ładowni wskoczył Darman. Klapa włazu zamknęła się za nim z lekkim wstrząsem i na płyty pokładu posypały się cienkie płatki przerdzewiałego metalu.

Niech ten wrak tylko wyląduje, pomyślał Niner. To wystarczy. Włączył holoprojekcję w swoim komputerowym notesie i zaczął się przyglądać trójwymiarowej trasie lotu, wiodącej nad polami, jeziorami i lasem. Miał przed sobą prawdziwy obraz połączony z komputerową symulacją. Nałożony na istniejącą mapę obraz przedstawiał teren usytuowany trzydzieści kilometrów na północ od niewielkiego miasta o nazwie Imbraani.

Parterowy budynek ośrodka badawczego wznosił się na plantacji drzew kuwarowych. Jego dach pokrywały tandetne metalowe płyty, a trawniki wokół były absurdalnie starannie przystrzyżone. W niektórych miejscach wizerunek był rozmyty, ale zdalnie sterowany satelita szpiegowski unosił się na zbyt dużej wysokości nad planetą, aby osiągnąć większą rozdzielczość. Po okalającej budynek ścieżce poruszały się jakieś plamki. Ludzie.

– Nasze zadanie komplikuje rozkaz, żeby schwytać Uthan żywą – odezwał się Darman, spoglądając na hologram nad notesem Ninera. – Gdyby nie to, moglibyśmy zbombardować ośrodek, a kurz i pył doleciałyby aż do przestworzy Huttów.

– Właśnie w tym celu nas szkolono – stwierdził Niner. – Żebyśmy wykonywali skomplikowane zadania.

Zamknął oczy na kilka sekund, żeby wyobrazić sobie przeniknięcie na teren przeciwnika. W pierwszej kolejności zajął się etapem od startu do lądowania opylacza na Qiilurze. Przebiegał bez zakłóceń, dokładnie jak zaplanowano... a przynajmniej na tyle, ile mogły zapewnić niekompletne informacje i zdobyte podczas setek ćwiczeń doświadczenie.

Pogrążony w zadumie Niner uświadomił sobie nagle pewną prawdę. Oczami wyobraźni ujrzał twarz Jusika i jego dziwne nerwowe wzruszanie ramionami. W końcu odgadł, co padawan miał na myśli, mówiąc, że kiedy wróca, ma nadzieję osobiście poinformować ich o wszystkim, co się wydarzy podczas ich nieobecności.

Chciał im życzyć powodzenia. Chciał, żeby wrócili cali i zdrowi.

Niner, który zawsze wiedział, że wyhodowano go, aby zginął, uznał tę myśl za intrygującą.

Dorośle gdany miały długość mniej więcej trzydziestu centymetrów, a całe stado mogło zwalić z nóg nawet cielaka merlie. W nocy, kiedy zwierzęta wyłaziły z nor i polowały, farmerzy zamykali drzwi domostw i starali się nie wychodzić na pola.

Obawiali się jednak nie tyle zębów gdanów, co śmiertelnych bakterii, których nosicielami były zwierzęta. Ich ugryzienie czy choćby tylko draśnięcie zębami kończyło się niemal zawsze śmiercią ofiary. Mistrz Fulier, spiesząc z pomocą miejscowym farmerom, zużył cały zapas atomizera z płynem bacta, więc podobnie jak jej gospodarze, Etain musiała spędzać noce w stodole.

Słyszała, jak na dworze małe drapieżniki kłóć się o żer i drapią w drzwi. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na materacu, przeżuwała kęsy cienkocheba. Od dawna nie miała nic w ustach i powinna zjeść także gulasz, ale nie była aż tak głodna. Kilka bakterii tylko wzmocniła odporność twojego organizmu, pomyślała. Prawdopodobnie zdarzało ci się już jadać gorsze rzeczy. Tym razem jednak wiedziała.

Pozostawiła talerz nietknięty tam, gdzie go umieściła starsza kobieta, i zaczęła obracać w dłoniach kulę z holomapami. Zastanawiała się, w jaki sposób przesłać członkom Rady Jedi zarejestrowane tam informacje. Mogłaby porwać transportowiec... ale to niemożliwe. Przekazać dane z powierzchni planety? Też się nie da, bo wyłączną kontrolę nad wszelkimi środkami łączności sprawowali Neimoidianie, a wysłanie najkrótszego sygnału z Qiilury na Coruscant natychmiast zwróciłoby ich uwagę. Istniała też możliwość przekazania informacji w pamięci kurierskiego androida, ale szanse znalezienia takiego na Qiilurze były niemal zerowe. Poszukiwania mogły zająć tyle czasu, że informacje stałyby się nieaktualne.

Etain doszła do wniosku, że chyba będzie musiała osobiście wykonać to zadanie.

Świetlne miecze były wspaniałą bronią ale w obecnej chwili potrzebowałyby raczej armii. Pokonując wszystkie przeciwności, zdobyła w końcu cenne informacje, a wtedy uświadomiła sobie, że nie potrafi ich przesłać tam, gdzie ich potrzebują. Poczowała się zdruzgotana.

– Nie zamierzam rezygnować – powiedziała do siebie. Obawiała się jednak, że musi się poddać, przynajmniej tej nocy. Jej powieki stawały się coraz cięższe. Etain oparła łokcie na kolanach i głowę na dłoniach.

Powinna się przespać. Może rankiem przyjdzie jej do głowy lepszy pomysł. Pod przymkniętymi powiekami ujrzała obrazki z Coruscant. Posługując się wyłącznie myślami, członkowie jej klanu podawali sobie piłkę. Etain wyobraziła sobie miłą gorącą kąpiel, niezanieczyszczone przez bakterie jedzenie... Nagle drgnęła gwałtownie. Z łomoczącym sercem pomyślała, że w półśnie, przed zaśnięciem, wydało jej się, że spadała. Czasami odnosiła takie wrażenie. W obecnej chwili była jednak zupełnie rozbudzona i wiedziała, że nawet się nie zdrzemnęła.

Coś uległo subtelnej zmianie. Coś się zmieniło w Mocy... nieodwołalnie. Etain zerwała się na równe nogi, bo nagle zrozumiała, co się dzieje. Nie potrzebowała ćwiczeń ani szkolenia, żeby na to wpaść. Krzyczał o tym zakodowany w jej genach instynkt. Coś – ktoś – ubył z Mocy. – Mistrzu – szepnęła.

Dotychczas tylko podejrzewała, że jej mentor nie żyje. Obecnie nabrała pewności, że zginął, podobnie jak to, że od jego śmierci upłynęło zaledwie kilka chwil. Nie mogła się zorientować, jak i gdzie, ale wiedziała o wynajętym przez Neimoidian zbirze i jego technikach prowadzenia przesłuchań wystarczająco dużo, żeby się tego domyślić.

Ignorując wszechobecne gdany, podeszła do drzwi stodoły i szeroko je otworzyła. Czowała się bezradna, zagubiona. Nie istniało nic, co mogłaby zrobić, obecnie czy kiedykolwiek w przyszłości. Nagle coś zaszeleściło w trawie... sądząc z odgłosu, coś większego niż gdan. Dopiero wówczas Etain uświadomiła sobie, że od jakiegoś czasu nie słyszy nieustannego skrzeczenia i węszenia stada drapieżników. Zupełnie jakby zwierzęta odeszły szukać żeru w innych miejscach.

Na wszelki wypadek padawanka zacisnęła palce na rękojeści świetlnego miecza.

Nagle usłyszała głośnie skrzeczenie i łopot skrzydeł. Drgnęła przestraszona. W powietrze wzniosło się spłoszone stado skórogrzbietów, a kiedy rozpraszało się w ciemności nocy, od łusek

ptaków odbijały się jasne iskierki. Posługując się Mocą, Etain wykryła obecność małych zwierząt, pragnących zaspokoić jedynie najbardziej prymitywne potrzeby. Wyczuła także spacerującego wzdłuż płotu samca merlie. Zwierzę było uzbrojone w tak potężne kły, że nawet gdany obawiały się do niego zbliżyć.

Uniosła głowę i spojrzała w czarne niebo. Wyglądało, jakby się nie zmieniło, ale padawanka wiedziała, że to tylko pozory.

„Zbliżają się” – przypomniała sobie słowa starszej kobiety.

Wydało się jej nawet, że słyszy jej głos, ale złożyła to na karb rozpacz i niewyspania. Odwróciła się, zamknęła i starannie zaparła drzwi, po czym, powłócząc nogami, wróciła na materac.

Statek wyglądał jak jeden z pilotowanych przez robota opylaczy, które po zbiorach barqa latały ze zbiornikami wypełnionymi środkami szkodnikobójczymi i poprawiającymi właściwości gleby. Przynajmniej właśnie to ujawnił transponder narshańskiego „pojemnika na odpadki” funkcjonariuszowi Kontroli Qiilurańskiego Ruchu Powietrznego, który chyba w to uwierzył, sądząc po braku pocisku w rurze wyrzutni.

Damian wciąż zapoznawał się z udoskonaleniami, jakich dokonano w jego zbroi i pancerzu.

– Dotychczas przypuszczałem, że to ja noszę ten pancerz – mruknął. – Teraz wydaje mi się, że to on nosi mnie.

– Ta-a, wydali sporo kredytów, doskonaląc wszystko od ostatniego razu – przyznał Fi. – Jesteśmy chodzącymi systemami uzbrojenia, hm?

– Do celu dwieście kilometrów – oznajmił Atin, nie unosząc głowy znad ekranu komputerowego notesu. Ułożył hełm obok siebie w taki sposób, żeby taktyczny strumień światła z minireflektora kierował się w górę i zapewniał chociaż odrobinę jasności w ciasnej ładowni. Darman nie mógł usłyszeć jego głosu z powodu warkotu pracującego silnika atmosferycznego, ale bez problemu czytał z ruchu warg. – Miejmy nadzieję, że wszystko przebiegnie zgodnie z planem.

Powinni włożyć hełmy w odległości stu kilometrów przed celem

wyprawy. Drużyna była przygotowana zarówno na kontrolowane lądowanie i szybkie wejście do akcji, jak i na swobodny upadek w razie zestrzelenia przez oddziały naziemne Separatystów. Darman miał nadzieję, że szczęście nadal będzie im dopisywało. Mieli lądować z bardzo dużym obciążeniem, o wiele większym niż kiedykolwiek podczas szkolenia. Oznaczało to, że jeżeli chcieli uniknąć długiego i wyczerpującego marszu przez nieznaną teren, musieli wylądować dokładnie w określonym miejscu. Gdyby przyszło im skakać z wysokości, mogli otworzyć spadochrony na niewielkiej wysokości. Gdyby się jednak zdecydowali na bezpieczną powolniejszą procedurę i otworzyli spadochrony stosunkowo wysoko, musieliby pokonać w powietrzu jakieś pięćdziesiąt kilometrów.

Darmanowi nie podobało się, że tyle czasu leciałby zupełnie bezbronny.

Niner nie odrywał spojrzenia od ekranu komputerowego notesu, kołyszącego się niepewnie na jego prawym udzie. Na wysokości dłoni nad ekranem unosił się trójwymiarowy, roziskrzony hologram trasy lotu. W pewnej chwili sierżant uniósł głowę, spojrzał na Darmana i bez słowa pokazał mu odgięte w górę kciuki: „Na kursie. Wszystko w porządku”. Darman odpowiedział mu takim samym gestem.

Prawdziwą sztuką było zapakowanie plecaków na tę wyprawę, skoro czterech mężczyzn mieli dysponować siłą ognia małej armii. Darman wypchał swój plecak do granic możliwości. Pozostałe elementy uzbrojenia i materiały wybuchowe umieścił w odpornym na wstrząsy pojemniku, który sięgał do wysokości jego kolana. Kuszę – bardzo lubił tę broń – przywiązał prowizorycznie splecioną siecią do napierśnika, żeby móc trzymać oburącz DC-Siedemnastkę. Zabrał także zestaw rozmaitych detonatorów, które ze względów bezpieczeństwa trzymał z daleka od ładunków i innych materiałów na samym spodzie pojemnika. Nawet bez dodatkowego sprzętu miał do dźwigania tak duży ciężar, że trudno mu było wstać. Kilkakrotnie przećwiczył odpowiednią technikę, ale za każdym razem wkładał we wstawanie sporo wysiłku. Na szczęście drużyna miała wylądować blisko celu, więc nie powinien dźwigać ciężaru bardzo długo.

– Sto kilometrów – oznajmił w pewnej chwili Atin, wyłączając

minirefleksor. – Hełmy.

W ładowni zapanowała ciemność. Chwilę później dał się słyszeć niemal równoczesny syk czterech uszczelk. Odtąd komandosi mogli się porozumiewać ze sobą tylko na niewielkie odległości, bo gdyby po wylądowaniu na Qiilurze nastawili zasięg na więcej niż dziesięć metrów, ryzykowaliby, że zostaną wykryci. Jedynym widocznym oświetleniem była obecnie niska błękitna poświata z projekcyjnych wyświetlaczy w polu widzenia każdego komandosa. Wszyscy czterej stali w ciemności niczym grupa bezcielesnych zjaw i spoglądali na roziskrzony hologram krajobrazu, unoszący się nad ekranem komputerowego notesu Ninera. Sierżant pochylił lekko głowę, by sprawdzić, czy bieżąca pozycja rolniczego opylacza zgadza się z symulowanym wizerunkiem terenu w dole.

W pewnej chwili statek zaczął tracić wysokość, zgodnie z uprzednio zaprogramowaną trajekcją lotu. W ciągu zaledwie kilku minut wszyscy powinni się znaleźć...

Łup!

Kadłub opylacza zadygotał i po chwili warkot silnika umilkł.

Z początku Darman pomyślał, że zostali trafieni przez pocisk wystrzelony z baterii przeciwlotniczej. Niner od razu zerwał się i ruszył do kabiny. Kiedy się odwracał, niechcący potrącił Atina wylądowanym plecakiem. Darman chwycił odruchowo rękojeść dźwigni awaryjnego wjazdu, żeby otworzyć klapę i wyskoczyć.

Astromechaniczny robot błyskał światełkami i popiskiwał. Wyglądało to, jakby prowadził rozmowę z nawigacyjnym komputerem, ale statek go nie słuchał.

– Pocisk przeciwlotniczy, sierżancie? – domyślił się Darman.

– Zderzenie z miejscowym ptakiem – wyjaśnił Niner złowieszczym szeptem. Atmosferyczny silnik chyba się przysmażył.

– Czy R5 da radę lecieć dalej lotem ślizgowym i wylądować?

– Próbuje.

Pokład przechylił się i Darman musiał chwycić za krawędź najbliższej przegrody, żeby nie stracić równowagi.

– Nie, to nie jest lot ślizgowy – powiedział. – Wkrótce się roztrzaskamy o powierzchnię gruntu.



– Skaczemy – zdecydował Niner. – Natychmiast.

Narshański pojemnik na odpadki ich nie zawiódł. Po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu przestrzeni powietrznej o nieodpowiedniej porze i zderzył się z miejscowym okazem latającej fauny. Komandosów czekało takie lądowanie, jakiego nie pozwoliłby im przeżyć nawet najnowszy model pancerza typu Katarn.

Kiedy Darman odstrzelił klapę wjazdu, wraz z podmuchem powietrza wpadły do ładowni drobiny kurzu i jakieś szczątki. Klapa wyleciała na zewnątrz i natychmiast zniknęła. Panowały kompletne ciemności. Podobne warunki stanowiły nie lada wyzwanie dla wszystkich swobodnie opadających obiektów, nawet tych wyposażonych w czujniki wrażliwe na podczerwień. Drugi raz w życiu Darman zaczął mieć wątpliwości. Czyżby miał się stać jednym z godnych potępienia stworzeń, które szkolący ich sierżant określał mianem tchórzów.

– Naprzód, naprzód, naprzód! – wrzasnął Niner. Fi i Atin precyzyjnie się przez otwór wjazdu i wyszli na zewnątrz. „Nie starajcie się skakać. Po prostu wypadnijcie”.

Darman cofnął się, żeby zrobić miejsce sierżantowi, bo chciał zabrać tyle sprzętu, ile da radę udźwignąć. Bardzo przydałyby się im samopowtarzalne blastery. Chwycił kilka elementów rozłożonego na części E-Weba.

– Wyskakuj! – rozkazał Niner. – Natychmiast.

– Musimy zabrać sprzęt. – Komandos wyciągnął ku niemu dwa elementy. – Weź te, a ja...

– Powiedziałem: wyskakuj.

Darman nie miał zwyczaju robić niczego w pośpiechu. Nie przywykł do tego zresztą żaden komandos. Wszyscy podejmowali starannie obliczone ryzyko, więc istniało prawdopodobieństwo, że Niner nie opuści podwładnego. Sierżant stał w otworze wjazdu i władczo wyciągniętą ręką wskazywał ciemność na zewnątrz, co jednoznacznie oznaczało, że Darman powinien usłuchać i wyskoczyć. Tyle że komandos także się zdecydował. Skoczył naprzód, uderzył barkiem Ninera i wypchnął go z ładowni, ale chwycił framugę, żeby nie wylecieć za nim. Usłyszał cichnącą litanie przekleństw i

uświadomił sobie, że Niner wcale się nie spodziewał takiego zachowania podwładnego, a już na pewno nie był nim zachwycony. Sekundę później z ładowni wyleciał przywiązany do sierżanta dodatkowy pakunek. Do uszu Darmana doleciało jeszcze ostatnie przekleństwo, a potem Niner znalazł się zbyt daleko, żeby go usłyszeć.

Nie puszczając framugi, komandos wychylił się i spojrzął w dół, ale nie zobaczył opadającego przełożonego, co oznaczało, że prawdopodobnie nikt inny także go nie zauważył. Darman miał najwyżej minutę, może mniej, żeby zabrać, co się da i wyskoczyć, zanim uszkodzony opylacz roztrzaska się o powierzchnię gruntu.

Włączył minireflektor w hełmie. Nie miał czasu wsłuchiwać się w świst wiatru ani zastanawiać nad brakiem kojącego warkotu silnika, ale uświadamiał sobie jedno i drugie. Położył kuszę na pokładzie i zaczął związywać liną elementy rozłożonego Mastera. Czuł się paskudnie, bo lubił kuszę, ale musiał ją zostawić, bo blasterowe działka były bardziej potrzebne komandosom do wykonania zadania.

Zawiązywanie węzłów opancerzonymi rękawicami szło mu nieporadnie, ale jeszcze trudniej było znieść myśl, że do katastrofy zostało najwyżej kilkanaście sekund. W pewnej chwili źle zawiązany węzeł się rozplatał. Darman zaklął. Jeszcze raz owinał liną element broni i tym razem zawiązał węzeł prawidłowo. Westchnął z ulgą co zabrzmiało jak szloch. Rzucił element na pokład i pociągnął związany pakunek w stronę włazu. Z tej odległości na pewno nikt go nie słyszał, a komandos nie przejmował się, co może pomyśleć robot.

Staął na progu włazu i po prostu dał krok w ciemną nicość. Ułamek sekundy później poczuł, że chwyta go poryw wiatru.

Z początku nie widział w dole spieszącego na spotkanie z nim terenu, który odwracałby jego uwagę od projekcyjnego wyświetlacza w polu widzenia. Ciągnąc ciężki pakunek ze zwiazanymi elementami blastera, opadał swobodnie z prędkością bliską dwustu kilometrom na godzinę. Przyjął prawidłową pozycję, poprawił plecak i przesunął karabin na prawą stronę. Upewnił się jeszcze, czy pojemnik z resztą sprzętu trzyma się za nim. Planował otworzenie spadochronu na wysokości ośmiuset metrów i uwolnienie pojemnika. Zamierzał także

posłużyć się silniczkami manewrowymi, które mogły ocalić go od przygniecenia przez potencjalnie śmiertelny ciężar opadającego bezwładnie działka. Doskonale wiedział, co robi. Mimo to był przerażony. Nigdy podczas ćwiczeń nie skakał z tak dużej wysokości, mając tyle niezabezpieczonego ładunku.

Kiedy spadochron w końcu się otworzył, Darman doznał uczucia, jakby zderzył się z murem. Silniczki się włączyły i otaczające skoczka powietrze szybko się ogrzało. Komandos mógł obecnie wykonywać manewry podczas lotu. Licząc w myśli, odczekał piętnaście sekund.

W dole, daleko po prawej, zobaczył jaskrawy błysk i domyślił się, że narshański opylacz roztrzaskał się w końcu o powierzchnię Qiilury – mniej więcej trzydzieści kilometrów przed planowanym celem podróży.

Darman przypomniał sobie, że nie miał nic przeciwko pozostawieniu robota typu R5 na pokładzie skazanego na zagładę statku. Automat był przeznaczony na straty.

A jeśli inni w taki sam sposób traktują sklonowanych komandosów? Zaskakująco łatwo można było ich uznać za coś, co dawało się spisać na straty.

W końcu dostrzegł powierzchnię planety w dole. Wrażliwe na podczerwień czujniki hełmu pokazywały wierzchołki drzew... prosto pod nim.

Nie, nie, nie, pomyślał z narastającym przerażeniem.

Starł się wyminąć, ale nadaremnie.

Jeszcze podczas lotu zderzył się z czymś... bardzo mocno. Później przestał cokolwiek odczuwać.

# ROZDZIAŁ

# 4

*To prawdziwa sztuka, która ma związek z genetyczną selekcją i manipulacją. Człowiek jest z natury rzeczą istotą żadną wiedzy, ale czasami bywa także porywczy samolubny, lubieżny i niezdyscyplinowany. A zatem musimy balansować na cienkiej jak nić granicy między tłumieniem czynników wiodących do nieposłuszeństwa a zaprzepaszczeniem bezcennej umiejętności robienia użytku z inteligencji i agresji.*

— Hali Ke, starszy genetyk planety Kamino

Spadochron włókł Ninera po gruncie, gdy nagle poderwała go w powietrze siła bliskiej eksplozji. W mroczne niebo nad wierzchołkami drzew wystrzeliła kolumna dymu i ognia. Komandos wiedział, że jest gorąca i bardzo jasna, bo włączył się filtr przesłony jego hełmu, żeby system widzenia w ciemności nie uległ przeciążeniu.

Spodziewał się tego, ale coś ścisnęło jego serce. Prawdopodobnie Darman nie przeżył. Zlekceważył jego rozkaz i nie wyskoczył.

Może więc straciłem brata, powiedział sobie dowódca. A może nie. Tak czy owak stracę następnych dwóch, jeżeli nie wezmę się szybko w garść i nie przystąpię do działania.

Zarejestrował miejsce eksplozji i zaczął zwijać spadochron, ale zanim go zakopał, poodcinał wszystkie linki. Siła potrzebna do rozerwania każdej przekraczała pięćset kilogramów, więc nawet kawałki mogły mu się jeszcze kiedyś przydać. Zwinął linki w ósemki

wokół kciuka i małego palca, wsunął zwitki do saszetki u pasa i zaczął szukać dodatkowego pakunku.

Nie wylądował daleko od niego. Otwieranie spadochronu na niewielkiej wysokości miało zalety, jeżeli komuś zależało na dokładności. Niner znalazł pakunek na skraju pola. Wokół roiło się od porośniętych ciemną sierścią małych zwierząt, które z podziwu godnym uporem szarpały wystający z boku paczki pasek miękkiej wyściółki. Niner zapalił minireflektor w hełmie, żeby je odstraszyć, ale zwierzęta tylko łypnęły na promień, gniewnie zaskrzeczały i podbiegły bliżej.

Komandos nie przejął się specjalnie, chociaż poczuł się nieswojo. Widział, jak ostre zęby zwierzaków bezskutecznie ześlizgują się po jego pancerzu. Nie ruszał się i obserwował stworzenia. Przesuwające się przed jego oczami informacje powiedziały mu, że ma do czynienia z gdanami, których nie uznano za nieprzyjazne formy obcego życia. Był całkowicie uzależniony od informacji wpisanych do jego bazy danych... i tych, które miał sam uzupełnić. Jeżeli nie liczyć Kaminoan i paru instruktorów, wszystkie obce istoty, z jakimi miał do czynienia, oglądał na Geonosis przez lunetę blastera.

Po jakiejś minucie wszystkie gdany oprócz jednego uznały, że komandos nie nadaje się do jedzenia, i zniknęły w sięgającym pasa zbożu. Ostatni, który został, szarpał z zapalem jego lewy but, jakby chciał dowieść swej wytrwałości, bo chyba nie inteligencji. Niner wiedział, że obuwie jest odporne praktycznie na wszystko, począwszy od idealnej próżni, poprzez żrące kwasy, a skończywszy na stopionym metalu. Wyglądało, jakby zwierzątko nie zniechęcało się równie łatwo jak pozostałe.

Damian na pewno uznałby ten fakt za fascynujący. Jaka szkoda, że go stracili. Miał wszelkie zadatki na dobrego towarzysza broni.

– Oduść sobie – odezwał się w końcu Niner, trącając gdana kolbą blasterowego karabinu. – Mam do wykonania zadanie. Zmiataj.

Nie rozwierając zaciśniętych na klamrze buta szczęk, zwierzątko uniosło łeb i spojrzało na niego... a przynajmniej w stronę jego twarzy. W rzeczywistości mogło widzieć tylko jasnyniebieskie światło. W końcu puściło but i odeszło w stronę pola. Zanim zniknęło zwinie

w jakiejś norze, przystanęło i jeszcze raz spojrzęło na niego.

Niner wyjął komputerowy notes, żeby określić swoją pozycję. Nie miał odbiornika systemu satelitarnej nawigacji, z którego mógłby skorzystać bez obawy wykrycia przez Neimoidian, ale przynajmniej mógł określić odległość od ostatniej zarejestrowanej pozycji opylacza, dopasowując szczegóły rzeźby terenu do holo-mapy. Takie czynności określano mianem staroświeckiej wojaczki. Niner bardzo to lubił. Musiał nauczyć się działać bez pomocy wytworów zaawansowanej techniki, nawet jeżeli oznaczało to konieczność posługiwania się wyłącznie trandoszańskim nożem.

„Jeżeli zadasz wrogowi cios w serce, nadal będzie uciekał. Kiedyś widziałem, jak jakiś mężczyzna, wrzeszcząc wniebogłosy, przebiegł w ten sposób sto metrów. Staraj się poderżnąć gardło przeciwnikowi, o tak”. Sierżant Skirata poświęcił wiele czasu, ucząc ich posługiwania się nożami. „Staraj się zadać cios jak najsilniej, synu”.

Mimo to wytwory techniki także się przydawały. W obecnej sytuacji bardzo by im pomógł raketowy skuter, ale komandosi nie przypuszczali, że może im być potrzebny. Mieli przecież wylądować zaledwie pięć kilometrów przed zaplanowanym celem.

Nic nie szkodzi, pomyślał Niner. I bez skutera będę się bardzo rzucał w oczy. Duży ciężar na pewno nie pozwoli mi szybko dotrzeć do ustalonego zawczasu miejsca spotkania, ale wcześniej czy później tam się znajdę. Gdyby Fi i Atin bezpiecznie wylądowali, także mieli się kierować do tak zwanego punktu zbornego Alfa.

Zaczął tammbować, co oznaczało po prostu, że ruszył w drogę. Starał się utrzymywać tempo dziesięciu kilometrów na godzinę, zostawiać jak najmniej śladów i unikać terenów odsłoniętych. Postanowił pociągnąć dodatkowy pakunek na linach niczym sanie. Taktyczny marsz na miejsce bitwy – tak zwany tammbing, jak nazywał go Skirata – oznaczał pokonywanie terenu w tempie od sześciu do ośmiu kilometrów na godzinę z obciążeniem dwudziestu pięciu kilogramów. „Ale takie wymagania stawia się zwyczajnym żołnierzom – miał zwyczaj mawiać ich instruktor, jakby niesklonowane osoby były kimś gorszym niż ludzie. – Jesteście sklonowanymi komandosami. Od was wymaga się więcej, bo jesteście

lepsi".

Niner ciągnął prawie trzykrotnie większy ładunek, ale wcale nie czuł się przez to lepszy. Postanowił, że po powrocie umieści na liście niezbędnego sprzętu przenośny repulsor.

Księżyc Qiilury stał w nowiu i komandos był za to wdzięczny losowi, bo w jasnoszarym pancerzu odcinałby się od ciemnego tła. Ciekaw był, dlaczego nie pomyśleli o tym najwyżsi stopniem dowódcy. Usunął z myśli krytyczną opinię o przełożonych i doszedł do wniosku, że musi istnieć czynnik, o którym wiedzieli, ale nie uznali za stosowne mu o tym powiedzieć. Musiał tylko wykonywać rozkazy.

Mimo to skręcił w kierunku widocznej na holomapie wąskiej rzeki i na brzegu starannie wysmarował pancerz i sprzęt czarnym błotem. Nie było sensu niepotrzebnie ryzykować.

Kiedy od PZ Alfa dzieliło go czterysta metrów, zwolnił, ale nie dlatego, że było mu za ciężko. Musiał po prostu podchodzić jak najciszej. Ukrył głęboko w gąszczu ciągnięty pakunek i zarejestrował współrzędne kryjówek, żeby ją później szybko znaleźć. Fi i Atin mogli być śledzeni, mogli też w ogóle nie dotrzeć na umówione miejsce spotkania. Zawsze należało się liczyć z możliwością zasadzki. Nie, Niner nie zamierzał niepotrzebnie ryzykować.

Dwieście metrów przed celem zaczął się czołgać w trawie.

Obaj pozostali komandosi byli jednak na miejscu spotkania... sami, cali i zdrowi.

W pewnej chwili Niner spojrzał w promień z minireflektora hełmu Fi. Wiedział, że strumień podczerwieni systemu celowniczego karabinu komandosa kieruje się w miejsce między jego maską filtracyjną a górną krawędzią napierśnika pancerza. Miejsce było bardzo wrażliwe, pod warunkiem że przeciwnik znajdzie się bardzo blisko i posłuży pociskami właściwego kalibru. Mało który nieprzyjaciel potrafił podejść tak blisko do sklonowanego komandosa.

– Zaskoczyłeś mnie, sierżancie – odezwał się Fi, unosząc lufę blastera i zerkając na dowódcę drużyny. Zgasił reflektor i wskazał swój napierśnik. – Wpadliśmy na ten sam pomysł, co? – zapytał.

Pancerz Fi także nie był już nieskazitelnie czysty. Niner nie miał

pojęcia, czym podwładny go wysmarował, w każdym razie nie odróżniał się od otoczenia. Prawdopodobnie wszystkim przyszła do głowy taka sama myśl, bo także zbroja Atina była ciemna i matowa.

– Kształt, odbłask, cień, sylwetka, zapach, dźwięk i ruch... – odezwał się Niner, recytując reguły podstaw kamuflażu. Gdyby nie brak Darmana, uznaliby sytuację za zabawną. A tak... trzeba było robić dobrą minę do złej gry. – Jaka szkoda, że nie wymyślili słów, które zaczynałyby się na tę samą literę.

– Ja bym to potrafił – oznajmił Atin. – Są jakieś wiadomości od Darmana?

Znajdowali się czterdzieści kilometrów od miejsca, w którym wylądował Niner.

– Widziałem eksplozję – odparł sierżant. – Darman miał wyskoczyć ostatni.

– A zatem widziałeś, jak wyskakiwał?

– Nie. Chciał zabrać tyle sprzętu i materiałów wybuchowych, ile da radę udźwignąć. – Niner odczuwał potrzebę udzielenia wyjaśnień podwładnym. – Wypchnął mnie pierwszego przez otwór włazu. Nie powinienem był na to pozwolić, ale to nie ja go opuściłem.

Atin wzruszył ramionami.

– Więc jak wygląda nasza sytuacja? – zapytał ponuro.

– Brakuje nam jednego brata – odparł Niner.

– Miałem na myśli środki – uściślił komandos. – Darman miał większość naszych ładunków i materiałów wybuchowych.

Wiem, że o to ci chodziło, ale nie chcę teraz o tym mówić – uciął dowódca. Skoro on odczuwał niepokój, a może nawet smutek z powodu Darmana, dlaczego Atin nic nie czuł? Pomyślał jednak, że to nie najlepszy czas na rozpoczynanie kłótni. Musieli trzymać się razem i wykonać we trzech zadanie, które zaczęli we czterech. Ich szanse powodzenia już obecnie bardzo zmalały. – Nadal jesteśmy drużyną. Przywyknijcie do tej myśli.

Do rozmowy przyłączył się Fi. Wszystko wskazywało, że ma talent do łagodzenia konfliktowych sytuacji.

– Tak czy owak nasz sprzęt jest sprawny – zauważył. – Jeżeli będzie trzeba, nadal możemy przetrzepać wrogom skórę.



Czy wystarczy im sprzętu, żeby wykonać to zadanie? Mieli zarejestrowane z bardzo dużej wysokości przez bezzałogowego satelitę szpiegowskiego wizerunki budynku, w którym mieścił się ośrodek badawczy doktor Uthan, ale na razie nie wiedzieli, czyjego ściany są wykonane z otynkowanych cegieł, czy też może wyłożone płytami z odpornego na wstrząsy stopu. Budynek mogło strzec trzydziestu kilku strażników, których zarejestrowały kamery satelity, ale równie dobrze w podziemnych koszarach mogły stacjonować setki innych. Jeżeli komandosi nie zdobędą dokładniejszych informacji, trudno będzie ustalić, ile sprzętu potrzeba do wykonania zadania.

Wyglądało na to, że jeżeli chcą odnieść sukces, będą musieli użyć go mnóstwo. M jak mnóstwo. Niner lubił mieć pewność.

– Ile czasu możemy poświęcić na poszukiwania Darmana? – zainteresował się Atin. – Do tej pory nieprzyjaciele na pewno się zorientowali, że mają towarzystwo. Nie można powiedzieć, żeby to było ciche lądowanie.

– SPO – przypomniał Niner. Standardowe Procedury Operacyjne w takich sytuacjach. Zestaw reguł, którymi powinni się kierować sklonowani komandosi. – Będziemy docierali do każdego punktu zbornego o zawczasu ustalonej porze, a jeżeli Darman się tam nie zjawi, wrócimy na miejsce katastrofy i przekonamy się, co tam znajdziemy. Dopiero wówczas podejmiemy decyzję, czy uznajemy go za zaginionego, czy nie.

Fi spojrzał na Atina.

– Na pewno chciałbyś, żebyśmy cię szukali, gdyby to o ciebie chodziło – powiedział. – Darman nie zgłosi się sam przez komunikator. Nie na tę odległość. To byłoby zbyt ryzykowne.

– Wcale bym nie oczekiwał, że przeze mnie narazicie na szwank powodzenie wyprawy – odparł wyraźnie urażony Atin.

– Na miłość fiefeka, ten człowiek jest tam sam – przypomniał Fi. – Sam jak palec.

– Zamknijcie się wszyscy, dobrze? – burknął Niner. Komunikatory o ultrakrótkim zasięgu miały tę zaletę, że można było się kłócić, a nikt, nawet w pobliżu, niczego by nie usłyszał. – Odszukanie go jest nie tylko naszym obowiązkiem, ale także ma sens. Jeśli określacie

prawdopodobne miejsce jego lądowania, może znajdziemy jego sprzęt. Zgoda?

– Rozkaz, sierżancie – odparł Fi.

– Jasna sprawa – dodał Atin. – Wcześniej czy później będziemy jednak musieli pogodzić się z tym, że Darman nie żyje.

– Jeżeli nie znajdziemy jego zwłok, nie licz na to... chyba że zamarnie Geonosis – stwierdził Niner. Wciąż jeszcze był zły, chociaż nie miał pojęcia dlaczego. – A dopóki go nie znajdziemy, będziemy robić wszystko, żeby go odszukać... pod warunkiem że nie ucierpi na tym dobro wyprawy. A teraz postarajmy się umieścić nasz bagaż na prętach, płozach czy czymś w tym rodzaju. Jeżeli nie wymyślimy lepszego sposobu transportowania naszego sprzętu, nie damy rady pokonywać terenu w tempie dziesięciu kilometrów na godzinę.

Niner nastawił komunikator hełmu na odbiór dalekosiężnych sygnałów, bo prowadzenie nasłuchu nie wiązało się z żadnym ryzykiem. Jeżeli Darman żył, nie zamierzał go pozostawiać na pastwę losu.

Tej polany jeszcze dzień wcześniej tam nie było.

Etain przedzierała się między powalonymi młodymi drzewkami kuvarowego sadu, podążając śladami Birhana. Dotarli w końcu do kręgu poczerniałych kikutów pni. W powietrzu unosiła się woń dymu i prażonego barqa.

Farmer klął jak najęty. Padawanka nie знаła wprawdzie qiilurańskiego, ale potrafiła rozpoznać przekleństwa, kiedy je słyszała.

– To znów twoi kumple – zarzucił jej Birhan. Przyłożył dłoń do czoła, żeby osłonić oczy przed promieniami wschodzącego słońca, i powiódł spojrzeniem po swoim polu. Z nadejściem dnia oboje mogli ocenić przez nocną eksplozję bezmiar zniszczeń. – Co ja mam teraz zrobić? Co stanie się z naszym kontraktem?

Pytanie było czysto retoryczne. Neimoidianie nie mieli zwyczaju współczuć farmerom z powodu nieustannie zagrażających ich niepewnej egzystencji klęsk żywiołowych... tym bardziej że w tym przypadku nie chodziło o klęskę żywiołową.

Eksplozja obejmowała teren o średnicy mniej więcej pięciuset metrów, a widoczny pośrodku krater mógł mieć promień dwudziestu pięciu, może nawet trzydziestu metrów. Etain nie miała pojęcia, jak jest głęboki. Na skraju leja stali z blasterami w dłoni Trandoshanin i Ubezjanin. Wpatrywali się w krater, jakby czegoś szukali w miękkim gruncie. Nie zwrócili w ogóle uwagi na nią ani na Birhana. Widocznie padawanka wyglądała wystarczająco nędznie, żeby uchodzić za dziewczynę z miejscowej farmy.

Prawdopodobnie było za późno, aby spróbować ich przekonać, że krater powstał w wyniku upadku meteorytu, zwłaszcza że Etain na razie nie wiedziała więcej niż oni.

– Dlaczego przypuszczasz, że to byli moi „kumple”? – zapytała.

– To chyba oczywiste – odparł cierpko Birhan. – Widziałem wiele katastrof śmigaczy, frachtowców i opylaczy. Nie pozostawiają takich lejów. Rozpadają się na kawałki i płoną ale nie zdarza się, żeby wysadziły w powietrze połowy okolicy. To musiał być statek spoza planety. I to wojskowy. – Kopnął kępkę zwęglonych i szerniałych źdźbeł zboża. – Nie możecie sobie walczyć na innej planecie? Nie wydaje się wam, że mam dość innych zmartwień na głowie?

Etain zastanawiała się, czy przypadkiem farmer nie zamierza jej wydać siepaczom Hokana za kilka kredytów, żeby powetować sobie stratę cennego zboża. Już i tak zadał sobie sporo trudu, żeby miała co jeść, chociaż pieniądze, na które tak liczył, poszły z dymem razem ze sporą częścią zbiorów. Padawanka pomyślała, że najwyższa pora znaleźć sobie następne miejsce na kryjówkę i opracować inny plan wysłania informacji z Qiilury.

Wciąż jeszcze przyglądała się pogorzeliśku, kiedy Ubezjanin i Trandoshanin wyprostowali się nagle, odwrócili i pospiesznie odeszli w kierunku biegnącej skrajem pola gruntowej drogi. Ubezjanin przyciskał dłoń do boku hełmu, jakby czegoś nasłuchiwał – prawdopodobnie rozkazów wydawanych przez komunikator. Ktokolwiek je wydawał, wiadomość musiała być wystarczająco pilna, żeby zmusić obu do pośpiechu. To by potwierdzało, że nie chodzi tu tylko o jeden z narshańskich opylaczy, które rzeczywiście dosyć często ulegały katastrofom.

Etain odczekała jeszcze chwilę i podeszła do skraju jamy, żeby zobaczyć, co takiego przyciągnęło uwagę siepaczy Hokana.

To musiała być potężna eksplozja. Ściany poczerńałego krateru były niemal gładkie, a okolice zaścielały różne szczątki. Jak na tak mały statek siła eksplozji była rzeczywiście potężna.

Padawanka zostawiła Birhana na skraju leja i ruszyła powoli po obwodzie. Przyglądała się uważnie powierzchni gruntu, podobnie jak przedtem robili to podwładni Hokana. Nie miała pojęcia, czego wypatruje, ale kiedy znalazła się w pobliżu kuwarowego sadu, w końcu coś zobaczyła.

Pierwsze promienie słońca odbijały się od błyszczącej krawędzi metalu, który siła eksplozji wbiła głęboko w miękki grunt. Starając się nie zwracać na siebie uwagi, Etain kucnęła i zaczęła palcami odgarniać glebę. Po kilku minutach odsłoniła wystarczająco duży fragment zagrzebanego przedmiotu, żeby rozpoznać jego kształt, ale dopiero kiedy zobaczyła zwęglony lakier, domyśliła się, dlaczego przedmiot wydaje się jej znajomy. Miała przed sobą zniekształcony i rozdarty metalowy fragment, ale była zupełnie pewna, że już kiedyś coś takiego widziała.

To była płyta z korpusu astromechanicznego robota typu R5. Sądząc po kolorze lakieru, automat stanowił własność Republiki.

„Zbliżają się”.

Kimkolwiek byli, Etain miała nadzieję, że wyszli cało z katastrofy.

Darman wiedział, że pokonując teren w dzień, bardzo ryzykuje. Jego sytuacji nie poprawiała także prawa noga, która reagowała silnym bólem, ilekroć usiłował powierzyć jej chociaż część ciężaru ciała i plecaka.

Zmagając się z bólem, dwie godziny wygrzebywał płytki dołek w gąszczu krzaków mniej więcej sto metrów od czegoś w rodzaju polnej drogi. Tempo jego pracy spowalniały korzenie i kamienie, a także siniaki i skaleczenia – skutek obijania się o gałęzie i konary podczas lądowania. W końcu jednak ułożył się na brzuchu w zagłębieniu pod zwisającymi gałęziami i zajął się obserwowaniem polnej drogi.

Posługiwał się lunetą karabinu albo opuszczanym panelem elektrolornetki w przesłonie hełmu.

Dobrze chociaż, że zwierzęta, które nie dawały mu spokoju całą noc, w końcu sobie poszły. Darman dawno zrezygnował z prób ich odpędzenia. Najpierw usiłowały nadgryźć jego pancerz, ale później zostawiły go w spokoju i tylko obserwowały z pewnej odległości. Na szczęście z nadejściem dnia zniknęły ostatnie błyszczące ślepia, śledzące go z gęstego poszycia.

Darman nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Nie mógł korzystać z sieci lokalizacji satelitarnej w obawie, że zostanie wykryty. Jeżeli chciał porównać charakterystyczne cechy terenu z holomapa, musiał wyjść z ukrycia, żeby się rozejrzeć.

Wiedział, że leży zwrócony głową na północ, bo wbił w miękką glebę cienką gałąź i ułożył wokół niej łuk niewielkich kamyków, który odwzorowywał ruch słońca po niebie. Dzięki temu mógł narysować linię biegnącą ze wschodu na zachód. Jeżeli jego komputerowy notes prawidłowo obliczył prędkość i odległość, Darman znajdował się od czterdziestu do pięćdziesięciu kilometrów na północny wschód od pierwszego punktu zbornego. Zważywszy na dodatkowy ciężar i bolącą nogę, nie zdążyłby pokonać pieszo tej odległości tak, aby zdążyć na umówiony termin spotkania. W dodatku, ciągnąc pojemnik, wyryłby w glebie wyraźnie widoczną linię, zapraszającą wrogów: podążajcie za mną.

Odwrócił się na plecy, usunął płytki pancerza osłaniającego prawą nogę i rozpiął nogawkę kombinezonu do wysokości kolana. Prawdopodobnie powyżej stawu miał naderwany mięsień albo ścięgno. Ponownie nasączył prowizoryczny bandaż płynem bacta, zapiął nogawkę kombinezonu, umieścił płytki pancerza na poprzednim miejscu i ułożył się na brzuchu.

Doszedł do wniosku, że powinien coś zjeść, ale postanowił jeszcze trochę z tym poczekać.

Ponownie zaczął obserwować polną drogę przez nitki krzyża celowniczego elektromagnetycznej lunety swojego DC-17. Kiedy pierwszy raz włożył hełm z migoczącym przed oczami wyświetlaczem, poczuł się przytłoczony i zdezorientowany z powodu

natłoku symboli w polu widzenia. Obraz oglądany przez lunetę karabinu był jeszcze bardziej chaotyczny. Światła, światła, światła... Darman czuł się tak, jakby wyglądał w nocy przez okna Tipoca City, mając za plecami zapalone lampy i odbijające światło ściany refektarza. Widział tyle pomieszanych obrazów, że nie potrafił skupić spojrzenia na tym, co znajdowało się poza odpornymi na wichury szybami.

Po jakimś czasie jednak się przyzwyczaił. I to szybciej niż myślał. Przełomową chwilą był poranek, kiedy wszyscy członkowie Drużyn Kilo i Delta pierwszy raz korzystali z projekcyjnych wyświetlaczy w polu widzenia komandosów podczas szkolenia z użyciem ostrej amunicji. Ci, którzy nie przywykli do nich wystarczająco szybko, po prostu nie wrócili z tych ćwiczeń. Darman nauczył się widzieć, a równocześnie nie widzieć. Nieustannie uświadamiał sobie stan wszystkich wyświetlaczy, które mówiły mu, kiedy jego systemy uzbrojenia się ładują czy pancerz nie uległ rozszczelnieniu i co dzieje się wokół niego.

Na razie koncentrował się wyłącznie na patrzeniu w głąb tunelu, okolonego segmentami kojącego niebieskiego koloru. Podświetlony obszar pojawiał się, ilekroć zapanowały optymalne warunki do oddania strzału. Wyświetlacz pokazywał także informacje dotyczące odległości, parametrów otoczenia i zestawu innych opcji. Darman mógł z nich korzystać nawet podświadomie. Widział tylko cel.

Nagle usłyszał jakieś dźwięki i automatycznie napiął mięśnie. Rozpoznał czyjeś głosy. Rozmawiający zbliżali się do niego z prawej strony, ale po chwili przystanęli.

Leżał absolutnie nieruchomo. Wkrótce głosy zaczęły się znów zbliżać i w polu widzenia pojawili się dwaj Weequayowie. Szli bardzo wolno, co zdecydowanie nie podobało się Damianowi, i z niezwykle uważną przyglądali się poboczom polnej drogi. W pewnej chwili jeden przystanął i wbił spojrzenie w grunt. Sądząc po gwałtownych ruchach rąk, był podniecony.

Chwilę później ten sam Weequay uniósł głowę, wyciągnął blasterowy pistolet i ruszył w stronę kryjówki komandosa.

W żadnym razie nie mógł mnie dostrzec, pomyślał Darman.

Wykonałem kryjówkę i zamaskowałem ją zgodnie z instrukcjami. Zatroszczyłem się o wszystko. Nie ma żadnych odbić światła, żadnego ruchu, żadnych zapachów... niczego.

Mimo to Weequay szedł dalej prosto w kierunku kępy krzaków. Znieruchomiał dopiero dziesięć metrów od Darmana i zaczął się rozglądać, jakby zgubił ślad. Wkrótce jednak podjął wędrówkę na nowo.

Darman niemal wstrzymał oddech. Jego hełm tłumił wszystkie dźwięki, ale komandos wcale nie miał takiego wrażenia. W końcu Weequay podszedł tak blisko, że Darman wyczuł charakterystyczną woń jego potu i zdołał dostrzec szczegóły obróbki mechanicznej hadriumowej lufy pistoletu typu KYD-21. Zauważył, że przeciwnik trzyma w drugiej dłoni wibroostrze. W obecnej chwili komandos nie potrafiłby nawet przełknąć śliny.

Nie ma nic złego w tym, że się boisz, powiedział sobie. Weequay odszedł w bok i nachylił się, wypatrując czegoś na wysokości pasa. Zupełnie jakby szukał dysku na półce w bibliotece. Nie ma nic złego w tym, że się boisz, pod warunkiem że... Weequay wrócił i przystanął dokładnie naprzeciwko komandosa. Później kucnął tak blisko jego kryjówki, że przygniótł butami gałęzie, które osłaniały plecy Darmana. W końcu obca istota spojrzała w dół i powiedziała coś, co zabrzmiało jak „gah”. ...pod warunkiem że to wykorzystasz.

Darman uderzył z całej siły Weequaya pięścią w podbródek, wepchnął mu jego własne wibroostrze w gardło i przekreślił, żeby rozerwać arterie krwioobiegu. Podtrzymywał drugą ręką ciężar ciała Weequaya, dopóki istota nie znieruchomiała. W końcu, czując drżenie mięśni, opuścił rękę i pozwolił, żeby ciało przeciwnika odtoczyło się tak cicho, na ile pozwalały zarośla. – Co tam znalazłeś? – krzyknął drugi Weequay. – GarUl? Gar? Odpowiedziała mu głucha cisza. No cóż, zaczęło się, pomyślał komandos. Wymierzył lufę DC-17 w drugiego przeciwnika i uzbroił się w cierpliwość.

Kompan zabitego Weequaya puścił się biegiem w kierunku kępy krzaków. Postąpił wyjątkowo głupio, skoro nie miał pojęcia, co się przydarzyło jego towarzyszowi. Prawdopodobnie obaj mieli zbyt długo do czynienia z potulnymi farmerami i zachowywali się

nieporadnie jak nowicjusze. Drugi Weequay popełnił taki sam błąd jak pierwszy: wyciągnął blaster.

Darman wymierzył lufę karabinu w jego głowę i niemal odruchowo dał ognia. Weequay potknął się i nie wydając krzyku, rozciągnął się jak długi. Leżał nieruchomo, a z jego głowy sączyły się strużki dymu.

– Bardzo sprytnie, nie ma co – westchnął komandos tylko po to, żeby usłyszeć własny głos. Musiał opuścić kryjówkę i ukryć ciało drugiego przeciwnika. Nie mógł zostawić go na widoku, bo zbyt rzucałoby się w oczy. Uważnie nasłuchując, odczekał jeszcze kilka minut, po czym nieporadnie wstał i kuśtykając, wyszedł na otwartą przestrzeń.

Poczuł zapach gotowanego mięsa. Zaciągnął zwłoki Weequaya w głąb krzaków. Dopiero wówczas się zorientował, co przyciągnęło uwagę pierwszego Weequaya: szeroka ścieżka z odciskami łap małych zwierząt. A więc kryjówkę komandosa zdradziły ciekawskie gdany. Darman poczłapał ponownie w głąb krzaków, oderwał gałąź i bardzo starannie pozacierał wszystkie ślady.

„Nie marnuj, to nie będziesz potrzebował” – mawiał sierżant Skirata. Obu Weequayom nie były już potrzebne wibroostrza ani blastery. Czując, że tempo uderzeń jego serca wraca do normy, Darman przetrząsnął kieszenie obu nieboszczyków w poszukiwaniu wszystkiego, co mogłoby mu się jeszcze przydać. Zabrał kilka kart danych i jakieś kosztowności. Nie uważał się za złodzieja, bo nie miał rzeczy osobistych, które nie stanowiłyby własności Wielkiej Armii, ani nie odczuwał potrzeby, żeby stać się ich posiadaczem. Istniało jednak duże prawdopodobieństwo, że na kartach zarejestrowano informacje, które mu pomogą w osiągnięciu celu, a paciorki i monety mogły się przydać, gdyby musiał coś nabyć albo kogoś przekupić.

Znalazł odpowiednie miejsce, w którym można było ukryć ciała obu Weequayów. Nie zdążył jednak ich pochować, bo nagle usłyszał cichy szelest. W podszyciu kręciły się jakieś zwierzęta. Z gąszczu zaczęły się wychylać pyszczki węszących gdanów.

– To znów wy, co? – zapytał Darman, chociaż hełm uniemożliwiał zwierzętom usłyszenie jego głosu. – A czy przypadkiem nie pora spać?



Ośmielone drapieżniki ruszyły naprzód i wkrótce zaroily się wokół Weequaya z przestrzeloną głową. Niebawem pokryły go niczym włochaty ciemny koc i zaczęły się posilać ciałem.

Darman zrozumiał, że nie musi się już martwić o grzebanie czyichkolwiek zwłok.

Nagle do jego uszu dotarło ciche rżenie. Odwrócił głowę, spojrzął na pierwszego Weequaya i w ułamku sekundy skierował ku niemu lufę karabinu. Przeciwnik jeszcze żył. Z jakiegoś powodu Darmana ogromnie to zaniepokoiło.

Podczas bitwy o Geonosis wyeliminował z walki wielu przeciwników. Kierując się strachem i instynktem przeżycia, roztrzaskał na kawałki wiele bojowych robotów, używając do tego wystrzeliwanych z dużej odległości granatów i strzałów z działek. „Przeżyj, żebyś mógł nadal walczyć”, mawiał sierżant Skirata.

Tym razem było jednak inaczej. Nieprzyjaciela miał tuż obok siebie, a jego ciało nie było odłamkami metalu. Krew Weequaya ściekła zakrzepłym strumyczkiem po rękawicy i płycie pancerza osłaniającego prawe przedramię. Darman nie zabił przeciwnika od razu. Popełnił błąd.

Szkolili go, żeby zabijał i zabijał bez końca, ale jakoś nikt nie pomyślał, żeby nauczyć go, jak powinien reagować w takiej sytuacji. Coś odczuwał, lecz nie był pewien, co to za uczucie.

Pomyślał, że zastanowi się nad tym później.

Przycisnął spust i skorygował błąd, zanim niewielka armia mięsożernych gdanów zdążyła przystąpić do następnej uczty.

# ROZDZIAŁ

# 5

*Wyobraźcie sobie, że jesteście dłońią. Każdy z was jest palcem, ale bez pozostałych palców jesteście bezużyteczni. Pojedynczy palec nie da rady niczego schwycić, przenieść w inne miejsce ani zacisnąć się w pięść. Zdani na własne siły, jesteście niczym, ale działając wspólnie, staniecie się wszystkim.*

— instruktor komandosów, sierżant Kai Skirata

Darman szedł szybko pod górę położonego kilometr na południe, porośniętego drzewami zbocza. Zamierzał spędzić resztę dnia w starannie urządzonej kryjówce nieco poniżej wierzchołka wzgórza, skąd miałby dobry widok na okolice, a zarazem nie odcinał się od tła nieba.

Kiedy znalazł odpowiednie miejsce, zaczął splatać prowizoryczną sieć z odciętych linek spadochronu. Zajęcie pozwalało mu się skupić i zachować czujność. Nie spał od prawie czterdziestu standardowych godzin, a wiedział, że człowiek zmęczony staje się bardziej beztroski i niebezpiecznie rozkojarzony niż po spożyciu alkoholu. Wyrównał utworzone oczka, ale zanim zacisnął węzły, powplatał w nie źdźbła trawy, liście i gałązki. Spojrzał na efekt swojej pracy i pomyślał, że sieć powinna mu zapewnić odpowiedni kamuflaż.

Co kilka minut rozglądał się po okolicy. Qiilura cały czas wprawiała go w zdumienie. Planeta tętniła życiem i była inna niż wszystkie krajobrazy, z jakimi dotąd się zetknął... pełna zapachów,

kolorów, nieznanymi form życia i dźwięków. Kiedy ogarniający go strach przed nieznanym ustąpił, Darman zaczął chłonąć otoczenie wszystkimi zmysłami.

Najbardziej niepokoiły go odgłosy wydawane przez zwierzęta. Wokół niego roiło się od pełzających, latających i brzęczących form miejscowego życia. Od czasu do czasu jakieś stworzenia wydawały piski i milkły. Dwukrotnie z pobliskich zarośli dochodził hałas, jakby buszowało w nich jakieś większe zwierzę.

Jeżeli nie liczyć krótkiej, zażartej walki na Geonosis, jedynym kontaktem Damiana z naturalnym środowiskiem były eleganckie, ale zamknięte miasta planety Kamino, gdzie domy wznosiły się na kolumnach jak na szczudłach, otoczone bezkresnymi, wiecznie wzburzonymi oceanami. Czyste, schludne sale szkolne i baraki, w których spędził dziesięć lat życia, wyrastając z niemowlęcia na doskonałego żołnierza, nie wywarły na nim żadnego wrażenia, bo miały tylko pomagać mu w wykonywaniu zadań, kiedy zaś ćwiczył na pustyni, w górach czy w dżungli, było to zawsze wytwarzane przez symulacyjne holoprojektory sztuczne środowisko.

Czerwone pustynne równiny Geonosis były o wiele bardziej jałowe i w posępny sposób majestatyczne, niż potrafiliby mu przedstawić instruktorzy. Jednak dopiero pola i lasy Qiilury pozwalały zobaczyć o wiele więcej, niż mogły zaproponować trójwymiarowe mapy.

Mimo to Darman znajdował się nadal na otwartym terenie i nie mógł się swobodnie poruszać bez obawy, że ktoś go zauważy.

Skup się, powiedział sobie. Zbieraj informacje. Wykorzystaj jak najlepiej czas przymusowej bezczynności.

O tej porze powinien zjeść jakiś posiłek. Przyzwoity posiłek. Zaczął żuć skoncentrowaną suchą kostkę racji żywnościowej, co pozwoliło mu uświadomić sobie, że właściwie nie odczuwa głodu. Był po prostu zmęczony. Zaopatrzył organizm w niezbędną ilość środków odżywczych i gdyby zjadł więcej, wkrótce zabrakłoby mu jedzenia. Każdy komandos nosił w plecaku zapas wystarczający na tydzień i w rezerwowym pasie porcje na dodatkowe dwa dni. Oprócz karabinu pas był jedynym przedmiotem, o którym nie mógł zapomnieć, gdyby kiedykolwiek musiał zostawić czterdziestokilogramowy plecak i

uciekać, żeby ocalić życie.

W dole pod nim, po wąskiej drodze, poruszały się pojazdy kołowe miejscowych farmerów. Wszystkie kierowały się w tę samą stronę i wszystkie były wyładowane kanciastymi pojemnikami o zapieczętowanych pokrywach. Barq. Darman nigdy go nie próbował, ale wyczuwał jego zapach nawet z bardzo dużej odległości. Oszłamiająca piżmowa woń pozwoliła mu nawet na jakiś czas oszukać głód. Jeżeli prawidłowo naniósł holomapę na charakterystyczne cechy otaczającego go terenu, kierowcy wszystkich tych pojazdów zdążyli do niewielkiej miejscowości o nazwie Teklet, gdzie znajdował się miejscowy magazyn. Darman obracał holowizerunek w dłoniach, aż w końcu dostosował mapę do rzeczywistego krajobrazu.

Tak, wreszcie mógł być pewny, gdzie się znajduje. Wzgórze, na którym leżał, wznosiło się dziesięć kilometrów na wschód od niewielkiego miasta o nazwie Imbraani, mniej więcej czterdzieści kilometrów na północny wschód od PZ Beta i tyle samo niemal dokładnie na wschód od PZ Gamma. Komandosi wybrali punkty usytuowane wzdłuż planowanej trasy lotu opylacza, żeby wywieść w pole nieprzyjaciół. Separatyści powinni się spodziewać, że ich przeciwnicy raczej się rozproszą zamiast pokonywać teren, nad którym mieli przelatywać. Między punktami zbornymi Alfa i Beta rozciągał się las, w którym mogli się poruszać nawet w dzień, niezauważeni przez nikogo. Gdyby pozostali członkowie drużyny wylądowali bezpiecznie i o właściwej porze, powinni w obecnej chwili podążać do Bety.

Darman zrozumiał, że jeszcze nie wszystko stracone. Musiał tylko dotrzeć do PZ Gamma i poczekać na resztę towarzyszy, a gdyby się z nimi nie spotkał, powinien ułożyć plan samodzielnego wykonania zadania.

Na myśl o tym poczuł się bardzo samotny. „Zdani na własne siły, jesteście niczym, ale działając wspólnie, będziecie wszystkim”. Podczas szkolenia nauczono go, żeby myślał, działał i nawet oddychał jak członek czteroosobowej grupy. Nie umiał robić niczego innego.

Ale przecież członkowie elitarnych oddziałów zwiadowców

działają sami, prawda? – przypomniał sobie.

Zmagając się z ogarniającą go sennością zaczął się nad tym zastanawiać. Nagle usłyszał dobiegający zza pleców szelest liści i odwrócił się, żeby omieść tamto miejsce promieniem wrażliwego na podczerwień czujnika przesłony hełmu. Zarejestrował rozmazaną plamę poruszającego się zwierzęcia, które zaraz znikło. Z bazy danych wynikało, że na Qiilurze nie ma dużych drapieżników, więc zauważone stworzenie nie mogło mu sprawić kłopotu większego niż gdan... przynajmniej dopóki nosił pancerz.

Darman leżał jakiś czas nieruchomo, ale zwierzę się nie pojawiło. W końcu odwrócił się i starając się nie zasnąć, skupił uwagę na drodze i otaczających ją polach. Nawet nie myśli o środkach pobudzających, powiedział sobie. Nie zamierzał sięgać po pakiet medyczny, którego zawartość mogłaby szybko poprawić jego zdolność koncentracji. Jeszcze nie pora. Miał ograniczony zapas, a sprawy mogą przybrać jeszcze bardziej niekorzystny obrót. Był pewien, że wcześniej czy później to nastąpi.

Po kilku minutach jednak coś się zmieniło w polu jego widzenia. Na tle nieruchomego krajobrazu pojawiły się oznaki życia. Darman opuścił filtr z elektrolornetką, aby się lepiej przyjrzeć, ale to, co zobaczył, otrzeźwiło go do tego stopnia, że sięgnął po karabin i spojrział przez snajperską lunetę.

Z grupy drewnianych budynków unosiło się cienkie pasmo dymu, które po chwili przerodziło się w gruby słup. Darman uświadomił sobie, że nie jest to dym z domowego ogniska. Po jakimś czasie zobaczył wydobywające się z domu czerwono-żółte jęzory ognia. Budynki – sądząc z wyglądu, stodoły – stały w płomieniach. Wokół nich biegali bezradnie ogarnięci paniką ludzie w obszarpanych ubraniach, którzy starali się wyciągać z pożaru cenne przedmioty. Inne istoty, pośród których widział Ubezjan i Trandoshan, ale przede wszystkim Weequayów, starały się im to uniemożliwić, otaczając kordonem płonące stodoły.

W pewnej chwili jeden z farmerów przedarł się przez kordon i zniknął w płonącej stodole. Darman nie zauważył, żeby stamtąd wybiegł.

Nic, co zapamiętał z okresu szkolenia, nie przygotowało go na widok scen, których był świadkiem. Żadne wspomnienia, wzorce postępowania, manewry ani lekcje nie podpowiadały mu, jak powinien zareagować. Sytuacje, jakie przydarzały się cywilom, wykraczały poza jego doświadczenie. Komandos nie miał tu nawet do czynienia z obywatelami Republiki, bo miejscowi farmerzy nie byli niczymi obywatelami.

Podczas szkolenia wpajano mu, żeby nie pozwolił się zdekoncentrować niczemu, co nie wiązało się z wykonywanym zadaniem. Cichy głos w głowie podpowiadał mu jednak, że powinien jakoś zareagować. Ale jak? Jego zadanie, z powodu którego musiał pozostać przy życiu, wymagało, żeby dołączył do pozostałych członków drużyny i usunął zagrożenie, jakie stanowiły badania nad nanowirusem. Porzucenie kryjówki, by pospieszyć cywilom na pomoc, stało w sprzeczności z tym zadaniem.

Separatyści albo osoby, które wydawały rozkazy tej przypadkowej zbieraninie zbirów, wiedziały o jego obecności na Qiilurze.

Darman nie musiał być geniuszem, żeby się tego domyślić. Rozbijając się o powierzchnię planety, opylacz eksplodował, a ściślej, eksplodowały materiały wybuchowe, których nie zmieścił w plecaku ani w pojemniku. Zabici Weequayowie nie wrócili z patrolu, kiedy się spodziewali ich zwierzchnicy, a obecnie istoty ludzkie – farmerzy – ponosili okrutną karę. Ich życie było zagrożone, w dodatku z jego powodu. Separatyści usiłowali nakłonić go do interwencji, żeby wywabić z kryjówki.

Procedura ucieczki i wywodzenia nieprzyjaciela w pole? – pomyślał Darman.

Nie, jeszcze nie. Głęboko odetchnął, ostrożnie opuścił lufę karabinu i nakierował krzyż celowniczy na jakiegoś Ubezjanina. Później zaczął brać na cel pozostałych członków grupy, jednego po drugim. Miał czterdzieści strzałów, ale widział tylko ośmiu nieprzyjaciół. Wiedział, że każdego trafi za pierwszym razem.

Wstrzymał oddech i położył wskazujący palec na spuście.

Wystarczyło jedno dotknięcie.

Czy są tu jeszcze inni, których nie widział?

Musiał to wiedzieć, jeżeli zamierzał ujawnić swoją pozycję.

To nie twoja sprawa, powiedział sobie.

Wypuścił powietrze z płuc, przestał ścisnąć łożysko karabinu i przesunął wskazujący palec przed osłonę spustu. Jak zdoła wykonać zadanie, jeżeli go schwytają?

Nie mógł podjąć decyzji. W ciągu następnych dwóch minut kilkakrotnie brał na cel każdego Ubezjanina, Weequaya i Trandoshanina, ale nie przyciskał spustu, chociaż miał na to ogromną ochotę. Powinien zachować się jak doskonale wyszkolony snajper, a tymczasem zamierzał działać pod wpływem bezsilnego gniewu, którego źródła nie potrafił zidentyfikować.

Nie zdradzaj swojej kryjówki, nakazywał sobie. Nie otwieraj ognia, dopóki nie będziesz pewny, że trafisz. Strzelaj dotąd, aż cel padnie i pozostanie nieruchomy.

Czasami jednak zdarzały się sytuacje, w których żołnierz po prostu musiał ryzykować.

Któregoś dnia ci nieszczęśnicy zostaną może obywatelami Republiki, powiedział sobie. Już w obecnej chwili mogą być twoimi sojusznikami.

Darman przestał odczuwać zmęczenie i głód. Słyszał łomot tętna i czuł, jak kurczą się mięśnie jego gardła. Wiedział, że to normalny odruch człowieka, który musi dokonać wyboru: rzucić się do ucieczki czy podjąć walkę. Ucieczka nie wchodziła w grę. Możliwa była tylko walka.

Wziął na cel głowę pierwszego Weequaya i przycisnął spust. Zbir padł, a jego zdezorientowani towarzysze bezmyślnie gapili się na ciało. Darman nie miał nic przeciwko Weequayom. Przez zwykły przypadek zabił trzeciego w ciągu kilku godzin.

Dopiero po kilku sekundach wrogowie otrząsnęli się z zaskoczenia. Spojrzeli w stronę, skąd padł strzał, i wymierzili tam lufy karabinów.

Pierwsza błyskawica trafiła w krzak po lewej stronie Damiana, a druga przeleciała jakieś trzy metry nad jego głową. Już wiedzą gdzie się ukrywam, pomyślał komandos. Trudno było w to wątpić. Dołączył z trzaskiem do swojego DC-17 nasadkę do wystrzeliwania granatów i

obserwując nieprzyjaciół przez lunetę, zaczekał, aż cywile się rozproszą. Eksplozja granatu wzbiła w powietrze fontannę gleby ze szczątkami drewna i powaliła trzech następnych zbirów. Tym razem strzał na pewno zdradził ich kompanom kryjówkę komandosa.

Darman zerwał się i puścił biegiem w dół po zboczu wzgórza. Czterej pozostali przy życiu nieprzyjaciele jakby wrosli w ziemię i tylko się na niego gapili. Komandos nie miał pojęcia, dlaczego wyglądają jak sparaliżowani, lecz trwało to wystarczająco długo, żeby umocnić jego przewagę. Trafiło go wprawdzie kilka plazmowych błyskawic, ale dzięki pancerzowi odczuł je jak zwykłe uderzenia w pierś. Posyłając przed siebie grad cząstek, biegł dalej. Nadlatujące ku niemu błyskawice wyglądały jak poziome, świetliste strugi deszczu. Jakiś Trandoshanin odwrócił się i rzucił do panicznej ucieczki. Darman powalił go strzałem w plecy, po którym zbir poderwał się w powietrze i runął na ziemię kilka metrów dalej.

Chwilę później rozżarzony do białości deszcz ustał i komandos przeskoczył nad nieruchomymi ciałami zabitych wrogów. Zwolnił i przystanął, niemal ogłuszony przez chrapliwy dźwięk własnego oddechu.

Nie wiedział, czy nieprzyjaciele zdążyli zameldować przez komunikator o jego obecności. Sama informacja zresztą i tak nie na wiele mogła się im przydać. Darman biegał od stodoły do stodoły, poszukując innych zbirów. Zapuszczał się między płomienie bez obaw, bo jego pancerz i kombinezon nie były wrażliwe na temperaturę płonącego drewna. Nawet mimo przysłony niewiele widział z powodu gęstego dymu, więc szybko wybiegł na zewnątrz. Spojrzał na naramiennik i zauważył, że z pokrytych czarną sadzą płytek unosi się strużka dymu.

O mało się nie zderzył z chłopcem w farmerskiej bluzie. Dziecko spojrzało na niego i rzuciło się do ucieczki.

Przeszukując stodoły, Darman nie natknął się na innych pachółków Hokana. Otworzył kopniem drzwi ostatniego budynku. Włączył minireflektor, żeby rozjaśnić mroczne wnętrza, i dopiero wówczas zauważył cztery przerażone istoty ludzkie – dwóch mężczyzn, kobietę i spotkanego chwilę wcześniej chłopca. Wszyscy



kulili się w kącie za młocarnią. W pierwszym odruchu Darman chciał skierować ku nim lufę blastera, dopóki się nie upewni, że nie żywią względem niego złych zamiarów. „Nie każdy żołnierz nosi mundur”, jak zwykł mawiać sierżant Skirata. Instynkt podpowiadał jednak komandosowi, że ma przed sobą po prostu przerażonych cywilów.

Za jego pancerzem wciąż jeszcze ciągnęła się strużka dymu. Darman uświadomił sobie, że sam jego wygląd mógł wywołać taką reakcję.

Usłyszał cichy skowyt. W pierwszej chwili pomyślał, że to płacze kobieta, ale głos wydobywał się z gardła jednego z mężczyzn. Farmer mógł mieć tyle samo lat co sierżant Skirata i wpatrywał się w komandosa z malującym się na twarzy przerażeniem. Darman nigdy nie widział z tak bliska żadnego cywila, a tym bardziej nikogo, kto byłby równie wystraszony.

– Nie zamierzam wyrządzić wam żadnej krzywdy – powiedział. – Czy to wasza farma?

Jeżeli nie liczyć zawodzenia mężczyzny, odpowiedziała mu cisza. Darman doszedł do wniosku, że nic nie rozumie. Przecież ocalił ich przed napastnikami, prawda? Czego innego mogli się obawiać?

– Ilu żołnierzy ma Hokan? – zapytał. – Możecie mi to powiedzieć? Odpowiedziała mu kobieta, ale jej głos wyraźnie drżał.

– Kim... pan jest? – wyjąkała.

– Żołnierzem Republiki, proszę pani – odparł komandos. – Potrzebuję informacji.

– Nie jest pan... nim?

– Kim?

– Hokanem.

– Nie. Wie pani może, gdzie on teraz jest?

Kobieta wskazała na południe, gdzie znajdowało się Imbraani.

– Wszyscy są na farmie, która należała kiedyś do klanu Kirmayów, dopóki Hokan nie sprzedał ich w niewolę Trandoshanom – zaczęła. – Jest ich mniej więcej pięćdziesięciu, może sześćdziesięciu. Co zamierza pan z nami zrobić?

– Nic, proszę pani – odparł Darman. – Absolutnie nic.

Tubylcy chyba nie spodziewali się po nim takiej odpowiedzi.

Kobieta się nie poruszyła.

– Hokan przysłał tu swoich zbirów, bo szukali jego – odezwał się drugi mężczyzna, nie ten który szlochał, i pokazał na komandosa. – Nie mamy mu za co dziękować. Powiedzcie mu...

– Zamknij się – burknęła kobieta, piorunując go spojrzeniem. Odwróciła się do Darmana. – Nie piśniemy ani słowa. Nie powiemy nikomu, że pana widzieliśmy, ale proszę odejść. Niech się pan stąd wynosi. Nie potrzebujemy pańskiej pomocy.

Darman był zupełnie nieprzygotowany na taką reakcję farmerów. Uczono go zachowania w różnych sytuacjach, ale podczas żadnej lekcji przyspieszonej nauki nie wspomniano o ocalonych cywilach, którzy reagują niewdzięcznością. Cofnął się do drzwi, ostrożnie wysunął głowę na dwór i rozejrzał się na boki. Kilkoma susami pokonał odległość od stodoły do najbliższych krzaków, przeskoczył przez płot i pobiegł w górę zbocza do miejsca, w którym zostawił resztę sprzętu. Nadeszła pora opuszczenia kryjówki.

Zostawiał ślad w postaci zabitych przeciwników. Zastanawiał się, czy w przyszłości będzie traktował „cywilańców”, jak nazywał ich Skirata, równie łagodnie jak do tej pory.

Zerknął na wyświetlacz chronometru na przestłonie hełmu i przekonał się, że od podjęcia decyzji i pierwszego strzału upłynęło zaledwie kilka minut. Zawsze w podobnych sytuacjach miał wrażenie, że mija kilka godzin, podczas których nie widzi przed sobą niczego oprócz celu. „Nie przejmujcie się tym – mawiał Skirata. – To tylko przodomózgowie wyłącza się w odruchowej reakcji na strach. Waszym wzornikiem był socjopata. Nauczycie się walczyć doskonale. Będziecie kontynuowali walkę w sytuacjach, w których normalni ludzie dawno by zrezygnowali albo zginęli”. Darman nie był pewny, czy to dobrze, czy źle, ale był sklonowanym komandosem i nie miał nic przeciwko temu. Zarzucił na plecy dodatkowy pakunek i podjął wędrówkę w kierunku punktu zbornego. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił. Może lepiej było zostawić farmerów na łaskę zbirów Hokana? Doszedł do wniosku, że już nigdy nie pozna odpowiedzi na to pytanie.

Nagle doznał olśnienia. Już wiedział, dlaczego na jego widok członkowie milicji skamienieli, a cywile zareagowali przerażeniem.

Hełm. Pancierz. Wyglądał jak mandaloriański wojownik.

Ghez Hokan musiał wzbudzać tak wielki strach, że wszyscy przed nim drżeli. Podobieństwo do niego mogło odtąd albo działać na korzyść Darmana, albo kosztować go życie.

– Padnij! – wrzasnął Atin.

Niner rozpląszczył się na ziemi i usłyszał stęknienie Fi, który poszedł w jego ślady, chociaż upadek musiał wyprzeć z jego płuc powietrze.

Nad nimi przeleciał ze zdradziecko cichym pomrukiem powietrzny śmigacz. Atin, który kucnął za pniem powalonego drzewa, popatrzył za nim przez lunetę karabinu.

– Dwumiejscowy, specjalizowane uzbrojenie i kamuflaż – ocenił. – Takimi nie latają miejscowi farmerzy, a przynajmniej nie takimi, które mają zainstalowane działka.

W końcu pomruk silników ucichł. Niner z wysiłkiem wstał i odzyskał równowagę. Żałował, że nie mają raketowych skuterów i nie mogą zrezygnować z noszenia panczerzy. Dźwigali zbyt duży ciężar, a ich zbroi nie zaprojektowano z myślą o tym, żeby wtapiały się w otoczenie. Z drugiej strony, w nieprzyjaznym terenie ochrona panczerza mogła decydować o życiu lub śmierci. Panczerze osłaniały przed błyskawicami blasterowych strzałów i paraliżującymi nerwy toksynami, a nawet idealną próżnią. Komandosi nie mogli się ich pozbyć, jeżeli chcieli choćby marzyć o wykonaniu zadania. Zbroje zaprojektowano do walki w terenie zabudowanym i w zamkniętych pomieszczeniach, a tego rodzaju atrakcji galaktyka miała do zaoferowania co niemiara. Na razie jednak musieli jak najlepiej wykorzystać malowniczą część wyprawy.

Podobnie jak pozostali, Niner był zmęczony. Choć istniało niebezpieczeństwo, że ktoś ich zauważy, musieli się przespać.

Zerknął na wyświetlaną przez komputerowy notes holomapę. Od PZ Beta dzieliło ich wciąż jeszcze jakieś dziesięć kilometrów. Zbliżało się południe. O wiele łatwiej było pokonywać teren w nocy, więc Niner chciał wyruszyć w dalszą drogę i dotrzeć do punktu zbornego

przed wieczorem, a później ukryć się i poczekać do nocy, żeby podjąć wędrówkę na nowo. Jeżeli Darman przeżył katastrofę opylacza – a nawet jeżeli nie ocalał – mieli właśnie tam na niego czekać. Tak rozkazał Niner.

– Wraca – odezwał się nagle Atin. – Wszyscy padnij!

Ciche brzęczenie silników przeszkodziło Ninerowi w dalszych obliczeniach. Pilot powietrznego śmigacza zawrócił i kierował się znów w ich stronę, czyli na południe. Usmarowani błotem komandosi ponownie się rozpląszczyli i zamarli. Z tak dużej wysokości nikt nie powinien ich zauważyć... a przynajmniej taką mieli nadzieję.

Do takiej reakcji skłaniało ich nie tylko szkolenie.

Inwigilacja z powietrza stanowiła szczególne zagrożenie. Niner pamiętał jeszcze kaminoński pojazd latający typu KE-8 Enforcer, który krążył nad placem ćwiczeń Tipoca City, gotów do wykrywania i karania wszystkich klonów, które nie potrafiły się wtopić w otoczenie. Załoga używała do tego urządzeń do wytwarzania elektrowstrząsów.

Niner widział tylko raz taki KE-8 w akcji. Później robił wszystko, żeby nie odróżniać się od otoczenia.

– Przeszukuje kwadrat po kwadracie – domyślił się Atin. Stawał się doskonałym obserwatorem. Z jakiegoś powodu odbierał lepiej to, co dzieje się wokół, niż Fi czy nawet sam Niner. – Prawdopodobnie prowadzi poszukiwania od punktu centralnego.

– Od jakiego punktu centralnego? – zainteresował się Fi.

Niner zapomniał o zmęczeniu. „Nigdy nie pozostawia się na pastwę losu towarzyszy broni”, przypomniał sobie.

– Jeżeli nie zauważył nas, dostrzegł Darmana – powiedział.

– A raczej to, co z niego pozostało – wtrącił Atin.

– Zamknij się – burknął sierżant. – O co ci właściwie chodzi?

– Byłem Darmanem – odparł komandos z blizną na twarzy. Nie dodał nic więcej, a Niner uważał, że to niezbyt odpowiednia pora, by prosić go o wyjaśnienia. Silniki śmigacza znajdowały się właśnie nad ich głowami. Później pomruk trochę ucichł i przybrał niższe tony, ale niedługo zaczął znów narastać.

– Krąży – stwierdził zwięźle Atin.

– Fierfek – zaklął Niner i wszyscy trzej równocześnie sięgnęli po

nasadki do wystrzeliwania przeciwpancernych granatów. – Co mógł zobaczyć?

– Może nic – odparł Niner. – A może nas.

Umilkli. Pilot powietrznego śmigacza rzeczywiście zataczał kręgi nad ich głowami. Wkrótce obniżył pułap lotu tak bardzo, że znalazł się tuż nad wierzchołkami drzew. Niner widział wyraźnie bliźniacze działka. Jego hełm nie sygnalizował, że komandos został namierzony, ale to jeszcze niczego nie dowodziło. Nigdy nie można było do końca polegać na wytworach zaawansowanej techniki.

„Najlepszym sprzętem obserwacyjnym jest własna gałka oczna”. To była pierwsza rada, jakiej udzielił im Skirata. Przyspieszone szkolenie miało swoje zalety, ale o wiele większe wrażenie wywierały słowa słyszane z ust ludzi biorących udział w prawdziwej walce.

Niner uniósł lufę karabinu i spojrzał przez lunetę. Wierzył specjalistom z BlasTech Industries, że promienie słońca nie odbijają się od soczewki. Już niedługo miał się przekonać na własnej skórze, czy się nie myli.

Widział za to odbłyśki słońca na goglach pilotującego pojazd mężczyzny. Stwierdził także, że działka obsługuje robot. Zastanawiał się, czy przeciwnik nie czuje się niepewnie bez opancerzonej owiewki kabiny, bo głowy załogi, wyraźnie widoczne na tle nieba, były łatwym celem. Doszedł jednak do wniosku, że jeśli ktoś znajduje się tak wysoko i ma do dyspozycji działko czy dwa, nie powinien czuć się nieswojo.

W pewnej chwili kadłub śmigacza skręcił i powoli się obrócił. Pilot postanowił widocznie wznieść się na większą wysokość w nadziei, że uzyska wizualny kontakt z przeciwnikiem. To nie mógł być przypadek. Niner kierował cały czas lufę swojego DC-17 ku środkowej jednostce napędowej latającego pojazdu.

Nagle zobaczył na przesłonie hełmu czerwony symbol.

Nieprzyjaciel go namierzył!

Komandos przycisnął spust. Od oślepiająco jaskrawego błysku przesłona jego hełmu straciła na chwilę przezroczystość. Eksplozja nastąpiła tak blisko, że fala udarowa poraziła go niczym cios w pancerz.

Niner poderwał się i zaczął biec. Nie miał pojęcia, jakim cudem może to robić, niosąc na plecach ciężar przekraczający pięćdziesiąt kilogramów, ale adrenalina potrafiła działać cuda. Instynkt podpowiadał mu, że musi się znaleźć jak najdalej, zanim spadnie mu na głowę deszcz ognistych szczątków. Panczerze i kombinezony miały dużą wytrzymałość, ale zakorzeniony głęboko w jego mózgu ludzki instynkt krzychał: uciekaj!

Kiedy w końcu przystanął, przekonał się, że przebiegł sto metrów przez gąszcz zarośli niskopiennego zagajnika. Dyszał jak mott, a elektroniczne urządzenia jego panczerza usiłowały schłodzić jego ciało.

W miejscu, z którego przybiegł, pojedyncze ogniska pożaru były rozrzucone koncentrycznie niczym nasiona wokół pnia drzewa. Niner rozejrzał się po okolicy, żeby sprawdzić, gdzie znajdują się Fi i Atin. W pierwszej chwili pomyślał, że zestrzelił śmigacz prosto na ich głowy.

– Musiałeś to zrobić?

Fi stał obok niego. Niner nie usłyszał szmeru jego kroków poprzez swój chrapliwy oddech.

– Namierzył mnie – powiedział z ulgą. Odczuwał wyrzuty sumienia, ale nie był pewien, z jakiego powodu.

– Wiem – odparł Fi. – Widziałem, jak unosisz lufę swojego Dece, i doszedłem do wniosku, że powinienem się stamtąd wynosić, bo inaczej wyląduje mi na głowie wrak śmigacza.

– A Atin?

– Nie słyszę go.

To jeszcze niczego nie dowodziło. Nastawili komunikatory na dziesięć metrów, więc Atin mógł po prostu znajdować się poza zasięgiem słyszalności. Niner nie znał go jeszcze na tyle dobrze, żeby domyślić się, dokąd mógł pobiec, a sam znajdował się w zbyt dużych opałach, żeby tracić czas na zastanawianie się nad tym problemem. Na razie najbardziej martwił go fakt, że on, sierżant, którego wszyscy uważali za dowódcę, rzucił się do panicznej ucieczki. Nie pomyślał o kolegach z drużyny, a oni na pewno musieli zdawać sobie z tego sprawę.

– To będzie widać z dużej odległości – stwierdził Fi, spoglądając

na kolumnę wzbijającego się w niebo dymu. Ogień mógł się palić długo, bardzo długo.

– A co miałem zrobić? – zachnął się Niner. – Leżeć beczynn timer i czekać, aż dostanę z działka?

– Nie, sierżancie – powiedział Fi. – Ale spodziewałem się, że jakoś nas ostrzeżesz. – Wybuchnął śmiechem. – Lepiej chodźmy tam i upewn timer się, że pilot nie przeżył.

Szansa na to była niewielka, ale śmigacze bywały czasami zaskakująco wytrzymałe. Niner i Fi odbezpieczyli karabiny i ruszyli z powrotem w kierunku kłębow dymu. Wokół miejsca katastrofy leżały rozrzucone części robota. W jednym miejscu wygięta płytka jego „twarzy” gapiła się jakby w zdumieniu na słup dymu.

– Czyli nie są specjalnie wytrzymałe – stwierdził Fi i trącił płytkę czubkiem buta. – Atin, tu Fi. Słyszysz mnie? Odbiór.

Cisza. Komandos przyłożył do boku hełmu lewą rękawicę. Niner już zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie stracił w ciągu dwóch dni dwóch podwładnych.

– Tu Atin, odbiór.

Spomiędzy kłębow dymu wyłonił się komandos z blizną na twarzy. Ciągnął dodatkowy plecak i osmaloną bryłę metalu, z której wystawało kilka zakończonych wtyczkami grubych kabli. Wyglądało to jak szczątki pokładowego komputera zestrzelonego śmigacza.

– Pilot także nie był zbyt wytrzymały – stwierdził Atin. – Pomóżcie mi to założyć i przymocować.

Dźwignięcie ciężkiego plecaka i przytwierdzenie go do pancerza kolegi wymagało pomocy zarówno Fi, jak i Niner. Kilka dni wcześniej każdy z nich uniósłby podobny ciężar jedną ręką. Jesteśmy zbyt wyczerpani, pomyślał Niner. To niebezpieczne. Najwyższy czas, żeby się stąd wynieść i odpocząć.

– Może dam radę coś z tego wycisnąć – oznajmił Atin, unosząc jedną ręką osmaloną metalową skrzynkę. Sierżant pomyślał, że pierwszy raz słyszy w głosie podwładnego coś w rodzaju zadowolenia. Wyglądało na to, że Atin odnosi się do sprzętu zycliwiej niż do ludzi. – Warto spróbować.

Niner ruszył pierwszy i zaczął się przedzierać przez gęste poszycie.

Obejrzał się w nadziei, że płomienie zaczynają gasnąć. Komandosi nie mogliby marzyć o ucieczce przed szalejącym pożarem lasu. A jeżeli Darman żył i znajdował się w pobliżu, powinien zobaczyć słup dymu i domyślić się przyczyny. Sierżant miał nadzieję, że tak się stanie.

Drużyna zostawiła na tle sennego wiejskiego krajobrazu wymowne ślady walki. Czy Qiilura życzyła sobie tego, czy nie, właśnie przyjęła zaproszenie do udziału w wojnie.

– Jesteś di'kutem – odezwał się Hokan.

Zdjął hełm, zbliżył twarz do twarzy Ubezjanina i spojrzał mu w oczy. Istoty tej rasy na ogół nie drżały, ale stojący przed nim podwładny musiał stanowić wyjątek od reguły.

– Czym jesteś? – zażądał odpowiedzi Mandalorianin.

– Di'kutem, panie generale.

– Nie tylko jesteś nim, ale także zrobiłeś ze mnie di'kuta – ciągnął Hokan. – Nie jestem tym zachwycony.

Zgromadził w pomieszczeniu wszystkich starszych stopniem podwładnych. Miał świadomość, że odprawa odbywa się w nieużywanym pomieszczeniu do strzyżenia merlie, a jego porucznicy to dwudziestu najmniej zidiociałych osobników, wybranych spośród najgorszych szumowin, jakie płynęły ściekami społeczeństwa Qiilury. Doprowadzało go do szału, że Neimoidianie wydają tyle kredytów na zabezpieczenie środków łączności, a tak mało na personel. Gdyby miał trochę więcej pieniędzy, mógłby wynająć niewielką armię, która tak bardzo by mu się przydała.

Ubezjanin, który nazywał się Cailshh, stał absolutnie nieruchomo i nie spuszczał spojrzenia z okrążającego go Hokana. Mógł być istotą płci żeńskiej, bo w przypadku Ubezjan nigdy nie miało się pewności, ale Hokan przypuszczał, że ma do czynienia z istotą płci męskiej. Nie zamierzał werbować Ubezjan, bo bywali nieprzewidywalni, a czasami nawet podstępni, ale do pracy na Qiilurze zgłaszało się niewielu najemników, głównie tych, którzy nie mogli znaleźć zatrudnienia nigdzie indziej. Niemal zawsze powodem była lista przestępstw, na której widok nawet Hutt mógłby dostać gęsiej skórki. Mandalorianin



znalazł się w bardzo niewygodnej sytuacji. Nie mógł im wiele zapłacić, bo Ankkit nie zamierzał trwonić kredytów na siły zbrojne, które byłyby godne swojej nazwy.

To okropne, jeśli chciał utrzymać standardy zawodowe, musiał stosować ekstremalne środki. Tylko w taki sposób mógł przywrócić nadwątloną dyscyplinę w swoim zespole.

– A więc postanowiłeś puścić z dymem jeszcze jedną farmę – warknął.

– To miało być ostrzeżenie, panie generale – wyjaśnił Ubezjanin. – Na wypadek, gdyby przyszło im do głowy coś głupiego. Sam pan wie. Na przykład ukrywanie kogoś, kogo poszukujemy.

– Tego się nie robi w taki sposób. – Mandalorianin podszedł do stołu, oparł się plecami o blat, zaplótł ręce na piersi i wbił spojrzenie w anonimową zamaskowaną twarz. Nie lubił rozmawiać z kimś, kogo oczu nie mógł widzieć. – Najpierw udziela się im ostrzeżenia, a na represje przychodzi kolej, kiedy postępują wbrew zasadom. Jeżeli wymierzysz im karę, zanim złamią te zasady, nie będą mieli niczego do stracenia. Znienawidzą cię i zapragną zemsty... zarówno oni, jak i ich dzieci.

– Tak jest, panie generale.

– Rozumiesz, co powiedziałem? – Hokan powiódł spojrzeniem po twarzach zgromadzonych oficerów i rozłożył ręce, jakby zapraszał wszystkich do udziału w powtórce. – Czy na pewno wszyscy to rozumieją?

W odpowiedzi rozległo się kilka pomruków.

– Czy wszyscy zrozumieli?! – wrzasnął Mandalorianin. – Co się mówi, kiedy starszy stopniem oficer zadaje wam pytanie?

– Tak jest... panie generale! – Tym razem Hokan usłyszał chóralną odpowiedź.

– To dobrze – zakończył cicho.

Oderwał plecy od stołu, wyjął świetlny miecz Fuliera, włączył klingę i podszedł do Ubezjanina. Jednym poziomym cięciem pozbawił go głowy, która potoczyła się po podłodze czysto i bez zbędnego przelewu krwi.

W pomieszczeniu zapadła głucha cisza. Członkowie jego sztabu

zachowywali się cicho i przedtem, ale Hokań słyssał szmer, jaki się zdarza wśród uczniów zmuszanych do udziału w nudnej lekcji. Obecnie jednak nikt nie przełykał śliny, nie chrząkał, nie kasłał ani nie kichał. Można było odnieść wrażenie, że wszyscy przestali oddychać.

Hokań spojrzeł w dół na ciało i sprawdźł spodnie swojego ciemnoszarego munduru. Idealnie czyste... ani kropli krwi. Coraz bardziej podobał mu się świetlny miecz mistrza Jedi. Cofnął się i usiadł na krawędzi stołu.

– To była kara dla Cailshha i ostrzeżenie dla wszystkich pozostałych – powiedział. – Rozumiecie teraz, na czym polega różnica? To bardzo ważne.

– Tak jest, panie generale! – Tym razem do chóru przyłączyło się mniej głosów, a całość brzmiała mniej pewnie.

– A zatem ruszajcie i znajdźcie naszych gości – rozkazał Mandalorianin. – A ty, Mukit, posprzątaj ten bałagan. Jesteś Ubezjaninem, więc powinienesz wiedzieć, jak pozbywać się szczątków istot swojej rasy.

Najemnicy zaczęli się rozchodzić, a Mukit podszedł do pozbawionego głowy ciała Cailshha. Hokań chwycił za rękę starszego sierżanta rasy Weequay, który próbował niepostrzeżenie wymknąć się na dwór.

– Guta-Nay, gdzie jest twój brat i jego przyjaciel? – zapytał. – Nie przyszli na dwa ostatnie posiłki ani się nie odmeldowali po zakończeniu służby.

– Nie mieć pojęcia, panie generale.

Czyżby dorabiali sobie na boku, handlując z Trandoshanami? – zastanowił się na głos Mandalorianin. – Nie wiesz przypadkiem, czy nie chcieli im sprzedać paru niewolników?

– Panie generale...

– Muszę to wiedzieć – przerwał Hokań. – Na wypadek gdyby... przydarzyło się im coś niezwykłego.

Guta-Nay na pewno pamiętał karę, jaką Hokań wymierzył mu za napastowanie tamtej dziewczyny z farmy. Kilka razy poruszył bezgłośnie wargami i w końcu udało mu się wydobyć głos ze

sparaliżowanej krtani.

– Ja ich nie widzieć, panie generale – powiedział. – Wcale a wcale. Ani raz od wczoraj. Ja przysięga.

– Wybrałem ciebie na swojego... zastępcę, swoją prawą rękę, bo umiesz się zwięźle wysławić – poinformował go Hokan.

– Tak jest, panie generale.

– Dzięki temu możesz uchodzić za prawdziwego myśliciela wśród istot swojej rasy – ciągnął Mandalorianin. – Nie pozwól, żebym zrewidował tę opinię.

Nie widzieć ich, panie generale. Szczerze – odparł Weequay. – Ani raz.

– Więc ruszaj w drogę trasą którą mieli patrolować, i sprawdź, czy czegoś nie znajdziesz. – Hokan odwrócił się i sięgnął po leżący na stole pręt do wytwarzania elektrowstrząsów. Rolniczy przyrząd służył zazwyczaj do zaganiania stad zwierząt, ale doskonale zdawał egzamin także w zastosowaniu do większości istot rozumnych. GutaNay nie odrywał od niego spojrzenia. – Właśnie dlatego nie znoszę braku dyscypliny, a zwłaszcza pijaństwa i kradzieży – podjął Mandalorianin. – Kiedy chcę wiedzieć, gdzie się ktoś podziewa, nic z tego nie wychodzi. Kiedy potrzebuję środków, zawsze się okazuje, że zostały już wcześniej na coś przeznaczone. Kiedy wymagam kompetencji, mój sztab zachowuje się jak banda niedoświadczonych żółtodziobów. – Wcisnął końcówkę pręta pod pachę Weequaya. – Na planecie wylądowali żołnierze Republiki. Nie wiemy, w jakiej liczbie, ale widzieliśmy zestrzelony śmigacz i ogromny czarny krater w okolicy Imbraani. Im więcej mam informacji, tym łatwiej mogę ocenić rozmiary zagrożenia i tym szybciej zdołam się z nim uporać. Czy to jasne?

– Tak jest, panie generale.

Hokan opuścił elektrowstrząsowy pręt i Weequay wybiegł na dwór z wyraźnie odświeżonym optymizmem co do przyszłości własnej kariery. Mandalorianin poczuł dumę, że potrafi motywować podwładnych do działania. Zaczęło się, pomyślał. Przylatują na podbój Qiilury. Zamknął się w swoim pokoju i włączył ekrany wszystkich komunikatorów.

Wiedział coś niecoś o umowie, jaką Ankkit zawarł z przedstawicielami Separatystów. Wiedział o intensywnych pracach budowlanych, które miały przekształcić magazyn zboża w budynek o potrójnie uszczelnionych drzwiach i ścianach, które dawałoby się sterylizować w bardzo wysokiej temperaturze. Musiał także podjąć próbę stworzenia zespołu niezawodnych ochroniarzy z zatrudnianych przez siebie szumowin, bo ważni naukowcy Separatystów przylatywali i odlatywali, a Neimoidianie węszyli konspirację wszędzie, gdzie się dało. Z drugiej strony... czasami mieli rację.

A później w Imbraani pojawili się Jedi i nagle wszystkie elementy łańcuchówki wskoczyły gładko na właściwe miejsca. Zrozumiałe stało się nawet przybycie sił zbrojnych Republiki, które prawdopodobnie wylądowały na Qiilurze. Hokan domyślał się, o co im chodzi. Na planecie znajdował się ważny cel o znaczeniu wojskowym.

Ale przecież jestem synem swojego ojca, pomyślał z dumą. Jestem wojownikiem. Ciekaw był, czy wszystkie pozbawione korzeni cywilizacje są niezdolne do dalszego rozwoju i skazane na rozpamiętywanie dawnej chwały. Wolałby stoczyć walkę z godnym przeciwnikiem niż terroryzować farmerów, którzy nie mieli dość odwagi, aby podjąć walkę.

Co prawda za walkę z żołnierzami musiałby zażądać większego honorarium, a gdyby mu się udało... cóż, mógłby wreszcie odlecieć z tej planety i podążyć w inne miejsce.

Nie miał nigdzie domu, a w galaktyce pozostało niewiele jego ziomek. Mimo to Hokan wiedział, że ta sytuacja może ulec zmianie. Tak, Mandalorianie byli kiedyś bardzo potężni.

Rozsiadł się wygodnie na fotelu i wsłuchał w gwar rozmów z głośników komunikatorów.

# ROZDZIAŁ

## 6

*Chcecie wiedzieć, w jaki sposób klony się orientują, który jest który? A kogo to obchodzi? Są po to, żeby walczyć, a nie żeby utrzymywać stosunki towarzyskie.*

— *Sierżant Kai Skirata*

– Wynoś się! – wrzasnął Birhan. – Wynoś się stąd i nie wracaj! To ty sprowadziłaś na nas to nieszczęście. Zabieraj się stąd! No już, jazda!

Farmer rzucił w Etain bryłką zeschniętej gleby, ale padawanka uskoczyła i gruda rozbiła się obok niej. Stara kobieta – która nie była żoną Birhana, jak Etain zdążyła się zorientować – podeszła do farmera od tyłu i chwyciła go za rękę.

– Nie bądź głupcem – burknęła. – Jeżeli zaopiekujemy się tą Jedi, oni zatroszczą się o nas, kiedy przyleci tu Republika.

Birhan nie odrywał spojrzenia od Etain, jakby się zastanawiał, czy nie pójść do komórki na narzędzia po widły.

– Republika, akurat – mruknął gniewnie. – Jeżeli już o nich mowa, nie są lepsi od Neimoidiańców. Będziemy cały czas na samym dnie, bez względu na to, kto sprawuje rządy na górze.

Etain, stojąc z rękami splecionymi na piersiach, zastanawiała się, w jakich okolicznościach starsza kobieta, która nazywała się Jinart, przyłączyła się do licznej rodziny Birhana. Była fatalną kucharką i chyba nie miała dość sił, żeby pomagać mu w ciężkiej pracy.

Padawanka przypuszczała, że – podobnie jak większość innych niemłodych Qiiluranek, jakie spotykała – Jinart zarabiała na utrzymanie, sprzedając wełnę merlie.

Etain nie miała specjalnego zaufania do skuteczności perswazji kobiety. Postanowiła wykorzystać własne umiejętności. Spojrzała na Birhana.

– Chcesz, żebym została – odezwała się ze skupieniem i powagą jak nauczał ją mistrz Fulier. – Chcesz ze mną współpracować.

– Wolałbym raczej zgnić, niż miałbym z tobą współpracować, panienko! – huknął farmer. – I nie zapominaj mówić „proszę pana”, kiedy odzywasz się do mnie.

Etain nigdy nie opanowała sztuki stosowania perswazji Jedi w trudnych sytuacjach. Na nieszczęście to właśnie w takich sytuacjach najbardziej jej potrzebowała.

Jinart szturchnęła bezceremonialnie Birhana, tak mocno, że mężczyzna się zachwiał, co było nie lada wyczynem jak na tak niską osobę.

– Jeżeli ci Jedi wylądują głupcze, ona sprowadzi ich tu, żeby się porachowali z tobą – zaczęła. – Nie pora robić sobie nowych wrogów. A jeżeli nawet nie wylądują... no cóż, wszystko rozejdzie się po kościach, a tobie pozostanie ktoś, kto potrafi zmusić zbiory do szybszego dojrzewania. – Spojrzała na Etain. – Mam rację, dziewczyno? – zapytała. – Przecież Jedi umieją przyspieszać tempo wzrostu zboża, prawda?

Padawanka śledziła wiejską negocjatorkę w akcji z narastającym szacunkiem.

– To prawda, umiemy zaprzęgać Moc, żeby hodować rośliny – przyznała.

Nie kłamała. Słyszała historie o padawanach, którzy przyłączali się do korpusów rolniczych, jeśli podczas szkolenia nie radzili sobie najlepiej z przyswajaniem umiejętności Jedi. Ona jednak nie mogłaby sobie wyobrazić niczego gorszego niż życie na zacofanej planecie i wygłaszanie przemówień do łąnów dojrzewającego zboża. Chciała odlecieć z Qiilury najszybciej jak to możliwe, nie tylko z powodu zebranych informacji, które ukryła pod płaszczem. Zajęcie się

rolnictwem oznaczało porażkę, a padawanka nie chciała, żeby coś jeszcze przypominało ojej nieudolności.

– Ta-a – wycedził Birhan. Splunął, odwrócił się i mruczając pod nosem przekleństwa, ruszył do domu.

– Wszyscy stajemy się nerwowi, kiedy zbiry Hokana zaczynają palić nasze farmy – wyjaśniła Jinart. Ujęła Etain za rękę i skierowała z powrotem do stodoły, która stała się nowym domem padawanki. Chociaż... wcale nie stała się jej domem. Etain przypomniała sobie, że nie może mieć żadnego domu. Nie wolno jej nikogo kochać, z nikim się przyjaźnić i mieć zobowiązań wobec kogokolwiek z wyjątkiem Mocy, pomyślała. No cóż, przynajmniej nie będzie jej trudno stąd odlatywać. – I naturalnie zabijać farmerów – dodała Jinart..

– Więc dlaczego ty nie jesteś zdenerwowana? – zainteresowała się Etain.

– Jesteś ostrożnym dzieckiem – zauważyła kobieta.

– Straciłam mistrza – przypomniała padawanka. – To zachęca do zachowywania ostrożności.

– Ja tam patrzę na życie z szerszej perspektywy – oznajmiła Jinart, zupełnie nie jak starsza osoba, która całe życie przedzie wełnę merlie. – Dbaj o swoje bezpieczeństwo i nie spaceruj po okolicy.

Etain stwierdziła, że chyba wpada w podobną paranoję jak Neimoidianie. Zastanawiała się nawet, czy nie zawodzi jej instynkt. Dobrze chociaż, że zawsze umiała wyczuwać emocje i stany umysłowe otaczających ją osób.

– Więc wiedzą gdzie mnie znaleźć? – zagadnęła cicho, jakby chciała skłonić kobietę do zwierzeń.

Jinart napięła mięśnie.

– To zależy od tego, kogo masz na myśli – powiedziała, idąc obok niej i roztaczając wokół siebie ostrą woń sierści merlie. – Niespecjalnie cenię sobie urrqal, a podczas życia na tej planecie nie znalazłam niczego, na czym by mi zależało.

– Powiedziałaś kiedyś, że się zbliżają – przypomniała padawanka.

– Rzeczywiście tak powiedziałam.

– Jestem zbyt niecierpliwa, żeby bawić się w rozwiązywanie zagadek.

– Więc powinnaś nauczyć się cierpliwości i nabrać większej pewności, bo oni już tu są. Przylecieli, żeby ci pomóc – odparła Jinart. – Ty jednak także musisz im pomóc.

Etain wybiegła myślami naprzód i poczuła ciężar w żołądku. Nie, nie zamierzała dać się nabrać na karnawałowe sztuczki jarmarcznych wróżbitek. Dodając własną wiedzę i odczucia do niejasno sprecyzowanych ogólnych pojęć, odkrywała znaczenia tam, gdzie ich nie było. Naturalnie, że Jinart wiedziała o przybyciu intruzów. Chyba całe Imbraani słyszało o mistrzu Fulierze. Trudno byłoby nie odgadnąć, że na coś się zanosi, kiedy na farmie roztrzaskują się nieznane statki, a siepacze z milicji Hokana przeszukują wszystkie możliwe kryjówki i zakamarki. Mimo to z jakiegoś powodu Jinart wolała przemawiać zagadkami.

– Potraktuję cię poważnie, kiedy zdecydujesz się wreszcie powiedzieć mi coś konkretnego – oznajmiła Etain.

– Nie musisz być tak bardzo podejrzliwa – odparła z namysłem starszawa kobieta. – I powinnaś uważniej patrzeć na to, co wydaje ci się, że widzisz.

Kiedy Etain otworzyła drzwi stodoły, ze środka wypłynął odurzającą falą zapach słomy i barq. Padawanka uświadomiła sobie, że to ją uspakaja, a nawet w jej serce wstępuje nowa nadzieja. Nie znała powodu, ale może Jinart działała na nią kojąco niczym babcia, chociaż nie potrafiła albo nie chciała wyraźnie powiedzieć, o co jej chodzi.

Naturalnie Etain nie pamiętała własnej babki ani nikogo innego z biologicznej rodziny. Rodzina nie była dla niej czymś znajomym i kojącym, bo padawanka dorastała w gronie podobnych do niej nowicjuszy Jedi, których wychowywaniem i szkoleniem zajmowali się inni Jedi, niekoniecznie rasy ludzkiej.

Mimo to zapragnęła mieć rodzinę, nawet gdyby to miało oznaczać zamieszkanie pośród wiecznie kłócących się członków klanu qiilurańskiego farmera. Nie czułaby się wówczas tak bardzo samotna.

– Chciałabym mieć dość czasu, żeby nauczyć cię, jak przeżyć – odezwała się Jinart. – Tym zadaniem będzie się jednak musiał zająć ktoś inny. Kiedy się ściemni, bądź gotowa wyruszyć ze mną w drogę.



Tym razem Jinart wyrażała się o wiele jaśniej. Na pewno nie była zwykłą wieśniaczką na jaką wyglądała. Etain postanowiła jej zaufać, bo wszystko wskazywało, że Jinart jest jej jedyną sojuszniczką.

Naturalnie miała także swój świetlny miecz.

Darman stanął na skraju lasu i spojrzał na otwarte pole o rozmiarach oceanów planety Kamino.

Przynajmniej tak wyglądało. Komandos nie widział granic pola z prawej ani z lewej strony i tylko przed nim, daleko na horyzoncie, majaczył skraj następnego lasu. Łany zboża – stalowoszare, połyskujące i kołyszące się na wietrze – sięgały mu tylko do pasa. Darman znajdował się trzydzieści kilometrów na wschód od PZ Gamma. Chciał do niego dotrzeć jak najszybciej i chociaż trochę się przespać, zanim pojawią się pozostali członkowie drużyny.

Gdyby podążał skrajem pola pod osłoną otaczającego je żywopłotu, straciłby niewiarygodnie dużo czasu. Zamierzał więc ruszyć na przełaj w kierunku lasu. Wyciągnął z saszetki u pasa jeden z trzech mikrozdalników i włączył urządzenie. Było wyposażone w miniaturową kamerę i miało rozmiary najmniejszego kolibra, żeby można je było ukryć w dłoni. Darman nastawił zdalnika na badanie okolicy w promieniu pięciu kilometrów. Nie lubił używać tych urządzeń, jeżeli miał inne wyjście. Na planetach w rodzaju Qiilury promienie słońca odbijały się od srebrzystego metalu obudowy, więc zdalniki było łatwo zauważyć. Słysnęły także z tego, że się często gubiły. Nie tylko przekazywały, ale także rejestrowały obrazy, więc Darman musiał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby aparacik nie wpadł w ręce nieprzyjaciół.

On także nie był zupełnie niewidoczny. Spojrzał na pancerz wysmarowany zaschniętym błotem, wilgotnym zielonym mchem i czymś o wiele, wiele gorszym. Czuł, że wygląda jak zakuty w plastoidowy stop ogromny obiekt przemysłowy pośrodku naturalnego sielskiego krajobrazu.

Opadł na czworaki i poprawił plecak, żeby spoczywał dokładnie pośrodku pleców. Poczul ból w kolanie i doszedł do wniosku, że

pokonanie czołganiem odległości do skraju następnego lasu nie poprawi stanu naderwanego mięśnia. Wiedział jednak, że im szybciej dotrze na drugą stronę, tym wcześniej będzie mógł odpocząć.

Zdalniak pofrunął pionowo w powietrze i przekazał szybko malejący widok porośniętego zbożem pola. Z każdą chwilą przesyłany obraz obejmował większy teren na wyświetlaczu przesłony hełmu Darmana. Nigdzie, jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnych zabudowań, ale to jeszcze nie oznaczało, że okolica jest wyludniona.

Posuwanie się na czworakach z ciężkim plecakiem wymagało mnóstwa energii, ale kombinezon posłusznie utrzymywał stałą temperaturę ciała komandosa. Darman doszedł do wniosku, że elektroniczne systemy jego pancerza mają więcej zalet niż wad. Nie musiał się martwić, że okazy dzikiej fauny Qiilury ugryzą go, podrapią, zakazą czy w jakikolwiek inny sposób uprzykrzą mu życie.

Poruszał się jednak bardzo powoli. Musiał zatoczyć szeroki łuk, jeżeli chciał ominąć niewielkie miasto o nazwie Imbraani. Pokonywał teren w takim tempie cały dzień, chociaż jedynym terminem, jaki mógł mieć obecnie znaczenie, była chwila dotarcia jego towarzyszy do punktu zbornego Gamma. Gdyby go tam nie zastali, mieli ruszyć sami w dalszą drogę. A później... no cóż, później musieli opracować inny plan. Wykonanie zadania we trzech wiązało się z koniecznością zmiany taktyki i zdobycia jak najwięcej dokładnych informacji.

Darman przypuszczał, że zajmie im to dłużej niż kilka dni. O wiele dłużej. Zaczął sprawdzać, które z miejscowych okazów fauny i flory mogą nadawać się do jedzenia. Interesowało go także rozmieszczenie źródełek i strumyków, których nie było widać na zarejestrowanych z dużej wysokości obrazach. Zastanawiał się, czy do kategorii jadalnych zwierząt zaliczyć także gdany, ale chyba nie były warte tego, żeby próbować.

Od czasu do czasu prostował plecy i wypijał kilka łyków wody z manierki. Skurczony z głodu żołądek nie podsuwał mu już obrazków skwierczących płatów nerfiego mięsa, ale słodkiego, sycącego, pulchnego, bursztynowego ciasta uj. To by była dopiero uczta. Pewnego razu szkolący ich sierżant pozwolił członkom drużyny – jego pierwszej drużyny – spróbować takiego ciasta. Sprzeciwił się regułem

Kaminoan, nakazującym żywić klony starannie zrównoważonymi mieszankami odżywczymi. „Wciąż jesteście tylko chłopcami – powiedział. – Napełnijcie kałduny, rekruci”. Więc je napełnili. Dobry, stary Kai, pomyślał Darman.

Nadal miał w pamięci tamten aromat. Zastanawiał się, jakimi jeszcze zastrzeżonymi dla cywilów luksusami będzie mógł się nacieszyć, jeżeli nadarzy się okazja.

Usunął tę myśl z głowy. Szczycił się swoim opanowaniem. Był zawodowcem.

Nie potrafił jednak zapomnieć tamtego ciasta uj.

– Dość tego. Ruszaj w drogę – powiedział do siebie. Tak bardzo mu doskwierał brak głosów towarzyszy, że postanowił się pocieszać brzmieniem własnego. Cały czas zachowując czujność, zamierzał odtąd odgrywać podwójną rolę: własną i oficera – dowódcy. – Jazda!

Zdalniak przesyłał cały czas łatwe do przewidzenia obrazy sielskiego krajobrazu. Darman oglądał równe spłachetki pól uprawnych, przetykane lasami lub kępami drzew i gęstych krzaków, które przypominały, że planeta była niegdyś dzika i niezamieszкана. Na razie nigdzie nie widział ogromnych kombajnów zbożowych. W pewnej chwili wydało mu się, że zauważył jakiś duży ciemny kształt, buszujący w polu po jego lewej stronie, ale kiedy skupił spojrzenie na tamtym miejscu, dostrzegł tylko utworzone przez wiatr zagłębienie w łanie zboża.

Nagle w miejscu, gdzie jeszcze chwilę wcześniej widział obraz okolicy, na przesłonie jego hełmu pojawiła się czarna plama.

Darman zamarł. W pierwszej chwili pomyślał, że zdalniak uległ uszkodzeniu. Zaraz jednak wizerunek pojawił się na nowo. Płonął czerwonym blaskiem i wyglądał, jakby ukazywał coś wilgotnego. Komandos uświadomił sobie, że ogląda przewód pokarmowy jakiegoś stworzenia.

Domyślił się, że urządzenie zostało połknięte przez latający okaz quiilurańskiej fauny.

Kilka sekund później nad głową komandosa przeleciał, łopocząc powoli dwiema parami skrzydeł, wielki ptak, który rzucił złowieszczy cień na rozciągający się pod nim łan zboża. Darman spojrział w górę.

Prawdopodobnie taki sam ptak wpadł w głąb atmosferycznego silnika narshańskiego opylacza.

– Mam nadzieję, że dostaniesz rozstroju żołądka, ty zdalniakożerco – burknął komandos. Zanim ruszył w dalszą drogę, zaczekał, aż ptak odleci i przemieni się w ciemną plamkę.

Dotarcie do przeciwległego krańca pola zajęło mu pół godziny. Do punktu zbornego pozostawało wciąż jeszcze jakieś dwadzieścia pięć kilometrów. Darman postanowił ominąć miasteczko od północy, chociaż w zasadzie nie powinien się poruszać w dzień. Trzeba dotrzeć do PZ możliwie jak najwcześniej, pomyślał. I zaczekać tam na towarzyszy, na wypadek, gdyby uznali go za zmarłego i postanowili od razu ruszyć w dalszą drogę. Kiedy zaczął się przedzierać przez krzaki, spłoszył jakieś małe zwierzęta. Usłyszał szelest, ale nic nie zobaczył. Zastanawiał się, czy nie zdjąć plecaka i pojemnika, żeby chociaż na chwilę odpocząć.

Wiedział jednak, że kiedy je ponownie założy, pokonywanie terenu będzie mu przychodziło o wiele trudniej. Zmagając się ze zmęczeniem, poszperał w saszetce, wyciągnął kostkę racji żywnościowej i zaczął żuć. Miał nadzieję, że środki odżywcze dostaną się szybko do jego krwiobiegu i trochę go ocucą bo kiedy zapadnie w sen, już nie wstanie. Przed oczami tańczyły mu świetliste plamy, zupełnie jakby zmęczony umysł wyświetlał w jego polu widzenia własne obrazy.

Zaczekał, aż rozpuszczą się tańczące ostatnie kawałki kostki.

– No dobrze, żołnierzu, dźwigaj dalej ten ciężar – powiedział do siebie. Zabawa w wydawanie sobie rozkazów mogła mu pomóc zachować ostrożność. Sztuka polegała na pamiętaniu, gdzie kończy się zabawa, a zaczyna rzeczywistość. Pozwolił, żeby dowódca, którego rolę odgrywał, krzykiem zmusił go do działania.

– Rozkaz, proszę pana – odpowiedział. Jednym płynnym ruchem zerwał się z klęczek i wstał. Zachwiał się lekko, kiedy prostował nogi, ale zachował równowagę, oparłszy się o drzewo. Postanowił zapamiętać, że powinien spożywać więcej płynów.

W lesie było tak ciemno, że od czasu do czasu w hełmie włączał się system widzenia w nocy, dzięki któremu na tle pni i konarów

pojawiły się upiorne zielonkawe obrazy. Darman zdążył się przyzwyczaić do odgłosów wydawanych przez niewielkie zwierzęta, szelestu liści i trzasku łamanych gałązek. Dźwięki układały się we wzór, który jego mózg klasyfikował jako NDQ – Normalny Dla Qiilury. Od czasu do czasu słyszał jednak niezarejestrowany do tej pory trzask lub szmer. Klękał wówczas i rozglądał się z karabinem gotowym do strzału, by szybko dojść do wniosku, że nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo.

Część odległości pokonał, idąc wzdłuż zaznaczonej na holomapie rzeki, która w rzeczywistości była strumieniem. Cichy plusk spływającej po skałach wody działał uspokajająco, tak jak powinien. Mniej więcej po godzinie Darman natknął się na niewielką polanę. Ukośne promienie słońca padały przez otwór w baldachimie liści na płynącą wodę, nad której powierzchnią wirowały jak w tańcu barwne owady.

Darman jeszcze nigdy nie widział niczego podobnego. Znał się na geologicznych formacjach i wiedział, czego żołnierze mogą się po nich spodziewać. Na ich podstawie mogli znaleźć źródła wody czy kryjówki w jaskiniach, unikać zdradzieckich osypisk czy niebezpieczeństwa lawin. Mogli znaleźć stanowiska obronne wysoko w górach czy wymyślić sposoby tarasowania wąskich przejść. Podczas przyspieszonego szkolenia poznali najważniejsze cechy rzeczywistego krajobrazu i dowiedzieli się, w jaki sposób wykorzystywać je do celów wojskowych.

Nikt jednak nie powiedział im, że planeta może wyglądać tak... uroczo. Darman nie znał odpowiednich słów, żeby to opisać. Podobnie jak po skosztowaniu ciasta ujj, dane mu było ujrzeć skrawek innego świata, który nie był jego światem.

Usiądź i odpocznij, powiedział sobie. Jesteś za bardzo zmęczony. Wkrótce zaczniesz popełniać fatalne w skutkach błędy.

Prowadzenie rozmowy z samym sobą było oznaką słabości. Darman potrząsnął energicznie głową żeby usunąć zmęczenie i odegnąć niebezpieczne myśli. Żadnych środków pobudzających. Mowy nie ma, pomyślał. Jeszcze nie. Musiał ruszyć w dalszą drogę. Owady krążyły nad powierzchnią wody niczym rejestrujące obrazy

szpiegowskie maszyny atmosferyczne.

Wyprzedziłeś kolegów o wiele godzin, mówił sobie. Zatrzymaj się. Jeżeli się nie prześpisz, staniesz się nieostrożny. Nie możesz sobie pozwolić na najmniejszą nieuwagę.

Brzmiało to, jakby słyszał głos swojego zdrowego rozsądku. Tym razem nie chodziło o zabawę, w której wymyślony dowódca wydawał mu rozkazy. Darman rzeczywiście odczuwał potrzebę odpoczynku i był pewien, że instynkt go nie myli. Zauważył, że w miarę upływu czasu porusza się coraz wolniej. Musiał się koncentrować, żeby stawiać jedną nogę przed drugą.

Stanął, zdjął plecak i pojemnik. Miejsce było dobrze wybrane na obozowisko. Napełnił manierkę wodą ze strumienia i przyciągnął w jedno miejsce kilka na wpół spróchniałych pni, żeby – jak uczył ich sierżant Kai – zbudować z nich ochronne przedpiersie. Zazwyczaj służył do tego niski, obronny krąg skał czy czegokolwiek innego, co akurat mieli pod ręką. Takie przedpiersie mogło uratować żołnierzowi życie na polu bitwy, kiedy nie można było wykopać żadnego zagłębienia. Darman usiadł za prowizorycznym szańcem i jakiś czas tylko się wpatrywał w wodę.

W końcu rozszczelnił hełm i pierwszy raz od wielu godzin zaczął oddychać nieprzefiltrowanym powietrzem.

Było pełne nieznanymi woniami. Różniło się zarówno od tego, jakim oddychał w klimatyzowanych pomieszczeniach Tipoca City, jak i od suchego pustynnego powietrza na Geonosis. Wydawało się, że atmosfera Qiilury... żyje. Darman rozpiął zatraski pancerza, zdjął płytki i ułożył wszystkie wewnątrz przedpiersia. Aktywował czujniki hełmu, żeby ostrzegały go o wszystkim, co się rusza, i położył hełm na szczycie prowizorycznego szańca. W końcu zdjął wszystkie części kombinezonu, jedną po drugiej, i każdą opłukał w przybrzeżnej wodzie.

Dzień był zdumiewająco ciepły. Komandos nie mógł tego wiedzieć, dopóki miał na sobie kombinezon i pancerz. Informowały go o tym tylko wskazania czujników, podających wartości parametrów otaczającego go środowiska.

Kiedy jednak zanurzył się w wodzie, przekonał się, że jest

przeraźliwie zimna. Wykąpał się najszybciej jak potrafił i usiadł w kręgu słonecznego blasku, żeby wyschnąć. Wkładając kombinezon, zwrócił uwagę, że jego części wyschły o wiele szybciej niż jego ciało.

Zanim pozwolił sobie zasnąć, ponownie założył pancerz. Nie było sensu przyzwyczajać się do błogostanu, jaki odczuwał, ilekroć go zdejmował. Głęboko wpojono mu konieczność noszenia zbroi podczas szkolenia. Darman był zaskoczony, że nawet przez sekundę mógł zapragnąć, aby nie mieć jej na sobie. Na terenie opanowanym przez nieprzyjaciela spało się w pancerzu i z gotowym do strzału blasterem. Komandos objął karabin i usiadł. Oparł się o plecak i zaczął wpatrywać się w taniec owadów nad zalewaną przez słoneczny blask powierzchnią wody.

Były hipnotyzująco piękne. Kiedy zataczały ósemki, ich skrzydła rzucały błękitne i jasnoczerwone błyski. Nagle jednak wszystkie, jeden po drugim, opadły na powierzchnię i zaczęły spływać z prądem wody. Nadal wyglądały pięknie, ale prawdopodobnie były już martwe.

Darman drgnął. Rozpylona trucizna, pomyślał. Zacisnął powieki, wypuścił powietrze z płuc, włożył hełm i zaczął oddychać dopiero, kiedy usłyszał charakterystyczny syk uszczelki i upewnił się, że zaczął funkcjonować filtr maski. Zdziwił się, bo na przesłonie hełmu nie zobaczył informacji o żadnych toksynach. Powietrze było nadal czyste.

Pochylił się nad wodą i złapał kilka owadów, które porwał przybrzeżny wir. Jeden poruszył parę razy nóżką ale po chwili zupełnie znieruchomiał. Darman rozejrzał się, ale w powietrzu nie pozostał ani jeden owad. Ogarnął go niewytłumaczalny smutek, a także niepokój, że nie potrafi wyjaśnić przyczyny niezwykłego zjawiska.

Wyciągnął z saszetki opróżniony pojemnik na racje żywnościowe i umieścił owady w środku, żeby je później zbadać. Upewnił się, że karabin jest odbezpieczony, zamknął oczy i spróbował się zdrzemnąć.

Sen jednak nie nadchodził, bo hełm wykrywał każdy ruch i alarmował go co kilka minut, ilekroć w pobliżu kręciły się małe zwierzęta, które nie stanowiły dla niego najmniejszego zagrożenia.

Raz czy dwa czujniki poinformowały go o bliskości gdań, a kiedy Darman otwierał oczy, widział wpatrujące się w niego błyszczące punkciki odbitego światła.

W pewnej chwili czujniki wykryły obecność czegoś większego, co jednak nie dorównywało rozmiarami żadnej istocie człekokształtnej w jego bazie danych. Stworzenie trzymało się jednak z daleka i po chwili zniknęło.

Zdrzemnij się jakiś czas, nakazał sobie zmęczony komandos. Niedługo może ci się to bardzo przydać, synu.

Darman nie był pewny, czy słyszy własny głos, czy polecenie wymyślonego dowódcy. Tak czy owak rada była zbyt dobra, żeby z niej nie skorzystać.



Ghez Hokan nie lubił, kiedy go wzywano, ale Ovolot Qail Uthan umiała to robić bardzo taktownie. Zaprosiła go, żeby spotkał się z nią na terenie ośrodka badawczego, i wysłała nawet kogoś ze swojego personelu ze śmigaczem, aby zabrał Mandalorianina z jego gabinetu.

Hokan doceniał ten gest. Badaczka rozumiała, jak wykorzystywać władzę i wpływy. W przeciwieństwie do niej neimoidiański sknerus musiał się tego jeszcze nauczyć.

Uthan nie była szczególnie urodziwa, ale ubierała się elegancko – w proste, ciemne suknie, a postawę miała królewską co równoważyło niedociągnięcia jej urody. Hokanowi podobało się w niej najbardziej to, że badaczka – z pewnością wiedząc, że jej kobiecy urok na niego nie działa, nigdy nie rezygnowała z prób stosowania uwodzicielskich sztuczek. Była jednak dobrym fachowcem i oboje darzyli się wzajemnym szacunkiem. Jeszcze większe wrażenie wywierało na Hokanie to, że chociaż Uthan była badaczką przejawiała także subtelny talent do polityki. Mandalorianin mógł jej nawet wybaczyć, że podczas walki nie korzysta z prawdziwej broni.



Wszedł do budynku. Próchniejące ściany zabudowań farmy tuż za progiem ustąpiły miejsca drzwiom ze wzmocnionego stopu i długim korytarzom przedzielonym awaryjnymi przegrodami. Hoka przyciskał ręką hełm do ciała, bo nie chciał go powierzać służącemu, podobnie jak nie zamierzał mu oddawać swojej broni. Pomarszczony sługus był prawdopodobnie tubylcem, a Hoka uważał wszystkich tubylców za złodziei.

– A zatem spodziewa się pani pożaru w silosie zbożowym? – zapytał i szturchnął wskazującym palcem odporną na blasterowe strzały przegrodę.

Uthan wybuchnęła perlistym, gardłowym śmiechem. Mandalorianin doskonale wiedział, że badaczka bez trudu umie nadać głosowi rozkazujące brzmienie, którym mogłaby powstrzymać szarżę oddziału wojska.

– Dziękuję, że zechciał pan znaleźć czas na spotkanie się ze mną generale Hoka – zaczęła. – W normalnych okolicznościach nigdy bym nie pominęła osoby, z którą zawarłam umowę, na rzecz prowadzenia rozmów z... z podwykonawcą. Nie uważa pan, że to bardzo nieuprzejme? Problem w tym, że jestem trochę zaniepokojona.

A więc Ankkit nie wiedział o ich rozmowie. Hoka zaczynał się domyślać, o co chodzi.

– Jestem zwyczajnym obywatelem i nazywam się Hoka – powiedział. – Czy mógłbym poznać powód tego niepokoju... proszę pani? – Poczuł się nagle głupio. Nie miał pojęcia, jak się do niej zwracać. – ...panno Uthan?

– Proszę mówić do mnie „pani doktor”. Tak będzie chyba najlepiej – odparła Uthan.

A zatem jak mógłbym uśmierzyć pani niepokój, pani doktor? – zapytał Mandalorianin.

Uczona poprowadziła go do sąsiedniego pokoju i wskazała trzy miękkie, obite beżowym brokatem fotele, z pewnością sprowadzone aż z Coruscant. Hoka zawahał się, ale w końcu zajął miejsce na demonstracyjnie dekadentckim meblu. Zdecydował się na to, bo gdyby stał w jej obecności, wyglądałby jak sługa. Uthan usiadła na sąsiednim fotelu.

– Mam nadzieję, że trochę się pan orientuje, jakie znaczenie mają prowadzone przeze mnie prace – powiedziała.

Nie znam szczegółów, pani doktor, ale podobno chodzi o jakieś wirusy – przyznał Mandalorianin. – Dowiedziałem się tego na podstawie dokumentacji technicznej. – Sprawował nadzór nad ekipami budowlanymi, których wszyscy pracownicy byli złodziejami. – Substancje niebezpieczne dla zdrowia, a może nawet życia.

Jeżeli nawet Uthan była zaskoczona, nie dała po sobie nic poznać.

– Właśnie – powiedziała. – Przyznaję, że jestem zaniepokojona wydarzeniami ostatnich dni. Lik Ankkit zapewnia mnie, że nie muszę się obawiać o swoje bezpieczeństwo, ale byłabym wdzięczna, gdyby zechciał mi pan przedstawić swoją ocenę sytuacji. – Ton jej głosu trochę ochłódł. Nadal wyczuwało się w nim słodycz, ale pojawiły się także kryształki lodu. – Czy nasze badania są zagrożone? Da pan radę zapewnić bezpieczeństwo mojemu ośrodkowi?

Hokan nie wahał się ani chwili.

– To prawda, pani ośrodek raczej nie jest bezpieczny – zaczął bez zbędnych wstępów. Był mistrzem w swoim fachu i nie widział sensu w narażaniu na szwank własnej reputacji z powodu ograniczeń, z którymi nie miał nic wspólnego. – Nie potrafię niczego zagwarantować, jeżeli nadal będę miał do dyspozycji tylko taki personel, jaki mi przydzielono.

Uthan rozsiadła się demonstracyjnie powoli na fotelu.

– Zacznijmy od ostatniej sprawy – powiedziała. – Nie ma pan dość środków, żeby wynająć odpowiedni personel? Umowa z Ankkitem opiewała na całkiem sporą sumę.

– Jego hojność nie obejmuje mojej działalności.

– Aha. Więc może w trosce o skuteczność powinniśmy skrócić łańcuch decyzyjny?

– Nie mam na ten temat własnego zdania – przyznał Hokan. – Ankkit może sobie brać, ile chce, dopóki będę miał narzędzia do wykonywania swojej pracy.

– Niezupełnie miałam na myśli takie rozwiązanie, jeżeli chodzi o Lika Ankkita. – Badaczka się uśmiechnęła, ale w jej uśmiechu nie wyczuwało się ani odrobiny ciepła. – Przypuszcza pan, że niedawne

ataki mogą mieć coś wspólnego z moim ośrodkiem? – zapytała.

– Dysponuję tylko pośrednimi dowodami, ale rzeczywiście tak mi się wydaje. – Hokan odwzajemnił jej uśmiech, ale miał nadzieję, że jego jest o kilka stopni chłodniejszy. Jeżeli Uthan potrafiła tak się odnosić do Ankkita, na pewno mogłaby w podobny sposób potraktować jego. – To duża planeta. Dlaczego akurat coś się dzieje w rejonie Imbraani? Z jakiego innego powodu mieliby wysyłać agentów Jedi?

– Zlokalizował pan jakieś oddziały? – zainteresowała się Uthan.

– Nie – przyznał Mandalorianin. – Zidentyfikowałem jednak przynajmniej dwa punkty bezpośredniego kontaktu i jeden statek, który został zestrzelony albo uległ katastrofie.

– Bezpośredniego kontaktu? – powtórzyła badaczka.

– Mówię o sytuacji, w której żołnierze przeciwnych stron toczą ze sobą walkę – wyjaśnił Hokan, chociaż dowodzona przez niego przypadkowa zbieranina najemników nie zasługiwała na to, żeby nazywać ich żołnierzami. – Nie znam jednak liczby przeciwników.

– Czy pańskie zadanie byłoby łatwiejsze, gdybym się postarała, żeby przydzielono panu dowództwo nad robotami Separatystów i ich oficerami z naszego garnizonu? – zapytała Uthan.

– Nie zamierzam opowiadać się po niczyjej stronie – zapowiedział Hokan. – Nie będę kłamał ani udawał, że zależy mi na pomyślnym wyniku pani badań.

– Naturalnie nie brak panu wojskowego doświadczenia – stwierdziła uczona. – Nie ma niczego haniebnego w tym, że ktoś jest najemnikiem.

– Jestem Mandalorianinem – odparł Hokan. – To tkwi w mojej duszy i stanowi część mojego szkolenia. Nie, nie ma w tym niczego haniebnego, jeżeli ktoś daje z siebie wszystko, na co go stać.

Niespodziewanie Uthan się odprężyła, a na jej twarzy pojawił się autentycznie współczujący uśmiech.

– Chyba powinnam się podzielić z panem pewną informacją chociaż może to sprawić panu przykrość – zaczęła obłudnym, chociaż nadal oschłym tonem. – Republika stworzyła armię sklonowanych żołnierzy. Całe miliony. Wyhodowano ich, żeby bez wahania służyli,

walczyli i umierali dla generałów Jedi. Zaprojektowano ich w taki sposób, aby się stali ich pokornymi sługami. Nie mają normalnego życia i starzeją się bardzo szybko... jeżeli w ogóle dożywają starości, bo muszą brać udział w bezsensownych bitwach. Czy wie pan, kto dał materiał genetyczny do stworzenia tych nieszczęsnych niewolników?

– Nie mam pojęcia. – Hokan nigdy nie odczuwał zakłopotania, ilekroć musiał się przyznawać do niewiedzy. Wstyd pasował ludziom mniejszego kalibru. – Proszę mi to powiedzieć.

– Jango Fett.

– Co takiego?

– Tak. Dla większej chwały Jedi do produkcji mięsa armatniego wykorzystano materiał genetyczny najwspanialszego mandaloriańskiego wojownika tamtych czasów.

Hokan nie byłby bardziej zaskoczony, gdyby plunęła mu w twarz. Musiała sobie uświadamiać, że ta rewelacja doprowadzi go do wściekłości, skoro użyła emocjonalnego określenia „wojownik” zamiast „łowca nagród”. Wiedziała, jak bardzo ta informacja urazi jego dumę, ale postąpiła słusznie, że mu powiedziała. Chodziło o honor, i to nie tylko jego. Hokan nie zamierzał dopuścić, żeby ktokolwiek wykorzystywał jego dziedzictwo w tej parodii uczciwej wojny.

– Przyjąłbym tę propozycję, nawet gdyby pani mi nie zapłaciła – powiedział.

Uthan jeszcze bardziej się odprężyła.

– Na początek możemy powierzyć panu dowództwo nad setką robotów – zaczęła z namysłem. – Proszę powiedzieć, jeżeli będą panu potrzebne następne. To niewielki garnizon, bo nie chcemy zwracać na siebie niczyjej uwagi, ale teraz, skoro już o nas wiedzą możemy zapewnić panu wsparcie... gdyby miało się to okazać konieczne. Co z pana dotychczasową milicją?

– Chyba przydałyby mi się formularze wypowiedzeń – odparł Hokan. – Pani żołnierze mogliby zacząć od udzielenia mi pomocy w załatwieniu tej sprawy.

Uthan zamrugnęła zdziwiona, a Mandalorianin uświadomił sobie, że zrozumienie prawdziwego znaczenia jego słów zajęło jej sporo

czasu. W końcu jednak badaczka zorientowała się, co chciał jej powiedzieć: „Potrafię być równie bezwzględny jak pani”. Odtąd na pewno pomyśli dwa razy, zanim poderwie jego autorytet w podobny sposób, w jaki zamierzała poderwać autorytet Ankkita.

– To może być rozsądny początek – przyznała w końcu.

Hokan wstał i chwycił oburącz hełm. Zawsze był dumny z tradycji, niezmienionej od tysięcy lat, jeżeli nie liczyć dokonywanych tu i ówdzie udoskonaleń. W rzeczywistości liczyło się to, co znajdowało się pod mandaloriańskim pancerzem: serce wojownika.

– Chciałby pan może wiedzieć, nad jakim wirusem prowadzimy tu prace, majorze Hokan? – zagadnęła uczona.

A zatem miał już prawdziwy stopień wojskowy zamiast ekstrawagancko fałszywego „generała”.

– A powinienem? – zapytał.

– Chyba tak – odparła Uthan. – Widzi pan, ten wirus ma oddziaływać tylko na klony.

– Zaraz, zaraz – zachnął się Mandalorianin. – Mają się znów stać prawdziwymi ludźmi?

– Ich dotychczasowego stanu już nic nie może zmienić – wyjaśniła Uthan. – Wirus ma ich zabijać.

Hokan bez pośpiechu włożył hełm.

– To najłaskawsze rozwiązanie – powiedział i rzeczywiście tak uważał.

# ROZDZIAŁ

## 7

*Bal kote, darasuum kote,  
Jorso 'ran kando a tome.  
Sa kyr 'am Nau tracyn kad, Vode an.*

*(I chwałą, wieczna chwałą,  
Razem dźwigniemy jej brzemię.  
Wykuta niczym szablą w płomieniach śmierci,  
Bracia wszyscy).*

— tradycyjna mandaloriańska pieśń wojenna

Byłoby im łatwiej, o wiele łatwiej, gdyby mogli toczyć walkę w innym środowisku.

Niner doszedł do wniosku, że po powrocie do bazy będzie musiał poprosić o uzupełnienie podręcznika ćwiczeń o zasady walki w terenie niezabudowanym, które uwzględniałyby fakt, że SPO – Standardowych Procedur Operacyjnych – dla terenu rolniczego o umiarkowanym klimacie nie da się zastąpić taktykami walki w dżungli.

Główną różnicę stanowiły pola uprawne. Miejsca kryjówek rozdzielało zbyt wiele otwartego terenu. Niner siedział w rozwidleniu konarów drzewa od tak dawna, że jeden pośladek zupełnie mu zdrętwiał, a drugi szybko podążał w jego ślady. Mimo to grupa członków quiilurańskiej milicji, raczących się urrqalem z pękatej

butli, nie zamierzała opuścić porośniętego trawą miejsca na skraju nieco wcześniej skoszonego pola.

Niner nie poruszał się, niewidoczny za zasłoną liści. Zbliżała się jesień, więc wkrótce komandosi nie będą się mogli w ten sposób ukrywać, jako że większość drzew w lesie gubiła na zimę liście. Zamierzali jednak wykonać zadanie i odlecieć długo przed nastaniem zimy.

– Dzieje się coś ciekawego, sierżancie? – zapytał Fi. Mówił szeptem, chociaż jego głos i tak nie mógł się wydostać poza hełm Ninera. Na wszelki wypadek Fi stosował z przyzwyczajenia wszelkie możliwe środki ostrożności. Jeżeli jeden środek był dobry, dwa były lepsze. – Nadal żłopia?

– Ta-a – przyznał obserwator. – Zawsze możemy poczekać, aż umrą na marskość wątroby. Oszczędzimy amunicję.

– U ciebie wszystko w porządku?

– Mam pełny pęcherz, ale poza tym czuję się znakomicie.

– Atin chyba rozbiera na kawałki pokładowy komputer tamtego śmigacza.

– Mam nadzieję, że robi to po cichu.

– Odszedł głębiej w las – stwierdził Fi. – Podobno znalazł w pamięci urządzenia i przepisał kilka map o bardzo dużej rozdzielczości, ale reszta została chyba przysmażona. W tej chwili pracuje nad plikami do szyfrowania.

– Jeżeli mu to sprawia satysfakcję...

Fi roześmiał się, co zabrzmiało jak prychnięcie.

– Ta-a, na pewno sprawia – powiedział.

„Byłem Darmanem”. Niner wciąż jeszcze nie miał pojęcia, co Atin chciał przez to powiedzieć. Będzie musiał zapytać go o to w bardziej stosownej chwili. Najlepiej by było, żeby podwładni Hokana wstali i odeszli, aby komandosi mogli przejść przez pole do PZ Beta, od którego dzieliły ich tylko cztery kilometry. Zabicie przeciwników z tej odległości nie stanowiłoby większego problemu, ale komandosi woleli nie zostawiać jeszcze jednego śladu swojej obecności, których i tak mieli za sobą zbyt wiele. Niner pragnął za wszelką cenę uniknąć bezpośredniego kontaktu z przeciwnikiem.

Wcześniej czy później musi im się skończyć urrał, pomyślał. I na pewno nie traktują zbyt poważnie rozkazów Gheza Hokana.

Obserwował całą grupę przez lunetę karabinu. Zastanawiał się, dlaczego przeważają w niej Weequayowie. W pewnej chwili siepacze Hokana unieśli głowy, ale nie patrzyli na niego. Raczej na coś, co znajdowało się po prawej stronie.

– Zbliża się pięć następnych celów – zameldował Fi. Niner ostrożnie skierował w tamtą stronę lunetę broni.

– Widzę je – potwierdził.

Nie wyglądali jak członkowie milicji Hokana. Na czele grupy szedł dziarsko wyglądający w dostosowanym do karnacji jasnoszarym mundurze Umbaranin, któremu towarzyszyły cztery bojowe roboty. Na ich widok niektórzy siepacze Hokana zerwali się na nogi. Jeden, który pozostał na trawie, wyciągnął ku nadchodzącym automatom butelkę i wybełkotał coś, co zabrzmiało, jakby zawartość stanowiła doskonały środek na rdzę.

Niner usłyszał tylko strzępki zdań, jakie nadchodzący Umbaranin skierował do członków milicji:

– ...Hokan pyta... jakiś kontakt...

Resztę zabrał wiatr. Dostali posiłki, pomyślał Niner. Z nimi nie pójdzie nam już tak łatwo.

Roboty stanowiły zupełnie inny problem, ale okazało się, że tym razem nie dla niego. Automaty uniosły bez ostrzeżenia blastery i otworzyły ogień do siepaczy Hokana. Po kilku starannie wymierzonych seriach spojrzały z góry na zwłoki, chcąc się upewnić, czy ich ofiary wciąż żyją. Umbaranin – Niner zadawał sobie pytanie, czy to zawodowy oficer, czy sierżant – podszedł bliżej i oddał z bliska strzał do jakiegoś Weequaya. Cała piątka przybyszów, wyraźnie zadowolonych z wykonanego zadania, zebrała blastery i broń boczną zabitych ofiar. Potem przeszukali kieszenie zwłok – Niner przypuszczał, że chcieli zabrać dowody tożsamości – i odeszli spokojnie tą samą drogą którą przybyli.

Niner usłyszał, że Fi odetchnął głęboko w tej samej chwili co on.

– No cóż – odezwał się komandos. – Przypuszczam, że teraz możesz wreszcie opróżnić pęcherz.



Niner ześlizgnął się po pniu, ale zachwiał się i o mało nie upadł, kiedy zdrewniała noga nie utrzymała ciężaru jego ciała. Zdjął płytki pancerza i zaczął pocierać udo, żeby szybciej przywrócić krążenie.

– Jak myślisz, o co w tym wszystkim chodziło? – zapytał.

Może Hokan nie znosi, kiedy jego podwładni pijana służbie? – zasugerował komandos.

Z lasu wyłonił się Atin, trzymając połączone płataniną kabli podzespoły.

– Wyglądało, jakby blaszaki pojawiły się, żeby ich zastąpić – powiedział. – Tylko dlaczego musieli zaraz do nich strzelać?

– Blaszaki? – powtórzył Fi.

– A jak nazywaliście ich w drużynie?

– Roboty.

Niner szturchnął podwładnego pod żebro.

– Generał Zey uprzedzał, że Hokan bywa nieprzewidywalny i porywczy – przypomniał. – Zabija z zimną krwią własnych podwładnych. Nie wolno nam o tym zapominać.

Komandosi zebrali sprzęt. Tym razem na Atina i Ninera przypadła kolej niesienia pakunków w splecionej i zawieszanej na drągu prowizorycznej sieci. Fi miał iść na czele grupy.

– Od początku nie oddałem ani jednego strzału – powiedział takim tonem, jakby się skarżył.

– Na wyprawach takich jak ta im mniej strzałów, tym lepiej – pocieszył go Atin.

Niner uznał to za dowód, że Atin zaczyna się wreszcie czuć jak pełnowartościowy członek drużyny. Ton jego głosu sugerował, że komandos nabiera coraz większej pewności siebie. Niesklonowani ludzie twierdzili, że nie umieją odróżnić jednego żołnierza od drugiego. Tak się zdarzało, jeżeli ktoś patrzył głównie na twarze, nie zastanawiając się nad tym, co kształtuje charakter ludzi i co się dzieje w ich głowach.

– Zachowaj amunicję na później – doradził Niner. – Mam przeczucie, że jeszcze może się nam przydać każdy pocisk.

Chyba postradałam zmysły, pomyślała Etain.

Obserwowała zaniedbane zabudowania farmy przez szparę między deskami w ścianie stodoły. Dachy budynków wciąż jeszcze odcinały się od ciemniejszego turkusowego nieba. Na werandzie domu mieszkalnego stały dwie zapalone lampy, których blask miał odstraszać gdany, żeby nie zapuszczały się na ścieżkę wiodącą do urządzonej na dworze ubikacji. Wokół gnieździło się tyle małych drapieżników, że jedno z ich podziemnych osiedli się zapadło. Na podwórku utworzyła się wielka dziura, która po każdym deszczu wypełniała się wodą. Trudno byłoby stwierdzić, że Birhan ma zwyczaj utrzymywania obejścia w należyтым stanie.

Z drugiej strony, ten fakt ułatwiał niektóre zadania młodej padawance. Zadowolona, że nikt nie zbliżył się do stodoły, Etain wróciła do obluzowywania desek w tylnej ścianie budynku gospodarskiego. Musiała się liczyć z możliwością że zostanie osaczona, więc powinna zapewnić sobie możliwość szybkiej ucieczki.

Wpatrując się w deski, usiłowała zapamiętać ich kształt i miejsce w ścianie. Wyobraziła sobie, że je rozdziela i rozsuwa na boki, żeby utworzyć szczelinę, przez którą mogłaby się przecisnąć. Poruszczone się, pomyślała. Rozdzielcie się, rozsuńcie na boki... I deski rzeczywiście się rozsunęły. Posługując się Mocą Etain rozsuwała je i zsuwała kilkakrotnie, za każdym razem starając się to robić w taki sposób, żeby nie wydawały nawet najcichszego skrzypnięcia.

Tak, potrafiła władać Mocą ilekroć czuła się pewna siebie i opanowana. Umiała robić wszystko, czego nauczał ją mistrz Fulier, ale chwile spokoju i pewności siebie w jej życiu zdarzały się bardzo rzadko. Padawanka zawsze starała się zapanować nad żywym temperamentem, który nie licował z powagą i godnością Jedi. Obserwowała tych, którzy akceptowali Mocę bez emocji, i w skrytości ducha zazdrościła im opanowania. Zastanawiała się, dlaczego płynąca w jej żyłach krew Jedi zechciała przejawiać się w kimś równie niedoskonałym jak ona.

Miała nadzieję, że na tyle opanuje sztukę władania Mocą aby w razie potrzeby wykorzystać tę umiejętność do czegoś bardziej doniosłego niż rozsuwanie desek w ścianie stodoły. Była pewna, że w

ciągu następnych kilku dni będzie musiała zrobić użytek ze wszystkiego, czego się wcześniej nauczyła.

Jinart pojawiła się krótko po zapadnięciu zupełnych ciemności. Zaciskając dłoń na rękojeści świetlnego miecza, Etain cały czas obserwowała uważnie podwórze przed stodołą ale nie zauważyła kobiety ani nawet jej nie usłyszała, dopóki drewniane drzwi się nie otworzyły.

Tym razem jednak ją wyczuła. No właśnie! Dlaczego wcześniej się nie zorientowała?

– Jesteś gotowa, dziewczyno? – zapytała kobieta. Miała na sobie wybrudzony szal, który okrywał ją od stóp do głów. Etain musiała przyznać, że to bardzo pomysłowe i przekonujące przebranie.

– Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś? – zapytała.

– Czego ci nie powiedziałam? – zdziwiła się Jinart.

– Może nie jestem doskonałą padawanką ale zawsze potrafię wyczuć innego Jedi – wyjaśniła Etain. – Chcę wiedzieć dlaczego.

– Mylisz się, wcale nie jestem Jedi – zaprzeczyła kobieta. – Przyznaję jednak, że obie służymy tej samej sprawie.

Rozejrzała się po stodole, zabrała resztę niedojedzonego przez Etain kawałka cienkocheba i ukryła go pod szalem.

– To nie była odpowiedź na moje pytanie – stwierdziła padawanka, wychodząc z budynku za kobietą. Nigdzie nie było widać żadnego gdana. Jeżeli Jinart, choć silna Mocą, nie była Jedi, Etain powinna się dowiedzieć, o co chodzi. – Muszę wiedzieć, kim jesteś.

– Wcale nie musisz – sprzeciwiła się Jinart.

– Skąd mam wiedzieć, że nie przeszłaś na Ciemną Stronę? Jinart przystanęła i odwróciła się do niej, dziwnie szybko jak na staruszkę.

– Potrafię decydować, kiedy chcę, żeby mnie wykryto – oznajmiła.

– A zważywszy na twoje kompetencje, to ja bardziej ryzykuję. A teraz bądź cicho.

Etain nie spodziewała się takiej odpowiedzi. Kobieta roztaczała wokół siebie aurę takiego samego autorytetu, jaki padawanka wyczuwała w obecności Fuliera... choć co prawda panowanie mistrza Jedi nad Mocą wykazywało silne wahania. Tymczasem od Jinart promieniowała niezachwiana pewność siebie.

Stara kobieta wiedziała, na co ją stać. Etain zazdrościła jej tej cechy charakteru.

Jinart poprowadziła ją do rosnącego na wschód od Imbraani lasu. Utrzymywała zdumiewająco szybkie tempo marszu, ale padawanka postanowiła nie zadawać na razie żadnych pytań. Od czasu do czasu kobieta ją ostrzegała:

– Uważaj na podziemne kolonie gdanów.

Etain omijała wówczas dziury i zagłębienia gruntu, które mówiły jej, że pod powierzchnią kryją się osady małych drapieżników.

Pół godziny później zatoczyły łuk i znalazły się na północ od brzegu rzeki Braan. Prawdę mówiąc, jak zwykle w przypadku qiilurańskich rzek, był to raczej spory strumień. Jinart stanęła nieruchomo i popatrzyła w stronę rady, choć nie skupiała na niej spojrzenia. W końcu gwałtownym ruchem zwróciła głowę na zachód, nabrała powietrza i powoli je wypuściła.

– Idź w górę rzeki – poleciała. – Podążaj cały czas wzdłuż jej brzegu i miej oczy szeroko otwarte. Twój żołnierz wciąż tam jest i bardzo potrzebuje tych planów.

– Żołnierz? – zdziwiła się Etain. – Tylko jeden?

– Przecież powiedziałam – burknęła Jinart. – Nie trać czasu, bo on nie będzie długo czekał.

– Więc to nie oddział – szepnęła padawanka. – Nawet nie drużyna.

– Zgadza się – przyznała kobieta. – Są też inni, ale znajdują się trochę dalej stąd. A teraz ruszaj w drogę.

– Dlaczego przypuszczasz, że mam jakieś plany? – zainteresowała się padawanka.

– Gdybyś ich nie miała, nie ryzykowałabym wskazywania ci drogi do kogoś, kto chce nawiązać z tobą kontakt – odparła Jinart. – Mam do wykonania inne zadanie. Odszukaj swojego żołnierza, a ja postaram się nakłonić Birhana, żeby go przyjął pod swój dach. Twój żołnierz musi się gdzieś ukryć. Ruszaj, bo nie zabawi długo w tamtym miejscu.

Etain obserwowała, jak Jinart się odwraca i odchodzi w stronę miasteczka. Staruszka tylko raz się obejrzała. Padawanka chwyciła rękojeść świetlnego miecza i spróbowała wyczuć, co się znajduje na

zachód wzdłuż brzegu rzeki. Po jakimś czasie rozejrzała się, ale nie zauważyła nigdzie starej kobiety. Usłyszała za to dobiegający od strony ładu szelest zakończonych pazurami łapek. Bez względu na to, co powstrzymywało gdany przed zbliżaniem się do obu kobiet, wraz z odejściem Jinart zniknęło. Padawanka zaczęła kopniakami odrzucać na boki małe zwierzęta. Miała nadzieję, że skóra jej butów to wytrzyma.

Gdyby wróciła na farmę, nic by się nie zmieniło, a ona nadal by nie wiedziała, jak i komu przekazać zdobyte informacje. Nie miała wyboru. Musiała ruszać w drogę.

Brzeg rzeki porastały w wielu miejscach gęste zarośla, więc Etain wchodziła do przybrzeżnej wody. Wiedziała, że nie jest głęboka, ale i tak nie było przyjemnie brodzić po niej w przemoczonych butach. Jednak wędrując rzeką, mogła zabłądzić i nie musiała się obawiać wszędobylskich gdanów. Doszła do wniosku, że małe drapieżniki po prostu bały się Jinart. Zastanawiała się, dlaczego Moc nie odstrasza ich od niej. Nie potrzebowała lepszego potwierdzenia, że pod względem umiejętności wykorzystywania Mocy nie jest jeszcze pełnowartościową Jedi. Musiała się skupić. Powinna odnaleźć cel i akceptację, które od tak dawna się jej wymykały.

O pełnym opanowaniu sztuki władania Mocą mogła wprawdzie tylko marzyć, ale potrafiła wybiegać wzrokiem i świadomością poza najbliższe otoczenie. Wyczuwała rojące się wokół niej zwierzęta, wiodące nocny tryb życia, a nawet sphywające z prądem wody srebrzyste chwastowęgorze, które starały się jej unikać, ale i tak ocierały się o buty.

W końcu uświadomiła sobie czyjaś obecność. Obecność istoty, na którą nie spodziewała się natknąć w ostępach imbraańskich lasów.

Dziecka.

Wyczuwała w pobliżu obecność chłopca. Było w nim coś niezwykłego, ale padawanka kierowała się w stronę wyrostka, który zachowywał się, jakby coś zgubił albo stracił. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek z mieszkańców pobliskiego miasteczka pozwolił dziecku przebywać w nocy z daleka od domu i to w miejscu, w którym roi się od gdanów.

Zignoruj go, pomyślała. W tej chwili to nie twój problem.

Z całą pewnością to było jednak dziecko. Etain wyczuwała, że nie jest wystraszone. Było zaniepokojone, ale nie przerażone w sensie, w jakim mogło być każde rozsądne dziecko, które znalazło się w nocy z daleka od domu.

Poczuła, że coś dotknęło jej czoła. Odruchowo uniosła rękę, żeby odpędzić natrętnego owada, ale kiedy przyłożyła dłoń do skóry, niczego nie znalazła. Mimo to nadal wyczuwała jakiś drobiazg między brwiami.

Chwilę później ten drobiazg spoczął na jej piersi, dokładnie nad mostkiem, ale zaraz wrócił znów na czoło. Nagle z ciemności wystrzelił tak intensywny strumień światła, że ją boleśnie oślepił i niemal sparaliżował.

Nie miała nic do stracenia. Gotowa zginąć w walce, zapaliła klingę świetlnego miecza. Nie musiała widzieć swojego przeciwnika.

Usłyszała ciche westchnienie i światło zgasło. Cały czas wyczuwała przed sobą obecność dziecka.

– Przepraszam panią – usłyszała głos dorosłego mężczyzny. – W tych ciemnościach nie zorientowałem się, kim pani jest.

Nadal miała przed sobą tylko dziecko... tak blisko, że musiało stać obok mężczyzny. Z jakiegoś powodu Moc nie pozwalała jej wyczuć jego obecności.

Przed oczami dziewczyny wciąż jeszcze tańczyły czerwone plamy, więc Etain nie opuszczała klingi świetlnego miecza. Kiedy odzyskała zdolność widzenia, zobaczyła stojącego przed nią mężczyznę... i uświadomiła sobie, że Jinart ją zdradziła.

Prawdopodobnie wcześniej zdradziła także mistrza Fuliera.

Etain dostrzegła osłaniający twarz mandaloriański hełm Gheza Hokana.

Złowieszcze rozcięcie w kształcie litery T ujawniło jej wszystko, co musiała wiedzieć. Uniosła klingę świetlnego miecza i zauważyła, że mężczyzna trzyma oburącz blasterowy karabin. Może więc dziecko – niewidoczne dziecko – było tylko pułapką myślową projekcją Jinart.

– Proszę pani... – usłyszała. – Bardzo proszę odłożyć broń...

– Hokan, to za mistrza Fuliera! – syknęła padawanka i zamachnęła

się energetycznym ostrzem broni Jedi.

Hokan uskoczył do tyłu zdumiewająco zwinnie i szybko. Etain nie rozpoznała jego głosu. Mandalorianin mówił, jakby był młodszy, a w jego głosie nie słyszała prawie żadnego akcentu. Nie uniósł nawet karabinu. Naigrawał się z niej i na pewno świetnie się bawił. Etain obróciła się na pięcie i zadała cios, który powinien odciąć mu ramię. Gardło ścisnął nagły gniew. Machnęła klingą jeszcze raz, ale i tym razem przecięła tylko powietrze.

– Proszę mnie nie zmuszać, żebym panią rozbroił – odezwał się jej przeciwnik spokojnym tonem.

– Tylko spróbuj – wydyszała. Jedną ręką zachęcała go, żeby podszedł, ale nie zgasła klingi świetlnego miecza. – Naprawdę chcesz? Spróbuj.

Hokan podskoczył ku niej, uderzył ją pancerzem w pierś i zepchnął po zboczu do wody. Nadał wyczuwam tylko dziecko, pomyślała padawanka. Gdzie? Jak? Ułamek sekundy później Mandalorianin rzucił się na nią. Przytrzymał ją jedną ręką pod powierzchnią wody tak długo, że w końcu musiała wypuścić rękojeść świetlnego miecza. Krztusząc się i walcząc po omacku, pomyślała, że zaraz się utopi. Dlaczego nie dała rady pokonać zwykłego mężczyzny? Powinna mieć więcej siły niż pierwszy lepszy człowiek, pomyślała.

Hokan wyciągnął ją jedną ręką z wody, ścisnął oba jej przeguby drugą dłonią i bezceremonialnie rzucił ją na brzeg rzeki.

– Proszę, niech pani się uspokoi – powiedział.

Ale padawanka jeszcze z nim nie skończyła. Warknęła jak zwierzę i z całej siły wbiła kolano w miejsce, gdzie łączyły się uda. Kiedy była przerażona, zdesperowana i wściekła, potrafiła się zdobyć na niemal nadludzki wysiłek. Wcześniej sobie tego nie uświadamiała.

Gdy tylko zadała cios, poczuła w kolanie przejmujący ból i zachłysnęła się z wrażenia. Cios musiał zaboлеć, ale na pewno nie jej przeciwnika.

– Z całym szacunkiem, proszę pani, lepiej niech pani przestanie – usłyszała. – Przyczyni się pani do śmierci i mojej, i swojej. – Przeróżająca maska pochyliła się nad nią. – Nie jestem Hokanem. Nie jestem nim, naprawdę – ciągnął nieznajomy mężczyzna. – Jeżeli

zechce się pani uspokoić, potrafię to udowodnić. – Zwolnił uścisk i Etain poczuła się prawie wolna. Ku swojemu zdumieniu, w głosie mężczyzny usłyszała zakłopotanie.

– Bardzo proszę, żeby pani przestała. Za chwilę panią uwolnię. Proszę pozwolić mi wyjaśnić, kim jestem.

Etain oddychała chrapliwie i raz po raz krztusiła się resztkami wody. Wyczuwalna obecność dziecka działała na nią deprymująco. Postanowiła zrezygnować z dalszej walki i pozwoliła przeciwnikowi się wyprostować.

Dopiero wówczas zobaczyła go wyraźnie. Widziała przecież w ciemności dobrze, lepiej niż zwykły człowiek. Miała przed sobą podobną do robota ogromną postać, zakutą w jasnoszary pancerz i hełm. Nie widziała twarzy ani żadnych oznak wojskowych. Mężczyzna nie wypuszczał z rąk blasterowego karabinu. Wyciągnął do niej rękę, jakby chciał jej pomóc wstać.

No cóż, to nie był Ghez Hokan. Na razie Etain tylko tego mogła być pewna. Chwyciła ukrytą w opancerzonej rękawicy dłoń i wstała.

– Na miłość wszystkiego, co stworzone... kim jesteś? – zapytała.

– Zechce pani mi wybaczyć – odparł mężczyzna. – W pierwszej chwili nie zorientowałem się, kim pani jest. To moja wina, że się prawidłowo nie przedstawiłem. – Musnął palcami w czarnej rękawicy hełm na wysokości skroni i Etain zwróciła uwagę na pokrywającą kłykcie palców płytkę. – Jestem komandosem Wielkiej Armii i nazywam się RC-jeden-jeden-trzy-sześć, proszę pani. Czekam na rozkazy, pani generał.

– Pani... generał? – powtórzyła osłupiała Etain. Głos wydobywający się z ust, które wyglądały, jakby nie miały warg, za bardzo przywodził jej na myśl robota.

Komandos przekrzywił lekko głowę.

– Bardzo przepraszam – powiedział. – Nie zauważyłem wcześniej warkoczyka... pani oficer.

– Czym właściwie jest Wielka Armia? – zapytała padawanka.

– To armia Republiki, proszę pani. Bardzo przepraszam. Powinienem był sobie uświadomić, że od jakiegoś czasu nie miała pani kontaktu z Coruscant i...



– Kiedy sprawiliśmy sobie tę Wielką Armię? – przerwała padawanka.

– Mniej więcej dziesięć lat temu. – Komandos wskazał na porastające brzeg rzeki krzaki. – Czy nie moglibyśmy porozmawiać o tym w bardziej ustronnym miejscu? – zapytał. – Stanowi pani doskonały cel dla kogoś, kto mógłby mieć lunetę z systemem mierzenia w ciemności. Miejscowa milicja, o ile wiem, posiada co najmniej jedno takie urządzenie.

– Mój świetlny miecz wpadł do rzeki – przypomniała Etain.

– Proszę pozwolić mi go wyciągnąć, proszę pani. – Komandos wszedł do płytkiej wody i włączył minireflektor hełmu. Schylił się i jakiś czas gmerał w oświetlonej wodzie. W końcu wyprostował się i wyciągnął do niej rękę z metalowym cylindrem. – Proszę mnie więcej nim nie atakować, dobrze? – powiedział.

Etain odgarnęła zdrętwiałymi z zimna palcami mokre włosy z twarzy i sięgnęła po rękojeść broni Jedi.

– I tak chyba nie dałabym rady cię zabić – przyznała. – Posłuchaj, dlaczego zwracasz się do mnie, jakbym była wyższym stopniem oficerem?

– Proszę pani, wszyscy Jedi są w tej chwili oficerami – wyjaśnił komandos. – Jest pani Jedi, prawda?

– Tak trudno ci w to uwierzyć? – zapytała padawanka.

– Nie zamierzałem pani obrazić.

– Na twoim miejscu zadawałabym sobie to samo pytanie – mruknęła Etain. Jestem oficerem, pomyślała. Oficerem? – Jestem padawanka i nazywam się Etain Tur-Mukan. Mistrz Jedi Kast Fulier nie żyje, a ty chyba jesteś żołnierzem, któremu miałam pomóc. – Uniosła głowę i spojrzała na niego. – Jak właściwie się nazywasz? – zapytała.

– Komandos RC... – zaczął mężczyzna.

– Pytałam o twoje imię. Twoje prawdziwe imię – przerwała Etain. Jej rozmówca zawahał się i nie odpowiedział od razu.

– Nazywam się... Darman – odparł w końcu, wyraźnie zakłopotany. – Musimy opuścić to miejsce. Szukają mnie.

– Nietrudno im będzie znaleźć cię w tej... skorupie – stwierdziła

sarkastycznym tonem padawanka.

– Woda spłukała brud i muł, którym go pokryłem – wyjaśnił Darman i na chwilę umilkł. – Czy ma pani dla mnie jakieś rozkazy? – zapytał. – Muszę się dostać do PZ Gamma, żeby odnaleźć pozostałych kolegów z drużyny.

Etain zrozumiała, że to wojskowy żargon.

– Kiedy musisz to zrobić? – zapytała. – W tej chwili? Komandos się zawahał.

– W ciągu dwunastu standardowych godzin – oznajmił w końcu.

Czyli zostało nam trochę czasu – stwierdziła padawanka. – Mam plany, które chciałabym ci pokazać. Wrócisz ze mną, żebyśmy się mogli zastanowić nad dalszymi krokami. – Pokazała na jego pakunki. – Pomogę ci nieść, co dam radę.

– Są bardzo ciężkie, proszę pani – sprzeciwił się Damian.

– Jestem Jedi – przypomniała Etain. – Może nie bardzo kompetentna, ale sprawna fizycznie i silna... chociaż dałam się zepchnąć do wody – dodała po chwili.

Trochę ćwiczeń pomoże rozwiązać ten problem, proszę pani – zapewnił komandos i uniósł rękę. Etain usłyszała ciche cmoknięcie i zobaczyła, że Darman zdejmuje okropny mandaloriański hełm. – Jest pani teraz moim dowódcą.

Był młodym, prawdopodobnie dwudziestokilkuletnim mężczyzną, miał krótko przystrzyżone czarne włosy i ciemne oczy. Z surowymi rysami twarzy kontrastowało jednak wzruszająco niewinne spojrzenie, w którym kryło się tyle ufności, że Etain poczuła się zaskoczona. Komandos był bardzo pewny siebie, ale w niej wzbudzał zaufanie.

– Pewnie wyszła pani trochę z wprawy – powiedział. – Błyskawicznie doprowadzimy panią znów do formy.

– A czy ty jesteś w formie, Darman? – zainteresowała się Etain. Miała wrażenie, że jego obecność ją przytłacza. Nie powinna się tak czuć. – Jak dobry właściwie jesteś? – zapytała.

– Jestem komandosem, proszę pani – wyjaśnił Darman. – Wyhodowanym, żeby być najlepszym... żeby pani służyć.

Padawanka zorientowała się, że jej rozmówca nie żartuje.

– Ile właściwie masz lat, Darman? – zagadnęła.

Komandos nawet nie zamrugał. Etain widziała twarde mięśnie jego szyi, a na twarzy nie dostrzegła nawet odrobiny tłuszczu. Młody mężczyzna wyglądał na sprawnego fizycznie. Był rzeczywiście idealnym żołnierzem.

– Dziesięć, proszę pani – powiedział.

Roboty nie piły ani nie molestowały kobiet, nie były także zainteresowane dorabianiem na boku. Daleko im było wprawdzie do szlachetnych wojowników i dzielnych żołnierzy, którzy wiedzieli, co to duma i honor, ale przynajmniej Ghez Hokan mógł być pewny, że następnego ranka nie znajdzie ich leżących w rynsztoku obok opróżnionej butelki urręala.

No i podczas marszu prezentowały się naprawdę wspaniale.

A właśnie obecnie maszerowały wiodącą do willi Lika Ankkita, wysypaną żwirem szeroką aleją. Hokan kroczył czasami obok nich, a czasami przechodził na tyły kolumny. Zmieniał miejsce, bo tak bardzo fascynowała go absolutna precyzja ich ruchów, identyczna wysokość i profil „twarzy”. Roboty wyglądały jak cegły w idealnym murze, którego nikt i nic nie da rady nigdy przebić.

Nie było w tym nic złego, że maszyny miały identyczny wygląd, ale biada temu, kto zrobiłby coś takiego mężczyznom... a zwłaszcza Mandalorianom.

W pewnej chwili umbarański porucznik uniósł rękę i zatrzymał oddział robotów dziesięć metrów przed schodami werandy willi Neimoidianina. Lik Ankkit stał na progu i patrzył na automaty. Miał na głowie zabawną wysoką czapkę, a na ramionach di'kutlański płaszcz, w którym naprawdę wyglądał jak słaby, dekadenccki handlarzyna.

Hokan podszedł do niego, trzymając hełm przyciśnięty ręką do ciała, i uprzejmie kiwnął głową.

– Dzień dobry, Hokan – odezwał się Ankkit. – Widzę, że w końcu udało ci się z kimś zaprzyjaźnić.

– Chciałbym ci ich przedstawić, bo od tej pory będziecie się często

widywali – odparł Mandalorianin i odwrócił się do porucznika. – Możecie zaczynać, Cuvin – rozkazał.

Umbaranin odpowiedział dziarskim salutem.

– Pluton... naprzód marsz! – zakomenderował.

Zupełnie jakbyśmy dawali tandetne przedstawienie, pomyślał Hokan. Cóż, długo czekał na tę chwilę. Zresztą zmuszała go do tego konieczność. Musiał zakwaterować oddziały w pobliżu ośrodka doktor Uthan, żeby można je było szybko rzucić do walki. Wiedział, że nie przydadzą mu się do niczego, jeżeli pozostaną w odległej o trzydzieści kilometrów bazie.

Kiedy roboty podeszły do stóp schodów, Ankkit ruszył naprzód i przystanął dopiero na najwyższym stopniu.

– To skandal – powiedział, wyraźnie oburzony. – Federacja Handlowa nie zamierza tolerować...

Na szczęście uskoczył w bok, zanim pierwsza para robotów dotarła do drzwi z kuwarowego drewna, z kunsztowną intarsją przedstawiającą splecione pędy winorośli.

Hokan nie spodziewał się po Ankkicie odwagi i wcale się nie pomylił.

– To szlachetnie z twojej strony, że wyraziłeś zgodę na zakwaterowanie moich żołnierzy – powiedział. – Doskonale wykorzystanie miejsca, które dotąd się marnowało. Separatyści są ci wdzięczni za osobiste poświęcenie, tak potrzebne dla zapewnienia bezpieczeństwa badań naukowych doktor Uthan.

Neimoidianin zszedł po schodach w tempie, na jakie pozwalały mu wysokie nakrycie głowy i długi płaszcz. Wyglądał na wściekłego, nawet jak na neimoidiańskie standardy. Dosłownie trząśł się ze złości. Był niemal o głowę wyższy niż Hokan, nie licząc fantazyjnego kapelusza, który wydawał głośny szelest, zupełnie jakby uwięzione w nim stworzenie usiłowało wydostać się na wolność.

– Zawarłem umowę z doktor Uthan i jej rządem – wykrztusił w końcu Ankkit.

– A potem doszedłeś do wniosku, że możesz zlekceważyć klauzulę gwarantującą odpowiednie środki dla zapewnienia jej bezpieczeństwa – odciął się Hokan. – Zawiadomienie o karze umownej, jaką doktor

Uthan postanowiła ci wymierzyć, powinno w tej chwili być w drodze do twojego gabinetu.

– Nie lubię, jak ktoś mnie zdradza – warknął Neimoidianin.

– Nie powinieneś się tak zwracać do oficera sił zbrojnych Separatystów – upomniał go Hokan.

– Oficera? – zachnął się Ankkit.

– Awans połowy. – Hokan uśmiechnął się do niego, zachwycony całą sytuacją. – Nie potrzebuję cię już, Ankkit – podjął po chwili. – Bądź wdzięczny, że w ogóle jeszcze żyjesz. A przy okazji: rząd doktor Uthan wypłacił premię bezpośrednio Federacji Handlowej, żebym mógł dalej tu pracować. Na planecie wylądowały nieprzyjacielskie siły zbrojne, więc od tej pory obowiązuje tu stan wojenny.

Kipiący z wściekłości Neimoidianin zacisnął usta wyglądające jak rozcięcie w twarzy. Dobrze chociaż, że nie błagał o życie. Gdyby się na to zdecydował, Hokan od razu by go zabił. Nie znosił mazgajów.

– Przypuszczam, że to twoja sprawka, Hokan – syknął Ankkit.

– Panie majorze Hokan, jeśli łaska – poprawił go Mandalorianin. – Jeżeli zobaczysz pałających się gdzieś moich byłych podwładnych, nie udzielaj im schronienia, dobrze? Niektórzy spośród nich nie zgłosili się po odprawę, a ja chciałbym osobiście wręczyć im zwolnienie z czynnej służby.

– Jesteś dla nas wzorem skutecznego zarządzania – zadrwił Neimoidianin.

Hokan napawał się jeszcze chwilę zemstą, ale w końcu uznał, że ma ważniejsze problemy. Ankkit nie stanowił już dla niego żadnego zagrożenia, bo jeszcze nikomu nie udało się przekupić robotów. Umbarańscy i aqualishańscy oficerowie wiedzieli, jaki los spotkał zaniedbujących służbę żołnierzy, bo na jego rozkaz brali udział w egzekucji. Hokan postanowił dopilnować, żeby wszyscy byli świadomi, co się z nimi stanie, jeżeli będą musieli opuścić służbę z własnej winy.

– A gdzie ja będę mieszkał? – zapytał w końcu Ankkit.

– Och, masz przecież mnóstwo pokoiów – odparł bez troski Hokan. Usłyszał głośny trzask, a zaraz potem brzęk szkła, rozbijającego się o twardą podłogę. Roboty bywały bardzo nieostrożne. – Na pewno nie

będziesz im zawadzał.

Musnął czubkami palców skroń, odwrócił się i zszedł po schodach.

Wciąż jeszcze nie mógł się doliczyć kilku byłych żołnierzy, a wśród nich weequayańskiego porucznika Guta-Naya. Bardzo chciałby wiedzieć, co się z nim stało, bo musiał zademonstrować nowym oficerom, że potrafi osobiście wymierzać dyscyplinarne kary. Powinni o tym pamiętać na wypadek, gdyby Ankit zdecydował się ich przekupić.

Wrócił aleją do czekającego skutera raketowego. Podobno jakiś wieśniak znalazł na swojej farmie fragmenty dziwnych urządzeń elektronicznych i chciał wiedzieć, czy wskazanie miejsca jest warte butelkę urrqala.

Hokan postanowił złożyć mu wizytę i osobiście z nim porozmawiać, aby go zawiadomić, że informacja jest warta więcej... o wiele więcej. Prawdę mówiąc, była warta tyle, ile życie wieśniaka.

Punkt zborny Beta powinien się znajdować w niskopiennym zagajniku na szczycie niewielkiego wzniesienia na zachód od Imbraani, ale kiedy Niner dotarł wystarczająco blisko, żeby mieć wzgórze w zasięgu wzroku, nie zobaczył na nim żadnego drzewa.

– Współrzędne się zgadzają, bo w przeciwnym razie przesłona hełmu wskazywałaby punkt nieco bardziej w górze strumienia – zdziwił się Atin, przekrzywiając głowę. – To na pewno właściwe miejsce – stwierdził w końcu. – Potwierdzam jednak, że nie widać żadnych drzew. Czy mam wypuścić zdalniaka, żeby poleciał na rekonesans?

– Nie – sprzeciwił się Niner. – Mogą się nam przydać później, kiedy będzie trzeba ostrzeliwać cel. Miejsce, gdzie się znajdujemy, zanadto rzuca się w oczy. Musimy podejść najbliżej jak się da, nie zdradzając naszej obecności, i rozejrzeć się uważnie w poszukiwaniu Darmana... jeżeli w ogóle przybędzie na miejsce spotkania. Gdzie znajduje się najbliższy punkt, który może zapewnić nam osłonę?

– Jakies dziesięć kilometrów na wschód stąd – usłyszał w odpowiedzi.

– Będzie musiał nam wystarczyć.

Atin zatoczył łuk i zawrócił. Starał się iść równolegle do przebytej drogi, aby upewnić się, czy ktoś ich nie śledził. Jego pancerz pokrywała warstwa nadgniętego mchu i Niner był zadowolony, że znajduje się po nawietrznej względem podwładnego. Bez względu na to, w czym komandos się wytarzał, miało zdecydowanie wiejski zapach. Fi i Niner ruszyli w dalszą drogę. Nieśli urządzenia ułatwiające szturmowanie zamkniętych pomieszczeń, a wśród nich trzy dynamiczne młoty, hydrauliczny taran i zapadkową nasadkę do pokonywania skomplikowanych zamków. Wszystkie materiały wybuchowe przełożyli do plecaków. Gdyby przypadkiem nawiązali bezpośredni kontakt z wrogiem i musieli porzucić sprzęt, żeby oderwać się od przeciwnika, Niner nie chciałby mieć do obrony tylko hydraulicznego tarana i pojemników z połowymi racjami żywnościowymi. O wiele bardziej mógł mu się przydać pęk granatów.

– Wycinka – odezwał się cicho Fi.

– Co takiego?

– Zagajnik, który zniknął – wyjaśnił komandos. – Tak tu często robią na jesieni. Prawdopodobnie od czasu, kiedy nad zagajnikiem przelatował zwiadowczy satelita, farmerzy wycięli drzewa, żeby mieć opał na zimę.

– Na tym polega główny problem ze szpiegowskimi informacjami – stwierdził Niner. – Szybko się dezaktualizują.

– Odwrotnie niż ćwiczenia.

– Co racja, to racja – przyznał sierżant. – Po powrocie nasze informacje staną się nieocenioną pomocą przy uaktualnianiu szkoleniowych podręczników.

Fi wydał coś w rodzaju westchnienia. Wychwytywanie takich dźwięków było zabawną cechą komunikatorów w hełmach. Bracia zwracali uwagę na najdrobniejsze zmiany w tonie oddechu i głosu, a nawet na różnicę w sposobie przełykania śliny. Nie mogąc widzieć nawzajem swoich twarzy, musieli się domyślać nastroju towarzysza na podstawie słyszanych odgłosów. Pewnie podobnie reagowały osoby niewidzące. Niner wprawdzie nigdy nie widział żadnego ślepcy, ale słyszał historię o grupie krótkowzrocznych klonów, które po

pierwszych ćwiczeniach po prostu zniknęły. Kaminoanie przywiązywali dużą wagę do kontroli jakości.

Chociaż wyhodowano go i wyszkolono, aby okazywał ślepe posłuszeństwo, Niner wcale nie był głupi. Przerażenie wzbudzali w nim tylko kaminoańscy technicy. Wykonując ich polecenia, czuł się inaczej niż wówczas, kiedy wykonywał rozkazy Jedi. Zastanawiał się, czy Fi i Atin uświadamiają sobie tę różnicę.

– Nie wierzysz, że damy radę wykonać zadanie, prawda, Fi? – zapytał po chwili.

– Nie boję się śmierci, a przynajmniej nie śmierci na polu walki – odparł podwładny.

– Nie powiedziałem, że się boisz.

– Chodzi o to, że...

– Dziesięciometrowy zasięg, synu – przypomniał sierżant. – I w pobliżu żadnych Kaminoan, którzy mogliby cię słyszeć.

– To wszystko jest takie... nieskuteczne – wyrzucił w końcu z siebie komandos. – Sam to kiedyś przyznałeś. Powiedziałeś, że to zwykłe marnotrawstwo.

– Mówiłem wówczas o Geonosis – stwierdził Niner.

– Zadają sobie tyle trudu i poświęcają tyle czasu, żeby zrobić z nas doskonałych żołnierzy, a potem nie dają nam tego, co potrzebne do wykonania zadania – ciągnął Fi. – Pamiętasz, co w takich sytuacjach zwykł był mawiać sierżant Kai?

– Przypominam sobie, że miał zwyczaj potwornie kląć – odparł Niner.

– To prawda, ale kiedy się upijał, zaczynał się irytować – przypomniał Fi. – Mawiał wówczas, że mógłby z nas zrobić lepszych żołnierzy, gdybyśmy mieli na to dość czasu i dłużej żyli. „Bogaci w informacje, ubodzy w doświadczenie”. Właśnie tak nas określał.

– Pamiętam także, że strasznie bełkotał i przeciągał samogłoski – dodał Niner. – I nie lubił klonów.

– To wszystko była poza. Dobrze o tym wiesz – stwierdził Fi.

Tak, Kai Skirata wygadywał paskudne rzeczy o klonach, ale ton jego głosu wskazywał, że nie mówił serio; zresztą nigdy nie zwracał się w ten sposób do samych klonów. Ciasto uj dostał z domu, co było



nie lada sensacją na odciętej od reszty galaktyki planecie Kamino. Dzielił się nim później z drużynami komandosów, za których szkolenie odpowiadał. Nazywał ich swoimi Truposzami albo Mokrymi Robotami i obrzucał innymi, równie obraźliwymi epitetami. Z drugiej strony jednak, jeżeli go odwiedziłeś po służbie w osobistej kwaterze, wzdychał z rozrzewnieniem i częstował cię przemyconymi smakołykami albo zachęcał do przeczytania jednego z niedozwolonych tekstów, których nie przewidywał program przyspieszonego szkolenia. Czasami były to historie o żołnierzach, którzy mogli podejmować różne decyzje, ale zawsze wybierali walkę. Sierżant Kai starał się usilnie, żeby jego Mokre Roboty poznały cywilizację istot zwanych Mandalorianami. Szczególnym podziwem darzył Jango Fetta. „To ktoś, kim naprawdę jesteście – mawiał. – Bądźcie dumni i nie przejmujcie się, że te parszywe szare dziwolągi traktują was jak bydło”.

Nie, nie można było powiedzieć, żeby Kai Skirata przepadał za Kaminoanami.

Twierdził, że kiedy podpisał z nimi umowę, nie pozwolili mu wracać do domu. Pewnego razu zwierzył się jednak Ninerowi, że wcale nie chciałby tam wrócić. Nie mógłby zostawić swoich chłopców. „Krótkie życie nigdy nie jest chwalebne”, mawiał, gestykulując szklaneczką z bezbarwnym alkoholem.

Niner postanowił się dowiedzieć, co właściwie Kai Skirata zrozumiał i dlaczego go to tak bardzo irytowało.

– Nikt nie zna wszystkich odpowiedzi – odezwał się do kolegów. – Przyzwyczajasz się do tego, że jesteś potężny, ale kłopot w tym, że możesz zapomnieć o drobnych szczegółach, a to przyczyniło się do twojej klęski.

Fi wypuścił głośno powietrze z płuc, jakby zamierzał się roześmiać.

– Wiem, czyje słowa przytaczasz – powiedział.

Niner nawet nie uświadamiał sobie, że kolejny raz zacytował jedno z powiedzeń sierżanta Kala. Coraz częściej dodawał nawet na zakończenie: „Synu”.

Brakowało mu go.

Tok jego myśli przerwało ostrzegawcze światełko komunikatora, płonące na wyświetlaczu projekcyjnym w polu jego widzenia. Średni zasięg, pomyślał sierżant. Co Atin sobie...

– Kontakt pięćset metrów, dokładnie na waszej szóstej – usłyszał w tej samej chwili głos komandosa. – Roboty. Dziesięć plus jedna istota człekokształtna... Potwierdzam, dziesięć blaszaków i jeden mokrzak. Wygląda jak oficer. – Zza pleców komandosów napłynął huk eksplozji. – Poprawka... bezpośredni kontakt!

Niner znał to na pamięć i nawet nie musiał porozumiewać się z podwładnym. Komandosi zostawili sprzęt i z gotowymi do strzału karabinami puścili się biegiem z powrotem szlakiem, którym przyszli. Kiedy dotarli na odległość piętnastu metrów od kryjówki Atina, padli i zajęli dogodne pozycje do strzału.

Ostrzeliwany Atin leżał jak w pułapce przy pniu drzewa. Obok niego widać było szczątki robota, z którego korpusu unosiły się strużki dymu. Inne automaty, zbliżając się równą tyralierą, kładły ogień zaporowy. Jeszcze dwa, biegnąc zygzakami, pokonywały teren krótkimi skokami i także strzelały. Od czasu do czasu Atin oddawał pojedynczy strzał. Niner uświadomił sobie, że gdyby roboty chciały zabić komandosa, dysponowały wystarczającą siłą ognia do zrealizowania tego zamiaru. Domyślił się, że chcąc wziąć Atina żywego.

– Widzę mokrzaka – zameldował Fi. Leżał po lewej stronie sierżanta i kontrolował pole walki przez lunetę karabinu. – To Aqualishanin w stopniu kapitana.

– W porządku – odparł Niner. – Zdejmij go, kiedy tylko będziesz miał okazję do celnego strzału.

Zainstalował nasadkę do wystrzeliwania granatów i skierował lufę karabinu w stronę linii robotów. Kroczyły w pewnej odległości jeden od drugiego, więc ich szereg ciągnął się jakieś czterdzieści metrów, licząc od pierwszego do ostatniego. Niner pomyślał, że nawet jeżeli roboty się nie rozproszą, będzie musiał poświęcić dwa granaty, aby wszystkie zniszczyć. Pamiętał, że roboty na polu walki sprawują się bez zarzutu. Nie potrafiły jednak samodzielnie myśleć, więc gdyby Fi wyeliminował dowodzącego nimi oficera...

Trzask!

Uwolnienie ciepła i energii rozrzedziło powietrze. To przez takie zjawisko plazmowym błyskawicom towarzyszyły charakterystyczne dźwięki. Aqualishanin runął na plecy. Strzał rozerwał mu napierśnik, a z rany wyleciały na grunt bryłki podobne do grudek wilgotnej gleby. Na ułamek sekundy roboty zamarły, ale zaraz podjęły wędrówkę, jakby to był najlepszy pomysł, jaki przyszedł każdemu do metalowej głowy.

Fi wypełznął na czworakach z pułapki, kilka razy przetoczył się po trawie, zapadł w krzaki i dał ognia.

Roboty nie nadawały się do walki wręcz, a przynajmniej nie radziły sobie dobrze, jeżeli nie słyszały rozkazów mokrzaka. Było ich jednak nadal wiele i potrafiły strzelać równie celnie jak każda inteligentna organiczna forma życia. Trzy z siedmiu pozostałych na pewno zapamiętały, z którego miejsca padł strzał Fi.

Krzaki wokół nowej kryjówki komandosa stanęły w ogniu. Ninerowi wydawało się, że wszystko dzieje się bardzo powoli – nie szybciej niż tempo uderzeń jego serca – ale to było tylko złudzenie. Wymierzył i dwukrotnie dał ognia... tak szybko, że odgłosy obu eksplozji prawie zlały się w jeden huk. Wokół niego spadł istny grad grudek gleby, kępek trawy i stalowych szczątków automatów. Komandos doszedł do wniosku, że na niewielką odległość roboty są niemal równie niebezpieczne, kiedy się je trafi, jak wówczas, kiedy to one trafią ciebie. Eksplodując, działały jak szrapnele.

Kanonada się skończyła. Przynajmniej z pięciu punktów trafień unosiły się strużki dymu. Niner nie zauważył na polu ostrzału żadnego ruchu.

– Jeden blaszak nietknięty, ale unieruchomiony – zameldował Fi.

– Widzę – odezwał się sierżant i na wszelki wypadek dał ognia.

– Wygląda na to, że mamy problem z głową – dodał Fi i opuścił karabin. – Atin, nic ci nie jest?

– Nie brakuje mi żadnej części, której nie dałbym rady ponownie przynitować – odparł komandos.

– Żartuj sobie, żartuj – mruknął Niner i podpierając się jedną ręką zaczął wstawać. O dziwo, w ciągu tych kilku chwil, kiedy zajmował

się ratowaniem własnego życia, zupełnie zapomniał o ciężarze plecaka. – Jak to się stało, że...

– Padnij! – wrzasnął nagle Atin.

Metr nad głową Ninera przemknęła świetlista błyskawica i komandos od razu rozpląszczył się na ziemi. Rozległy się dwa trzaski wystrzałów, po czym zapadła głucha cisza.

– Dopiero teraz mamy problem z głowy – oznajmił Atin. – Niech ktoś mi pomoże wstać, dobrze?

Niner uklęknął z wysiłkiem i zobaczył stos potrzaskanych fragmentów robota, leżący bliżej niż reszta zniszczonych wcześniej automatów. Uświadomił sobie, że słuch go nie mylił. Rzeczywiście usłyszał odgłosy dwóch strzałów: jednego wymierzonego w siebie i drugiego, który oddał Atin, żeby nie było następnego.

– Już idę, bracie – powiedział.

Wysmarowany mułem napierśnik kolegi miał obecnie inną barwę. Był matowo czarny, a od środka rozchodziły się we wszystkie strony jaśniejsze smugi.

– Mam kłopoty z oddychaniem – odezwał się rzeczowo Atin. Tak meldowali dowódcy poważnie ranni żołnierze. Przełknął ślinę i spróbował głęboko odetchnąć. – Czuję ból.

Fi oparł kolegę o pień drzewa i zdjął mu hełm. Nie zobaczył wypływającej z kącika ust strużki krwi, choć się tego spodziewał, ale twarz komandosa była biała jak kość, a nie zagojona blizna wyglądała po prostu koszmarnie. Na szczęście nie krwawiła. Atin patrzył przytomnie, więc chyba nie był w szoku. Fi zwolnił zatrzaski napierśnika pancerza i zdjął opancerzoną płytkę.

Kombinezon pod spodem nie był rozerwany.

– Jesteś pewien, że tylko pierś cię boli? – zapytał Fi. Nie miał przy sobie medycznego skanera, którym mógłby sprawdzić stan zdrowia kolegi, a dopóki nie było pewności, z jakimi obrażeniami ma się do czynienia, nie należało zdejmować całego pancerza ani usuwać obcych przedmiotów z ciała. Czasami tylko one utrzymywały rannego przy życiu.

Atin kiwnął głową i Fi zaczął rozpinać fragmenty kombinezonu, zaczynając od kołnierza.

– Phwoar – odezwał się w końcu. – Będziesz miał potwornego siniaka. – Zobaczył fioletową smugę, biegnącą od mostka w dół i kończącą się na wysokości talii. – Kolekcjonujesz ślady po niezwykłych obrażeniach czy co? – zapytał.

– Trafił mnie w sam środek piersi – wyjaśnił Atin, z wysiłkiem oddychając. – To nie był zwyczajny pocisk, a jednak pancierz go powstrzymał.

Fi zdjął hełm i przyłożył ucho do piersi kolegi, żeby go osłuchać.

– Au.

– Zamknij się i oddychaj – burknął Fi.

Krzywiąc się z bólu, Atin nabrał i wypuścił kilka razy powietrze.

– Nie słyszę nic, co by wskazywało, że to odma opłucnowa. Mimo to powinniśmy go mieć na oku – zawyrokował w końcu Fi. – Odma może się wytworzyć po jakimś czasie. Niewykluczone też, że ma pęknięte żebra, a może tylko wielki siniec.

Wyjął pojemnik z płynem bacta i spryskał nim szybko rosnącą fioletową plamę. Atin uniósł trochę ręce, jakby chciał się przekonać, czy wciąż jeszcze może nimi poruszać.

Fi uszczelnił kombinezon kolegi i ponownie założył płytkę napierśnika.

– Poniosę twój plecak – zaproponował Niner i odpiął zatrzaski. Tylko tyle mógł zrobić dla kontuzjowanego komandosa. – Chyba możemy sobie darować oczekiwanie w punkcie zbornym Beta – powiedział. – Zostawimy tam kilka pamiątek, żeby Darman je zobaczył, jeżeli się pojawi. Naszymi śladami może podążać więcej blaszaków. Nie słyną ze zdolności do samodzielnego myślenia.

Komandosi mieli prawdopodobnie kilka minut, nawet jeżeli któryś robot zdążył wysłać meldunek do bazy. Fi zebrał kilka odłamków zniszczonych robotów i pobiegł w kierunku ogołoczonego z zagajnika pagórka, żeby je tam zostawić, a Niner zajął się przeszukiwaniem kieszeni munduru zabitego aqualishańskiego oficera. Wyjął z nich wszystko, co wyglądało jak klucz, nośnik danych lub dokument potwierdzający tożsamość. Potem zaciągnął plecak Atina na splecionej z rzemieni sieci do miejsca, gdzie pozostawili ekwipunek.

Uznał, że pokonanie odległości do PZ Gamma zajmie im więcej

czasu, niż planowali. Muszą iść bardzo powoli, przynajmniej dopóki Atin nie będzie w stanie znów dźwigać swojego plecaka.

Cała walka trwała zaledwie pięć minut i osiem sekund, licząc od pierwszego do ostatniego strzału, wliczając nawet czas, kiedy uciekali. Niner podczas akcji nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło – kilka sekund czy może pół godziny. Stwierdził, że to zabawne, jak bardzo zakłócone jest poczucie czasu podczas walki. Nadepnął z chrupnięciem na odłamek korpusu robota i zaczął się zastanawiać, jak takie automaty oceniają czas walki.

– Czy właśnie tak nas postrzegają zwykli ludzie? – zapytał towarzysza. – Uważają nas za roboty?

– Ależ skąd – obruszył się kontuzjowany komandos. – Nie przedstawiamy dla nich żadnej wartości jako złom. – Zachichotał, ale zaraz się skrzywił. Odniesione obrażenia musiały być bardzo bolesne. – Będę spowalniał tempo waszego marszu.

– Nie udawaj przede mną bohatera – skarcił go sierżant. – Będziesz nam towarzyszył całą resztę drogi, bo ani ja, ani Fi nie zamierzamy ciągnąć twojego plecaka do samego punktu zbornego. Od czasu do czasu chcę odpocząć.

– Naturalnie.

– Aha, i dziękuję. Jestem twoim dłużnikiem.

– Nie, wcale nie jesteś.

– Mimo to dziękuję – powtórzył Niner. – Mógłbyś mi wyjaśnić, co właściwie miałeś na myśli, mówiąc, że byłeś Damianem?

Atin trzymał karabin bardzo ostrożnie, na odległość dłoni od piersi.

– Byłem ostatnim komandosem, który przeżył śmierć kolegów w dwóch drużynach – powiedział.

– Aha. – Zapadła cisza. – Chcesz opowiedzieć, jak do tego doszło? – zapytał Niner.

– Członkowie pierwszej pospieszyli mi na ratunek podczas ćwiczeń z użyciem ostrej amunicji – wyjaśnił Atin. – Nie chciałem, żeby mnie ratowali, a przynajmniej nie z takim poświęceniem.

– Ach tak. – W pierwszej chwili Niner poczuł się zakłopotany tym wyznaniem. Myślał do tej pory, że podwładnego nie obchodzi los, jaki

mógł spotkać Darmana. W rzeczywistości Atin prawdopodobnie walczył z wyrzutami sumienia. – Szkolący mnie sierżant mówił, że istnieje stan, określany jako „poczucie winy tego, który ocalał” – dodał. – Twierdził również, że w takich przypadkach to członkom twojej drużyny zależy najbardziej na tym, żebyś przeżył.

– Uczyli nas wielu rzeczy – przyznał Atin. – Dlaczego nie nauczyli nas także tego?

Niner przestał ciągnąć plecak kolegi i przewiesił karabin przez ramię. Dźwignął pakunek i ucieszył się, kiedy poczuł jego ciężar na plecach.

– Gdyby nas tego uczyli, mogłoby mnie tu dzisiaj nie być – powiedział. Był prawie pewny, że następnego dnia Darman będzie czekał na nich.

Ghez Hokan wpatrywał się w stos metalowych szczątków, które jeszcze godzinę wcześniej były sprawnym plutonem bojowych robotów. Ich przeciwnicy, kimkolwiek byli, rozprawili się z nimi szybko i bez pardonu, a sądząc po skuteczności snajperskich strzałów i strefach rażenia zaledwie dwóch granatów, musieli być ekspertami w swoim fachu.

Trudno było powiedzieć, czy działała tu jedna osoba, czy cały pluton żołnierzy. Na ogół nie urządzano zasadzki na bojowe roboty, dysponując jedynie garstką wojowników, ale to zależało wyłącznie od tego, kim byli ci wojownicy. Wielka szkoda, że dowodzący robotami kapitan nie usłuchał rozkazu i nie wysłał meldunku o sytuacji na polu walki. Gdyby nie to, że zginął, Hokan osobiście by go rozstrzelał za sprzeniewierzenie się operacyjnej procedurze. Popatrzył w zamyśleniu na szereg eskortujących go robotów, które stały nieruchomo obok zaparkowanych skuterów raketowych. Zastanawiał się, czy cokolwiek poczuły na widok rozerwanych na kawałki towarzyszy.

– Ani śladu obozowiska, panie generale – zameldował umbarański porucznik Civin, który przydreptał truchtem od strony lasu rosnącego po przeciwnej stronie polany. Wysięk zabarwił na różowo jego zwykle trupio bladą twarz. – Kilka złamanych gałązek na wysokości

kolan i zgnieciona trawa w miejscach, z których strzelali leżący żołnierze. Mówiąc szczerze, nie potrafię określić na tej podstawie, z iloma przeciwnikami mamy do czynienia.

– Nawet tak prostej rzeczy nie możesz mi powiedzieć, poruczniku?  
– zapytał Hokan.

– Panie majorze, zaraz sprawdzę wszystko jeszcze raz – zapewnił podwładny. Jego twarz znów zbieleła ze strachu w stopniu niezwykłym nawet jak na Umbaranina.

– Panie majorze! Panie majorze! – Podporucznik Hurati okazywał tak wielką gorliwość, że na pewno zależało mu na awansie do stopnia porucznika. Podbiegł ochotczo do dowódcy Mandalorianin zawsze doceniał poświęcenie podwładnych. – Znalazłem coś naprawdę niezwykłego.

– Cieszę się, że przynajmniej jeden z was coś znalazł – burknął Hokan. – Co to takiego?

– Stos części robotów, panie majorze – zameldował Hurati.

– Dlaczego uważasz, że to niezwykle? – zainteresował się Mandalorianin.

– Bo znajdują się dosyć daleko stąd i wyglądają jakby je ktoś specjalnie ułożył, panie majorze.

Hokan odwrócił się i podążył do raketowego skutera.

– Pokaż mi to – rozkazał.

Drzewa ścięto widocznie kilka dni wcześniej, bo pieńki zdążyły się pokryć koloniami jasnoróżowych grzybów kłol. Na najgrubszym, płasko ściętym pniu wspierały się szczątki bojowego robota.

Rozzerwane kawałki korpusu spoczywały płasko na miękkim gruncie. Górne kończyny ułożono starannie po jednej stronie tułowia, a dolne po drugiej. Jeden koniec płytki twarzowej był oparty wyżej, co wyglądało, jakby robot spoglądał w niebo.

– W takim samym stanie pozostawiono szczątki robota artylerzysty zestrzelonego śmigacza, panie majorze – dodał Hurati. Hokan pomyślał, że jego podporucznik naprawdę się stara. Prawdopodobnie już się zapoznał z treścią raportu dowódcy milicji, chociaż zarówno sam raport, jak i jego forma pozostawiały wiele do życzenia. – To chyba jakiś znak.



Uszkodzony robot spoczywał dosyć daleko od pola walki, ale nie było żadnych śladów wleczenia. Był zbyt ciężki, żeby ktoś go tu przydźwigał, co mogło sugerować, że nieprzyjaciele dysponują jakimś środkiem transportu. Hokan nie zauważył jednak na gruncie śladów przelotu pojazdu repulsorowego. Przyjrzał się rytualnie ułożonym szczątkom robota. Usiłował odgadnąć, kto mógł wysłać Separatystom tego rodzaju sygnał... i co chciał im przez to dać do zrozumienia.

– To trofeum – odezwał się w końcu. – Wrogowie się z nas naigrawają. Pokazują nam, jak łatwo jest wyeliminować z walki nasze automaty.

Zaczynał być wściekły. Jako Mandalorianin nie zamierzał być dla nikogo łatwym przeciwnikiem.

– Zarządź godzinę policyjną Hurati – rozkazał. – Ogłoś zakaz używania wszelkich środków transportu wyposażonych w jakikolwiek napęd. Ma obowiązywać do odwołania. Wszystko, co się porusza i ma sztuczny napęd, należy albo do nas, albo do naszych przeciwników. Potrafimy śledzić ruchy własnych środków transportu... – Urwał, jakby się nad czymś zastanawiał. – Naturalnie dopilnowałeś, żeby wszystkie nasze pojazdy były wyposażone w transpondery, prawda?

– Tak jest, panie majorze.

– A zatem skąd to wahanie?

– Z powodu żniw, panie majorze – odparł podporucznik. – W jaki sposób farmerzy przetransportują swoje zbiory do Teklet, aby wysłać je na inne planety?

– Przypuszczam, że mają także ręczne wózki – burknął Hokan, przekładając nogę przez siodełko skutera. – Ankkit będzie musiał wymyślić inny sposób dostarczania produktów do swoich magazynów.

Zastanawiał się nad znaczeniem starannie ułożonych szczątków robota całą drogę powrotną do nowej kwatery głównej w willi Ankkita. Nie chciał się wprowadzać do budynku, który wyglądał jak prowadzony przez Hurtów wulgarny dom uciech, bo uznał, że to miejsce dla mięczaków i dekadentów. Postanowił się zakwaterować w budynku wzniesionym nieopodal willi. Nie przepadał za fantazyjnymi draperiami ani bezużytecznymi ozdobami, a tamten dom był

położony bliżej ośrodka badawczego doktor Uthan. Najważniejsze jednak, że mógł przebywać w pobliżu kwater swoich żołnierzy.

Zachodził w głowę, kogo Republika mogła wysłać w celu pokrzyżowania planów doktor Uthan. Jego przeciwnicy musieli być dzielnymi żołnierzami, skoro najpierw z dziecinną łatwością zestrzelili patrolujący okolicę śmigacz, a później równie łatwo wyeliminowali pluton robotów i zabili dowodzącego nimi kapitana. Wyglądało na to, że wybierają przypadkowe cele. Skoro Republika uciekała się do takich sztuczek, musiała bardzo liczyć na tę armię sklonowanych żołnierzy. Co się stało z konwencjonalnym wojskiem? Gdzie się podzieli generałowie Jedi? Kiedy pojawią się na Qiilurze?

To był zupełnie nowy rodzaj wojny. Hokan zaczynał to sobie coraz lepiej uświadamiać.

Nie znosił sytuacji, kiedy nieznany przeciwnik czai się w ciemności i przygotowuje do walki. Gdyby nie wiedział, że Jango Fett nie żyje, mógłby przysiąc, iż to właśnie on rzuca mu wyzwanie.

# ROZDZIAŁ

# 8

*Czy wiecie, co czyni z was tak skutecznych wojowników? Nie chodzi tylko o to, że jesteście doskonalsi pod względem genetycznym i intensywnie szkoleni. Nie chodzi także o to, że bez wahania wykonujecie wszystkie rozkazy. Prawdziwy powód to wasza gotowość do zabijania za każdym razem, kiedy strzelacie. Taką gotowość wykazuje zaledwie jeden procent cywilów i mniej niż dwadzieścia pięć procent zwyczajnych żołnierzy, nawet pod ostrzałem.*

*— Sierżant Kai Skirata, podczas pierwszego wykładu, jaki wygłosił do komandosów na temat wojskowej psychologii*

Robot posyłał błyskawicę za błyskawicą w płytę zamkniętych drzwi ze stopu odpornego na blasterowe strzały, aż zaczęła się jarzyć purpurowym blaskiem. Mimo to się nie poddała.

– Przestań! – wykrzyknęła doktor Ovolot Qail Uthan.

Robot nie zareagował na jej okrzyk, zupełnie jakby go nie usłyszał.

Badaczka zbiegła po schodach, a za jej głową powiewały pasemka rudych i czarnych włosów. Miała na sobie fałdzistą, granatową nocną koszulę, równie kosztowną jak noszone w dzień suknie. Mandalorianin uprzejmie zaszalutował pani doktor i zaraz się odwrócił, żeby obserwować postępy robota.

– Czy pan postradał zmysły? – warknęła gniewnie Uthan. Hoka był pewny, że kobieta nie musi podnosić głosu, aby wymusić posłuch.

– Za tymi drzwiami znajdują się próbki, które stanowią zagrożenie dla

biologicznych form życia!

– Wiem – odparł spokojnie Hokan. – Właśnie sprawdzam wytrzymałość tych drzwi. Sprawują się naprawdę doskonale. Zapewniają bezpieczeństwo, bo stanowią idealną przegrodę.

Uthan odetchnęła głęboko, chociaż dyskretnie, i przelotnie spojrzała na grzbiety dłoni.

– Ten ośrodek wzniesiono i poddano testom, żeby sprawdzić, czy spełnia najwyższe standardy bezpieczeństwa, panie majorze – powiedziała. – Nie musi się pan niepokoić.

– A mimo to się niepokoję, pani doktor – odparł Mandalorianin. Jakiś czas obserwował, jak robot cierpliwie marnuje energię strzałów, posyłając w płytę drzwi kolejne błyskawice. W pewnej chwili automat przerwał, żeby wymienić zużyty zasobnik energii. – Przestań! – polecił.

Robot znieruchomiał. Hokan wyjął świetlny miecz Kasta Fuliera, zapalił energetyczną klingę i wcisnął płonący błękitnym blaskiem szpic w miejsce złączenia obu skrzydeł. Z drzwi wzniosły się strużki dymu, ale nie pojawiła się szczelina. Mandalorianin zrozumiał, że nawet Jedi musiałyby stracić sporo czasu, zanim by pokonał tę przeszkodę.

– Przepraszam, ale czy nie mógłby pan poczekać z tym do rana? – zapytała cierpko Uthan. – Pracuję na okrągło, żeby przekształcić te próbki w broń. Nawet sypiam w pracowni i w tej chwili wołałabym właśnie tym się zajmować.

– Bardzo przepraszam, pani doktor, ale nie możemy pozwolić sobie na luksus zwłoki – odparł Hokan.

– A co ma z tym wspólnego czas? – zachnęła się badaczka.

– Chyba będę musiał panią stąd przenieść.

Uthan potrafiła gwałtownie prostować szyję, jakby była smokiem krayt. Na ogół wywierało to niesamowite wrażenie.

– Prowadzę w tym miejscu badania nad wyjątkowo niebezpiecznym materiałem genetycznym – przypomniała gniewnym tonem. – Nie da się przenieść ośrodka, jakby był jakimś... namiotem.

– Przepraszam za wszelkie niedogodności, ale będzie bezpieczniej, jeżeli spakujecie swój sprzęt i przeniesiecie się w inne miejsce –

oznajmił Mandalorianin.

– Dlaczego? – zapytała Uthan. – Przecież już teraz może pan zapewnić nam bezpieczeństwo.

– To prawda, panuję nad sytuacją lepiej niż do tej pory, ale na Qiilurze wylądowali nieprzyjacielscy żołnierze – wyjaśnił Hokan. – Niestety, nie znam ich liczby i nie mam pojęcia, jakimi dysponują środkami i materiałami. W dodatku podejrzewam, że powodem ich przybycia są właśnie pani badania.

– Ten ośrodek to istna forteca – przypomniała uczona. – A pan ma do dyspozycji setkę robotów. Niech sobie tamci przychodzą. Potrafi pan odeprzeć ich atak.

Wcześniej czy później można się wdrzeć do każdej fortecy – stwierdził spokojnie Mandalorianin. – Mogę przedstawić pani rozmaite okoliczności, w których ktoś przedsiębiorczy potrafiłby pokonać zaporę tych drzwi, ale powinna pani zawierzyć mojej ocenie sytuacji i uznać słuszność moich argumentów. Przeniesiemy panią i wszystkie urządzenia do mniej rzucającego się w oczy miejsca, dopóki nie będę mógł lepiej ocenić zagrożenia.

Uthan zachowywała całkowity spokój i jakiś czas kierowała spojrzenie na coś, co mogło się znajdować za plecami Hokana, jakby dokonywała w pamięci jakichś obliczeń.

– Mogę wyrazić zgodę na przeniesienie materiałów genetycznych i członków personelu – odezwała się w końcu. – Sprzęt da się zastąpić, jeżeli zaistnieje taka potrzeba. Naturalnie nie ma mowy o prowadzeniu dalszych badań, dopóki nie będę dysponowała bezpiecznymi warunkami laboratoryjnymi, ale jeżeli pańskim zdaniem moim badaniom coś zagraża, lepiej siedzieć jakiś czas beczynnie niż zaprzepaścić rezultaty trzymiesięcznej pracy.

Hokan ucieszył się, że kobieta wykazała tyle rozsądku i zdyscyplinowania... prawie jak Mandalorianka. Gestem dał znak robotowi, żeby opuścił pomieszczenie.

– Ile czasu może to pani zająć? – zapytał.

– Mniej więcej sześć godzin.

– Czy te materiały są naprawdę tak niebezpieczne? Uthan przechyliła lekko głowę na bok.

– Tylko jeżeli jest pan klonem – powiedziała. – W przeciwnym razie po kontakcie z nimi może pan się poczuć trochę... niedysponowany.

– Walka bronią, której się nie widzi, musi wywierać dziwne wrażenie – stwierdził Mandalorianin.

– Wojna to wykorzystywanie zdobyczy techniki – oznajmiła badaczka.

Hokan uśmiechnął się uprzejmie i wrócił na dziedziniec. Zatrzymał się w półkolu padającego przez drzwi mdłego blasku. W nocnym powietrzu wyczuwało się pierwsze oznaki chłodu. Zbliżała się zima. Hokan pomyślał, że kiedy drzewa zgubią liście, patrolowanie terenu stanie się łatwiejsze, a kiedy spadnie pierwszy śnieg – wręcz dziecinnie proste. Przypuszczał jednak, że do rozstrzygnięcia dojdzie znacznie wcześniej. Z przesyłanych raportów wywiadu wynikało, że Republika toczy obecnie walkę na setkach frontów. Na setkach.

Nowa armia Republiki liczyła na pewno miliony żołnierzy, skoro jej dowódcy mogli sobie pozwolić na takie rozproszenie sił zbrojnych. Oznaczało to, że wszyscy żołnierze są klonami. Żałosnymi parodiami wspaniałego Jango Fetta, pomyślał Hokan.

No cóż, jednego był pewny: do uporania się z miejscowym problemem Republika nie mogła wysłać klonów. Musiała wiedzieć, że Separatyści dysponują bronią, za pomocą której potrafią wyeliminować je z walki. Zresztą tego rodzaju operacja i tak przekraczała umiejętności potulnych sklonowanych piechurów, o których wspominała mu kiedyś doktor Uthan. Tym razem nie chodziło o zabawę w chowanego.

Hokan włożył hełm i zaczął się zastanawiać. Co zrobić, żeby ośrodek stał się pułapką? Nieprzyjaciele zamierzali przybyć i zajrzeć do środka, prawda? Zamierzał ich powitać z szeroko otwartymi ramionami.

– Roboty, formuj szyk! – rozkazał. – Dwójkami przez te drzwi!

Nawet w ciemności automaty poruszały się idealnie synchronicznie i Mandalorianin ponownie poczuł podziw dla precyzji ich ruchów. Zamierzał wykorzystać roboty jak drogowskaz, który by

wskazywał cel i potwierdzał to, co Republice wydawało się, że wie. Wojskowi Republiki będą jednak w błędzie. Wyślą najlepszych żołnierzy prosto w zasadzkę.

Wojna to wykorzystywanie zdobyczy techniki, przypomniał sobie słowa doktor Uthan.

– Nieprawda – odezwał się do siebie i roboty natychmiast stanęły na baczność. – Wojna to nawet niewykorzystywanie siły ognia. – Poklepał się po hełmie. – Wojna to umiejętność posługiwania się mózgiem. – Opuścił rękę i dotknął piersi. – Wojna to także sprawa odwagi.

Nie spodziewał się, żeby jego roboty to zrozumiały. Klony prawdopodobnie także nie miałyby pojęcia, o co mu chodzi.

Słoma cuchnęła obrzydliwie, ale Darman czuł się zbyt wyczerpany, żeby zwracać na to uwagę. Prawdopodobnie była za to miękka, więc będzie mógł się na niej położyć. Na razie postanowił się tym zadowolić.

Przedtem jednak obszedł ściany stodoły i upewnił się, że istnieje zapasowe wyjście w razie konieczności nagłej ucieczki. W tylnej ścianie znalazł kilka obluzowanych desek, które dawały się łatwo rozsuwać. Zmurszałe deski zaniedbanego budynku gospodarczego wyglądały, jakby mógł wybić w nich dziurę w dowolnym miejscu, które akurat wyda mu się najlepsze.

Uspokojony, zrzucił cały swój bagaż i spróbował usiąść na beli słomy, ale stracił równowagę i po prostu się na nią osunął. Nawet nie zdążył zdjąć hełmu. W końcu usiadł prosto i wypuścił powietrze z płuc.

Etain pochyliła się nad nim.

– Nic ci nie jest, Darman? – zapytała. Wyciągnęła do niego dłoń grzbietem do góry, jakby go chciała dotknąć, ale się powstrzymała.

– Jestem zdolny do walki, proszę pani. – Komandos zaczął wstawać, ale padawanka uniosła lekko rękę w geście, który jednoznacznie mówił: „Zostań na swoim miejscu”.

– Nie o to pytałam – wyjaśniła. – Wyczuwam, że cierpisz. Powiedz

mi, o co chodzi.

To był rozkaz i pochodził z ust Jedi.

– Nadwreżyłem nogę podczas lądowania – wyznał komandos.

– Poza tym jestem zmęczony i trochę głodny. – Trochę głodny?

– powtórzył w myśli. Był wygłodniały! – Nic poważnego, proszę pani.

– Podczas lądowania? – powtórzyła padawanka.

– Wypadłem z ładowni statku, który wkrótce potem roztrzaskał się o powierzchnię planety – uściślił Darman.

– Z całym tym sprzętem?

– Tak jest, proszę pani.

– Coś niesamowitego – mruknęła Etain, a komandos nie potrafił rozstrzygnąć, czy według niej to dobrze, czy źle. – Mam do ciebie dwie prośby – podjęła po chwili. – Po pierwsze, nie nazywaj mnie padawanka ani panią oficer... Nikt tu nie powinien wiedzieć, że jestem Jedi. Wolałabym, żebyś mówił mi po prostu Etain, nawet nie proszę pani. – Urwała, jakby się zastanawiała, czego jeszcze zażądać. – Po drugie, zdejmij hełm. Jego widok przyprawia mnie o gęś skórki.

Do tej pory Darman spotkał tylko troje Jedi i bez względu na to, czy był w hełmie, czy nie, wszyscy czuli się w jego obecności nieswojo. Cały okres szkolenia braci przekonywano go, że zostali stworzeni dla Jedi, żeby pomóc im w walce z ich nieprzyjaciółmi. Darman spodziewał się po Jedi jakiejś formy wdzięczności, a przynajmniej okazywania zadowolenia. Zdjął hełm i czując mętlik w głowie, położył go na sąsiedniej beli słomy. Nie miał pojęcia, jak pogodzić absolutną jednoznaczność wojskowego doświadczenia z niesprecyzowanymi zasadami radzenia sobie w cywilnym świecie, w którym się znalazł pierwszy raz w życiu.

Tymczasem padawanka – nie, nie padawanka... Etain, jak wyraźnie kazała się nazywać, wyjęła z kieszeni płaszcza niewielką kulę i rozłamała ją oburącz na pół. Z wnętrza zaczęły wypływać holograficzne wizerunki, które układały się jeden na drugim jak talerze.

– To plany – oznajmiła Etain znacznie swobodniejszym tonem. –



Plany wszystkich budynków Separatystów i Neimoidian w tym rejonie. Plany poszczególnych pięter, rozkład pomieszczeń, schematy okablowania, ścieki, kanalizacja, wodociągi, specyfikacje użytych materiałów... wszystkie szczegóły, jakimi dysponowali wznoszący te obiekty budowniczowie. To właśnie tego potrzebujesz, prawda? Tego szukasz?

Darman w jednej chwili otrząsnął się ze zmęczenia. Wyciągnął rękę, wygiął wiązkę światła projektora i ustawił plany pionowo, żeby się z nimi zapoznać. Kiedy przejrzał ostatni, nieświadomie wypuścił z płuc wstrzymywane dotąd powietrze.

Etain miała rację. Jeżeli nie liczyć zmiennych szczegółów w rodzaju liczby członków personelu i ich zwyczajów, były tu wszystkie informacje, jakich on i jego bracia potrzebowali do wykonania zadania. Dysponując tymi planami, będą wiedzieli, jak odciąć dopływ energii do ośrodka i w które miejsca systemów wentylacyjnych czy wodociągów wpuścić środek paraliżujący nerwy. Mogli mieć pewność, co zobaczą, kiedy wtargną do ośrodka, i dokąd mają iść, kiedy już się tam znajdują. Plany zawierały informacje na temat konstrukcji ścian, drzwi, przegród i okien. Na ich podstawie komandosi mogli określić dokładne rozmiary ładunku wybuchowego czy rodzaj tarana, jakich potrzeba do pokonania danej przeszkody. Etain ofiarowała mu właśnie zbiór jasnych instrukcji umożliwiających wykonanie zadania.

Tyle że sama raczej nie wiedziała, na czym miało polegać to zadanie.

– Co zamierzasz z tym zrobić? – zapytała.

– Przylecieliśmy tu, żeby porwać Ovolot Qail Uthan i zniszczyć jej ośrodek – wyjaśnił Darman. – Prowadzi w nim prace nad nanowirusem, który ma zabijać klony.

Etain usiadła obok niego.

– Klony? – powtórzyła.

– Jestem klonem – wyjaśnił komandos. – Cała Wielka Armia składa się z milionów klonów, a wszystkimi dowodzą generałowie Jedi.

Twarz młodej kobiety przybrała wyraz bezgranicznego zdumienia.

Jej widok urzekał Darmana, chociaż nie potrafiłby powiedzieć dlaczego. Nigdy nie widział z tak bliska istoty ludzkiej płci żeńskiej. Był zaskoczony widokiem małych brązowych plamek na jej policzkach i nosie, a także różnobarwnych pasemek jej zmierzwionych włosów... jasnobrązowych, złocistych, a miejscami rudych. Padawanka była szczupła i wyglądała jak dziewczyna z miejscowej farmy. Darman widział błękitne żyłki na grzbietach jej dłoni i wyczuwał, że Etain pachnie inaczej niż wszyscy, z którymi kiedykolwiek przebywał w niewielkim pomieszczeniu. Nie potrafiłby powiedzieć, czy młoda kobieta jest piękna, czy brzydka. Była dla niego po prostu nowa i inna, jak gdan czy Gurlanin, ale zarazem nie potrafił oderwać od niej oczu. Zaczynał się obawiać, że jej bliskość może mu uniemożliwić skupienie się na zadaniu.

– I wszyscy wyglądają jak ty? – odezwała się w końcu Etain, mrugając szybko. Speszyło ją badawcze spojrzenie komandosa. – Co takiego powiedziałam? – zapytała.

– Nie tak samo, proszę pani... przepraszam, Etain – odparł Darman. – Jestem komandosem. Zostaliśmy inaczej przeszkoleni. Niektórzy twierdzą, że jesteśmy... dziwni. Prawdopodobnie nie wiedziała pani o tym, przebywając na Qiilurze.

– Wiedziałam tylko to, co powiedział mi mój mistrz – przyznała padawanka. – Wyjawiał mi, że na planecie przebywa Uthan i że plany, które dostałeś, mają ogromne znaczenie dla bezpieczeństwa Republiki. Ani razu nie wspominał jednak o istnieniu armii klonów. – Wpatrywała się w niego, podobnie jak kiedyś Jusik. – Pewna stara kobieta uprzedziła mnie o waszym przybyciu, ale nie wyjawiała nic więcej. Ilu was właściwie wylądowało na Qiilurze?

– Czterech.

– Czterech? – powtórzyła zaskoczona Etain. – A mówiłeś, że są was miliony! Co możecie osiągnąć, skoro jest was tylko czterech?

– Jesteśmy komandosami ze specjalnych oddziałów – wyjaśnił Darman. – Orientujesz się, co to oznacza?

– Naturalnie, że nie – zachnęła się padawanka. – Jak czterech dziesięciolatek miałoby się wdrzeć do ośrodka Uthan?

Dopiero po kilku sekundach dotarło do Darma, że dziewczyna z

niego kpi.

– Walczymy inaczej niż zwyczajni żołnierze – powiedział.

– Będziecie musieli być zupełnie inni, Darman. – Wyglądała na zmartwioną, jakby komandos sprawił jej zawód samym pojawieniem się na Qiilurze. – Naprawdę macie tylko po dziesięć lat?

– Tak – przyznał komandos. – Starzejemy się w przyspieszonym tempie.

– Jakim cudem potrafimy szkolić kompetentnych żołnierzy w tak krótkim czasie?

– To bardzo intensywne szkolenie – wyjaśnił Darman. Za każdym razem, kiedy się do niej zwracał, musiał się powstrzymać, żeby nie dodawać „proszę pani”. – Do wyhodowania nas użyto najlepszego z możliwych materiału genetycznego. Dawcą był Jango Fett.

Etain uniosła brwi, ale nic nie powiedziała. Po chwili wstała, sięgnęła po kosz, który stał na biegnącej nisko belce, i wręczyła go Damianowi. Był wypełniony dziwnymi okrągłymi przedmiotami. Ich zapach wskazywał, że nadają się do spożycia, ale komandos wolał się upewnić.

– To jedzenie? – zapytał.

– Tak – odparła Etain. – Miejscowa odmiana chleba i coś w rodzaju przyrządzonego na parze ciasta. Nic wielkiego, ale powinieneś zaspokoić tym głód.

Darman ugryzł kęs substancji, która ugięła się lekko w jego palcach. Poczłł wspaniały smak i rozkoszny aromat. To była jedna z najsmaczniejszych potraw, jakich kiedykolwiek kosztował. Wprawdzie nie aż tak dobra jak ciasto uj, ale nie dawało się jej porównać z pozbawionymi zapachu, smaku i konsystencji polowymi racjami żywnościowymi. Tak bardzo się od nich różniła, że równie dobrze mogła być ciastem uj.

Etain uważnie obserwowała twarz komandosa.

– Musiałeś być bardzo głodny – zauważyła w końcu.

– To jest wspaniałe – przyznał Darman.

– Cóż, wydaje mi się, że nie dogadzali wam zbyt w tym wojsku.

Komandos sięgnął do saszetki u pasa i wyjął kostkę suchej racji żywnościowej.

– Spróbuj tego – zaproponował.

Padawanka powąchała kostkę i ostrożnie włożyła ją do ust. Po chwili wyraz niedowierzania na jej twarzy ustąpił miejsca obrzydzeniu.

– Coś koszmarnego – stwierdziła. – Po prostu świństwo!

– To idealny zestaw żywieniowy, dostosowany do wymagań naszych organizmów – zaprotestował Darman. – Nie ma zapachu, więc nie wykryje go nieprzyjaciel, i nie ma też żadnych włókien, żebyśmy wydalali jak najmniej ubocznych produktów przemiany materii, po których wrogowie mogliby nas wyśledzić. Nie bez znaczenia jest także to...

– Mniej więcej rozumiem, co chcesz powiedzieć – przerwała Etain.

– Czy właśnie tak was traktują? Jak zwierzęta z farmy?

– Przynajmniej nie jesteśmy głodni.

– A co właściwie lubisz?

Darman nie wiedział, na jakiej odpowiedzi jej zależy.

– Jestem dobrym strzelcem – zaczął ostrożnie. – Lubię swój DC-siedemnaście...

– Chodziło mi o to, co lubisz robić w wolnym czasie – uściśliła padawanka. – Macie w ogóle coś takiego jak wolny czas?

– W wolnym czasie pogłębiamy swoją wiedzę.

– Naturalnie nie masz żadnej rodziny – domyśliła się Etain.

– Owszem, mam. Braci z drużyny – sprostował komandos.

– Chodziło mi... – zaczęła młoda Jedi, ale się zreflektowała i przerwała. – Nie, rozumiem, co chcesz mi powiedzieć. – Przynęła koszyk z qiilurańskim chlebem bliżej rozmówcy. – Moje życie właściwie niewiele różniło się od twojego, z wyjątkiem tego, że miałam lepsze jedzenie – podjęła po chwili. – Nie przerywaj sobie. Możesz zjeść wszystko, jeżeli chcesz.

Darman chciał i zjadł. Starał się nie podglądać, kiedy Etain wyciskała wodę z płaszcza i wytrząsała ją z butów. W jej obecności nadal czuł się nieswojo, chociaż nie potrafiłby powiedzieć, z jakiego powodu. Niepokoił go trochę fakt, że Etain niezupełnie wyglądała jak oficer Jedi i dowódca, do którego spotkania na polu walki przyzwyczajano go podczas wyczerpujących ćwiczeń.

Jedynymi istotami płci żeńskiej, jakie w życiu widywał, były kaminoańskie pracownice technicznego personelu medycznego. Ich cichy bezosobowy głos onieśmiał go bardziej niż wrzaski szkolącego go sierżanta. Jego pluton brał także udział w wykładzie na temat technik szyfrowania. Darman zapamiętał jego treść, ale wzdragał się na myśl o prowadzącej wykład Sullustance.

Czuł respekt przed istotami płci żeńskiej, także przed swoją panią oficer Jedi, ale zarazem był okropnie wytracony z równowagi jej widokiem. Taka sytuacja wydawała mu się nie do przyjęcia.

– Musimy iść dalej – powiedział. – Powiniennem dotrzeć do punktu zbornego. Od prawie dwóch dni nie mam kontaktu z pozostałymi członkami mojej drużyny. Nie wiem nawet, czy jeszcze żyją.

– Nasza sytuacja z każdą chwilą wygląda gorzej – podsumowała udreńczonym tonem padawanka. – Na początku było was czterech, a teraz może zostałeś sam.

– Jest nas dwoje – poprawił ją komandos. – Chyba że wzywają cię inne obowiązki.

– Widziałeś, jak walczę.

– Jesteś Jedi. Jesteś dowódcą – oznajmił Darman.

– To tylko tytuł, nie ocena moich umiejętności – sprzeciwiła się Etain. – Nie uważam się za najlepszą z najlepszych.

Musisz być najlepsza – stwierdził stanowczo komandos. – Wiem, czego umieją dokonać Jedi. Dopóki będziesz miała Moc, nikt cię nie pokona.

Etain obdarzyła go dziwnym uśmiechem i sięgnęła po kulę z holomapami. Z trudem sobie przypomniała, od czego zaczęła się ich rozmowa. Kilka razy przełknęła ślinę.

– Pokaż mi, gdzie znajduje się wasz PZ... tak to się nazywa, prawda? Punkt zborny? – zapytała. – Pokaż mi go na tej mapie.

Darman wyjął komputerowy notes i dostosował rozmiary operacyjnej mapy okolicy do obrazu ukazywanego przez kulę. Wskazał współrzędne.

– To tu – powiedział. – Zawsze przed wyruszeniem na ćwiczenia czy na wyprawę umawiamy się, gdzie się spotkamy... na wypadek, gdyby wydarzenia nie potoczyły się po naszej myśli. Tak jak teraz.

Musieliśmy wyskoczyć, zanim nasz transportowiec roztrzaskał się o powierzchnię gruntu. Rozproszyliśmy się i straciliśmy ze sobą kontakt. Zgodnie z procedurą musimy teraz dotrzeć do ustalonych wcześniej miejsc w ściśle określonych przedziałach czasowych.

Powiększył fragment mapy przedstawiający teren na północny zachód od Imbraani. Etain pochyliła głowę, żeby się lepiej przyjrzeć.

– Co to takiego? – zapytała.

– Nasz główny cel – wyjaśnił Darman. – Ośrodek doktor Uthan.

– To wcale nie jest jej ośrodek – zaprotestowała padawanka.

– Z informacji wywiadu wynika... – zaczął komandos.

To baza Separatystów – przerwała stanowczym tonem Etain. – Ich garnizon. – Przyjrzała się dokładnie całej mapie i w końcu wskazała jedno miejsce. – Ośrodek to ta grupa budynków, widzisz? – zapytała. – Zapamiętaj to.

Nałożyła plan pomieszczeń na parterze na obraz przedstawiający rozmieszczenie budynków farmy i zmniejszyła obraz. Wizerunki pasowały do siebie jak ulał.

Darman poczuł nagły ciężar w żołądku.

– To oznacza, że moja drużyna kieruje się do bazy wojskowej Separatystów – powiedział.

– Musimy zrobić wszystko, żeby ich powstrzymać – oznajmiła Etain. – Bo inaczej staną twarzą w twarz z setką bojowych robotów.

Nagle Darman zerwał się na nogi, zanim jeszcze uświadomił sobie, że słyszy cichuteńki szelest kroków zbliżającej się osoby.

– Nie sądzę – odezwała się jakaś kobieta. – Bo wszystkie roboty kierują się w tej chwili do Imbraani.

Zanim Etain zdążyła odwrócić głowę, Darman wyciągnął z kabury blasterowy pistolet i wymierzył lufę w drzwi.

# ROZDZIAŁ

## 9

*Klony mają w sobie coś wzruszającego. Wyglądają jak żołnierze, walczą jak żołnierze i czasami nawet mówią jak żołnierze. Mają wszystkie przymioty wspaniałego wojownika, ale za nimi nic się nie kryje... ani miłość, ani rodzina, ani radosne wspomnienia prawdziwego życia. Ilekroć widzę, jak ginie jeden z tych młodych ludzi, opłakuję go bardziej niż zwykłego żołnierza, który ma za sobą normalne życie.*

— *Ki-Adi-Mundi, generał Jedi*

Darman rozpląszczył twarz Jinart na drewnianej ścianie stodoły i przyłożył wylot lufy blastera do skroni nieznajomej, zanim Etain zdążyła się zerwać na nogi.

– Uspokój się, chłopcze – odezwała się cicho stara kobieta. – Nie zamierzam wyrzucić ci krzywdy.

Komandos trzymał ją w taki sposób, żeby nie mogła się poruszyć. Na jego młodzieńczej twarzy malował się spokój, tak niesamowicie kontrastujący z aktem przemocy, jakiego zamierzał się dopuścić, że Etain aż się wzdrygnęła.

– Puść ją Darman – powiedziała. – To moja znajoma. Także Jedi.

Komandos od razu się cofnął i puścił staruszkę.

– Już kiedyś ci powiedziałam, że nie jestem Jedi – burknęła zirytowana Jinart. Odwróciła się i spojrzała na komandosa. – Zastrzełiłbyś starą kobietę? – zapytała.

– Tak, proszę pani – odparł Darman. Etain wpatrywała się w

niego, jakby nie wierzyła własnym uszom. – Zagrożenie może czasami przybierać różne formy. Nie wszyscy żołnierze są młodymi istotami płci męskiej i nie wszyscy noszą mundury.

Etain czekała w nadziei, że Jinart kopnie komandosa w krocze, ale na twarzy staruszki pojawił się pełen satysfakcji uśmiech.

– Rozsądny chłopiec – stwierdziła. – Poradzisz sobie tutaj bez problemu. – Przeniosła spojrzenie na padawanę. – Możesz mu zaufać, Etain – powiedziała. – Doskonale się zna na swoim fachu. – Zerknęła na blaster, którego komandos nie wypuścił z drugiej dłoni. – DC-siedemnaście, jak widzę – zauważyła.

– Jest ich tylko czterech – poinformowała Etain, spodziewając się, że Jinart zareaguje podobnym rozczarowaniem jak wcześniej ona.

– Wiem. – Stara kobieta wręczyła Etain zawiniątko z jakimiś łąchmanami. – To kompletna drużyna sklonowanych komandosów. – Pokazała tobołek. – Suche ubranie – wyjaśniła. – Nic eleganckiego, ale przynajmniej czyste. Tak, wiem na ich temat wszystko, co możliwe. Od jakiegoś czasu śledzę pozostałych trzech.

– Nic im nie jest? – Darman zaczął zdradzać ożywienie, a Etain znów wyczuła, że stoi przed nią dziecko, z którego obecnością tak trudno było się jej pogodzić. – Muszę do nich dołączyć. Gdzie są w tej chwili?

– Kierują się na północ.

– Do PZ Gamma – domyślił się komandos.

– Jeżeli tak uważasz, chłopcze – odparła Jinart. – Zmusiliście mnie do najwyższego wysiłku. Tropienie was to prawdziwa sztuka.

– Właśnie tak nas wyszkolono, proszę pani.

Wiem. – Jinart nie odrywała spojrzenia od twarzy Darmana. – Jesteście wszyscy doskonałymi kopiami Fetta, prawda? – zapytała. – Naturalnie z okresu, kiedy był w kwiecie wieku.

Jej głos przybierał stopniowo coraz niższe tony i z każdą chwilą stawał się młodszy, pozbawiony charakterystycznej dla bardzo starych osób chrypki. Etain zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem za chwilę Jinart im nie wyjawia, że w rzeczywistości jest kobietą Sithem. Ukradkiem wsunęła dłoń między fałdy przemoczonego płaszcza.



Niespodziewanie Jinart szerniała niczym coruscański marmur. Chwilę później zaczęły znikać rysy jej twarzy, włosy i zmarszczki. Wyglądało to, jakby ktoś wlewał czarny wosk do surowej formy odlewniczej. Stara kobieta szybko zmieniała kształty.

Na dziecięco niewinnej twarzy Darmana pojawił się promienny uśmiech. Tym razem jednak Etain była skupiona i gotowa do działania. Wyobraziła sobie, że świetlny miecz staje się przedłużeniem jej ręki. W każdej sekundzie mogła przystąpić do walki.

– Jesteś Gurlaninem – przemówił komandos. – Nie uprzedzono nas, że i ty bierzesz udział w tej akcji. Jak udało ci się dokonać tej sztuki?

– Nie jestem Valaqilem – usłyszał w odpowiedzi głos, łagodny jak plusk płynącej wody. – Jestem towarzyszką jego życia. – Jinart, która wyglądała obecnie jak porośnięte czarną sierścią czworonogie stworzenie, usiadła na zadzie i wyciągnęła się w górę w taki sposób, że upodobniła się do kolumny roztopionego metalu. – Dziewczyno, wyglądasz na zaskoczoną – powiedziała.

Etain nie mogła zaprzeczyć. Widziała mnóstwo istot najróżniejszych ras – wiele należało do jej klanu Jedi – ale nigdy nie natknęła się na istotę zmiennokształtną, ulegającą metamorfozie na jej oczach. Samopoczucia młodej padawanki nie poprawiał fakt, że w przeciwieństwie do niej nawet ten naiwny sklonowany żołnierz orientował się, z kim ma do czynienia.

– Nigdy jeszcze nie spotkałam kogoś takiego jak ty, Jinart – przyznała. – Dlaczego jednak promieniuje od ciebie coś, co odbieram jako władzę nad Mocą?

– Jesteśmy telepatami – wyjaśniła Gurlanka.

– Och...

– Nie, nie potrafię czytać w twoich myślach – uspokoiła ją szybko istota. – To nie działa w taki sposób. Po prostu umiemy się porozumiewać za pomocą myśli z innymi istotami naszej rasy.

– Więc tamtej nocy twój głos słyszałam w głowie – domyśliła się Etain.

– Stałam wówczas blisko ciebie – wyjaśniła Gurlanka. – Naturalnie nie miałam żadnego kształtu, który mógłby przyciągnąć twoją uwagę.

– A co ze mną, proszę pani? – zapytał Darman, który wyglądał, jakby rozmowa pochłaniała bez reszty jego uwagę.

– Tak, to ja powiedziałam ci wtedy, żebyś się trochę przespał – przyznała Jinart. – Wyglądałam przekonująco jako pień zwalonego drzewa, prawda? – Ponownie zmieniała kształty i przeistoczyła się w starą kobietę. – Wiem, że to stereotypowy wygląd, ale skuteczny, bo na staruszki nikt nie zwraca uwagi. Podobnie jak komandosi, zapuszczamy się tam, dokąd inni by się nie poważyli, i robimy to, czego inni by nie zrobili. Całkowitą kontrolę nad miejscową siecią łączności sprawuje Federacja Handlowa, co w praktyce oznacza jeden zestaw aparatury nadawczo-odbiorczej w stacji przekaźnikowej w Teklet. Wprawdzie istoty mojej rasy nie umieją przekazywać szczegółów na międzygwiazdne odległości, ale potrafimy przesyłać sobie ogólne pojęcia. Mój towarzysz życia i ja będziemy pełnić rolę twojego komunikatora... może nie idealnego, ale lepsze to niż zupełny brak łączności.

Gurlanka wydała dziwny bulgot i spojrzała na Etain.

– Ostatnie dwa dni spędziłam, biegając do utraty tchu, żeby zebrać informacje, które przydadzą się i temu miłemu młodzieńcowi, i tobie – podjęła po chwili. – Ghez Hokan nie jest głupcem. Sprawuje władzę nad miejscowymi siłami zbrojnymi... nieważne, jaki jest ich stan i przydatność do walki... i doskonale wie, że żołnierze Republiki przylecieli tu z powodu prac prowadzonych przez doktor Uthan. – Przeniosła spojrzenie na Darmana. – Musisz wiedzieć, że tropi twoich towarzyszy.

– Jesteśmy całkiem niezli w zacieraniu śladów – zauważył komandos.

– To prawda, ale twoi koledzy zostawiają zwłoki i części robotów – stwierdziła Jinart. – Hokan nie wie, ilu was jest, i ta niepewność spędza mu sen z powiek.

– Czyli wiesz nawet, co nie pozwala mu spokojnie zasnąć? – zapytała Etain. Postanowiła nikomu nie ufać. Wciąż jeszcze nie miała pojęcia, kto wydał mistrza Fuliera w ręce siepaczy Hokana. Postanowiła, że dopóki się tego nie dowie, nie pozwoli sobie nawet na chwilowe osłabienie czujności. Jej mistrz nie powiedział jej

wprawdzie o istnieniu klonów, ale musiał wiedzieć o działalności Uthan na Qiilurze. Widać jednak nie ufał swojej padawance. Miał dla niej wiele miłych słów, ale potwierdził – chociaż zza grobu – że Etain nie jest jeszcze gotowa zostać rycerzem Jedi.

– Wiem, co gryzie Hokana, bo potrafię się stawać zarówno bardzo przekonującym starcem, jak i doskonałą babcią – odparła Gurlanka. Etain doszła do wniosku, że jej odpowiedź nie ma sensu. – Dołączę do towarzyszy Darmana i postaram się skierować ich w bezpieczne miejsce. Nie dysponuję rzetelnymi informacjami wywiadowczymi, jak je nazywacie. Mają ograniczoną ilość materiałów wybuchowych i nie mogą dłużej liczyć na przewagę, jaką daje im zaskoczenie. Hokan wie, z jakiego powodu tu przybyliście. Ma wystarczającą siłę ognia i dość robotów, żeby was powstrzymać. Jeżeli nie zmienicie planów albo ktoś wam nie pomoże, wykonanie waszego zadanie stanie się prawie niemożliwe.

Darman gapił się na nią cały czas, ale nawet informacje Jinart nie zachwiały jego niemal namacalną pewnością siebie. Etain nie zauważyła, żeby drgnął chociaż jeden mięsień na jego twarzy.

– Mogło być gorzej – odezwał się w końcu komandos. – Przyznaję, że brakuje mi odgłosu pracy zestawu aparatury nadawczo-odbiorczej.

– Powinnam także dodać, że miejscowi farmerzy wydadzą was w ręce Hokana za pierwszą możliwość osiągnięcia odrażającego upojenia alkoholowego – powiedziała Jinart.

Darman spojrzał na Etain, ale padawanka się skrzywiła.

– Skończyły ci się pomysły, żołnierzu? – zapytała.

– Czekam na twoje rozkazy, pani oficer – odparł komandos.

To była ostatnia kropla, która przepełniła czarę. Tygodnie strachu, głodu i zmęczenia po latach zwątpienia i rozczarowań sprawiły w końcu, że wiara Etain we własne siły rozsypała się jak domek z kart. Padawanka dała z siebie wszystko, na co było ją stać, i nie miała nic więcej, co mogłaby jeszcze zaoferować.

– Przestań! – wybuchnęła. – Przestań nazywać mnie panią oficer! – Poczowała, że wbija paznokcie w dłonie. – Nie jestem twoim zakichanym dowódcą. Nie mam pojęcia, co robić w takiej sytuacji. Jesteś zdany wyłącznie na własne siły. W końcu to ty jesteś

żołnierzem. To ty powinieneś wymyślić jakiś plan.

Jinart się nie odzywała. Etain poczuła, że jej twarz płonie. Właśnie straciła resztę godności. Spędziła niemal całe życie, medytując i doskonaląc sztukę panowania nad sobą, i oto okazało się, że wszystko na próżno.

Darman zmienił się na jej oczach. Uległ metamorfozie nie pod względem fizycznym jak wcześniej Jinart, ale zmiana była równie zaskakująca. Zniknęło gdzieś dziecko, które Etain tak wyraźnie dotąd wyczuwała. Jego miejsce zajęła spokojna rezygnacja i trudne do zdefiniowania wrażenie rozczarowania. Etain nie potrafiłaby określić tego w inny sposób.

– Tak jest, proszę pani – odparł komandos. – Zaraz się tym zajmę.

Jinart kiwnęła głową w stronę drewnianych drzwi stodoły.

– Zacerpnij trochę świeżego powietrza, Darman – zaproponowała.

– Muszę porozmawiać z panią oficer Tur-Mukan.

Komandos wahał się chwilę, ale w końcu wyślizgnął się na dwór. Gurlanka odwróciła się do młodej Jedi.

– Posłuchaj mnie, dziewczyno – szepnęła surowo, ze świsem wypowiadając słowa. W mdłym świetle błysnęły na chwilę drobniutkie kropelki śliny. – Ten żołnierz może sądzić, że każde słowo z ust Jedi to święte objawienie, ale ja wcale tak nie uważam. Musisz wziąć się w garść i to jak najszybciej. Może tylko od tych komandosów i ode mnie zależy, czy w galaktyce będzie nadal panował jaki taki porządek, czy też wszystko rozleci się na kawałki, bo jeśli sklonowana armia padnie ofiarą tego nanowirusa, w galaktyce zatriumfują Separatyści.

Możesz albo nam pomóc, albo trzymać się na uboczu, ale nie wolno ci stać się dla nas ciężarem, a będziesz nim, jeżeli nie staniesz na czele tych komandosów. Wyhodowano ich, żeby okazywali ślepe posłuszeństwo Jedi. Niestety, w naszej sytuacji oznacza to posłuszeństwo tobie.

Etain przywykła do myśli, że nie przedstawia żadnej wartości. Tymczasem Jinart zamierzała rzucić ją od razu na głęboką wodę.

– Nie prosiłam o tę odpowiedzialność – mruknęła padawanka.

– Darman także nie. – Gurlanka zaczęła się zmieniać i sekundę

później wyglądała jak przerażająca masa splątanych czarnych ścięgien. – Właśnie na tym polega istota obowiązku. Wzywa cię, a ty dajesz z siebie wszystko, na co cię stać. Darman i jego towarzysze uświadamiają sobie tę prawdę. Potrzebują ciebie, żebyś pomogła im wykonać zadanie.

– Wciąż jeszcze się uczę, jak to robić – jęknęła Etain.

– Więc ucz się szybko, bardzo szybko – burknęła Gurlanka. – Gdyby tych żołnierzy nie wyszkolono do wykonywania twoich rozkazów, osobiście pozbawiłabym cię życia i przeszła nad tym do porządku. Istoty mojej rasy nie mają wobec Jedi żadnego długu wdzięczności... absolutnie żadnego. Walczymy jednak z tym samym przeciwnikiem, a ja chciałabym jeszcze kiedyś zobaczyć Valaqlila. Możesz uważać się za szczęściarę.

Jinart wyszła na dwór, a Etain osunęła się na kolana w miejscu, gdzie leżało trochę siana, i zaczęła się zastanawiać, jak mogło dojść do takiej sytuacji. W pewnej chwili drzwi cicho skrzypnęły i do stodoły zajrzał Darman.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – zastrzegła padawanka.

– Nic pani nie jest, pani oficer? – zaniepokoił się komandos i aż się skrzywił. – Bardzo przepraszam... Etain – poprawił się po chwili.

– Ty także myślisz, że do niczego się wam nie przydam, prawda? – zapytała młoda Jedi.

– Zgodnie z twoim rozkazem wymyśliłem plan, jak wykonać nasze zadanie – odparł Darman.

– Hodowano was, żebyście byli dobrymi dyplomatami, co? – burknęła Etain.

– Jeżeli Hokan postanowił urządzić w ośrodku doktor Uthan zasadzkę na nas, powinniśmy utrzymywać go w przekonaniu, że nadal uważamy ośrodek za prawdziwy cel – zaczął komandos. – A zatem się rozdzielimy i...

– Rozumiem, że odpowiedź brzmi: tak – przerwała padawanka. Darman umilkł.

– Przepraszam – zreflektowała się Etain. – Mów dalej.

Komandos podszedł i uklęknął blisko niej. Pochylił się i odgarnął dłonią z klepiska źdźbła siana. Najwidoczniej na oczyszczonym z

paprochów miejscu zamierzał jej coś pokazać. Wysypał z koszyka kilka okruchów chleba i oderwał kawałek stoczonego przez robaki drewna.

– Jak myślisz, kim jestem? – zapytał cicho.

– Jeżeli wierzyć słowom Jinart, nawykłym do posłuszeństwa sklonowanym żołnierzem – odparła padawanka. Przyglądała się, jak Darman kruszy chleb, łamie drewno na mniejsze kawałki i układa je w rzędzie niczym sztony do gry. – Nie mam wyboru.

– Ale ja mam – zaznaczył komandos. – Mogę wybierać sposób, w jaki interpretuję twoje rozkazy. Jestem inteligentny. Widziałem kiedyś, jak walczą Jedi, więc wiem, do czego jesteście zdolni. Kiedy się znajdziesz w sytuacji, w której będziesz musiała przywołać na pomoc umiejętności Jedi, staniesz się taka sama jak oni.

Kryło się w tym chłopcu pełno sprzeczności. Etain pomyślała, czy zamiast ze sklonowanym żołnierzem, nie ma przypadkiem do czynienia z kolejnym Gurlaninem, który płała jej złośliwe figle. Wyczuwała w nim jednak mieszaninę cichej desperacji i... wiary. Tak, wiary.

Komandos był pierwszą od wielu lat osobą, która miała do niej zaufanie, i pierwszą od czasu rozstania z mistrzem Fulierem, która traktowała ją uprzejmie, a nawet życzliwie.

– W porządku – odezwała się w końcu padawanka. – Wydaję ci rozkaz o najwyższym priorytecie. Bez względu na to, co się wydarzy, masz interweniować, jeżeli zrobię albo powiem coś, co mogłoby uniemożliwić lub utrudnić wam wykonanie zadania. Nie, nie patrz na mnie w taki sposób – zastrzegła pospiesznie i uniosła rękę, żeby powstrzymać słowa protestu, jakie cisnęły mu się na usta. – Potraktuj mnie jak dowódcę, który dopiero się uczy. Musisz się zająć moim szkoleniem. To może oznaczać, że będziesz musiał wskazywać prawidłowe sposoby robienia różnych rzeczy, a nawet ratować mnie z kłopotów wynikających z braku... doświadczenia. – Musiała się przemóc, żeby to powiedzieć. – I pamiętaj... to także rozkaz.

Darman leciutko się uśmiechnął.

– Właśnie dlatego mam zaufanie do dowódców Jedi – powiedział.  
– Nikt nie dorównuje wam pod względem mądrości.

Etain zastanowiła się nad jego słowami. Gdyby usłyszała je z ust Jinart, na pewno by się obruszyła, ale Darman po prostu mówił to, co myśli. Możliwe także, że jego słowa miały jakieś ukryte znaczenie.

W przeciwieństwie do robota był inteligentny i subtelny. Jakim cudem mógł mieć takie zalety zaledwie dziesięcioletni smarkacz? Oszołomiona padawanka postanowiła znaleźć ulgę w pocieszaniu się, że komandos widział i przeżył o wiele więcej niż ona, więc prawdopodobnie wie wszystko lepiej...

– Mów dalej – zachęciła. – Wspomniałeś, że masz jakiś plan...

## **KRYJÓWKA W POBLIŻU PZ GAMMA, PÓŹNY WIECZÓR**

– Jak się czujesz? – zapytał Niner.

Atin zgiął ręce w łokciach i poruszył nimi, jakby pływał, żeby wypróbować mięśnie piersi.

– Prawie jak nowo narodzony – powiedział. – Żadnych problemów z oddychaniem. A po trafieniu pozostał tylko ślad na napierśniku.

Ze słuchawek komunikatorów w ich hełmach wydobył się bezcielesny głos Fi. Komandos leżał pod krzakami na grzbiecie wzgórza i obserwował biegnącą w dole drogę.

– To dlatego, że jestem bardzo dobrym lekarzem polowym – poinformował towarzyszy. – Zaczekajcie, aż zobaczycie, jak wykonuję tracheotomię.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, odpuszczę sobie taką okazję – oznajmił Atin, zdejmując hełm. – Co powiecie na kolację?

– Na co miałbyś ochotę? – zainteresował się Niner. – Suszone szczury, suszone szczury czy może suszone szczury?

– Spróbujmy dla odmiany suszonych szczurów. – Tak, Atin czuł się zdecydowanie lepiej, i to nie tylko pod względem fizycznym. – A przy okazji, kto miał zwyczaj tak mawiać?

– Hm?

- Kto się tak wyrażał o naszych suchych racjach żywnościowych?
- Ach. Skirata – odparł Niner. – Pewien sierżant, który nas szkolił. Atin odgryzł kawałek białej kostki i popił go łykiem wody z manierki.
- Nie mieliśmy okazji się z nim spotkać – powiedział. – Ale dużo o nim słyszeliśmy.
- Szkolił także Fi i Darmana – dodał Niner. – Nasze drużyny wchodziły w skład tego samego batalionu.
- A nas szkolił Walon Vau.
- To by wyjaśniało, dlaczego tak zabawnie wyglądasz.
- Sierżant Vau uczył nas, że warto przygotować się na najgorszą sytuację – ciągnął Atin jak lojalny podwładny. – A także zapewnić sobie najlepszy sprzęt. „Dobrze jest być twardzielem, ale jeszcze lepiej być twardzielem i mieć do dyspozycji lepsze środki techniczne”, zwykł mawiać.
- Jasna sprawa.
- Słyszałem jednak, że wszyscy bardzo lubili Skiratę – stwierdził Atin. – Mimo że był irytującym moczymordą.
- Niner nigdy się nie upił i nawet nie znał smaku alkoholu.
- Skirata troszczył się o to, co się z nami stanie – powiedział. – Praktycznie był jednym z nas. I to nie tylko dlatego, że nie mógł znieść myśli, iż nie może osobiście służyć w wojsku albo że gdyby się nie zajmował naszym szkoleniem, musiałby w ogóle odejść z armii. Nie, Skirata był porządnym gościem. – Niner oddałby wiele, żeby zobaczyć, jak sierżant idzie w ich stronę, kuśtykając między drzewami, aby zapytać, co właściwie tu robią i dlaczego leżą beczynnie niczym trupa kaminoańskich artystów nahra. – Nie mam pojęcia, co teraz porabia – podjął po chwili. – Od czasu odlotu z Kamino nie mieliśmy z nim żadnego kontaktu. To najlepszy specjalista od tajnych operacji i sabotażu.
- Na pewno wkrótce się o tym przekonasz – stwierdził Fi.
- Wkrótce wszyscy się o tym przekonamy – poprawił go Niner. – Polegam na tym, czego nas nauczył, i jestem pewny, że pomyślnie wykonamy zadanie.
- Dokończył żuć idealnie dostosowaną do potrzeb ich organizmów,



sensownie zaprojektowaną i pozbawioną jakiegokolwiek smaku kostkę i umilkł. Czekając na pojawienie się Darmana, komandosi nie mogli nawet zastawić sideł, żeby coś złapać i upiec, bo ich kryjówkę zdradziłyby woń pieczonego mięsa i blask ognia.

Na straży stał Fi, więc Niner mógł zamknąć oczy i kilka godzin się przespać. Mimo to włożył hełm, żeby być gotowym do akcji na wypadek kontaktu z wrogiem i żeby utrzymać właściwą temperaturę ciała. Z nastaniem zmierzchu zrobiło się całkiem chłodno. Postanowił pozwolić sobie na luksus, którego właściwie nie potrzebował: nie tracić bojowego ducha.

„Przerażacie mnie – mawiał Skirata. – Przyswajacie sobie wszystko, co wam mówię. Czy nigdy niczego nie zapominacie?”

– Nie, sierżancie – odpowiadał Niner.

Nie miał pojęcia, jak długo spał. Drgnął i obudził się dopiero na dźwięk głosu kolegi.

– Możliwy kontakt, kierunek wschód, odległość czterdzieści kilometrów – zameldował Fi. – Wygląda, jakby centrum znajdowało się w Imbraani.

Z początku nawet przez przesłone hełmu Niner nie mógł się zorientować, co właściwie wypatrzył Fi, ale w końcu i on to zobaczył. Na horyzoncie pojawił się blask, który wyglądał prawie jak wschód słońca. Miał stałe natężenie i stopniowo zmieniał barwę z bursztynowej na ciemnoczerwoną, więc to nie mogła być eksplozja.

Niner zmienił tryb pracy przesłony hełmu w taki sposób, żeby ukazywała najpierw główne pasmo widma, potem tylko zakres podczerwieni, a później całkowite widmo. Od blasku promieniowało ciepło, które wykrywały także wrażliwe na podczerwień czujniki dalekiego zasięgu.

– Wygląda to, jakby zbliżał się do nas wielki pożar – stwierdził Fi.

Uzbroili się w cierpliwość i obserwowali niezwykle zjawisko. Niner słyszał, że leżący kilka metrów dalej Atin zbiera i składa sprzęt, jakby przygotowywał się do odwrotu. Komandosi nastawili lornetki na pełną odległość i zauważyli, że w kilku ciemniejszych miejscach łuny unoszą się kłęby dymu. W końcu dołączył do nich Atin i wszyscy trzech obserwowali w milczeniu odległy pożar.

– Jest noc, więc na pewno nie wypalają rżyska po żniwach – odezwał się Fi. – Jeszcze nawet nie zakończyli zbiorów tego śmierdzącego barqa. Musieli coś znaleźć.

– Co racja, to racja – przyznał Niner.

– Mogli także natknąć się na Darmana. A może chcą dać nauczkę miejscowym farmerom, żeby nie udzielali schronienia wrogom? – myślał głośno komandos. – Możliwe też, że po prostu starają się wykurzyć Darmana z kryjówki.

Niner doszedł do wniosku, że to umiarkowanie pomyślna wiadomość.

– To by oznaczało, że przeżył lądowanie – powiedział. – Będziemy czekali do ostatniej sekundy... jak najdłużej, żeby nabrać pewności.

Atin odłożył sprzęt. Był zbyt doświadczonym i zdyscyplinowanym żołnierzem, żeby rzucić go na ziemię, ale Niner zauważył, że komandos jakby się przygarbił.

– A jeśli do tej pory Damian się nie pojawi? – zapytał zrezygnowanym tonem. Najwyraźniej Atin nie zamierzał przejawiać dłużej buntowniczego ducha. – Opracujemy następny plan?

Obejrzymy sobie jeszcze raz cały teren od Teklet po Imbraani – odparł Niner. – Zaczniemy od początku.

– To nie będzie mapa z zachowaniem skali – uprzedził Darman. Na oczyszczonym fragmencie klepiska wydrapał jakieś znaki i położył kilka kawałków czerstwego chleba. – To rzeka – powiedział. – Te trzy okruchy to punkty zborne: Alfa, Beta i Gamma. – Połamał kawałek drewna na mniejsze drzazgi i ułożył je na prowizorycznej mapie. – To baza robotów... a to ośrodek doktor Uthan.

Etain wyciągnęła ku niemu rękę i nadstawiła dłoń, a komandos podał jej dwie drzazgi.

– Ta będzie oznaczała rezydencję Lika Ankkita. – Padawanka ulokowała pierwszą drzazgę. – To neimoidiański kacyk, jeżeli mogę go tak określić. Kieruje przedsiębiorstwem zajmującym się eksportem qiilurańskich produktów rolnych, więc dla miejscowych farmerów jest prawie cesarzem.

– W porządku. Czego jeszcze nam brakuje? – zapytał Darman. Etain pokruszyła drugą drzazgę na jeszcze mniejsze kawałki i rozmieściła je starannie na mapie.

– To Imbraani, a to Teklet, gdzie znajduje się kosmoport – oznajmiła. – To właśnie tam się mieszczą magazyny i składy.

– A to ostatnie znane miejsce pobytu mojej drużyny – dodał komandos.

Etain wpatrywała się w stoczone przez robaki kawałki drewna i okruchy czerstwego pieczywa, które miały pomóc ocalić Wielką Armię od zagłady.

– Właściwie dlaczego kombinujemy z tą mapą na klepisku, skoro mamy doskonale hologramy? – zapytała.

– Bo tak zazwyczaj postępował sierżant Skirata – wyjaśnił komandos. – Nie przepadał za hologramami. Twierdził, że są zbyt przezrocyste. Uważał także, że kiedy może czegoś dotknąć, łatwiej mu się skupić.

– No i do sporządzenia takiej mapy nie potrzeba wysokiej techniki – zauważyła padawanka.

– Skirata bardziej wierzył w intuicję – dodał Darman.

Odwrócił się nagle i wyciągnął blasterowy pistolet, bo drzwi stodoły zaczęły się otwierać. Na widok wchodzącej osoby komandos odprężył się i umieścił broń z powrotem w kaburze. Jinart przyciskała do piersi następny tobołek z ubraniami.

– Musicie stąd uciekać – powiedziała, oddychając z wysiłkiem. – Wyjdźcie na dwór i spójrzcie na wschód. Siepacze Hokana palą pola, żeby was stąd wykurzyć i pozbawić wszelkich kryjówek. Zostało wprowadzić kilka miejsc, w których możecie się przyczaić, ale musicie wyglądać jak farmerzy... co może być trudne, zwłaszcza dla ciebie, mój chłopcze. Jesteś po prostu za wysoki i zbyt silnie umięśniony.

Etain nie przejęła się jej słowami. Wiedziała, że sama nie będzie się odróżniała od niedożywionych, ubranych w zniszczone stroje wiejskich dziewczyn.

– Muszę zabrać swój sprzęt – stwierdził komandos. – Mogę się z nim gdzieś ukryć, jeżeli zaistnieje taka potrzeba.

– Nie możesz zostawić tu przynajmniej części?

– Nie, jeżeli mamy wysadzić w powietrze tamten ośrodek – wyjaśnił Darman. – Mam tu odpowiednie materiały wybuchowe, żeby poradzić sobie z hodowlą nanowirusów. Mam także działko typu E-Web, które będzie nam potrzebne.

– Więc znajdź sobie jakiś wózek – doradziła Gurlanka. – Ostatnio obowiązuje zakaz korzystania z pojazdów zaopatrzonych we własny napęd. – Rzuciła jeden pakunek w stronę komandosa. – I wyskakuj z tego pancerza – podjęła po chwili. – Nie rzucałbyś się bardziej w oczy, nawet gdybyś włożył ślubną suknię.

– Moglibyśmy spróbować dotrzeć do PZ Gamma – zaproponował Darman.

– Nie ma mowy. Wejdźcie do pierwszego bezpiecznego domu, który zobaczycie – doradziła Jinart, spoglądając na komandosa. – Odszukam twoich kolegów z drużyny i dam im znać, że żyjesz, a potem do was wrócę.

W stodole nie brakowało taczek i ręcznych wózków, ale każdy był bardziej czy mniej uszkodzony. Używanie podobnych środków transportu na ogół nie zwracało niczyjej uwagi. Na lokalnych polnych drogach widywało się wielu farmerów, którzy taczkami lub ciągniętymi przez merlie wozami starali się dostarczyć do Teklet swój kontyngent barą czy innych produktów rolnych.

Pomagając ładować części blasterowego działka na najbardziej wytrzymały wózek, Etain uświadomiła sobie, jaki ciężar musiał dźwigać Darman na plecach. Kiedy z najwyższym trudem unosiła jeden z szarych pakunków, żeby umieścić go na wózku, postanowiła trochę sobie pomóc Mocą. Nie spodziewała się, że pakunki okażą się tak ciężkie. Pomyślała, że nie jest jedyną osobą obdarzoną większą siłą niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka.

– Czy to wszystko broń? – zapytała, wskazując pakunki.

– Prawie wszystko.

– Nie wystarczy do pokonania setki robotów.

– To zależy od tego, jak się tym posłużyć.

Etain nie wiedziała, czy komandos rzuca się bardziej w oczy bez złowieszczonego szarego pancerza, czy też w nim. W pancerzu wyglądał, jakby był o wiele wyższy, ale i bez pancerza był silnie zbudowany. Na

pewno ćwiczył całe życie, a jego pożywienie zawierało dużo białka, aby dać mu taką siłę. Głodujący farmerzy nie mieli tak silnie rozwiniętych mięśni czworobocznych. Najmłodszy był za to opalony, jakby większość życia spędził na dworze. Tymczasem Darman, choć wyglądał jak okaz zdrowy, był zupełnie blady, jakby jego skóry nie musnęły nigdy promienie słońca. Nie miał nawet odcisków na dłoniach.

Trzymał się także sztywno, jakby kij połknął. Wyglądał dokładnie jak żołnierz doborowych oddziałów sił zbrojnych, do których należał. Nie było szans, żeby ktokolwiek uznał go za miejscowego wieśniaka. Etain miała tylko nadzieję, że farmerzy będą się go bali bardziej niż Hokana.

Niebo nad horyzontem miało bursztynową barwę, prawie jak nocne niebo na Coruscant, ale tutaj od chmur odbijał się blask płomieni, nie milionów sztucznych źródeł światła. Chyba zanosilo się na deszcz, więc Darman i Etain postanowili przykryć wózek brezentem, żeby nie wzbudzać niczyjej ciekawości. Ukryli „sprzęt”, jak komandos go nazywał, pod warstwami łądy barqa, worków z ziarnem i paskami suszonego kushayana. Padawanka zauważyła, że komandos równie dobrze włada slangiem czy językiem potocznym, jak mową osób z wyższym wykształceniem. Od czasu do czasu wtrącał jednak określenia w rodzaju „sprzęt”, stosując je do różnej broni w rodzaju DC-15 czy DC-17. Używał także wielu skrótów i liczb, na dźwięk których Etain czuła, że kręci się jej w głowie.

– Spójrz na to – odezwał się w pewnej chwili, pokazując horyzont.  
– Od czoła tego pożaru dzielą nas co najmniej cztery kilometry.

– Puszczają z dymem zbiory barqa o wartości miliona albo więcej kredytów – westchnęła padawanka. – Farmerzy będą na pewno wściekli jak diabli. Neimoidianie chyba jeszcze bardziej.

– Podobnie jak Birhan – stwierdziła Jinart i spojrzała na Etain. – Ty także zabierasz sporo jego barqa dla ukrycia sprzętu tego komandosa, dziewczyno. Ruszajcie w drogę. – Gurlanka sięgnęła po komputerowy notes Darmana i umieściła w nim pręt pamięciowy. – To są stosunkowo bezpieczne domy, których lokalizację naniosłam na waszą mapę. Mimo to nie reklamujcie się z tym, kim jesteście. Nawet

jeżeli właściciel domu, do którego drzwi zastukacie, odgadnie waszą tożsamość, wyrządźcie mu przysługę i nie potwierdzajcie jego przypuszczenia.

Etain włożyła na charakterystyczny płaszcz Jedi sięgającą kostek imbraańską tunikę. Jinart spojrzała na młodą Jedi i wskazała na jej włosy.

– To także – powiedziała.

– Warkoczyk? – domyśliła się padawanka.

– Jeżeli nie chcesz zdradzić, kim jesteś... – zaczęła Gurlanka.

Etain się zawahała. Słyszała kiedyś, jak ktoś mówił, że nie wolno nigdy zdejmować zaręczynowego pierścionka... aż do śmierci. Dla niej czymś w tym rodzaju był warkoczyk padawanki. Miała wrażenie, jakby była w niego wpleciona jej dusza. Nosila go tak długo, że gdyby się go pozbyła, choćby tylko na jakiś czas, musiałyby uznać, że jej wszechświat się zawalił, a ona sama nie stanowi dobrego materiału na rycerza Jedi. Nie miała jednak innego wyjścia. Rozplotła warkoczyk i przeczesala palcami faliste włosy. Dobitniej niż kiedykolwiek uświadomiła sobie, ile jeszcze brakuje jej do prawdziwej Jedi i ile musi się jeszcze nauczyć, żeby zostać dowódcą.

– Pewnie nigdy nie sądziłaś, że dowódca Jedi może uciekać od walki – odezwała się do Darmana, kiedy oboje szli niespiesznie pełną drogą starając się nie rzucać w oczy.

– Nie uciekamy od niej – zaprotestował komandos. – To tylko UK i MP... unikanie kontaktu i mylenie przeciwnika.

– Dla mnie wygląda to jak ucieczka.

– Taktyczny odwrót, żeby się przegrupować.

– Jesteś bardzo pozytywnie nastawiony do życia – stwierdziła Etain. Niemal nie wyczuwała dziesięcioletniego dziecka. Od komandosa promieniowało skupienie i pewność siebie. Czuła się zawstydzona, chociaż na pewno Darman nie miał zamiaru jej peszyć.

– Przykro mi, że przedtem straciłam panowanie nad sobą – powiedziała.

– W sytuacji, w której nie miało to większego znaczenia – przypomniał komandos. – Nie na polu walki, pani oficer. Nie w obliczu wroga.

– Prosiłam cię, żebyś się tak do mnie nie zwracał.  
– Zamierzam stosować się do pani rozkazu, kiedy ktoś będzie mógł nas usłyszeć – odparł Darman i umilkł. – Od czasu do czasu wszystkim zdarza się tracić panowanie nad sobą – stwierdził po chwili.

– Ale ja nie powinnam – oznajmiła Etain.  
– Jeżeli czasami na to sobie nie pozwolisz, skąd będziesz wiedziała, jak daleko możesz się posunąć?

Miał rację. Z jakiegoś powodu działał na nią o wiele bardziej uspokajająco niż kiedykolwiek Fulier. Mistrz Jedi, kiedy nie starał się toczyć walki ze złem w galaktyce, był uosobieniem doskonałości. Darman był także ekspertem w swoim fachu, ale wyczuwało się, że to rezultat intensywnych ćwiczeń. Nie było w tym niczego tajemniczego ani przypadkowego.

Etain podobało się, że Darman jest pragmatykiem. Zastanawiała się czasem, czy nie ratuje sklonowanych żołnierzy od śmierci spowodowanej zakażeniem wirusem tylko po to, żeby później mogli ginąć na polu walki od blasterowych błyskawic czy strzałów z działek. Wzdrygała się na myśl o tym.

Nie lubiła zabijać, nawet kiedy nie miała innego wyjścia. Nie lubiła też, kiedy inni zabijali. Pomyślała, że jej życie jako dowódcy może być wyjątkowo trudne.

Roboty szły skrajem lasu, niosąc miotacze płomieni, zabrane od tego samego farmera, którego pola podpalały. Ghez Hokaan i jego porucznicy Cuvin i Hurati stali na ścieżce trzysta metrów dalej i przyglądali się pożarowi.

– Będziemy musieli puścić z dymem spory kawał terenu, żeby pozbyć nieprzyjaciół wszystkich możliwych kryjówek, panie majorze – poinformował Cuvin.

– Nie w tym rzecz – stwierdził Hurati. – Zależy nam nie tylko na wykurzeniu nieprzyjacielskich żołnierzy, ale także na stworzeniu wrażenia, że chronimy ośrodek doktor Uthan.

– Racja – przyznał Mandalorianin. – Nie ma sensu zrażać do siebie

miejscowych farmerów, a mnie nie stać na to, żeby wyrównać wszystkim straty za spalone zbiory. To wystarczy. Posłużymy się robotami, które strzegą pozostałych granic pola.

Cuvin wyglądał, jakby dezaprobata przełożonego nie wywarła na nim większego wrażenia.

– Czy mogę zaproponować, żebyśmy wykorzystali w tym celu myśliwskie strille? – zapytał. – W ciągu zaledwie dwóch dni moglibyśmy tu ściągnąć sforę z poganiaczami. Federacja Handlowa nie będzie zachwycona kłopotami przy żniwach, a wpływowe osobistości na pewno zwrócą uwagę na brak tego frykasu na rynku.

– Nic mnie to nie obchodzi – burknął Mandalorianin. – Te same wpływowe osobistości nie powitają z entuzjazmem pojawienia się milionów republikańskich klonów na swoich planetach.

Hokan miał na sobie kompletną mandaloriańską zbroję, nie tyle dla ochrony osobistej, ile z uwagi na swoich oficerów. Czasami musiał się uciekać do odgrywania małych przedstawień. Wiedział, że odbłask płomieni na tradycyjnej zbroi wojownika wzbudza strach i wywiera na podwładnych niezatarte wrażenie. Toczył wojnę. Nie musiał dłużej marnować wojskowego talentu, pracując jako skrytobójca czy osobisty ochroniarz bogatych tchórzów i mięczaków.

Z drugiej strony, Cuvin miał rację w sprawie strillów. Hokan musiał liczyć się z tym, że każdy jego podwładny może okazać się buntownikiem, a znalezienie republikańskich żołnierzy na pewno będzie wymagało sporo trudu.

– Jak oceniasz, ilu ich może być, Hurati? – zapytał.

Porucznik pobudził do życia holomapę i w ciemności zajaśniał przezroczysty obraz.

– W tym miejscu, gdzie rozbił się statek, potwierdzono elementy republikańskiego wojskowego robota typu R5. – Hurati wskazał miejsce na mapie. – Szczątki dwóch Weequayańskich członków milicji znaleziono tu, tu i tu... ale gdany okaleczyły ciała i rozwłóczyły zwłoki po obszarze kilku kilometrów kwadratowych, więc trudno określić dokładnie, gdzie ich zabito. Powietrzny śmigacz zestrzelono tu. Elementy rozebranych podzespołów maszyny znaleziono w tym miejscu, ale mogły je tam zaciągnąć gdany... w pobliżu znajduje się



pełno nor tych zwierząt. Bitwę z plutonem robotów stoczono tu, bo wysłaliśmy je na patrol na podstawie meldunku o poprzednim znalezisku.

– Cały obszar da się zamknąć w prostokącie o szerokości pięciu i długości czterdziestu kilometrów – stwierdził Hokan. – Wydaje się oczywiste, że nieprzyjaciele zmierzają do Teklet. Prawdopodobnie zamierzają opanować kosmoport, zanim przypuszczą właściwy szturm na ośrodek doktor Uthan.

– Rzeczywiście na to wygląda, panie majorze – przyznał porucznik.

– Ich liczba? – zażądał Mandalorianin.

– Powiedziałbym, że nie więcej niż dziesięciu, panie majorze – odparł Hurati. – Mamy meldunki farmerów, którzy znaleźli dowody, że ktoś przedzierał się przez ich uprawy. Bardzo o nie dbają więc zwracają uwagę nawet na najdrobniejsze ślady... w przeciwieństwie do robotów, panie majorze.

– Co to wszystko nam mówi?

– Wiele śladów znaleziono na obszarze o rozmiarach trzydzieści na czterdzieści kilometrów, panie majorze – podsumował Hurati. – To robota ekspertów... farmerzy przypuszczają że to sprawka dzikich zwierząt, ale ślady nie wiodą w przypadkowych kierunkach. Wyglądają jakby nieprzyjaciele starali się nas zmylić.

Dziesięciu żołnierzy, pomyślał Hokan. Zwiadowców? Członków specjalnych oddziałów? Sabotażystów? Wysłanych na przeszpiegi, żeby później mogli wylądować następni? A może zamierzają wykonać zadanie własnymi siłami? Hokan żałował, że nie ma do pomocy kilku mandaloriańskich wojowników zamiast robotów i zawodowych oficerów. Miał na głowie hełm, więc nikt nie mógł widzieć wyrazu jego twarzy, ale i tak starał się ukrywać dręczący go niepokój. Chciałby mieć także więcej powietrznych śmigaczy, żeby zastąpić ten, który został zestrzelony. Do nadzoru farm był mu potrzebny tylko jeden, a ściągnięcie następnych na Qiilurę mogło potrwać wiele dni.

– Czy farmerzy bywają skłonni do współpracy? – zapytał.

– O tak, zwłaszcza odkąd jeden z nich znalazł tamte podzespoły, panie majorze.

Hokan odwrócił się i ruszył z powrotem w kierunku ośrodka badawczego. Placówka doktor Uthan, choć pusta, była na pozór pilnie strzeżona, i to dość ostentacyjnie, żeby każdy mógł to zauważyć. Hokan gestem nakazał Huratiemu, żeby mu towarzyszył. Cuvin chciał się do nich przyłączyć, ale Mandalorianin powstrzymał go gestem uniesionej ręki.

– Poruczniku – odezwał się cicho, kiedy znaleźli się na tyle daleko, żeby Umbaranin nie mógł go usłyszeć. – Czy są jakieś wieści o moim byłym podwładnym, GutaNayu?

– Na razie nie, panie majorze, ale patrole wiedzą że mają go wypatrywać – odparł Hurati.

– To dobrze – mruknął Hokan. – Miej także oko na Cuvina, zgoda? Chyba nie zasługuje na awans do stopnia kapitana.

Hurati umilkł na chwilę.

– Rozumiem, panie majorze – odezwał się w końcu.

Zdumiewające, co potrafi zdziałać sugestia obietnicy niespodziewanego awansu, pomyślał Hokan. Zadawał sobie pytanie, co się stało z wojskowym kodeksem honorowym.

A zatem prawdopodobnie w okolicy działało dziesięciu komandosów. Wytropienie ich i pokonanie na pewno zajmie mnóstwo czasu. Jeżeli Hokan będzie miał pecha, nigdy ich nie złapie. A już na pewno w przypadku, kiedy do pomocy będzie miał tylko roboty i młodych teoretyków z akademii. Wcześniej czy później nieprzyjaciele będą jednak musieli zatroszczyć się o żywność, a to oznaczało, że się pokażą.

Republika bawiła się z nim w chowanego, ale i on bawił się z nią w podobny sposób. Z każdą chwilą zaczynało mu to się bardziej podobać. Tym razem przeciwnicy chyba nie zamierzali stosować ulubionej taktyki, polegającej na wysyłaniu licznego oddziału żołnierzy. Tym razem o wyniku bitwy miał zdecydować pojedynek umysłów. W najgorszym razie Hokan mógł się zabarykadować w ośrodku i czekać, aż przyjdą po niego komandosi Republiki.

Jeżeli jednak chciał ich zwabić na odległość strzału, musiał wymyślić bardziej kuszącą przynętę.

Pomyślał, że doktor Uthan to zrozumie. Wszystko wskazywało, że

jest kobietą pragmatyczną.

Fi zaczynał się denerwować, co zupełnie do niego nie pasowało. Niner znał go wprawdzie dopiero od kilku dni, ale sklonowani komandosi potrafili szybko oceniać charaktery ludzi, a zwłaszcza innych komandosów na podstawie drobiazgów.

Sierżant nie spał, kiedy podwładny zameldował koniec warty. Jakies piętnaście minut później Fi wrócił na punkt obserwacyjny i usiadł obok niego. Pożar przestał się rozprzestrzeniać. Łuna na horyzoncie była wprawdzie jeszcze widoczna, ale jej natężenie się nie zmieniało. Prawdopodobnie płomienie dotarły do jednego ze strumieni i powoli dogasały.

– I tak wiedzą o naszej obecności – stwierdził Fi. Niner nie musiał być telepatą aby odgadnąć, że podwładny martwi się o Darmana. – Moglibyśmy nastawić komunikator na większy zasięg.

– Namierzyliby naszą pozycję – sprzeciwił się Niner.

– Musieliby mieć wielkie szczęście – nie dawał za wygraną Fi.

– A my moglibyśmy mieć wielkiego pecha – stwierdził Niner. – Wystarczyłby raz.

– W porządku, sierżancie. Przepraszam.

Fi umilkł. Niner zmniejszył czułość wrażliwego na podczerwień filtru, żeby wyeliminować rozpraszający uwagę blask ognia. Nagle uświadomił sobie, że wokół niego zapadła niezwykła cisza. Gdany przestały buszować po okolicy w poszukiwaniu żeru. Pomyślał, że to niedobrze.

Chwycił lunetę karabinu i spojrzał na rosnące przed sobą krzaki. Omiatając wycinek terenu, zauważył wiele par błysków. Domyślił się, że to czujne ślepia wszędobylskich gdanów, które zamarły, jakby się czegoś obawiały.

W pewnej chwili spostrzegł jakiś ruch, zasygnalizowany niebieskim błyskiem, w jednym z kwadrantów wizjera lunety. Niner wiedział, że ciało, które się porusza, może widzieć w podczerwieni, więc wyłączył namierzanie celu i nastawił przyrząd na powiększenie obrazu. Równocześnie wyteżył W i S – wzrok i słuch, jak mawiał

Skirata. „Masz oczy i uszy, synu, i to dobre. Nie pokładaj zbyt dużego zaufania w wytworach techniki". Coś się do nich zbliżało, ukradkiem i powoli. Coś mniejszego niż dorosły mężczyzna i sprytniejszego niż robot.

Niner położył dłoń na ramieniu Fi, żeby powstrzymać go przed wstaniem. Nie odważył się tego powiedzieć... nawet przez komunikator.

Dziwne stworzenie znajdowało się jakieś dziesięć metrów przed nimi i kierowało w ich stronę, zupełnie jakby nie kryło się ze swoją obecnością. Może po prostu o nich nie wiedziało. Jeżeli tak, czekała je niespodzianka.

Niner włączył minireflektor i w stożku oślepiającego blasku zobaczył błyszczący czarny kształt. Od razu wyłączył światło i się odprężył. Stworzenie posuwało się tak blisko powierzchni gruntu, że wyglądało jak płynąca woda. Dopiero kiedy znalazło się przed nimi, podniosło się i przeistoczyło w Valačila.

– Z takim oprzyrządowaniem powinniście wcześniej zobaczyć, że nadchodzę. – Głos brzmiał inaczej niż głos Valačila, choć był równie hipnotyzujący niczym plusk strumienia. – Staram się przestrzegać reguł i nigdy nie zaskakiwać istoty człękokształtnej z karabinem w dłoniach.

– Dobrze, że już kiedyś widzieliśmy Gurlanina – odetchnął z ulgą Fi i uprzejmym gestem przyłożył rękawicę do boku hełmu.

– Wasz kolega także nie był zaskoczony moim widokiem – ciągnęła istota. – Przybyłam tu, żeby przekazać wam pewne informacje. Nazywam się Jinart. Tylko nie mówcie do mnie co dwie sekundy „proszę pani", jak Damian.

Niner chciał zadać istocie sto pytań na temat zaginionego kolegi, ale Gurlanka użyła czasu teraźniejszego, co oznaczało, że Darman żyje. Sierżant ucieszył się, że nie zdjął hełmu. Okazywanie emocji, przynajmniej w obecności obcej osoby, byłoby wysoce nieprofesjonalne.

– Kierujecie się do niewłaściwego miejsca – stwierdziła Jinart. – Prosto do wojskowej bazy Separatystów. W normalnych okolicznościach zapukalibyście do drzwi baraków, w których

kwateruje setka robotów, ale Separatyści wysłali połowę do strzeżenia ośrodka i patrolowania okolicy. Nie znajdziecie tam jednak ani Uthan, ani hodowli jej nanowirusów.

– A więc wszystko układa się jak najlepiej – oznajmił radośnie Fi.

– Choć łatwo zauważyć, że ośrodek jest pilnie strzeżony, waszym prawdziwym celem jest willa na skraju Imbraani – ciągnęła Gurlanka.  
– Ośrodek to pułapka.

– Co porabia w tej chwili Darman? – zapytał Niner.

– Ma nadal materiały wybuchowe i szczegółowe plany waszych celów – odparła Jinart. – Wysłałam go do kryjówki w towarzystwie Jedi.

– Generała Fuliera? – zdziwił się Niner. – Sądziliśmy...

– Dobrze sądziliście – przerwała istota. – Fulier nie żyje, a Jedi jest jego padawanką i nazywa się Tur-Mukan. Mimo to nie obiecujcie sobie po niej zbyt wiele. Na razie nie jest materiałem na dobrego dowódcę... i może nigdy nim nie zostanie. Wygląda na to, że musicie sami toczyć tę wojnę.

Nie planowaliśmy frontalnego ataku na ośrodek, przynajmniej dopóki nie dostaniemy wsparcia piechoty – oznajmił Niner. – Teraz, kiedy straciliśmy przewagę, jaką dawało nam zaskoczenie, będziemy musieli pomyśleć, w jaki sposób ją odzyskać.

– Jeden atut nadal macie – zauważyła Gurlanka. – Ghez Hokan nie ma pojęcia, ilu właściwie was jest. Zostawiłam wiele widocznych śladów, jakby całe wojsko przedzierało się przez łąny zboża i chaszczce.

– Dlaczego zadałaś sobie tyle trudu?

– Chciałam stworzyć wrażenie, że po okolicy przemieszcza się niewielka armia. – Jinart spojrzała taksująco na Atina i Fi. Może się zastanawia, czy dałaby radę przybrać postać komandosa? – pomyślał Niner. – Mam nadzieję, że nie zamierzaliście zastrzelić i zjeść jakiegoś merlie? – zapytała.

– Dlaczego o to pytasz? – zainteresował się sierżant.

– Wyglądacie, jakby wasze pancerze były przynajmniej o dwa numery za duże.

Fi kiwnął głową.

– Ma rację – zauważył. – Zużywamy mniej więcej trzydzieści procent więcej kalorii, niż planowano, sierżancie. Nikt nie przypuszczał, że będziemy musieli nieść taki ciężar na tak dużą odległość.

– Niedługo skończą się wam racje żywnościowe – ciągnęła Gurlanka. – Mięso merlie jest wyśmienite, ale nigdy nie strzelajcie do tych zwierząt. W razie potrzeby mogę jakieś upolować i zostawić wam w umówionym miejscu.

– Dlaczego?

– Bo możecie niechcący zastrzelić mnie – odparła Jinart.

Jeszcze jeden aspekt walki, którego nie przerabiali podczas ćwiczeń. Wyglądało na to, że nawet Kai Skirata nie miał do czynienia z Gurlanami, a nawet jeżeli miał, nigdy o nich nie wspominał. Ninerowi spodobały się niezwykle obce istoty. Zastanawiał się, z jakiej pochodzą planety. Na pewno było to fascynujące miejsce.

– Dokąd się teraz wybieracie? – zainteresowała się Jinart. – Muszę to wiedzieć, żeby dać znać Darmanowi, gdzie ma was szukać.

– Zamierzaliśmy iść do PZ Gamma, ale z twoich słów wynika, że kierowalibyśmy się w niewłaściwym kierunku – odparł Niner.

– Mogę dać wam współrzędne odpowiedniego miejsca, położonego bliżej Imbraani, a kiedy wrócę do Darmana, przekażę mu tę samą informację – zaproponowała Gurlanka.

– Wydobywają tam jakieś minerały, prawda? – domyślił się Atin.

– Zgadza się – przyznała Jinart. – Przeważnie kwarc zeka i rozmaite zielone krzemiany.

– Używają kilofów i łopat czy też może mają jakieś maszyny?

– Mają maszyny.

– Więc powinni mieć także materiały wybuchowe do rozsadzania skał – zawyrokował komandos. – No i zdalnie odpalane detonatory z miłymi, bezpiecznymi, długimi nastawami.

Jinart zachichotała zupełnie jak kobieta. Najwyraźniej ją rozbawiło. Z drugiej strony może uznała Atina za szaleńca, ale Ninerowi spodobał się kierunek myśli przedsiębiorczego podwładnego.

– Pokażcie mi swoje holomapy – poprosiła Gurlanka. – Pozwólcie,

że zostanę waszym wirtualnym przewodnikiem po ośrodku wydobywczym minerałów rejonu Imbraani.

# ROZDZIAŁ

# 10

OBWIESZCZENIE DLA OBYWATELI QIILURY

KAŻDA OSOBA, KTÓRA WYRAZI ZGODĘ, ABY NA JEJ TERENIE KWATEROWALI PRZYBYSZE Z REPUBLIKI, ZOSTANIE WTRĄCONA DO WIĘZIENIA I UKARANA KONFISKATĄ POSIADŁOŚCI. ONA, JEJ RODZINA I WSZYSCY JEJ PRACOWNICY I WSPÓŁPRACOWNICY ZOSTANĄ PRZEWIEZIENI DO TEKLET I PRZEKAZANI W RĘCE PRZEDSTAWICIELI TRANDOSHAŃSKICH HANDLARZY NIEWOLNIKAMI. ŚMIERĆ PONIESIE KAŻDY, KTO BĘDZIE UDZIELAŁ SCHRONIENIA ALBO POMOCY KOMUKOLWIEK Z REPUBLIKI. NA NAGRODĘ MOGĄ ZAŚ LICZYĆ WSZYSTKIE OSOBY, KTÓRYCH INFORMACJE PRZYCZYNIĄ SIĘ DO SCHWYTANIA OBYWATELI REPUBLIKI ALBO DEZERTERÓW Z ODDZIAŁÓW BYŁEJ MILICJI CZY SIĘ ZBROJNYCH SEPARATYSTÓW, A ZWŁASZCZA PORUCZNIKA GUTA-NAYA I PORUCZNIKA PIRA CUVINA.

— *Z rozkazu majora Gheza Hokana, głównodowodzącego Garnizonu Teklet*

Krótko po wschodzie słońca zaczął siąpić drobny, zimny deszcz i Darman poczuł się jak na Kamino... Jak w domu. Dokuczliwa mżawka była mało przyjemna, ale także w dziwny sposób koła nerwy.

Wilgoć osiadała na jego płaszczu, więc komandos go zdjął i otrząsnął. Wełna merlie zawierała sporo naturalnych olejków i lepiła się do skóry. Darman tęsknił za czarnym kombinezonem i to nie tylko z powodu jego bojowych właściwości.

Etain popychała tył wózka, a komandos go ciągnął, idąc między dwoma dyszlami. Na niektórych odcinkach polnej drogi koleiny były tak głębokie, że padawanka musiała porządnie wyteżać siły, ale – jak



ciągle mu powtarzała – Jedi umieli posługiwać się Mocą.

– Mógłbym pomóc – zaproponował w pewnej chwili Darman.

– Dam sobie radę – warknęła przez zaciśnięte zęby. – Jeżeli to ma być lekki sprzęt, wolałabym nie oglądać normalnego.

– Chciałem powiedzieć, że mógłbym ci pomóc w doskonaleniu sztuki walki – uściślił komandos. – Jeżeli chcesz nabrać większej wprawy w posługiwaniu się świetlnym mieczem...

– Prawdopodobnie odciąłabym ci coś, za czym później byś tęsknił – odgryzła się Etain.

Naprawdę daleko jej było do Jedi z wyobrażeń Darmana. Szli dalej, starając się wyglądać jak zabiedzeni wieśniacy, co nie sprawia szczególnej trudności, kiedy ktoś jest głodny, przemoczony i zmęczony. Polna droga była opustoszała, chociaż o tej porze roku powinien panować na niej ruch od bladego świtu. W końcu zobaczyli pierwszy bezpieczny dom, a ściślej parterową chatę z dachem ze słomianej strzechy połączonej z rdzewiejącymi metalowymi płytkami.

– Zapukam – zaproponowała Etain. – Prawdopodobnie tutejsi mieszkańcy uciekliby w panice na twój widok.

Darman uznał jej propozycję za sensowną nie obraźliwą. Przesłonił dół twarzy kołnierzem płaszcza i wciągnął wózek za chatę, żeby nie był widoczny z polnej drogi. Wyprostował się i powoli omiół spojrzeniem okolice. Starał się sprawiać wrażenie, że kieruje nim zwykła ciekawość.

Chata nie miała z tyłu żadnych okien, a od drewnianych drzwi wiodła wydeptana ścieżka do dołu kloaczego z przerzuconą nad nim zwykłą deską. Darman stwierdził, że napływa stamtąd intensywny odór. Miejsce nie nadawało się na zasadzkę, ale komandos nie zamierzał ryzykować. Zatrzymywanie się na odpoczynek w nieosłoniętym miejscu bywało na ogół mniej lub bardziej niebezpieczne.

Nie podobała mu się sytuacja, w której się znalazł. Żałował, że nie potrafi udawać niewidzialnego jak sierżant Skirata. Niewyróżniający się niczym szczególnym, niski, żylasty mężczyzna nie rzucał się w oczy, dopóki nie postanowił stanąć do walki. A umiał walczyć na wiele sposobów, których na próżno by szukać w podręcznikach

ćwiczeń. Naturalnie Darman znał wszystkie te sposoby.

Przycisnął łokieć do boku, aby upewnić się, że w razie potrzeby da radę szybko sięgnąć po karabin. Wsunął dłoń pod połę płaszcza i wyciągnął sondę z saszetki u pasa.

Kiedy okrążył chatę i znalazł się znów przed frontowymi drzwiami, Etain wciąż jeszcze pukała we framugę. Ze środka nie dobiegał jednak żaden dźwięk. Padawanka cofnęła się wreszcie i spojrzała na drzwi, jakby mogły się otworzyć od siły jej wzroku.

– Wyszli – stwierdziła. – Nikogo w środku nie wyczuwam.

Darman wyprostował się i wrócił powoli na ryły domu.

– Pozwól mi to sprawdzić w normalny sposób – powiedział.

Gestem zachęcił Etain, żeby dołączyła do niego. Kiedy padawanka usłuchała, pokazał jej sondę i ostrożnie wsunął płaski pasek z czujnikiem w szczelinę pod drzwiami. Wyświetlacz w części, którą trzymał, ujawnił im, że czujnik nie wykrył żadnych śladów materiałów wybuchowych ani patogenów. Jeżeli wieśniacy zaminowali swoją chatę, musieli to zrobić w mało wymyślny sposób. Nadeszła pora, by się o tym osobiście przekonać. Darman przytrzymał karabin prawą ręką a lewą dłonią ostrożnie pchnął drewniane drzwi.

– Pusto – szepnęła Etain.

– Potrafisz wyczuć przymocowany do sprężyny drut, którego naciągnięcie pośle ku tobie grad metalowych igieł? – zapytał Darman.

– Racja – przyznała padawanka.

Drzwi bardzo powoli się otworzyły. Nadal nic. Komandos wyłuskał z saszetki u pasa zdalniaka, wpuścił go do środka i zaczął przeglądać rejestrowane w kiepskim oświetleniu obrazy wnętrza chaty. Nie zauważył, żeby coś się poruszało. Pomieszczenie było chyba czyste. Wezwał zdalniaka do powrotu i przytknął drzwi, po czym odwrócił się tyłem do nich i jeszcze raz omiół spojrzeniem okolicę.

– Wejść i się rozejrzeć. Dołączysz do mnie dopiero kiedy powiem: „Naprzód, naprzód, naprzód!”, dobrze? – szepnął tak cicho, żeby tylko Etain go usłyszała. Starał się nie patrzeć w jej oczy. – Trzymaj świetlny miecz gotowy do włączenia.

Wślizgnął się do środka, skierował przed siebie lufę karabinu, stanął w kącie i rozejrzał się po pokoju. Czysto. Zauważył na stole

niedojedzone resztki wieczornego posiłku. W bocznej ścianie pokoju dostrzegł drzwi, z pewnością wewnętrzne. Schowek? Kredens? Czy kryje się za nimi zagrożenie? Wymierzył w drzwi lufę karabinu.

– Naprzód, naprzód, naprzód! – powiedział. Etain weszła cicho jak duch, a komandos gestem polecił jej stanąć w przeciwległym kącie pokoju i wskazał drzwi w bocznej ścianie.

– Ja – te drzwi, ty – tylne wyjście – powiedział.

Etain kiwnęła głową na znak, że zrozumiała, i mocniej ścisnęła rękojeść świetlnego miecza. Darman podszedł do drzwi i jakiś czas próbował otworzyć zamek, ale nadaremnie. W końcu cofnął się dwa kroki i z całej siły kopnął w drzwi.

Miejscowi farmerzy nie przywiązywali dużej wagi do wytrzymałości. Drzwi pękły pośrodku i zawisły na jednym zardzewiałym zawiasie. Mroczne pomieszczenie za nimi było spiżarnią. To nawet miało sens... przymierający głodem farmerzy musieli trzymać pod kluczem zapasy żywności.

– Właściciele opuścili dom w pośpiechu – stwierdził komandos.

– Zawsze nosisz opancerzone buty? – zainteresowała się Etain.

– Nie kopałbym w drzwi, gdybym ich nie miał – odparł Darman, który omotał je ciasno zwiniętymi workami. – Nie ma butów, nie ma żołnierza. To szczerą prawdą. – Wszedł do spiżarni i przyjrzał się drewnianym półkom. – Właśnie zaczęła pierwszą lekcję zabezpieczania domów.

– A to co? – Etain zdjęła z półki metalowy pojemnik z jakimś napisem.

– Kto obserwuje wejście? – zapytał komandos. – Kto troszczy się o nasz sprzęt?

– Przepraszam – powiedziała skruszona padawanka.

– Nic nie szkodzi. Prawdopodobnie nigdy nie przyszło ci to do głowy, skoro możesz polegać na zmysłach Jedi. – Tym razem nawet nie pomyślał, żeby dodać „proszę pani”. – Gdybyśmy wiedzieli, dlaczego gospodarze opuścili dom w takim pośpiechu, moglibyśmy tu zostać i trochę odpocząć. Niestety nie możemy, więc weźmy trochę zapasów i ruszajmy dalej.

Zabrał garść suszonych owoców i coś, co wyglądało jak paski

skóry, a było chyba wędzonym mięsem. Postanowił sprawdzić, czy jedzenie nie zawiera żadnych toksyn. Miejscowi farmerzy nie słynęli z gościnności i na pewno nie zostawili zapasów żywności bez powodu. Z drugiej strony możliwe, że uciekali w panice przed podobnym aktem przemocy, jakiego był świadkiem krótko po wylądowaniu na Qiilurze.

W tym czasie Etain napełniła kilka pojemników wodą z pompy na podwórzu.

– Mam filtr do tej wody – oznajmił Darman.

– Jesteś pewny, że nie szkolili cię Neimoidianie? – odcięła się Etain.

– Znajdujemy się na obszarze opanowanym przez wroga – przypomniał komandos.

Padawanka uśmiechnęła się z goryczą.

– Nie wszyscy żołnierze noszą mundury, prawda? – zapytała.

Szybko się uczyła. Musiała. Darman nie mógłby się pogodzić z tym, że Jedi nie wykazuje przywódczych zdolności, na które tak bardzo liczył. Swoich emocji nie potrafił nazwać, choć były z nimi nierozzerwalnie związane różne wspomnienia. Pewnego razu ukończył pięćdziesięciokilometrowy bieg trzydzieści dwie sekundy po dozwolonym czasie i musiał ponownie przebiec tę samą odległość. Widział kiedyś, jak sklonowany żołnierz upadł podczas ćwiczeń, które polegały na wysadzaniu desantu z morza. Miał ciężki plecak i utonął, bo żadna z kierujących ćwiczeniami osób nie zatrzymała się, żeby mu pomóc. Inny komandos, snajper, osiągnął podczas strzelania tylko dziewięćdziesiąt pięć procent punktów, ale zniknęli wszyscy z jego grupy i Darman już nigdy nie zobaczył ich podczas ćwiczeń.

Gdy napływały takie wspomnienia, czuł się tak, jakby żołądek wpadał mu w czeluść czarnej dziury, by już nigdy nie powrócić.

– Dobrze się czujesz? – zapytała nagle Etain. – Jak tam twoja noga?

– Dziękuję, z moją nogą wszystko w porządku – odparł komandos. Chciał znów móc jej zaufać... i to jak najszybciej.

Ruszyli dalej polną drogą która stopniowo stawała się coraz bardziej błotnista. Drobny deszcz zacinał w plecy. Kiedy dotarli do

następnej farmy, niebo zaciągnęło się chmurami, jakby miało padać cały dzień. Darman wyobraził sobie pozostałych członków drużyny, brnących po rozmiękłym gruncie, ale idealnie suchych w uszczelnianych kombinezonach. Uśmiechnął się do siebie. Pomyślał, że przy takiej pogodzie nikt ich nie wytropi.

Na najwyższym stopniu frontowych schodów następnego domu stała jakaś kobieta. Miała dziwnie ściągniętą twarz, wyglądającą jak pyszczek dużego gdań. Tym razem dom był trochę większy niż poprzedni. Miał kamienne ściany, a obok stała szopa. Etain podeszła do kobiety, a Darman stanął obok wózka. Zauważył, że po prawej stronie znajduje się niewielka latryna, skąd mogło się pojawić zagrożenie. Kątem oka obserwował gromadkę dzieci majstrujących coś przy dużej maszynie na rolkach.

Mieszkańcy nie wyglądali identycznie. Wszystko tu wyglądało inaczej.

Etain rozmawiała jakiś czas z właścicielką a kiedy skończyła, gestem przywołała komandosa i wskazała mu szopę. Na razie dobrze, pomyślał Darman. Mimo to nie zamierzał się rozstawać z materiałami wybuchowymi. Sięgnął pod brezent, odgarnął barą, namacał hełm i odłączył komunikator na wypadek, gdyby Niner usiłował nawiązać z nim łączność.

– Idziesz? – zapytała padawanka.

– Za chwilę. – Darman wyjął z plecaka linkę z przeciwpiechotnymi mikrominami i ułożył je łukiem przed frontem domu, na całą długość dołączonego kabla. Nastawił je, żeby reagowały na zdalnie wydany rozkaz, i wsunął do saszetki u pasa nadajnik sygnału wyzwalamy miny. Etain obserwowała go z pytającą miną ale się nie odzywała.

– To na wypadek, gdyby komuś przyszedł do głowy niewłaściwy pomysł – wyjaśnił komandos.

– Już kiedyś się w to bawiłeś, prawda? – zapytała w końcu padawanka.

To jasne, że miał w takich sprawach duże doświadczenie. Kiedy wszedł do domu, trzymając pod płaszczem prawą dłoń na łożysku karabinu, przede wszystkim się upewnił, gdzie znajduje się najlepszy punkt obserwacyjny. W końcu zauważył przepierzenie z

dziurkowanych powietrznocegieł, zza którego można było obserwować spory odcinek drogi. W przeciwległej ścianie widniało duże okno, którego dolną połowę przesłaniała płachta z brązowego materiału używanego na worki. Uspokojony, ale tylko trochę, usiadł w końcu przy stole, zajmującym niemal cały środek frontowego pokoju.

Goszcząca ich rodzina składała się z chudej kobiety o twarzy podobnej do pyszczka gdana, jej siostry, jeszcze chudszy męża i sześciorga dzieci w wieku od kilku do dwudziestu kilku lat. Najmłodsze miętoszło róg niechlujnego koca, a najstarsze pracowały na dworze. Żadna osoba się nie przedstawiła. Powiedzieli tylko, że nie życzą sobie żadnych „wizyt”, jakby wizyta była czymś bardzo poważnym.

Darman przyglądał się im jak urzeczony. Wszyscy byli ludźmi jak on, ale różnili się od siebie. Niektóre szczegóły wyglądały podobnie – nie tak samo, ale podobnie. – Poza tym różnili się nie tylko wzrostem, ale także wiekiem.

Komandos zwracał uwagę na sprawę różnorodności w podręcznikach szkolenia. Znał wygląd istot różnych ras. Ich wizerunki były mu jednak potrzebne tylko w związku z informacjami na temat używanych broni czy punktów na ciele, w które należy mierzyć, żeby jak najszybciej wyeliminować przeciwnika z walki. Pierwszy raz w życiu nawiązał jednak bliski kontakt z tak liczną grupą tak różnych istot ludzkich.

Może i im jego widok wydawał się czymś niezwykłym.

W końcu wszyscy usiedli przy nieheblowanym drewnianym stole. Darman starał się nie zastanawiać nad tym, skąd pochodzą widoczne na nim plamy, które wyglądały jak resztki zakrzepłej krwi. Etain szturchnęła go pod żebro.

– Rozbierali tu na kawałki zarżnięte merlie – szepnęła. Darman był ciekaw, czy przypadkiem padawanka nie czyta w jego myślach.

Upewnił się, że chleb i zupa, którymi poczęstowali ich gospodarze, nie zawierają żadnych toksyn. Usatysfakcjonowany, ugryzł kawałek chleba. Po jakimś czasie uświadomił sobie, że kobieta i najmłodszy chłopiec nie odrywają od niego spojrzenia, ale kiedy uniósł głowę,

malec uciekł.

– Nie przepada za żołnierzami – wyjaśniła gospodyni. – Czy Republika przyleci tu, żeby nam pomóc?

– Nie mogę na to odpowiedzieć, proszę pani – odparł Darman. Chciał przez to dać do zrozumienia, że nie wolno mu prowadzić rozmów na tematy związane z jakąkolwiek operacją wojskową. Wpojono mu, żeby odruchowo reagował właśnie w taki sposób na wypadek przesłuchiwania. „Nigdy nie potwierdzaj, nigdy nie zaprzeczaj i nie podawaj żadnych informacji oprócz swojego numeru identyfikacyjnego”. Zamiast niego odezwała się Etain, do czego miała prawo jako jego dowódca.

– Czy chcecie, żeby Republika wam pomogła? – zapytała.

– A jesteście chociaż trochę lepsi od Neimoidiańców? – zainteresowała się kobieta.

– Chciałabym myśleć, że tak.

Przy stole znów zapadła cisza. Darman skończył jeść zupę. Nie chciał mieć nic wspólnego z polityką; o wiele bardziej zależało mu na napełnieniu żołądka pożywieniem, które miało smak i aromat. Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z planem, po następnych kilku tygodniach powinien się znaleźć daleko od Qiilury i wykonywać następne zadanie. W przeciwnym razie będzie martwy. Przyszłość Qiilury naprawdę nic go nie obchodziła.

Kobieta napełniła jego talerz nową porcją zupy, a później następną i następną aż Darman nie mógł więcej zjeść. Skończył pierwszy gorący posiłek od wielu dni i poczuł się wspaniale. To dziwne, jak podobne drobiazgi poprawiały samopoczucie i ducha walki. Etain chyba nie okazywała podobnego entuzjazmu. Ostrożnie nabierała łyżką kolejne porcje zupy, jakby się obawiała, że mogą w niej pływać miny.

– Musisz się posilić – stwierdził Darman.

– Wiem.

– Możesz się poczęstować moim chlebem.

– Dzięki.

W pokoju było tak cicho, że komandos słyszał, jak jego sąsiedzi żują chleb i skrobią łyżkami o talerze z zupą. Rejestrował nawet

stłumione dźwięki, jakie wydawały pasące się merlie. Odgłosy napływały z bliska i brzmiały, jakby ktoś płukał gardło. Tym bardziej zaskoczyło go to, co niespodziewanie zrobiła Etain.

Usiadła prosto, przechyliła głowę na bok i utkwiała spojrzenie w jakimś miejscu na ścianie.

– Ktoś się zbliża i nie jest to Jinart – syknęła.

Komandos zrzucił płaszcz i chwycił karabin. Kobieta i jej krewni zerwali się od stołu tak szybko, że mimo sporego ciężaru mebel się przewrócił, a naczynia pospadały na glinianą podłogę. Etain wyciągnęła świetlny miecz i zapaliła energetyczną klingę. Oboje nie odrywali spojrzenia od frontowych drzwi. Wszyscy członkowie rodziny wybiegli tylnymi drzwiami, ale kobieta przystanęła na chwilę, żeby zabrać ze stojącego pod ścianą kredensu dużą metalową misę i worek z jakimś jedzeniem.

Darman zgasił światło i wyjrzał na dwór przez szczelinę w powietrznocegle. Nie dysponował przesłoną hełmu, więc mógł polegać tylko na swoim DC i lunecie, która pozwalała dobrze widzieć odległe obiekty. Niczego jednak nie zauważył. Wstrzymał oddech i wyteżył słuch.

Etain podeszła i stanęła obok niego. Pokazała przeciwległą ścianę i pięć palców... jednej dłoni... a potem jeszcze dwa. Siedem.

– Gdzie? – zapytał szeptem komandos.

Padawanka schyliła się i zaczęła rysować na klepisku, które służyło za podłogę. Darman obserwował, jak powstaje prostokąt oznaczający cztery ściany pokoju. Etain zrobiła kilka małych znaków na zewnątrz czworokąta. Większość znajdowała się za ścianą którą wskazała, ale jeden pojawił się za frontowymi drzwiami.

Padawanka zbliżyła usta do jego ucha tak nagle, że komandos o mało nie cofnął głowy.

– Sześciu tam, jeden tu – tchnęła tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

Pokazał przeciwległą ścianę, a potem skierował palec ku sobie. Etain wskazała siebie i drzwi, jakby chciała zapytać: „Mam tam stanąć?” Darman kiwnął głową. Wyprostował w krótkich odstępach czasu trzy palce na znak, że policzy do trzech, po czym uniósł odgięte ku górze kciuki. Młoda Jedi zrozumiała, co chciał jej powiedzieć.



Ktokolwiek czaił się na dworze, nie zapukał do drzwi. Nie wróżyło to najlepiej.

Darman nasunął z cichym trzaskiem nasadkę do wystrzeliwania granatów i wymierzył karabin w przeciwległą ścianę. Etain podeszła na palcach do frontowych drzwi i uniosła nad głowę klingę świetlnego miecza, żeby zadać cios z góry na dół.

Darman miał nadzieję, że adrenalina zatriumfuje u niej nad niewiarą we własne siły.

Trzymając karabin nieruchomo prawą dłonią, uniósł lewą i zaczął odginać palce. Jeden, dwa...

Trzy. Wystrzelił pierwszy granat, który wyleciał przez osłonięte workiem okno i wyrwał w ścianie ogromną dziurę. Komandos natychmiast wystrzelił drugi. Siła odrzutu pchnęła go do tyłu i w tej samej chwili ktoś kopnięciem wyważył frontowe drzwi domu. Etain opuściła świetlny miecz i błękitna klinga zatoczyła świetlisty łuk.

Komandos przełączył karabin na blasterowe błyskawice i wziął na cel sylwetkę widoczną we frontowych drzwiach, ale wbiegający przez nie Umbaranin, przecięty od obojczyka do mostka, już nie żył.

– Dwóch – odezwała się Etain, wskazując okno, a raczej miejsce, w którym znajdowało się kilka sekund wcześniej. Darman puścił się biegiem w kierunku przeciwległej ściany. Ominął leżący stół i dał ognia, kiedy dotarł do dziury w murze. Przepchnął się przez nią i zobaczył dwóch zbliżających się Trandoshan z Masterami w dłoniach. Twarze mieli jak koszmarne maski pokryte łuskami i guzami. Ich usta ociekały śliną. Komandos otworzył ogień, ale jeden z przeciwników zdążył go trafić w lewe ramię. Chwilę później zapadła głucha cisza. Dopiero po kilku sekundach Darman usłyszał napływające z bliska agonalne wrzaski.

Cóż, to nie on wrzeszczał. Etain też nie. W obecnej chwili tylko to miało znaczenie. Czując coraz silniejszy ból w ramieniu, Darman wrócił do pokoju, ale doszedł do wniosku, że opatrzenie rany musi odłożyć na później.

– Wszędzie czysto – odezwała się Etain, ale jej głos drżał. – Został tylko tamten gość.

– Zapomnij o nim – odparł komandos. To akurat było niemożliwe,

bo nieprzyjacielski żołnierz krzyczał tak głośno, że mógł zwrócić czyjąś uwagę. – Pakujemy się i idziemy dalej.

Mimo zapewnień Etain, że na dworze nie ma nikogo więcej, Darman wyślizgnął się za drzwi i obszedł dom, nie odrywając pleców od ściany. Krzyczący żołnierz był Umbaraninem. Darman nawet nie sprawdził, czy przeciwnik jest ciężko ranny, i od razu strzelił mu w głowę. Nie mógł zrobić nic innego, bo liczyło się tylko zadanie.

Zastanawiał się, czy Jedi umieją wyczuwać także roboty, i postanowił zapytać o to później Etain. Mówiono mu, że Jedi potrafią dokonywać niezwykłych rzeczy, ale czym innym było to wiedzieć, a czym innym widzieć na własne oczy. Umiejętności padawanki prawdopodobnie ocaliły im życie.

– Co to był za strzał? – zapytała Etain, kiedy wrócił do szałasu. Zdążyła założyć dodatkowy plecak i Darman zauważył, że nawet zwinęła linkę z mikrominami, mimo że były cały czas uzbrojone. Walcząc z narastającym niepokojem, wyłączył nadajnik sygnału detonującego miny i postanowił, że jak najszybciej musi nauczyć Etain zasad postępowania w podobnych sytuacjach.

– Dokończyłem to, co zaczęliśmy – powiedział i zaczął wkładać kombinezon. Padawanka odwróciła głowę i spojrzała w inną stronę.

– Zabiłeś go – stwierdziła.

– Tak.

– Leżącego? Rannego?

– Nie jestem sanitariuszem.

– Och, Darman... – zaczęła Etain.

– Proszę pani, to jest wojna – przerwał szorstko komandos. – Przeciwnicy starają się ciebie zabić, a ty starasz się ich zabić wcześniej niż oni ciebie. Nikt nie ma drugiej szansy. Wszystko inne, co musisz wiedzieć na temat wojny, wynika bezpośrednio z tej prawdy. – Etain wyglądała na zdenerwowaną i komandos naprawdę ubolewał, że wyprowadził ją z równowagi. Dano jej do ręki śmiertcioną broń, ale chyba nie uprzedzono, co się stanie, jeżeli się nią posłuży. – Bardzo mi przykro. Zresztą i tak by nie przeżył.

Wyglądało, jakby na widok śmierci osoby Etain przeżyła coś w rodzaju wstrząsu.

– Zabiłam tamtego Umbaranina – powiedziała cicho.

– Właśnie na tym polega wojna, proszę pani – przypomniał Darman. – Dobra robota.

Padawanka nie dodała nic więcej i tylko obserwowała, jak jej towarzysz mocuje płytki pancerza. Darman włożył hełm. Doszedł do wniosku, że odtąd nie będzie się przejmował tym, jak bardzo może się w nim rzucać w oczy. Wolał nie rezygnować z przewagi, jaką zapewniały mu elektroniczne urządzenia hełmu.

– Żadnych więcej wizyt w bezpiecznych domach – zdecydował. – Nic takiego nie istnieje.

Etain ruszyła za nim do lasku, który rósł na tyłach domu. Nadal coś nie dawało jej spokoju.

– Nigdy dotąd nikogo nie zabiłam – odezwała się w pewnej chwili.

– Spisałaś się na medal – pochwalił Darman. Czuł w ramieniu pulsujący ból, który nie pozwalał mu się skupić. – Koronkowa robota.

– Mimo to wolałabym nie powtarzać tego, co zrobiłam.

– Jedi są szkoleni do walki, prawda? – zapytał komandos.

– Tak, ale podczas szkolenia nikogo nie zabijamy. Darman wzruszył ramionami i poczuł silniejszy ból.

– A my tak – powiedział.

Miał nadzieję, że młoda Jedi szybko przejdzie nad tym do porządku. Jasne, w zabijaniu nie było niczego przyjemnego, ale przeciwników należało eliminować z walki, a zabijanie ich za pomocą klingi świetlnego miecza czy blasterowej błyskawicy było stosunkowo eleganckim sposobem zadawania śmierci. Zastanowił się, jak by sobie Etain poradziła, gdyby musiała wbić ostrze w ciało przeciwnika i przyglądać się temu, co wypłynie z rany. Była Jedi i jeśli dopisze jej szczęście, nigdy nie będzie musiała oglądać takiego widoku.

– Oni albo my – dorzucił Darman.

– Odczuwasz ból – zmieniła temat rozmowy padawanka.

– To nic poważnego – uspokoił ją komandos. – Skorzystam z bacty, kiedy dotrzemy do punktu zbornego.

– Przypuszczam, że to oni nas wydali.

– Farmerzy? – domyślił się Darman. – Ta-a, dla ciebie to cywile.

Etain burknęła coś niewyraźnie i dalej w milczeniu szła za nim.

Zagłębili się w las. Darman zaczął się zastanawiać, ile pocisków wystrzelił. Doszedł do wniosku, że jeżeli nadal będzie je zużywał w takim tempie, przed nastaniem nocy pozostanie mu tylko zasobnik broni bocznej.

– To zdumiewające, że potrafisz wyczuwać obecność żywych istot – zagadnął padawanę. – Czy to dotyczy także robotów?

– Raczej nie – odparła padawanka. – Zazwyczaj wyczuwam tylko żywe istoty. Może dałabym radę...

Darman usłyszał cichy świst i odwrócił się w samą porę, żeby zobaczyć nadlatującą ku niemu błękitną błyskawicę. Strzał wbił się parę metrów dalej w drzewo i rozszarpał je na kilka kawałków. Z miejsca trafienia wydobył się obłoczek dymu.

– Wynika z tego, że jednak nie – dokończyła Etain.

Zanosilo się, że to będzie długi, trudny dzień.

Rozległo się wycie ostrzegawczej syreny: trzy długie dźwięki, powtórzone dwukrotnie. Chwilę później nad polami na północny zachód od Imbraani przetoczył się grzmot potężnej eksplozji. Spłoszone merlie rzuciły się do panicznej ucieczki i schroniły za żywopłotami.

– Odstrzeliwują skały – domyślił się Fi. – Uroczy dzień na takie prace.

Niner nie widział nikogo oprócz robotów – przemysłowych kołowych automatów wydobywczych, które kręciły się po kamieniołomie. Przesunął rękawicą po przesłonie hełmu, żeby zgarnąć krople deszczu, i mruganiem zaczął zmieniać współczynnik powiększania lornetki. Nigdzie jednak nie zauważył ani jednej organicznej istoty.

Kamieniołom wyglądał jak ogromna dziura w ziemi. Przypominał amfiteatr o schodkowych zboczach, żeby roboty wydobywcze mogły zgarniać skały i zabierać je do przetwórnicy rudy. Z jednej strony biegła łagodnie w górę szeroka rampa, a po przeciwnej piętrzyła się niemal pionowa ściana. U szczytu rampy wznosił się pozbawiony okien niewielki dom o ścianach wyłożonych płytami ze stopu jakiegoś

metal. Jeżeli nie liczyć długiego sznura zmierzających do przetwórnicy robotów z urobkiem, kamieniołom wyglądał na opustoszały. Ktoś jednak – tym kimś mógł być automat – musiał sprawować nadzór nad odstrzałami. Prawdopodobnie znajdował się w tamtym domu. Takie budowle o ścianach z wytrzymałego stopu mogły także służyć jako magazyny interesujących materiałów wybuchowych.

Kolejne wycie syreny oznajmiło, że wysadzanie skał dobiegło końca. Roboty rozjechały się na boki, żeby pozgarniać odstrzelone skały. Podczas pracy rozpryskiwały we wszystkie strony okruchy skał i błoto.

– Najwyższa pora się przekonać, co uda się zabrać z tego domku – odezwał się Niner. – Atin, idziesz ze mną. Fi, zostajesz tu i nas osłaniasz.

Obaj komandosi wyskoczyli spomiędzy drzew i przebiegli sto metrów po odsłoniętym terenie w kierunku skraju kamieniołomu. Ogromne roboty, które mijali, nie zwracały na nich żadnej uwagi. Jeden, o kołach dorównujących wzrostowi Niner, niespodziewanie machnął czerpakiem i uderzył komandosa w naramiennik. Sierżant się zatoczył, ale podwładny chwycił go za rękę i podtrzymał. Komandosi zaczekali, aż przejedzie następny robot, i dopiero wówczas podbiegli do budynku.

Byli widoczni jak na dłoni, więc stanęli plecami do frontowej ściany. Budynek miał tylko dziesięć metrów szerokości. Atin uklęknął przed drzwiami, żeby zbadać pojedynczy zamek.

– Wyjątkowo nieskomplikowany, jeżeli naprawdę przechowują tu materiały wybuchowe – zawyrokował.

– Przekonajmy się, co jest w środku.

Atin powoli wstał, przyłożył czujnik do płyty drzwi i zaczął nasłuchiwać, czy w środku się coś rusza, ale po chwili spojrzał na dowódcę i pokręcił głową. Wyjął cienki jak flimsiplast endoskop i spróbował go przepchnąć przez szczelinę między framugą a metalową płytą. Kilka razy powoli i ostrożnie wsuwał go i wysuwał.

– Ciasno spasowane – stwierdził w końcu. – Nic z tego.

– Zawsze możemy po prostu wdrzeć się do środka – zaproponował Niner.

– Pamiętaj, że mogą mieć w środku pełno materiałów wybuchowych – przypomniał Atin. – Gdybyśmy dali radę wcisnąć tam jakiś czujnik, moglibyśmy pobrać próbkę powietrza i zbadać je na zawartość specyficznych związków chemicznych.

– Dobrze, w takim razie wtargniemy ostrożnie.

Drzwi nie miały klamki. Trzymając jedną ręką Dece, sierżant stanął obok zawiasów i bez słowa nacisnął drugą dłonią pojedynczą płytę drzwi. Nie ustąpiła.

Atin kiwnął głową i wyciągnął ważący dziesięć kilogramów ręczny taran, który aż do tej pory wydawał się tylko ciężką bezużyteczną bryłą metalu w plecaku. Zbliżył trzpień do zamka.

Niner zaczął odginać kolejne palce.

– Trzy, dwa...

Taran dysponował siłą uderzenia równą dwóm tonom.

– Już!

Drzwi się otworzyły. Ze środka posypał się grad blasterowych błyskawic, ale komandosi w porę odskoczyli. Chwilę później kanonada się skończyła równie raptownie, jak przedtem się zaczęła. Niner i Atin kucnęli po obu stronach otworu drzwiowego. Zazwyczaj sytuacja wyglądała bardzo prosto. Jeżeli ktoś w środku nie chciał wyjść, zachęcał go do tego wrzucony granat. Najczęściej to skutkowało. Tym razem istniało jednak duże prawdopodobieństwo, że w środku są zmagazynowane materiały wybuchowe, więc posłużenie się granatem byłoby zbyt widowiskowe. Niner pokręcił głową.

Atin wyjął endoskop, żeby się przekonać, jak wygląda wnętrze domu, ale kiedy wsunął ostrożnie próbnik w głąb otworu, ze środka posypał się znów grad blasterowych błyskawic.

– W pomieszczeniu poruszają się dwie osoby – powiedział. – Brak światła, ale próbnik wykrył obecność materiałów wybuchowych.

– Więc co, oślepiamy ich snopem światła z minireflektorów i zmuszamy do poddania?

Atin pokręcił głową. Wyjął granat i upewnił się, że jest zabezpieczony.

– Jak bardzo byś się denerwował, gdybyś siedział na stosie materiałów wybuchowych, wystarczających do wystrzelenia tego

kamieniołomu na orbitę? – zapytał.

– Ręce trzęsłyby mi się tak, że nie mógłbym unieść do ust szklaneczki z trunkiem – odparł Niner.

– Właśnie. – Komandos zważył kilka razy granat w dłoni. – Ja też tak uważam.

Wtoczył zabezpieczony granat do środka i odskoczył do tyłu. Trzy sekundy później z domu wybiegli dwaj Weequayowie. Komandosi równocześnie dali ognia. Pierwszy przeciwnik zginął od razu, ale drugi przebiegł z rozpędu jeszcze kilkanaście metrów, zanim runął pośrodku szlaku, którym ogromne roboty wydobywcze pięły się w górę rampy. Transportujące urobek kolosy nie zwróciły na leżącą istotę najmniejszej uwagi. Jeżeli Weequay nie zginął od razu od strzałów komandosów, miał przed sobą najwyżej kilka sekund życia.

– Sierzancie, nie potrzebujecie tam pomocy? – zapytał nagle Fi.

Niner polecił Atinowi, żeby wszedł do środka.

– Nie, Fi. Na razie dajemy sobie radę – powiedział. – Miej oczy szeroko otwarte na wypadek, gdybyśmy mieli towarzystwo.

W pokoju unosiła się mieszanina zapachu gotowanego jedzenia, i fetoru niemytych ciał Weequayów. Przed konsolą stał pokryty warstwą zeschniętego błota niewielki android. Mrugające światełka sugerowały, że pozostaje w stanie gotowości. W trzech innych pokojach domu zmagazynowano materiały wybuchowe, detonatory, części zapasowe i niedbale oznaczone, okratowane pojemniki.

– Oto nasz specjalista od wysadzania skał – odezwał się Atin. Poklepał androida po głowie i schylił się, żeby podnieść granat. Otarł go rękawicą z pyłu i umieścił z powrotem w torbie u pasa.

– Wolałbym mieć Damiana – stwierdził Niner. Spojrzał na nieruchomego androida, który chyba czekał, aż roboty usuną odstrzelone poprzednio skały. W pewnej chwili niespodziewanie obudził się do życia i podszedł do pojemnika wypełnionego materiałami wybuchowymi. Otworzył zabezpieczającą pokrywę i wyjął kilka rur, po czym ruszył do pokoju, w którym złożono detonatory. Niner podszedł do androida i sięgnął do kontrolnego panelu, żeby wyłączyć zasilanie.

– Odpocznij trochę, kolego – poradził. – Na dzisiaj wystarczy tych

odstrzałów.

Nic nie wskazywało, żeby zabici Weequayowie mieli cokolwiek do roboty w głównym pokoju. To android zdecydował o rodzaju materiału wybuchowego i nadzorował proces odstrzału skał w kamieniołomie. Na przewróconym do góry dnem pojemniku leżały resztki posiłku i sporządzone z zabezpieczających pokryw prowizoryczne talerze. Pomieszczenie wyglądało, jakby Weequayowie się w nim ukrywali. Niner chyba wiedział, kogo starali się unikać.

Oglądając różne ładunki i detonatory, Atin wybrał te, które mu się najbardziej podobały, i ułożył z nich stos w oczyszczonym miejscu klepiska, które służyło za podłogę. Znał się na takich urządzeniach, a zwłaszcza na tych, które zawierały skomplikowane obwody elektroniczne.

– Coś wspaniałego – powiedział z satysfakcją. – Niektóre detonatory można wyzwać z odległości czterdziestu kilometrów. Właśnie tego nam brakowało... pokazu ogni sztucznych.

– Damy radę wziąć tyle, ile nam potrzeba? – zaniepokoił się Niner.

– Niektóre z nich są naprawdę wspaniałe – westchnął komandos. – Darman na pewno by powiedział, że to nic niezwykłego, ale przydadzą się nam do odwrócenia uwagi. To prawdziwe cacka. – Uniósł kule wielkości mniej więcej chochłopiłki. – Te maleństwa...

Trzask.

Coś runęło na klepisko w jednym z bocznych pokoiów. Atin od razu wymierzył karabin w otwór drzwiowy, a Niner równie szybko wyciągnął pistolet. Ruszył do drzwi, ale przystanął, bo usłyszał głos... tak donośny, że o mało nie przycisnął spustu.

– Apxmai keepuna! – Sądząc po akcencie, drżący głos wydobywał się z ust jakiegoś Weequaya. – Nie zabijać! Ja wam pomóc!

– Wyłaź stamtąd! Natychmiast! – Wydobywający się z hełmu głos Atina brzmiałby wystarczająco groźnie, nawet gdyby komandos nie trzymał karabinu. Zza stosu pojemników wygramolił się jeszcze jeden Weequay. Od razu uniósł ręce wysoko nad głowę i osunął się na kolana. Komandos podszedł, rozpląszczył go na klepisku pchnięciem buta w plecy i wymierzył w jego głowę lufę Dece. – Ręce za plecy i nie waż się nawet drgnąć – rozkazał. – Jasne?



Wyglądało na to, że Weequay od razu go zrozumiał. Zamarł i pozwolił, żeby Niner związał mu ręce za plecami kawałkiem kabla. Sierżant przeszukał jeszcze raz wszystkie pokoje, w obawie, że jeżeli przeoczyli jeden cel, równie dobrze mogli przeoczyć więcej. Pomieszczenia były jednak czyste. Wrócił i kucnął obok głowy leżącego Weequaya.

– Nie potrzebujemy więźnia, żeby spowalniał tempo marszu – powiedział. – Podaj mi dobry powód, dla którego nie powinienem cię zabijać.

– Proszę... ja znam Hokana – wyjąkał jeniec.

– Idę o zakład, że go znasz i to bardzo dobrze, skoro się tu ukrywasz – burknął Atin. – Jak się nazywasz?

– Guta-Nay – odparł Weequay. – Ja był jego zastępcą... jego prawa ręka.

– Ale przestałeś nią być, hm? – domyślił się komandos.

– Ja znać miejsca.

– Ta-a, my także znać miejsca.

– Ja mieć kody kluczy.

– A my mieć materiały wybuchowe.

– Ja mieć kody do naziemna stacja przekaźnikowa w Teklet.

– Nie będziesz próbował żadnych sztuczek, Guta-Nay, co? – zapytał komandos. – Nie mamy czasu się z tobą bawić.

– Hokan mnie zabić – odparł jeniec. – Wy zabrać mnie ze sobą? Wy miłe chłopaki z Republiki, wy szlachetne goście.

– Spokojnie, Guta-Nay – ostrzegł Niner. – Wypowiadanie tylu sylab naraz może ci zaszkodzić.

Spojrzał na podwładnego, ale Atin wzruszył ramionami.

– Będzie dla nas ciężarem, sierżancie – powiedział.

– A zatem musimy albo go tu zostawić, albo zabić.

Nie chcieli, żeby ta wymiana zdań przeraziła Guta-Naya, ale i tak wywarła na nim piorunujące wrażenie. Komandosi musieli rozwiązać niełatwy problem. Niner nie chciał zabierać jeńca, który mógłby im zawadzać. Zachodziła także obawa, że gdyby Weequay uciekł, mógłby spróbować ponownie wkraść się w łaski Hokana, informując go o liczbie i planach komandosów. Obecność więźnia stawiała ich przed

niemiłym dylematem. Atin pstryknął przełącznikiem swojego Dece, żeby go uzbroić.

– Wydam wam także szef Nejmońców! – obiecał coraz bardziej przerażony Weequay.

– Do niczego go nie potrzebujemy.

Nejmoniec być wściekły na Hokana – wyjaśnił Guta-Nay. – Za to, że Hokan umieścić roboty w jego miła, schludna willa. Roboty zapaskudzić tam pokoje.

W pomieszczeniu zapadła cisza, przerywana tylko odgłosem chrapliwego oddychania jeńca. Niner zastanawiał się, czy zabranie go mogłoby im ułatwić dostęp do Uthan.

– Gdzie znajduje się w tej chwili Uthan? – zapytał.

– Nadal w willa – odparł pospiesznie Guta-Nay. – Nie ma się nigdzie indziej ukryć.

Wygląda na to, że wiele wiesz na temat Hokana, prawda? – zapytał komandos.

– Wszystko. – Weequay sprawiał wrażenie bardzo chętnego do współpracy. – Za dużo.

– W porządku – zdecydował w końcu Niner. – Zostałeś ułaskawiony.

Atin odczekał kilka sekund, zanim zabezpieczył karabin. Wyglądało jednak, że się nie pozbył wszystkich wątpliwości. Niner nie widział wprawdzie wyrazu jego twarzy, ale usłyszał charakterystyczny cichy syk wypuszczania powietrza z płuc... równie wymowny, jakby podwładny powiedział: „Och, coś wspaniałego”.

– Pozostawi ślady, po których nawet worrt mógłby podążać za nami – powiedział.

– Masz inny pomysł?

– Ta-a. – Atin pochylił się nad GutaNayem, a Weequay odwrócił lekko głowę. W jego oczach malował się paniczny strach. Wyglądało na to, że bardziej go przeraża widok hełmu niż karabinu komandosa.

– Dokąd roboty transportują te skały? – zapytał.

– Do wielkie miejsce na południe od Teklet – odparł jeńiec.

– Jak daleko na południe?

– Pięć kilometrów może.

Atin wyprostował się i wyciągnął wskazujący palec, sygnalizując, że wychodzi na dwór.

– Rozwiązanie techniczne – oznajmił. – Czekać chwila.

Jego zamiłowanie do rozmaitych urządzeń okazało się prawdziwym błogosławieństwem. Niner zastanowił się, czy przypadkiem nie powinien zmienić niepochlebnej opinii, jaką miał dotąd o szkolącym podwładnego sierżancie. Wyszedł na dwór. Atin biegł do jednego z kołowych robotów wydobywczych, a kiedy się z nim zrównał, wskoczył na platformę. Maszyna pełzła jeszcze jakiś czas niewzruszenie w górę rampy, jakby nic nie mogło jej powstrzymać przed dotarciem do przetwórnicy rudy. Nagle jednak zamarła i zawróciła, o mało nie zderzając się z jadącym za nią następnym robotem. Znieruchomiała na dobre dopiero kilka metrów przed Ninerem. Klęcząc na platformie, Atin uniósł i pokazał końcówki dwóch przewodów.

– Robota nie można wprawdzie zmusić do robienia sztuczek, ale od tej chwili będzie go można uruchamiać, zatrzymywać i kierować jego ruchami – powiedział.

– Bocznik mózgu, hm? – zapytał Niner.

– Widziałem kilku ludzi, którzy mieli podobne...

– A zatem chcesz, żebyśmy wjechali nim do miasta? – domyślił się sierżant.

– A jak inaczej zamierzasz przetransportować te wszystkie materiały wybuchowe?

Nie mogli przepuścić takiej okazji. Niner opracował plan, jak najlepiej wykorzystać ładunki i detonatory. Wybrał nawet miejsca wokół Imbraani, w których miał zamiar je zainstalować. Gdyby komandosi pojechali robotem, mieliby także dość czasu na zniszczenie naziemnej stacji przekaźnikowej – jedynej na Qiilurze wyposażonej w kompletny zestaw aparatury nadawczo-odbiorczej. Pozbawieni łączności żołnierze Hokana nie mogliby wiedzieć, co się dzieje. To by znakomicie poprawiło szanse komandosów na wykonanie zadania i umożliwiłoby im nastawienie na daleki zasięg własnych komunikatorów.

– Wiesz, co ci powiem? – odezwał się Niner. – Pojadę nim sam do

Teklet. Ty zdobędziesz następnego i razem z Fi i z naszym przyjacielem pojedziecie tak daleko drogą do Imbraani, jak wam się uda z ciężarem, jaki będziecie musieli udźwignąć. – Wyjął komputerowy notes i sprawdził coś na mapie. – Ukryjcie się tu, gdzie zaproponowała Jinart... z robotem, jeżeli się da, albo bez niego, jeżeli okaże się to niemożliwe.

Jadąca równym tempem do przetwórnicy, przypominająca spychacz maszyna nie powinna zwrócić niczyjej uwagi. Niner musiałby nią tylko zboczyć kilka kilometrów z ustalonej trasy. Zbliżał się wieczór, ciemności były najlepszym sprzymierzeńcem komandosów.

Niner wywlókł z budynku Guta-Naya.

– Czy naziemna stacja przekaźnikowa jest w jakikolwiek sposób broniona? – zapytał.

Weequay spuścił głowę i spojrzał spode łba, jakby spodziewał się razów, jakie zazwyczaj towarzyszyły zadawanym pytaniom.

– Tylko płot, żeby powstrzymać merlie i kradzieżowanie – powiedział. – Wokoło sami farmerzy, ale i tak przerażone.

– Jeżeli łzesz, dopilnuję, żebyś wpadł żywy w łapy Hokana – zagroził komandos. – Jasne?

– Jasne – odparł Weequay. – To prawda. Ja przysięga.

Niner wezwał Fi do powrotu z punktu obserwacyjnego i wspólnie załadowali dwa roboty. Jeden miał transportować wystarczającą ilość materiałów wybuchowych, żeby kilka razy rozpylić naziemną stację przekaźnikową na atomy, a drugi wszystko inne, co nadawało się do zabrania. Komandosi pozostawili w budynku tylko kilka detonatorów i ładunków wybuchowych. Chcieli, żeby nadzorujący wysadzanie skał android jeszcze kilka godzin miał się czym zajmować. Nie byłoby dobrze, gdyby cisza w kamieniołomie doprowadziła do odkrycia, że z magazynu zniknęła spora ilość materiałów wybuchowych. Mogłoby to zniweczyć element zaskoczenia.

Na końcu komandosi zajęli się GutaNayem. Nie rozwiązując mu rąk, umieścili go w ogromnym czerpaku robota. Weequay protestował, że musi siedzieć na stosie materiałów wybuchowych.

– Nie martw się – odparł beztrósco Atin. – Mam tu wszystkie detonatory. – Podrzucił i ponownie schwytał kilka, które trzymał w

lewej dłoni. Guta-Nay skrzywił się i skulił. – Nie stanie ci cię żadna krzywda.

– Jinart to prawdziwy skarb – stwierdził Fi. Kiedy zdjął hełm, żeby się napić wody z manierki, Weequay wydał nieartykułowany dźwięk.

– Może być w tej chwili za nami, a my nigdy się o tym nie dowiemy – dodał Niner. – Mam nadzieję, że nadal będzie trzymała naszą stronę. – Także zdjął hełm, wypił kilka łyków i podał manierkę Atinowi. – O co właściwie chodzi temu skamłacemu Weequayowi?

– Nie mam pojęcia – odparł Atin i też zdjął hełm. Trzymając manierkę, odwrócił się i wszyscy trzej spojrzeli na umieszczonego w czerpaku Guta-Nay a.

Weequay miał rozchylone usta, a jego oczy biegały od twarzy jednego komandosa do twarzy następnego. Z jego gardła wydobywało się głuche stękanie, jakby jeniec próbował krzyknąć, ale nie mógł.

– Zobaczył twarz Atina – domyślił się Fi. – Jest naprawdę szkaradna. – Odwrócił się do kolegi. – Nie stój tak, człowieku. Nie widzisz, że twój widok wprawia tego miłego Weequaya w przerażenie?

Niner szturchnął Guta-Naya palcem w rękawicy, żeby go skłonić do zamknięcia.

– O co chodzi? – zapytał. – Nigdy w życiu nie widziałeś komandosów?

Byli tu.

W końcu zdarzył się przełom, na który Ghez Hokan od tak dawna czekał. Jakiś farmer poinformował władze, że w domu przy drodze z Teklet do Imbraani przebywają republikańscy żołnierze. Jeden mężczyzna, jedna kobieta, oboje bardzo młodzi.

Mandalorianin przyglądał się ociekającym wodą liściom drzew obok domu mieszkalnego. Płatanina odcisniętych w błocie śladów butów i zgniecione źdźbła trawy nie różniły się od tych, jakie widywał na wielu innych farmach. A zresztą wszystkie ślady szybko znikwały z powodu siąpiącego ciągle deszczu. Za murowanym domem mieszkalnym stały stodoły i szopy, za którymi teren opadał w

kierunku rzeki Braan.

– Pozostawili straszliwy bałagan, panie generale – zameldował Hurati. – Jedna ściana domu prawie przestała istnieć. Nikt nie przeżył. A wszystko to sprawka zaledwie dwóch nieprzyjacielskich komandosów.

– Jednego – poprawił go Hokan.

– Jednego? – zdziwił się podwładny.

Republika wysyła na linię frontu tylko sklonowanych żołnierzy – wyjaśnił Mandalorianin. – Druga osoba musiała być Jedi. – Obrócił butem zwłoki Umbaranina i pokręcił głową. – Rana zadana klingą świetlnego miecza – zauważył. – Dobrze wiem, jak wyglądają takie rany. Dwoje ludzi... Gdyby nie donosiciele, nie miałbym nawet takiej informacji. Czy muszę polegać na wysmarowanych łajnem farmerach, żeby dowiadywać się o takich sprawach? Muszę? Muszę? – Ubolewał, że musiał podnieść głos, ale nie miał innego wyjścia. – Dlaczego nikt nie potrafi złożyć mi meldunku, kiedy nawiązuje kontakt z wrogiem? – zapytał. – Myślcie! Posłuchajcie się swoimi di'kutlańskimi głowami, bo inaczej na własnej skórze się przekonacie, jak rozpoznawać rany zadawane klingą świetlnego miecza! – Zauważył, że dwa roboty podnoszą zwłoki Umbaranina, aby je zanieść do czekającego śmigacza. – Zostawcie je tam, gdzie leżą – rozkazał. – Dołączcie do swoich towarzyszy i znajdźcie mi wreszcie jakiegoś przeciwnika.

Hurati przyłożył dłoń do skroni.

– Roboty znalazły coś także w stojącym trochę dalej domu, panie generale – powiedział i umilkł, żeby wysłuchać meldunku przekazywanego przez komunikator. Jego twarz z każdą chwilą stawała się bledsza. – Och. Och. – Odwrócił się do Hokana.

– Chyba powinien pan to zobaczyć na własne oczy, panie generale – odezwał się w końcu.

Nie wyglądał na oficera, który marnowałby bez powodu czas zwierzchnika. Obaj wskoczyli na siodełka raketowego skutera i polecili drogą do następnej kępy drzew, gdzie znajdowała się sąsiednia, równie zaniedbana farma. Hokan podążył za Huratim do budynku mieszkalnego, w którym kilka robotów oświetlało pomieszczenia punktowymi reflektorami.

Hokan sam nie rozumiał, dlaczego w pierwszej chwili jego uwagę przyciągnęła leżąca na brudnej podłodze waza na zupe. Dopiero kiedy odwrócił głowę, zobaczył ciała.

– Ach – powiedział.

Żołnierze zabijali przeciwników najczęściej strzałami z Masterów. Tylko w wyjątkowych sytuacjach używali noży albo tępych przedmiotów. Mandalorianin nie znał nikogo noszącego mundur, kto posłużyłby się... zębami. Nie podejrzewał o to nawet członków swojej milicji.

Trzy dorosłe osoby wyglądały, jakby padły ofiarami wielkiego drapieżnika. Wszystkie miały przegryzione gardła i rany szarpane w różnych miejscach ciał i na kończynach. Niemal odgryziona od tułowia głowa jednej z kobiet trzymała się dosłownie na strzępku skóry. Hokan wpatrywał się w nią jakiś czas w milczeniu, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Obok stodoły leżą pozostali – poinformował go Hurati.

Mandalorianin nie miał w zwyczaju łatwo wpadać w przerażenie, ale na widok zwłok poczuł na plecach zimny dreszcz. Rzezi dokonało stworzenie, którego nie znał i nie potrafił zrozumieć. Oglądana scena nie nosiła znamion zwykłej zemsty, jaką mogłaby wyrzucić inteligentna istota. Niewykluczone, że masakra była tylko zbiegiem okoliczności, że drapieżnik zupełnym przypadkiem napadł akurat na donosicieli. Hokan nie znał jednak na Qiilurze żadnych zwierząt, które odważyłyby się zaatakować i zagryźć ludzi.

Hurati także przyglądał się zmasakrowanym zwłokom.

– Nie przypuszczałem, że Republika ma zwyczaj zabijać cywilów – odezwał się w końcu.

– Bo nie ma – mruknął Hokan. – A komandosi nie traciliby czasu na akcję, która nie pomoże im w wykonaniu zadania.

– No cóż, bez względu na to, kto ich zabił, nie kierował się chęcią zysku, panie generale – powiedział Umbaranin. – Niczego stąd nie zrabowano. – Schylił się, podniósł z klepiska dużą metalową wazę, otarł ją rękawicą i odstawił na półkę. – To prawdopodobnie nasz informator – podjął po chwili. – Od tej pory nie liczyłbym specjalnie na pomoc miejscowych farmerów. Wieść o wydarzeniach w tym

domu rozejdzie się po sąsiednich farmach lotem błyskawicy.

– Na pewno nie mają ran po blasterowych strzałach? – zapytał Hokan. Może to była rzeczywiście tylko sprawka jakiegoś drapieżnika, ale Mandalorianin wiedział w głębi serca, że to nieprawda. A poza tym, jakie miejscowe zwierzę mogłoby zagryźć dorosłych ludzi?

– Ani jednej – oznajmił Hurati.

Hokan uznał, że wcale mu się to nie podoba. Gestem polecił, żeby podwładny mu towarzyszył, po czym szybko wyszedł na dwór i przywołał dwa roboty.

– Wezwijcie do powrotu wszystkich towarzyszy i otoczcie pierścieniem Imbraani – rozkazał. – Wolę raczej poświęcić Teklet, niż narazić na szwank badania doktor Uthan.

– Moglibyśmy ewakuować ją i jej personel – zaproponował Umbaranin.

– Przeniesienie ich w inne miejsce wzbudziłoby podejrzenia i zajęłoby sporo czasu – sprzeciwił się Hokan. – Bardziej opłaci się nam obrona dotychczasowego miejsca niż taka przeprowadzka. Chcę, żeby połowa robotów ustawiła się jawnie wokół ośrodka, a pozostałe niech strzegą willi... ale dyskretnie. Zrozumiano?

Z oddali napłynął grzechot czegoś metalowego. Hokan odwrócił się jak użądłony i zobaczył, że roboty kierują się w stronę brzegu rzeki. Odwrócił się do podwładnego.

– Czyżby naprawdę coś znalazły? – zapytał.

Hurati przyłożył dłoń do głowy i wysłuchał do końca meldunku z głośnika komunikatora.

– Pięć kilometrów na zachód stąd widziano dwoje wrogów, panie generale – zameldował. – Roboty podjęły z nimi walkę.

– To już bardziej podobne do naszych nieprzyjaciół – mruknął Mandalorianin. – Chcę, żeby przynajmniej jednego wziąć żywcem, a najlepiej oboje, jeżeli ta dziewczyna jest naprawdę Jedi.

Podbiegł do skutera, wskoczył na siodełko i gestem polecił Huratiemu, żeby usiadł przed nim na miejscu kierowcy. Kiedy Umbaranin dostał zestaw współrzędnych od patrolu robotów, skierował maszynę drogą wiodącą na zachód.

Hokan miał nadzieję, że roboty będą wiedziały, co to znaczy



„wziąć kogoś żywcem". Do tego rodzaju zadań lepsi byliby prawdziwi żołnierze, którzy umieją się wciskać w najdziwniejsze miejsca i dostrzegać subtelne różnice. Miał do dyspozycji trzydziestu członków milicji i niemal setkę bojowych robotów. Jego siły zbrojne nadawały się idealnie do stoczenia niewielkiej otwartej bitwy, ale były niemal bezużyteczne w zetknięciu z grupą komandosów działających na obszarze, na którym mogli się łatwo ukryć.

Wcześniej czy później na pewno będą musieli się pokazać. Tym razem Hokan zamierzał sprawić im niespodziankę i przyłączyć się do pościgu.

# ROZDZIAŁ

# 11

*Z przykrością informujemy, że z powodu niedoborów zostaliśmy zmuszeni do podniesienia ceny barą z tegorocznych zbiorów. Niedobory wynikają z przejściowych trudności, z jakimi się borykają nasi producenci. Naturalnie zapewnimy preferencyjne warunki naszym stałym klientom.  
— obwieszczenie Federacji Handlowej skierowane do hurtowników*

Darman zniszczył na Geonosis sporo blaszaków i przekonał się, że roboty nadają się dobrze do konwencjonalnej walki na płaskim terenie.

Automaty nie spisywały się jednak równie dobrze na nierównym gruncie... a jeszcze gorzej, kiedy rozkazów nie wydawał im żywy dowódca.

Sto metrów dalej zobaczył grupę drzew, które wyraźnie odcinały się na tle nieba. Za nimi mogła się znajdować skarpa albo urwisko.

– W dół! – krzyknął do Etain, wskazując kierunek. – Biegnij i bądź gotowa do skoku!

Niemal zapomniał o bólu w zranionym ramieniu. Przyciskając karabin do piersi, puścił się biegiem w kierunku linii drzew. Pokonanie tej odległości zajęło mu dziesięć sekund. Rzeczywiście za drzewami znajdowało się porośnięte ciernistymi krzakami, rozmiękłe zbocze, opadające do samego brzegu rzeki. W jednym miejscu zbocze tworzyło naturalny taras, pod którym widniał niewielki parów. Kiedy komandos się obejrzał, zobaczył Etain dwa kroki za nim. Nie

spodziewał się, że dotrzyma mu kroku.

– Biegnij dalej! – wydyszała padawanka. – Nie oglądaj się na mnie!

Blasterowe błyskawice ścigających ich robotów trafiały w gałęzie zbyt blisko, żeby się mogli czuć bezpieczni. Kiedy dotarli na wierzchołek wzgórza, Darman po prostu pchnął padawanke w dół. Etain walczyła chwilę, żeby zachować równowagę, zanim runęła i zaczęła się staczać po pochyłości. Komandos także skoczył i poturlał się za nią.

Mógł liczyć, że ochronę zapewni mu udoskonalona broń typu Katarn, ale Etain nie chronił żaden pancerz. Kiedy znieruchomieli na dnie parowu, okazało się, że padawanka po drodze zgubiła płaszcz, a na twarzy miała mnóstwo zadrapań. Ocalały jednak dwa przytroczone do plecaka elementy działka typu E-Web, które przytrzymała z ponurą determinacją.

– Następnym razem pozwól mi samej skoczyć, dobrze? – syknęła.  
– Nie jestem bezradna jak niemowlę.

– Przepraszam. – Darman upewnił się, że nie zgubił granatów. – Wkrótce zabraknie mi amunicji, a wówczas będę musiał zrobić użytek z niektórych materiałów wybuchowych.

– Powiedz mi, co zamierzasz zrobić.

– Chcę wysadzić w powietrze zbocze tego wzniesienia – odparł komandos. – Z robotami na wierzchołku. – Wyjął linkę z mikrominami i wrócił kilka metrów, żeby rozciągnąć je poziomo między drzewami. – Możesz wydostać z tamtego plecaka kilka świdrogrzmotów? – zapytał. – Cztery powinny wystarczyć.

– Jak wyglądają? – zapytała padawanka.

– Jak długie czerwone pręty – wyjaśnił Darman. – Wykonane na specjalne zamówienie.

Usłyszał dobiegający zza pleców chrapliwy odgłos oddychania i domyślił się, że Etain wspina się na wzgórze. Odwrócił głowę i zobaczył, że młoda Jedi trzyma się jedną ręką kolczastego krzaka, a drugą podaje mu cztery rurkowate ładunki wybuchowe. Miała zakrwawione palce. Darman poczuł wyrzuty sumienia, ale pomyślał, że będzie się martwił o to później.

– Dziękuję, pani oficer – powiedział machinalnie. Niepewnie utrzymując równowagę i czując ból w mięśniach łydek, zaczął ostrożnie pokonywać odległości między ciernistymi krzewami. Wciskał każdy świdrogrzmot prostopadle w miękki grunt i obracał umieszczoną na wystającym końcu zakrętkę. Rozmieszczył ładunki w odległości mniej więcej pięciu metrów od siebie. Cylindry pograżyły się z cichym pomrukiem w zboczu wzgórza.

Z każdą chwilą z góry napływał głośniejszy klekot zbliżających się robotów. Dźwięki niosły się zresztą daleko w przesyconym wilgocią, nieruchomym powietrzu.

– Uciekaj! – syknął Darman.

Wspaniale było oglądać skutki przyływu adrenaliny. Etain chwyciła plecak i pobiegła skrajem parowu. Komandos ruszył za nią. Pięćdziesiąt metrów... sto... dwieście... Przystanął, obejrzał się i zobaczył, że zza krawędzi wyłania się smukła metalowa płytką twarzy pierwszego robota.

– Padnij! – wykrzyknął i ścisnął ukryty w dłoni detonator.

Kawałek Qiilury uniósł się w powietrze i zaczął się rozpadać z prędkością bliską ośmiu tysiącom metrów na sekundę. Darman usłyszał huk, ale nie mógł oglądać jego rezultatu, bo leżał z twarzą wciśniętą w miękką glebę i głową osłoniętą skrzyżowanymi rękami. Nakazywał mu to zwykły instynkt przetrwania. Powinien był uprzedzić Etain, żeby przynajmniej zasłoniła uszy, chociaż niewiele by jej to pomogło. Powinien był też wcześniej jej powiedzieć, żeby uciekała. Powinien był zrobić wiele rzeczy – na przykład zignorować radę Jinart i skupić się na wykonaniu zadania.

Nie zrobił tego. Zamierzał przemyśleć to kiedy indziej.

Na kilka chwil grzmot eksplozji przeciążył obwody jego hełmu, a później zapadła głucha cisza. W końcu jednak dźwięki pojawiły się na nowo. Komandos poczuł, że na plecach jego pancerza rozbryzgują się jak ciężkie krople deszczu grudki rozmiękłego gruntu. Kiedy uklęknął, żeby się rozejrzeć, zobaczył zupełnie inny krajobraz. Ze stromego, ogołoczonego z roślinności zbocza wystawały pod dziwacznymi kątami szczątki drzew. Niektóre miały jeszcze gałęzie, ale pnie większości były połamane albo rozszczepione. Z rumowiska wystawała samotna

metalowa noga jakiegoś robota. Ze zbocza spadały raz po raz grudki gruntu podobnego do wilgotnego permabetonu, a jedno z drzew powoli chyliło się ku upadkowi.

Darman rozejrzył się w poszukiwaniu Etain i zobaczył ją kilka metrów dalej. Padawanka klęczała i przyciskała dłoń do ucha. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że po jej policzku ścieka strużka krwi.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

Etain spojrzała na miejsce, w którym powinny się znajdować jego usta.

– Nie słyszę cię – powiedziała, krzywiąc się z bólu. Nie odrywała dłoni od ucha.

– Huk eksplozji rozerwał ci bębenek – wyjaśnił komandos. – Nie przejmuj się.

Bez sensu. Nie mogła go usłyszeć, a hełm uniemożliwiał czytanie z ruchu jego warg. Wypowiedział te słowa machinalnie. Chciał sięgnąć po atomizer z pianką bacta, ale Etain gorączkowo zaczęła mu pokazywać coś, co znajdowało się za nim. Darman się obejrzał i zobaczył, że nad górnym skrajem osypiska pojawił się kolejny robot. Wyglądało na to, że ich nie widzi.

Komandos nie wiedział, ile ich jeszcze mogło zostać na górze. Już miał wypuścić zdalniaka, ale zadał sobie pytanie, co zrobi, jeżeli stwierdzi, że w jego stronę maszeruje sto innych blaszaków. Nie miał pojęcia, dokąd mógłby przed nimi uciec. Prawdopodobnie dałby radę powstrzymać je jakąś godzinę, ale później musiałby polegać tylko na swoim wibroostrzu i świetlnym mieczu Etain.

Chwilę potem usłyszał okrzyk:

– Roboty, meldować!

Rozpłaszczył się obok Etain na zboczach wzgórza. Słyszał głosy, których padawanka nie słyszała. Młoda Jedi spojrzała w górę zbocza i zamknęła powieki. W pierwszej chwili Darman pomyślał, że to ze strachu. Nie miałby jej tego za złe. Bądź co bądź wysadził w powietrze pół wzgórza, ale mimo to nie powstrzymał bojowych robotów. Zaczynał się czuć nieswojo.

Skupił uwagę na głosach, żeby odgadnąć liczbę mówiących osób. Rozróżnił dwie osoby.

- ...zostało zaminowane...
- ...widzisz coś?
- ...na dole nic się nie rusza. Darman wstrzymał oddech.
- Nie, zniknęli. Musieli mieć skutery.
- Roboty, utworzyć szyk i zawrócić...

Metalowa głowa zniknęła, a chór cichnących klekotów oznajmił uciekinierom, że roboty odeszły. Po chwili rozległ się pomruk silnika raketowego skutera, a w końcu zapadła cisza. Od czasu do czasu przerywał ją tylko trzask rozłupanych drzew, które poddawały się grawitacji i spadały po rumowisku.

Darman spojrział na Etain. Padawanka miała zamknięte oczy i z wysiłkiem oddychała.

- Nie sądziłam, że dam radę to zrobić – odezwała się w końcu.
- Co takiego?

Etain otworzyła oczy i spojrzała na niego. Komandos zdjął hełm, żeby mogła widzieć jego usta.

– Co... zrobiłaś? – powtórzył, przesadnie akcentując sylaby. Zauważył, że młoda Jedi nie odrywa spojrzenia od jego warg.

- Wpłynęłam na nich – oznajmiła. – Na obu.
- Czy to jakaś myślowa sztuczka Jedi? – zapytał komandos.

Jego towarzyszka patrzyła na niego niepewnie. Wyglądało na to, że słabo czyta z ruchu warg.

- Tak, coś w tym rodzaju – przyznała.

Darman zwalczył chęć parsknięcia śmiechem. Sytuacja nie była wcale zabawna. Etain osiągnęła wynik, który według niego graniczył z czarami. W ich sytuacji było to najlepsze rozwiązanie... o wiele lepsze niż posłużenie się wszystkimi materiałami wybuchowymi, jakimi jeszcze dysponował. Czegoś takiego nie potrafiłyby dokonać nawet Kai Skirata.

Przeżyli. Mogli iść dalej.

– Dobra robota, pani oficer – pochwalił komandos. – Bardzo sprytna sztuczka. – Przyłożył rękawicę do skroni i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. – Doprowadźmy się do porządku, dobrze? – zaproponował.

Wyjął pakiet medyczny i wyciągnął dwa zestawy środków

uśmierzających ból oraz atomizer z pianką bacta. Postanowił zająć się najpierw własnym ramieniem. Wbił igłę w błękitną żyłę w zgięciu lewego łokcia, żeby środek zaczął szybciej działać. Mimo to kiedy spryskał ranę po blasterowej błyskawicy pianką bacta, w jego oczach zakręciły się łzy.

Obserwująca go z ponurą rezygnacją Etain przełknęła z wysiłkiem ślinę.

– Teraz ty – odezwał się komandos. – Nie ruszaj się.

Wymierzył dyszę atomizera niczym lufę pistoletu w jej lewe ucho.

Nie miał pojęcia, że Jedi potrafią płynnie kłać po huttańsku, ale z każdą minutą dowiadywał się o nich coraz więcej. O wiele więcej.

Robot wydobywczy nie omijał żadnej dziury w nawierzchni ani koleiny, jakich pełno było na drodze między Imbraani a przetwórnią rudy. Za każdym razem Niner także podskakiwał. Zagrzebany w czerpaku pod warstwą drobnych odłamków skał, w bezpośrednim sąsiedztwie materiałów wybuchowych, które mogły zrównać z powierzchnią gruntu wszystko w promieniu pięciuset metrów, czuł się... co najmniej nieswojo.

Detonatory były rozbrojone. Komandos raz po raz się o tym upewniał.

Z nastaniem nocy deszcz ustał i Niner odgarnął kamienie, żeby móc obserwować drogę przed robotem. Niebieskie światła pozycyjne wyławiały z ciemności przedni zderzak ogromnej maszyny, a pomarańczowe błyski wirującego na wierzchołku światła ostrzegawczego ukazywały drzewa po obu stronach drogi. Robot był tak duży i ciężki, że nie musiał zbaczać z obranej trasy. Za maszyną ciągnął się długi sznur identycznych robotów. Tworzyły budzącą respekt procesję.

Nawet kolumna maszerujących w przeciwną stronę blaszaków uznała za słuszne zejść przed nimi na pobocze drogi.

Niner zauważył je dzięki włączonemu systemowi widzenia w ciemności, ale wcześniej ostrzegły go dźwięki. Brzęk-chrzęst-brzęk-chrzęst. Tak mogły brzmieć tylko odgłosy pracy mechanicznych

stawów kolanowych. Nawet sklonowani żołnierze nie potrafili maszerować tak idealnie synchronicznie. Nie było słyhać żadnych głosów, żadnych rzucanych od czasu do czasu rozkazów w rodzaju „utworzyć pojedynczą kolumnę” czy napomnień, żeby żołnierze nie gadali podczas marszu. Roboty maszerowały z posępną mechaniczną determinacją.

Niner zacisnął palce na łożysku swojego DC-17, ale nie zamierzał walczyć z automatami. Podejrzewał, że i bez tego będzie się musiał sporo napracować, aby doprowadzić wydobywczego robota do celu i pozostać w jednym kawałku po wykonaniu zadania. Nie ma mowy, żeby jeszcze po drodze toczyć z kimkolwiek walkę. Jedź dalej, dobrze? – rozkazywał w myśli robotowi. Po prostu jedź dalej. Nie chciał także poddawać próbie zapewnień producenta, który gwarantował, że kilka blasterowych błyskawic nie wystarczy do wywołania eksplozji materiałów wybuchowych. W końcu spoczywał na ich stosie, co nastawiało go sceptycznie do wszelkich eksperymentów.

Maszerująca do Imbraani kolumna liczyła pięćdziesiąt bojowych robotów. Niner pomyślał, że gdyby udało mu się wysadzić w powietrze naziemną stację przekaźnikową, wiadomość o kolumnie robotów byłaby pierwszą, jaką by wysłał po nastawieniu komunikatora na największy zasięg.

Kiedy łoskot stóp robotów się z nim zrównał, komandos zamarł.

Łup-łup-łup-łup-łup.

Potem odgłosy zaczęły cichnąć i Niner odetchnął z ulgą. Wiedział, że kiedy wydobywczy automat minie przetwórnę rudy, jego widok może wzbudzić czyjeś podejrzenia. Dobrze chociaż, że blaszaki chyba otrzymały inne zadanie. Niner mógł być niemal pewny, że domyśla się, co im polecono.

Jeszcze dziesięć kilometrów. Do miejsca, w którym robot będzie próbował skrócić, żeby przekazać ładunek do przetwórnicy, pozostało zaledwie kilka minut. Niner musiał skierować maszynę w stronę Teklet, przejechać przez środek miasta i wdrzeć się na teren naziemnej stacji przekaźnikowej. Przynajmniej tym razem nikt się nie pomylił, interpretując obrazy przekazane przez kamery



szpiegowskiego satelity. Teklet było właściwie zbiorowiskiem magazynów, silosów zbożowych i stanowisk przeładunkowych, umożliwiających wysyłkę qiilurańskich produktów rolnych na inne planety.

Dotychczas Federacja Handlowa miała do czynienia najwyżej z gromadą rozgniewanych farmerów. Niner pomyślał, że dzięki temu jego zadanie będzie o wiele łatwiejsze.

W pewnej chwili błyskające światło robota padło na drogowskaz skierowany w lewo. Widniejący na nim napis głosił: **DOSTAWCY MAJĄ ZAKAZ WJAZDU GŁÓWNĄ BRAMĄ**. Zgodnie z programem robot wydobywczy zaczął zwalniać, żeby skrócić na drogę do przetwórnicy. Niner ujął końcówki prowizorycznie splecionych przez Atina kabli i odłączył kilka przewodów. Jedź prosto, pomyślał. Jedź prosto. Prosto...

Robot dotarł prawie do miejsca, w którym zazwyczaj skręcał w lewo. Poruszał się z prędkością dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Najpierw rzeczywiście zamierzał jechać do przetwórnicy, minął jednak drogowskaz i biegnącą w bok odnogę i skierował się prosto w stronę Teklet.

– Grzeczny chłopiec – mruknął Niner. Czuł kropelki potu na plecach między łopatkami, mimo że jego kombinezon utrzymywał stałą temperaturę ciała. – Nie możesz trochę przyspieszyć? – zapytał, ale zaraz pomyślał, że mogłoby to zwrócić czyjąś uwagę. Kiedy robot minął zakręt, komandos wysunął głowę nad warstwę odłamków i spojrzał w bok, poza krawędź czerpaka. Zobaczył długi sznur robotów sunących w równych odstępach niczym bojowe krążowniki. Na wierzchołku każdego błyskało pomarańczowe światło ostrzegawcze, a po bokach wszystkich płonęły niebieskie światełka pozycyjne.

Mimo skomplikowanych okoliczności widok był urzekająco piękny. Kiedy jednak drugi robot dotarł do rozwidlenia dróg, zwolnił i skręcił do przetwórnicy. Stopniowo ubywało świateł za maszyną Ninera i w końcu wszystkie znikły. Komandos był odtąd zdany na własne siły. Ponownie narzucił na hełm trochę kamieni, ale ustawił się tak, żeby widzieć przez szczelinę między odłamkami.

Ulice Teklet były kiepsko oświetlone i kręciło się po nich niewiele

osób. Pod względem architektury miasto nie mogło się równać zbudowanym ze smakiem, eleganckim Tipoca City. Wyglądało jak jeden wielki magazyn. Pod płócienną markizą przed jedną z chat siedziała grupa Trandoshan z blasterami na kolanach. Istoty spojrzały na mijającego je robota z lekkim zdziwieniem i ciekawością ale nie zamierzały wstawać. Kiedy robot mijał ostatnie domy, Niner uświadomił sobie, że strefa rażenia o pięćsetmetrowej średnicy zniszczy także sporą część Teklet i zabije niektórych mieszkańców. Nie wszyscy spośród nich byli Separatystami.

„Jeżeli zaczniesz zawracać sobie głowę podobnymi sprawami, dasz nieprzyjacielowi do rąk broń, którą wykorzysta przeciwko tobie”, mawiał Skirata. Twierdził, że komandosi muszą się do tego przyzwyczaić. Za osiągnięcie celów czasami trzeba było płacić wysoką cenę.

Chwilę później przed czerpakiem maszyny przemknął transporter towarowy z zabezpieczającymi ładunek czerwonymi pasami. Do zderzenia pojazdu z robotem zabrakło najwyżej dwóch sekund. Skoro kierowca transportera przejechał tak blisko, na pewno nie zwrócił uwagi na wydobywczego kolosa. Na razie było dobrze... i z każdą chwilą coraz lepiej. Robot jechał dalej, a Niner zaczął się rozglądać na boki, żeby zaplanować trasę ucieczki. Z każdego miejsca drogi miał do pokonania sprintem dobre dwieście metrów, żeby się znaleźć w bezpiecznym miejscu. Pomyślał, że będzie to wymagało sporego wysiłku.

Musiał unieruchomić robota obok głównego budynku naziemnej stacji przekaźnikowej. Gdyby maszyna pojechała dalej, główna siła eksplozji skierowałaby się w inne miejsce. Mógł nastawić detonatory, wyskoczyć z czerpaka i rzucić się do ucieczki, ale do ostatniej chwili musiałyby kolosa obserwować, co oznaczało, że znalazłby się zbyt blisko miejsca eksplozji i prawdopodobnie nie miałby dość czasu, żeby się oddalić.

Mimo to był zdecydowany wykonać zadanie. Naziemna stacja musiała wylecieć w powietrze. Jej zniszczenie zadałoby poważny cios systemom obronnym Separatystów przynajmniej na kilka krytycznych dni, a może nawet tygodni, i zapewniło komandosom przewagę, która

tak bardzo była im potrzebna.

Niner odsunął na bok kilka odłamków skał i w końcu dostrzegł przed sobą światła stacji. Przełączył przesłone hełmu na widzenie w podczerwieni i wpatrzył się w zielony wizerunek. Zobaczył cienką siatkę płotu i sięgający pasa mur, które miały powstrzymać zwierzęta i odstraszać złodziei. Skierował wydobywczego robota w stronę głównego budynku. Był pewny, że ogromna maszyna bez trudu pokona wszelkie zapory.

Tym razem nieprzyjaciele dowiedzą się o jego obecności. Niner nie mógł mieć co do tego najmniejszych wątpliwości.

Postanowił zająć się detonatorami w ostatniej chwili. Połączone przewodami szeregowo ładunki wybuchowe czekały na ostatnie zwarcie z trzema zapalnikami, które – przynajmniej w teorii – Niner mógł uruchomić z dużej odległości. Skręcił razem końce przewodów, wepchnął je w szczeliny w obudowach detonatorów i zatrzasnął pokrywy.

Ładunki były uzbrojone. Komandos nie tyle siedział na bombie, co w jej środku. Prawdę mówiąc, był zagrzebany po szyję w ładunkach wybuchowych, które rozmieścił w różnych miejscach wypełnionego odłamkami skał czerpaka. Powoli zaczął uwalniać nogi, żeby szybciej wyskoczyć.

Jeżeli nie ocaleję, widocznie było mi to przeznaczone, pomyślał. Na chwilę poczuł w żołądku skurcz, który pamiętał z dziesiątków ćwiczeń, do złudzenia przypominających obecną sytuację. Mógł zginać. Istniało duże prawdopodobieństwo, że straci życie. Jeżeli ktokolwiek sobie wyobrażał, że intensywne szkolenie pozbawi go strachu przed śmiercią bardzo się mylił. Niner był równie przerażony jak wówczas, kiedy obok jego głowy pierwszy raz przelatywały ze świstem pociski ostrej amunicji. Strach nigdy nie chciał go opuścić. Komandos nauczył się z nim żyć i wykorzystywał go, żeby dzięki niemu szybciej się oddalać z niebezpiecznych miejsc.

Manipulując przy kablach, skierował robota łagodnym łukiem w taki sposób, żeby jechał prostopadle do linii siatki. Trasa nie była najlepiej wybrana, ale skoro strefa eksplozji miała mieć tysiąc metrów średnicy, powinna wystarczyć. Kiedy drucziana siatka znalazła się na

krawędzi czerpaka przed jego twarzą pochylił głowę. Chwilę później siatka naprężyła się i zadrżała, a ponieważ robot jechał dalej, wyrwała z zamocowań kilka słupków.

W końcu maszyna podjechała do niskiego muru. Główny budynek miał pięć metrów wysokości i płaski dach, ale ani jednego okna. Wyglądało na to, że miejscowi budowniczowie nie przepadają za oknami. Niner usłyszał pojedynczy okrzyk, który zabrzmiał jak chuba (czyt. czuba – po huttańsku „Hej, ty”). Nie zdziwił się, że wołająca osoba jest zaskoczona. Taki widok musiał obarczyć czyjaś warte pisanie mnóstwa raportów.

Szarpnięciem rozerwał splecione przewody i odciął dopływ energii do silnika robota. Maszyna przejechała z rozpędu jeszcze kilka metrów, a Niner usłyszał jęk naprężonej do granic wytrzymałości siatki. Sekundę później druty trzasnęły pod kołami kolosa jak przzerwana cięciwa łuku.

Jeden, dwa, trzy...

W końcu robot naparł na niewysoki mur. Między kamieniami pojawiły się szczeliny. Nagle komandos wyobraził sobie, że został przywalony przez kamienie i nie może się poruszyć. Kombinacja panicznego strachu i nawyków z intensywnych ćwiczeń nakazała mu wygrzebać się spomiędzy odłamków skał i dać susa z czerpaka. Zeskoczył z wysokości dwóch metrów i tylko z trudem zachował równowagę. Usłyszał jakieś krzyki i nie zważając na pięćdziesięciokilogramowy ciężar na plecach, ścisnął Dece jedną dłonią oraz zdalny sterownik detonatorów drugą i rozpoczął najszybszy w swojej karierze odwrót z terytorium wroga.

Istniała tylko jedna droga ucieczki: przez wyrwę w przerwanym ogrodzeniu.

Niner nie mógł nawet marzyć o tym, żeby przemknąć niezauważalnie. Drogę zagroził mu ubrany w długi płaszcz mężczyzna z szeroko otwartymi ustami. Nie zwalniając, komandos obalił go na plecy i przeskoczył przez otwór w siatce. Miał mniej więcej minutę, żeby oddalić się od naziemnej stacji przekaźnikowej, zanim wyzwoli detonator. Biegł z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę, co oznaczało, że znajdzie się mniej więcej...

Fierfek, po prostu biegnij, pomyślał. Daj sobie spokój z obliczeniami.

Minął linię pierwszych drzew i dotarł do miejsca, gdzie trawa sięgała mu niemal do pasa. Dopiero tam runął na ziemię, wypuścił Dece i obiema dłońmi ścisnął zdalny sterownik.

Teklet przeistoczyło się w kulę oślepiającego blasku. Komandos usłyszał ogłuszający huk i poczuł, że przelatuje nad nim ze świstem fala udarowa. Przyklęknął, kiedy na pancerz zaczęły spadać jakieś szczątki. Miał nadzieję, że zbroja typu Katarn okaże się godna swojej sławy.

Ghez Hokan pierwszy byłby skłonny przyznać, że ostatnio coraz szybciej się irytuje. Doszedł do wniosku, że czekał wystarczająco długo. Niecierpliwie postukał w pulpit konsoli komunikatora.

– Jakieś dziesięć minut temu prosiłem o połączenie z dowódcą stacji przekaźnikowej, di'kucie – burknął gniewnie.

– Pamiętam, panie majorze – usłyszał w odpowiedzi. – Dowódca podejdzie do komunikatora, kiedy tylko będzie wolny.

– Na planecie wylądowały nieprzyjacielskie siły zbrojne, a ja muszę porozmawiać z waszym dowódcą – warknął Mandalorianin. – Czy zdajecie sobie sprawę, co właściwie dzieje się w tej chwili na Qiilurze? Ruszcie wreszcie swój di'kutlański shebs na tyle długo, żeby się dowiedzieć, dlaczego to ma tak duże znaczenie dla przebiegu tej wojny!

– Panie majorze, w tej chwili republikańscy żołnierze wdarli się do zbyt wielu miejsc, żebym mógł wszystkie wymienić, więc...

Ekran komunikatora zamigotał i zamiast obrazu pojawiły się iskry zakłóceń. Hokan przełączył urządzenie na inny kanał, ale sytuacja się powtórzyła. Tak samo było we wszystkich kanałach, na które przełączał urządzenie. Z początku pomyślał, że ktoś uszkodził jego odbiornik. A więc żołnierze Republiki znaleźli się bliżej, niż przypuszczał, i byli o wiele odważniejsi, niż mu się wydawało. Włożył hełm i rozglądając się na boki, ruszył korytarzem do drzwi wyjściowych. W jednej ręce trzymał verpiński karabin rozpryskowy, a

w drugiej myśliwskie wibroostrze.

Stojący na straży przy drzwiach robot usunął się i go przepuścił, ale antena urządzenia nadawczo-odbiorczego na dachu nie wyglądała na uszkodzoną. Hokan wyjął osobisty komunikator i wezwał Huratiego.

Usłyszał jednak tylko szumy i trzaski. Pomyślał, że żołnierze Republiki mogli zrobić coś, o czym i on by pomyślał, gdyby miał do wykonania podobne zadanie.

Odwrócił się do robota.

– Dasz radę nawiązać łączność ze swoimi towarzyszami? – zapytał.

– Potwierdzam, proszę pana.

Roboty miały własny system łączności i mogły porozumiewać się ze sobą na każdym polu wałki. W tym celu nie musiały korzystać z pomocy głównej stacji przekaźnikowej w Teklet.

– Potrafisz nawiązać kontakt z porucznikiem Huratim? Robot milczał kilka sekund.

– Mam go, proszę pana – odezwał się w końcu.

– Zapytaj, czy ma jakieś wiadomości z Teklet – rozkazał Hokan. Tym razem robot milczał dłużej. O wiele dłużej.

– W kierunku, w którym znajduje się Teklet, widziano błysk potężnej eksplozji, proszę pana.

Właśnie na to bym się zdecydował, gdybym przygotowywał się do szturmów, pomyślał Mandalorianin. Postarałbym się, żeby moi nieprzyjaciele stali się ślepi i głusi.

Nie ruszając się z Qiilury, nie mógł jednak zrobić nic, żeby stawić czoło inwazji, jeżeli rzeczywiście się na nią zanosilo. W przestworzach planety unosił się republikański okręt szturmowy, co także nie wróżyło najlepiej.

Na razie miał do wykonania dwa zadania. Najważniejsza była obrona wyników badań doktor Uthan, a także hodowli samego nanowirusa. Pora na wykonanie drugiego zadania nadejdzie, jeżeli zostanie otoczony. Nie mógł dopuścić, żeby hodowla wpadła w ręce nieprzyjaciół, którzy na pewno zechcą ją zbadać i zneutralizować.

Planeta była duża, więc gdyby został zmuszony do ucieczki, wróg będzie musiał go znaleźć. Na razie postanowił nie ruszać się z miejsca

i czekać, aż do niego przyjdą.

Odwrócił się znów do robota.

– Powiedz Huratiemu, żeby wszystkie sprawne roboty natychmiast do mnie wróciły – rozkazał. – Przygotowujemy się do oblężenia.

# ROZDZIAŁ

# 12

DOWÓDZTWO NA CORUSCANT DO KAPITANA OKRĘTU SZTURMOWEGO REPUBLIKI „MAJESTATYCZNY”, SEKTOR QIILURY  
o 04.00 SPOTKA SIĘ Z WAMI KRAŻOWNIK „ZEMSTA”. MACIE ZGODĘ NA PRZECHWYTYWANIE WSZYSTKICH JEDNOSTEK OPUSZCZAJĄCYCH PRZESTWORZA QIILURY, WYDAWANIE ZAKAZU LĄDOWANIA WSZYSTKIM JEDNOSTKOM SPOZA REPUBLIKI I PODEJMOWANIE WALKI ZE WSZYSTKIMI JEDNOSTKAMI, KTÓRYCH DOWÓDCY ODMÓWIĄ WYKONANIA WASZYCH ROZKAZÓW. MIEJCIE W POGOTOWIU POJEMNIK NA MATERIAŁY STANOWIĄCE ZAGROŻENIE DLA ŻYCIA.

Niner wstał z wysiłkiem, odwrócił się i spojrzał w stronę naziemnej stacji przekaźnikowej.

Przestała istnieć, podobnie jak niewielkie chaty po obu stronach drogi dojazdowej. Komandos zobaczył kłęby dymu i płomienie pożarów. W jednym miejscu spod ziemi wydobywał się słup ognia. Po chwili dał się słyszeć huk następnej eksplozji. Niner zdążył osłonić głowę, zanim o jego pancerz zabębnił kolejny grad szczątków.

Poza tym panowała cisza. Komandos odwrócił się i zaczął biec między drzewami. Czuł się fatalnie, całkiem jakby rozwścieczony olbrzym poderwał go, potrząsnął i porzucił. W pewnej chwili zauważył, że ściga go niewielkie stado gdanów. Zwierzęta chwyciły zębami jego opancerzone nogi, ale szybko stwierdziły, że nie nadają się do jedzenia, i zostały z tyłu. Pierwszy raz od kilku dni komandos mógł nastawić komunikator na największy zasięg.



– Tu Niner. Czy ktoś mnie odbiera? – zapytał.

Cały czas biegł, mając w uszach tylko rżenie własnego chrapliwego oddechu. Zwolnił do truchtu i uświadomił sobie, jak bardzo jest wyczerpany. Postanowił wziąć później pastylkę albo dwie środki pobudzającego. Nie miał innego wyjścia.

– Sierżancie? – usłyszał w końcu. – Tu Fi. Rozumiem, że cel osiągnięty?

– I to jeszcze jak – odparł Niner. – M jak Mnóstwo... ognia, dymu, szczątków.

– Z tonu twojego głosu wnioskuję, że jesteś bardzo zajęty.

– Kieruję się do PZ.

– Biegniesz?

– Jasne – potwierdził komandos. – Jaka sytuacja?

– Musieliśmy porzucić robota i ukryć mnóstwo sprzętu – zameldował Fi. – Na szczęście Weequay jest znakomitym tragarzem, jeżeli go uprzejmie poprosić. Orientacyjny czas spotkania z Darmanem mniej więcej za godzinę.

– Skontaktuj się z nim, na wypadek gdyby Jinart jeszcze do niego nie dotarła – rozkazał Niner.

– Zrozumiałem. Orientacyjny czas spotkania z tobą? – zapytał Fi.

– To zależy. Na razie rozglądam się za środkiem transportu.

– Jesteś pewny, że to dobry pomysł?

– Można coś zrobić szybko albo niepostrzeżenie – odparł komandos. – W tej chwili lepszy wydaje mi się pierwszy sposób. Bez odbioru.

Starał się trzymać na tyle blisko drogi, żeby słyszeć nadlatujące pojazdy. Potrzebował śmigacza. Trochę dalej zauważył na poboczu powyginany szkielet osobistego środka transportu. Stanowił najlepszy dowód, jak potężna musiała być siła eksplozji.

Pomyślał, że wcześniej czy później ktoś się pojawi, żeby ocenić zasięg zniszczeń. Pewnie dopiero wtedy zdarzy się jakaś okazja.

Po kilku następnych minutach dostrzegł między drzewami pierwsze ocalałe domy. Docierał do granicy strefy zniszczeń. Jeszcze dalej zobaczył nad drogą zbliżające się ku niemu światła. Z informacji na przesłonie hełmu wynikało, że coś szybko nadlatuje. Niner runął

na ziemię i ukrył się w wysokiej trawie. Kiedy światła się zbliżyły, dostrzegł lądowy śmigacz i raketowy skuter.

Nie zamierzał wracać na miejsce eksplozji, żeby porwać którykolwiek pojazd, korzystając z nieuwagi nieprzyjaciół, więc musiał ich zlikwidować. Powinien zrobić to w taki sposób, żeby nie zniszczyć ich maszyn, bo w przeciwnym razie czeka go wędrówka na piechotę do punktu zbornego.

Nastawił karabin na snajperski strzał i zaczekał, aż lądowy śmigacz zbliży się na odległość trzystu metrów. Nie zdziwiło go, że nie był to pojazd służb medycznych. Za sterami siedział Trandoshanin, a istoty tej rasy nie słynęły z humanitaryzmu. Prawdopodobnie kierowca spieszył na miejsce eksplozji, żeby przekonać się, czy przypadkiem nie ucierpiała placówka jego przedsiębiorstwa handlu niewolnikami. Na siodełku raketowego skutera siedział także Trandoshanin.

Niner przycisnął delikatnie spust i blasterowa błyskawica roztrzaskała owiewkę lądowego śmigacza. Pojazd skręcił w prawo na pobocze drogi, a spod kadłuba trysnęła fontanna błota i żwiru. Kierowca raketowego skutera zбочzył raptownie w prawo i unieruchomił maszynę. Sekundę się wahał, rozglądając się w ciemności na boki, jakby nie był pewny, co się stało. Kiedy się w końcu tego domyślił, w środek piersi trafiła go druga wystrzelona przez komandosa błyskawica. Trandoshanin spadł z siodełka. Jego raketowy skuter się zakołysał, ale pozostał zawieszony w powietrzu jakiś metr nad drogą.

Systemy umożliwiające widzenie w ciemności spisywały się naprawdę doskonale.

Niner zerwał się na nogi, podbiegł do śmigacza, wskoczył do kabiny i rzucił ciężki plecak na tylne siedzenie. Natychmiast poczuł niewysłowioną ulgę. Pozbycie się ciężaru z pleców figurowało na jednym z pierwszych miejsc jego listy przyziemnych, ludzkich potrzeb... równie wysoko jak wypicie całego morza bardzo zimnej wody. Cóż, może i na to przyjdzie kolej.

Do pełni szczęścia brakowało mu tylko spokojnego przespania kilku godzin i przyzwoitego gorącego posiłku. Niner pomyślał, że im

szybciej wróci do pozostałych członków drużyny i wykona zadanie, tym szybciej będzie mógł zaspokoić także te potrzeby. Skręcił śmigaczem między drzewa i czując przyływ optymizmu, skierował się na południe.

Mikroskopijne świetlne punkciki układały się przed Etain w niewielki gwiazdozbiór. Mogły znajdować się kilometr przed nią albo w zasięgu jej ręki... Padawanka nie umiała tego określić, mając do dyspozycji tylko oczy.

Czuła jednak przyprawiający o mdłości smród ich oddechów, zupełnie jak odór gnijącego surowego mięsa. Machnęła klingą świetlnego miecza w wejściu do szałasu i gdany odskoczyły. Pomagając sobie Mocą, starała się je przekonać, żeby zostawiły ją w spokoju, ale osiągnęła tylko tyle, że jeszcze bardziej pobudziła ich ciekawość. Na szczęście zrezygnowały z ponawiania prób zagłębienia zębów w jej ciele.

Jak ty to robisz, Jinart? – zachodziła w głowę młoda Jedi. Jak ci się udaje trzymać je z daleka od siebie?

Trzęsąc się z zimna, usiadła skulona w zbudowanym przez Darmana szałasie. Korzystając z tego, że znów może słyszeć, przynajmniej jednym uchem, wsłuchiwała się w plusk ściekających z liści kropel wody. Deszcz ustał, ale strumyczki wciąż jeszcze szukały sobie ujścia między gałęziami i liśćmi, zanim spadły na plastoidową płachtę nad jej głową.

Mogła także wszystko widzieć, i to bardzo wyraźnie. Ciągle jednak wyobraźnia podsuwała jej widok Umbaranina, któremu o mało nie ucięła głowy klingą świetlnego miecza. Panika i strach usunęły ten obraz z jej umysłu, ale obecnie, kiedy była odprężona i zmęczona, wizerunek powrócił i nie chciał zniknąć.

Pierwszy raz od wielu dni Etain postanowiła pogрузić się w medytacji, starając się nie zwracać uwagi na irytujący plusk kropli nad głową. Wyczuwała, że niedaleko szałasu Darman w skupieniu przepatruje okolicę. Padawanka odbierała jego obecność raz silniej, a raz słabiej... jakby komandos był zaniepokojony, a może nawet trochę

wystraszony, ale z jego umysłu nie promieniowały żądza mordy ani wyrzuty sumienia.

Chciała go zapytać, w jaki sposób osiąga się taką równowagę duchową. Oboje byli wychowywani w warunkach całkowitej izolacji. Kierowali się własnymi zestawami wartości i nakazów nie dlatego, że wybrano ich, aby się różnili, ale dlatego, że się tacy urodzili. Ich powołanie wynikało z losowego uwarunkowania genetycznego... i było głęboko niesprawiedliwe. Wszystko wskazywało, że Darman poradził sobie doskonale, Etain zaś poniosła równie widowiskową klęskę. Pozwoliła, żeby omyło ją uczucie jego świadomości celu życia.

Poczuła się niemal uspokojona, ale wrażenie zaraz zanikło, a zamiast niego pojawiła się fala czystego uniesienia, która uderzyła ją niczym cios pięści. Chwilę później Darman wsunął głowę przez otwór wejściowy szałas.

– Zbliżają się – powiedział. – Nadchodzą pozostali członkowie mojej drużyny. – Umilkł i tylko słuchał z rękawicą przyłożoną do boku hełmu. Etain pomyślała, że dziwnie jest obserwować kogoś w tak oczywisty sposób szczęśliwego i nie móc widzieć wyrazu jego twarzy. – Będą tu mniej więcej za godzinę – dodał Darman. – Niner wysadził w powietrze naziemną stację przekaźnikową w Teklet, a Fi i Atin zdobyli trochę sprzętu, który przyda się do wykonania zadania. Mają także jeńca. – Znów umilkł. Kilka razy poruszył głową, jakby coś mówił. Wyglądało na to, że potrafi decydować, kiedy chce, a kiedy nie chce, żeby go słyszano, zupełnie jakby jego hełm był bezpieczną przystanią do której może się chronić, ilekroć przychodzi mu na to ochota.

– Wyobraź sobie, że ten jeńca to Weequay. No cóż, musieli mieć swoje powody.

Milczał kilka sekund i znów energicznie pokiwał głową. W końcu zdjął hełm i dopiero wówczas Etain zauważyła niewiarygodnie szeroki uśmiech na jego twarzy.

– Domyślam się, że są cali i zdrowi – powiedziała.

– Nie stała się im żadna krzywda.

– To dobrze. Jesteście braćmi, prawda? – zapytała.

– Nie w zwykłym znaczeniu tego słowa – odparł komandos.

– No dobrze, jesteście klonami.

– Tamci nie pochodzą z mojej pierwszej drużyny – wyjaśnił Darman. Ciągle jeszcze miał zachwyconą minę. – Wszyscy moi bracia zginęli podczas walk na Geonosis. Taki sam los spotkał braci moich towarzyszy. Nawet się nie znaliśmy przed wyruszeniem na tę wyprawę, ale trzech spośród nas szkolił ten sam sierżant, więc trochę czujemy się jak rodzina... naturalnie z wyjątkiem Atina.

To było niezwykle wyznanie. Darman nie wykazywał po stracie braci najlżejszych oznak przygnębienia czy smutku. Etain nie wiedziała wprawdzie dużo o biologicznych rodzinach, ale była pewna, że będzie boleśnie odczuwała śmierć mistrza Fuliera nie tylko po upływie trzech miesięcy, ale nawet trzech lat. Pomyślała, że może klony szkolono w taki sposób, aby nie odczuwały smutku.

– A zatem nie tęsknisz za swoimi braćmi? – zapytała. Darman spoważniał.

– Naturalnie, że tęsknię za nimi – odparł cicho. – Codziennie.

– Wydawało mi się, że przyjąłeś ich śmierć ze spokojem – stwierdziła padawanka.

– Jesteśmy świadomi tego, że możemy zginąć – oznajmił komandos. – Jeżeli jednak będziemy to rozpamiętywać, staniemy się do niczego nieprzydatni. Trzeba po prostu nadal robić to, co się powinno... przynajmniej tak zawsze mawiał szkolący nas sierżant. Wcześniej czy później wszyscy zginieemy, więc równie dobrze możemy dawać z siebie wszystko w imię tego, co ma znaczenie.

Etain postanowiła go zapytać, co może mieć dla niego znaczenie w toczonej przez Republikę wojnie. Trochę się bała zadać mu to pytanie, ale doszła do wniosku, że musi to wiedzieć.

– Jak myślisz, o co walczysz, Darman? – zapytała. Komandos zastanowił się chwilę nad odpowiedzią.

– O pokój, proszę pani – odparł w końcu.

– No dobrze, w takim razie przeciwko czemu twoim zdaniem toczy się ta walka? – nie dawała za wygraną młoda Jedi.

– Przeciwko anarchii i niesprawiedliwości. – Prawdopodobnie wyuczył się tej odpowiedzi na pamięć, ale udzielił jej po namyśle, jakby pierwszy raz musiał się zastanowić nad znaczeniem tych słów. –

Nawet jeżeli ludzie nie okazują nam wdzięczności.

– To także brzmi, jak wypowiedź twojego szkoleniowca – zauważyła Etain.

– Przecież się nie mylił, prawda? – zapytał Darman.

Padawanka przypomniała sobie miejscowych farmerów, którzy wydali ich w ręce siepaczy Hokana. Tak, w ciągu ostatnich kilku tygodni nauczyła się dużo na temat różnych aspektów tego konfliktu, ale wciąż jeszcze wiedziała za mało.

– Dnieje – stwierdził komandos. Kiedy siadał ze skrzyżowanymi nogami, zawadził o coś płytką pancerza. – Wyglądasz na zmarzniętą. Chcesz jeszcze jedną dawkę środków przeciwbólowych?

Etain tak się już uodporniła na wilgoć i ból, że potrafiła się pogodzić z jednym i z drugim. Była zbyt zmęczona, żeby myśleć o czymkolwiek innym. Przestała nawet zwracać uwagę na wszechobecny smród wilgotnej wełny merlie.

– Nie, nic mi nie jest – odpowiedziała.

– Gdybyśmy rozpalili ognisko, ściągnęlibyśmy tu połowę armii Separatystów – przypomniał komandos. Poszperał w saszetce i podał jej kostkę polowej racji żywnościowej. Był dla niej nadal tą samą absurdalną mieszaniną dziecięcej naiwności i bezlitosnego zabójcy. Kiedy padawanka pokręciła głową wyciągnął z plecaka jakiś woreczek. – W takim razie może suszonych owoców kuvary? – zapytał.

Sądząc po tym, że nosił suszone owoce w plecaku zamiast w saszetce u pasa, musiały być dla niego bardzo cenne. Sam żywił się racjami smakującymi równie atrakcyjnie jak gnijąca skóra motta, więc jego poświęcenie mile ją ujęło. Etain wiedziała, że jeśli przeżyje i odleci z Qiilury, będzie miała mnóstwo okazji zajadać się różnymi smakołykami galaktyki, ale Darman nie mógł o tym nawet marzyć. Uśmiechnęła się i gestem odmówiła poczęstunku.

– Sam masz to zjeść – powiedziała. – To rozkaz.

Komandos nie potrzebował większej zachęty. Zamknął oczy i zaczął z lubością przeżuwać suszone owoce. Etain zrobiło się go żal, ale czuła przy tym zazdrość, że Darman potrafi się zachwycać zwykłymi rzeczami.

– Znam dobry sposób, żeby się rozgrzać – odezwał się nagle i otworzył oczy.

Etain od razu się najeżyła. Pomyślała, że może jednak Darman nie jest tak naiwny, na jakiego wygląda.

– Naprawdę? – zapytała.

– Jeżeli nie masz nic przeciwko temu – odparł komandos.

– Przeciwko czemu?

Darman uniósł palec, jakby chciał powiedzieć: „zaczekaj, to się przekonasz”, i wyszedł z szałas. A więc wcale nie miał na myśli... tego, pomyślała młoda Jedi. Poczowała się zawstydzona, że mogła go posądzać o coś takiego. Spojrzała na grzbiety dłoni. Wyglądały paskudnie, pokaleczone, z połamanymi paznokciami. Chwilę później zobaczyła przed sobą koniec z grubsza ociosanego kija. Podskoczyła. Nie potrzebowała żadnych więcej niespodzianek.

– Jeżeli to miało być zabawne, Darman, dlaczego nie słyszysz mojego śmiechu? – zapytała.

– Daj spokój, dowódcu – powiedział komandos, zerkając na nią od przeciwległego końca kija. – Czas na doskonalenie techniki władania świetlnym mieczem. Poćwiczmy teraz, zanim będziesz musiała posłużyć się nim podczas prawdziwej walki.

– Muszę odpocząć – sprzeciwiła się Etain.

– Mógłbym się o to założyć. – Darman kucnął w wejściu do szałas i spojrzał na nią. – Może niewiele wiem o świetlnych mieczach, ale trochę się znam na technikach walki wręcz.

Nie zamierzał rezygnować. Jego natarczywość zaczynała ją irytować. Prawdę mówiąc, nawet złościć. Miała dosyć. Była wyczerpana. Chciała tylko siedzieć nieruchomo i nie robić absolutnie niczego. Zerwała się na nogi, chwyciła koniec kija i skoczyła na komandosa.

Darman także wstał i uskoczył, ale tylko na tyle, żeby go nie dosięgnęła.

– To stosunkowo bezpieczny sposób ćwiczenia umiejętności władania świetlnym mieczem – powiedział.

– Stosunkowo? – powtórzyła padawanka. Czując, że ogarniają wściekłość, chwyciła kij oburącz.

– Stosunkowo – powtórzył komandos i niespodziewanie smagnął ją własnym „świetlnym mieczem”.

– Au! – wrzasnęła młoda Jedi. – Ty...

– Uspokój się. Daj z siebie wszystko, co w tobie najgorsze. – Darman uskoczył poza zasięg jej dzikiego, niekontrolowanego pchnięcia. – O to chodziło. Zaatakuj mnie.

Etain uświadomiła sobie, że osiągnęła ten co zawsze punkt krytyczny: cienką granicę między dawaniem z siebie wszystkiego a poddawaniem się ślepej furii. Muszę naprawdę zacząć walczyć, pomyślała. To już nie jest zabawa. Trzymając kij oburącz, zamachnęła się z prawej na lewo. Uderzyła w drąg Darmana z takim impetem, że poczuła w nadgarstkach i łokciach siłę ciosu. Zepchnięty do obrony komandos musiał przenieść ciężar ciała na cofniętą stopę. Chwilę później padawanka zadała szybko jeden po drugim trzy ciosy, dwa z prawej i jeden z lewej... a potem niespodziewanie uderzyła z góry na dół. Trafiła w zgięcie między szyją a barkiem z taką siłą że gdyby kij był prawdziwym mieczem, rozplatałaby przeciwnika na dwoje.

Usłyszała nieprzyjemne plaśnięcie i pierwszy raz zobaczyła, jak Darman krzywi się z bólu. Ten przelotny grymas trwał zaledwie sekundę, ale padawanka od razu poczuła wyrzuty sumienia.

– Przepraszam... – bąknęła, ale komandos od razu rzucił się do ataku i wyłuskał kij z jej dłoni.

– Musisz wykorzystywać przewagę, jaką uda ci się osiągnąć – pouczył, pocierając szyję. – Nigdy nie walczyłem energetyczną klingą i nie mam na swoje usługi Mocy, ale wiem, kiedy iść na całego.

– Rozumiem – odezwała się Etain. Oglądając goleń, starała się głęboko, miarowo oddychać. – Zrobiłam ci jakąś krzywdę?

– Nic poważnego – zapewnił Darman. – To był świetny cios.

– Nie chcę cię zawieść, kiedy będziesz mnie najbardziej potrzebował.

– Na razie radzisz sobie doskonale, dowódco – odparł komandos.

– Jak ty to wszystko potrafisz robić, Darman? – zapytała młoda Jedi.

– Co takiego? Walczyć? – domyślił się komandos.

– Zabijać i pozostawać obojętnym.



– Przypuszczam, że to zasługa szkolenia – powiedział Darman. – A może także jakieś cechy charakteru Jango Fetta, które i jemu pozwalały pozostać obojętnym.

– Czy kiedykolwiek w czasie ćwiczeń się bałeś?

– Prawie zawsze.

– A czy podczas którychś ćwiczeń zostałeś ranny?

– Niemal za każdym razem – stwierdził komandos. – Inni jednak umierali. Właśnie na tym polega nauka. Kiedy odniesiesz ranę, instynktownie zaczynasz odpowiadać ogniem na strzały przeciwników. Najpierw instruktorzy szkolili nas, używając tak zwanej symulacji, która zadawała ból, ale nie raniła. Dopiero później przeszliśmy do ćwiczeń z ostrą amunicją.

– Ile wówczas miałeś lat? – zainteresowała się padawanka.

– Cztery, może pięć – odparł Darman.

Etain tego nie wiedziała i wzdrygnęła się, zaskoczona. Nie przypominała sobie, żeby podczas szkolenia zginął choć jeden Jedi. To był zupełnie inny świat. Pochyliła się, podniosła swój kij i skupiając spojrzenie na przeciwnym końcu, wykonała kilka powolnych wypadów.

– Nie bardzo mogę zrozumieć istotę tego przyspieszonego szkolenia – wyznała.

– To kaminońska tajemnica przemysłowa – stwierdził komandos.

– Chciałam powiedzieć, że jesteś niezwykłym człowiekiem. Potrafisz robić niezwykle rzeczy jak na kogoś, kto ma jeszcze mniej doświadczenia z tym parszywym światem niż zwykła padawanka.

– Sierżant Skirata także mawiał, że cały czas go zadziwiamy – przyznał Darman.

– Często go wspominasz – zauważyła młoda Jedi.

– Szkolił moją drużynę, podobnie jak drużyny Ninera i Fi. Może właśnie dlatego po śmierci naszych braci wysłano nas razem na tę wyprawę.

Etain zawstydziała się. To, co powiedział komandos, nie było uzalaniem się nad sobą.

– Co z wami zrobią za trzydzieści lat, kiedy będziecie zbyt starzy, aby nadal walczyć? – zapytała.

– O wiele wcześniej będę martwy – odparł Darman.  
– To dosyć fatalistyczna wizja, nie uważasz?  
– Chciałem tylko powiedzieć, że zawsze będziemy się starzeli szybciej niż wy – przypomniał komandos. – Powiedziano nam, że w przypadku klonów okres niedołęstwa trwa litościwie krótko. Powolni żołnierze szybko giną. Wolałbym umrzeć wcześniej, a nie dopiero wtedy, kiedy przestanę być najlepszy.

Etain nie chciała już słuchać o śmierci. Ludzie umierali zbyt łatwo i często, jakby śmierć nie miała żadnego znaczenia ani nie powodowała żadnych konsekwencji. Wyczuwała zniekształcenia omywającej ją Mocy. Zamiast regularnego rytmu życia, jak powinno być, otaczał ją chaos zniszczenia. Nie mogła się z tym pogodzić ani na to wpłynąć.

– Mieliśmy być strażnikami pokoju – stwierdziła z goryczą. – To okropne.

– Wojna zawsze taka bywa, a nazywanie jej walką o pokój niczego nie zmienia – odparł Darman.

– To co innego – sprzeciwiła się padawanka.

Komandos wydał wargi i wpatrzył się gdzieś w dal, jakby zastanawiał się nad rozwiązaniem trudnego problemu.

– Sierżant Skirata twierdził, że cywilańce nie mają pojęcia, czym właściwie jest wojna – odezwał się w końcu. – Dopóki nikt do nich nie strzela, mogą szermować wzniosłymi hasłami, jak pokój czy wolność. Sierżant uważał, że nikt tak nie pomoże ci się skupić jak ktoś, kto usiłuje cię zabić.

Jego słowa sprawiły jej przykrość. Etain zastanowiła się, czy komandos tylko snuje niewinne wspomnienia, czy też może w subtelny sposób krytykuje jej zasady. Prawdopodobnie byłby zdolny do jednego i drugiego. Padawanka wciąż jeszcze nie mogła się pogodzić z jego dwoistością. Zabijał, ale nie widział w tym nic złego. Był żołnierzem, ale równocześnie dzieckiem... człowiekiem wykształconym i inteligentnym, ale zarazem zdolnym do rubasznego humoru. Nie musiał zawracać sobie głowy normalnym życiem, więc chyba spędził na rozmyślaniach więcej czasu niż nawet ona. Etain zastanawiała się, jak bardzo by go zmieniło życie w normalnym

świecie.

Zabiła tylko jedną inteligentną istotę, a jej śmierć wywarła na niej niezatarte wrażenie.

– Chodźmy – odezwał się Darman. – Słońce wschodzi. Może jego promienie wysuszą twoje ubranie.

Była pełnia jesieni. Nad polami i łąkami snuła się podobna do białego morza mgła. Na okrywającej szalas płachcie zebrana się kałuża deszczowej wody. Komandos podszedł do szalasu, żeby ją usunąć, ale nagle znieruchomiał.

– Co to za stworzenia? – zapytał. – Widziałem je już nad rzeką.

Nad kałużą tańczyły ubarwione na rubinowo i szafirowo owady.

– To jednodniówki – wyjaśniła Etain.

– Jeszcze nigdy nie widziałem tak pięknych kolorów – wyznał komandos.

– Te owady po wylęgnięciu żyją tylko dzień i wieczorem giną – ciągnęła młoda Jedi. – Żywot krótki i chwalebny...

Urwała, zakłopotana własnym brakiem taktu. Zaczęła mówić coś przeproszającym tonem, ale Darman nie wyglądał na urażonego.

– Są zdumiewające – oznajmił, bez reszty pochłonięty widokiem owadów.

– Rzeczywiście są – przyznała Etain i także zaczęła się im przyglądać.

Willa Lika Ankkita była kiedyś wspaniała. Zachowała zresztą zwoje zupełnie niepotrzebne piękno, ale w wypolerowanych posadzkach z kuwarowego drewna, kunsztownie inkrustowanych w kwiatowe motywy, widniały obecnie wyryte przez metalowe nogi robotów głębokie rysy.

Właściciel willi stał przy drzwiach i obserwował, jak cztery roboty przykręcają do okiennych framug metalowe płyty. Z każdą chwilą w pokoju robiło się ciemniej. Postępom przekształcania luksusowej willi w fortecę przyglądał się także Ghez Hokan.

– Rozszczepiły drewno! – syknął w pewnej chwili Ankkit. – Ostrożnie! – Odwrócił się do wojownika. – Czy wiesz, ile czasu zajęło

wyrzeźbienie tych paneli?

Mandalorianin wzruszył ramionami.

– Nie jestem stolarzem – burknął.

Tych paneli nie wykonali byle stolarze! – zachnął się Ankkit. – Wyrzeźbili je artyści...

– Nie obchodziłoby mnie to, nawet gdyby Najwyższy Kanclerz Palpatine wydłubał je osobiście własnym widelcem – przerwał Hokan. – Muszę zabezpieczyć ten budynek.

Niespełna trzy kilometry stąd stoi zaprojektowany i wzniesiony specjalnie w tym celu kompleks – odciął się Neimoidianin. – Możesz się zająć jego obroną.

– A skąd wiesz, że się tym nie zajmuję?

– A zatem dlaczego? – zapytał doprowadzony do rozpacz Ankkit.

– Dlaczego niszczysz mój dom, skoro nie ma już w nim doktor Uthan?

– Jak na przewrotnego i zdradzieckiego małego liczykrupe, Ankkit, wykazujesz zdumiewającą nieumiejętność taktycznego myślenia. – Hokan podszedł do Neimoidianina i stanął krok przed nim. Nie zamierzał pozwalać, żeby byle handlarzyna, chociaż wyższy niż on, zwracał mu uwagę. Nie przeszkadzało mu, że musi zadzierać głowę, aby spojrzeć mu w oczy. Mimo wszystko to on, Hokan, był ważniejszą osobą. – Wiem, że doktor Utah już tu nie ma, ale nasi nieprzyjaciele mogą sądzić, że nadal jest – podjął po chwili. – Gdyby to moi przeciwnicy czynili jawne przygotowania do obrony jakiejś placówki, mógłbym pomyśleć, że to bluff, i zacząłbym się rozglądać za innym obiektem. Gdybym zauważył, że ten inny obiekt jest dyskretnie przygotowywany do obrony przed intruzami, doszedłbym do wniosku, że to mój prawdziwy cel, i przystąpiłbym do ataku.

Ankkit nie wyglądał na przekonanego. Wyraźnie oburzony, skierował na Hokana przesłonięte do połowy powiekami czerwone oczy, co samo w sobie było rzadkim dowodem jego odwagi.

– A w jaki sposób mają zauważyć te dyskretnie przygotowania? – zapytał.

– Upewniłem się, żeby zaopatrzenie docierało tu z zachowaniem odpowiednich środków ostrożności – wyjaśnił Mandalorianin. – Nocne dostawy, przestrzeganie ciszy i tak dalej. Zważywszy na

zwyczaje miejscowej ludności, jestem pewny, że przehandlują tę informację za butelkę trunku albo czegoś innego. W moim przypadku zawsze się to sprawdzało.

Te opancerzone okna nie zapobiegną zniszczeniu mojej willi – stwierdził Neimoidianin.

– Masz rację, Ankkit – przyznał wojownik. – Drewniane konstrukcje zazwyczaj nie mogą się oprzeć strzałom z działek. Właśnie dlatego kazałem doktor Uthan wrócić do ośrodka. Jeżeli będę musiał, łatwiej będzie mi bronić budynku z kamienia i metalu.

– Więc dlaczego w ogóle ją tu sprowadzałeś?

– Jestem zdumiony, że o to pytasz – burknął Hokaan. – Naturalnie po to, żeby wywieść w pole naszych nieprzyjaciół.

Z początku wszystko wskazywało, że to dobry pomysł, bo Hokaan nie wiedział, z iloma wrogami będzie miał do czynienia. Obecnie mógł być pewny, że przyjdzie mu toczyć walkę z oddziałem liczącym nie więcej niż dziesięciu żołnierzy. Gdyby wylądowało ich więcej, do tej pory na pewno by się o tym dowiedział. Przeprowadzka Uthan, której i tak nie dałoby się utrzymać w tajemnicy, utrudni wrogom odgadnięcie prawdy.

Nie zamierzał dopuścić, żeby o czymkolwiek decydował przypadek. Pozostawione przez niego ślady miały doprowadzić nieprzyjacielskich komandosów do jednego wniosku: że Uthan i hodowla jej nanowirusów znajdują się zabarykadowane w willi Lika Ankkita.

Inny robot, ciągnąc przez salon ciężki metalowy legar, wyrył w złocistej posadzce głęboką bruzdę. Sfrustrowany Ankkit wydał stłumiony pisk. Towarzysze robota dźwignęli legar, ale kiedy dopasowywali go do poziomej belki, przewrócili kunsztownie zdobioną wazę z Naboo, która roztrzaskała się na kawałki. Automatów nie zaprogramowano, żeby przepraszały czy sprzątały odłamki. Niepomne na wszystko, po prostu rozdeptywały je na jeszcze mniejsze okruchy.

Neimoidianin zadygotał w furii. Zawołał na służącego. Chwilę później pojawił się posepnie wyglądający qiilurański chłopak ze szczotką i zmiotł okruchy na podstawioną szufelkę.

– Nie jest tak źle – odezwał się Hoka. To nie była odpowiednia pora na wyjawianie Ankkitowi, że w labiryncie piwnic z winem i bezpiecznych krypt pod willą kazał rozmieścić dziesiątki ładunków wybuchowych. Nie miał pojęcia, jak się cuci Neimoidianina, który zasłabnie z wrażenia, a nie zamierzał się tego uczyć.

Za frontowymi drzwiami willi czekał na niego porucznik Hurati. Nawet kiedy nikt go nie obserwował, stał w postawie zasadniczej. Hoka nigdy go nie przyłapał, jak ukradkiem pociąga trunek z manierki czy choćby tylko się drapie. Na widok wychodzącego Hoka Umbaranin nie musiał się nawet prostować.

– Panie majorze, doktor Uthan zaczyna się irytować z powodu tego zamieszania – zameldował.

– Porozmawiam z nią – obiecał Mandalorianin. – Jak działa łańcuch sygnałowy naszych robotów?

– W miarę sprawnie, panie majorze, ale czułbym się bezpieczniej, gdybyśmy mieli działającą sieć łączności za pomocą komunikatorów.

– Mój chłopcze, kiedyś w ogóle nie istniały stacje przekaźnikowe – stwierdził Hoka. – Musieliśmy toczyć wojny, polegając na obserwacjach i własnym sprycie. Zapewniam cię, że to wykonalne. Co wynika z meldunków robotów?

– Wygląda na to, że ataki ograniczają się do Teklet i obszaru na południe od miasta, panie majorze, i mają dosyć specyficzny charakter – odparł Umbaranin. – Przynajmniej wiemy, dlaczego nieprzyjaciele zaatakowali biuro kamieniołomu. Jeszcze nigdy nie widziałem bomby, która by wyglądała jak robot wydobywczy. – Hurati przesunął nerwowo językiem po wargach. – Panie majorze, na pewno pan nie chce, żeby patrole przeszukały drogę do Teklet? – zapytał. – Z radością zająłbym się tym osobiście. To żaden kłopot.

Mandalorianin nie uznał propozycji porucznika za krytykę, ale za dowód autentycznego niepokoju.

– Nie, bo mogłoby się okazać, że przeszukując okolicę, tropimy gdany – powiedział. – Nasi nieprzyjaciele znają się na zacieraniu śladów i zastawianiu pułapek, a ja nie zamierzam połykać ich przynęty. Zaczekam, aż połkną moją. – Poklepał podwładnego po plecach. – Jeżeli nie masz nic innego do roboty, miej oko na Ankkita.

Nie chcę, żeby nam przeszkadzał. Możesz ograniczyć swobodę jego ruchów w każdy sposób, jaki uznasz za konieczny.

Hurati zasalutował.

– Rozkaz, panie majorze – powiedział. – A jeżeli chodzi o porucznika Cuvina... no cóż, jak pan powiedział, chyba nie zostanie kapitanem.

Hokan uznał, że z każdym dniem bardziej lubi Huratiego.

– Czy jego koledzy oficerowie zwrócili uwagę na usunięcie jego nazwiska z listy awansów? – zapytał.

– Naturalnie, że tak, panie majorze.

– To dobrze – pochwalił Mandalorianin. – Świetna robota.

Hurati był lojalnym, posłusznym doradcą ale Hokan doszedł do wniosku, że musi go mieć na oku. Mimo to i tak go awansował. Nic by nie zyskał, gdyby z premedytacją ignorował dążenie podwładnego do doskonałości.

# ROZDZIAŁ

# 13

KAPITAN „MAJESTATYCZNEGO” DO DOWÓDZTWA SIŁ ZBROJNYCH REPUBLIKI,  
CORUSCANT

JESTEM NA POZYCJI I CZEKAM NA WIADOMOŚĆ OD DRUŻYNY OMEGA. WSZELKIE SYGNAŁY Z NAZIEMNEJ STACJI PRZEKAŹNIKOWEJ W TEKLET ZANIKŁY. JEDNOSTKA SEPARATYSTÓW ZBLIŻYŁA SIĘ I ZASTOPOWAŁA W ODLEGŁOŚCI PIĘCDZIESIĘCIU KILOMETRÓW PO STRONIE NASZEJ BAK-BURTY. NIE ODPOWIADA NA SYGNAŁY, ALE TO CHYBA UZBROJONY TRANSPORTOWIEC UNII TECHNOKRATYCZNEJ. PODEJMIEMY Z NIM WALKĘ, JEŻELI JEGO KAPITAN BĘDZIE ŻYWIŁ WOBEC NAS NIEPRZYJAZNE ZAMIARY. POZOSTAJEMY W GOTOWOŚCI.

– Kolejny raz wszystko dobrze się skończyło – odezwał się Fi, który szedł na czele kolumny.

– Nałykałeś się środków pobudzających czy co? – zapytał Niner.

– Po prostu mam pogodne usposobienie.

– A ja nie, więc skąd się wzięło u ciebie?

Niner nie lubił zamykać szyku patrolu. Omiatając spojrzeniem drzewa, szedł tyłem i zastanawiał się, dlaczego od czasu opuszczenia Teklet nie mieli kontaktu z przeciwnikiem, chociaż znaleźli się tak blisko Imbraani.

Błaszaki nie potrafiły się wspinać na drzewa. Komandos niepokoił się, że nie widzi mokrzaków.

– Chcesz się zamienić miejscami? – zapytał Fi.

– Nie, nic mi nie jest – burknął sierżant.



– Po prostu powiedz, gdybyś chciał.

Fi szedł mniej więcej sto metrów przed grupą a Atin podążał za GutaNayem. Weequay niósł pokaźną część sprzętu i materiałów wybuchowych, które musieli dźwigać na plecach, odkąd zostawili wydobywczego robota i lądowy śmigacz.

– Zważywszy na okoliczności, jest bardzo cicho – stwierdził Atin. – Miałbyś coś przeciwko, gdybym wysłał zdalniaka?

– Dobry pomysł – przyznał Niner. – Tylko przekaż obraz do wszystkich, dobrze?

– Już być na miejscu? – zapytał Guta-Nay.

– Niedługo. – Niner uznał, że na razie Weequay przydaje się im tylko jako tragarz, bo o stosowanych przez Hokana metodach wiedział tylko tyle, że „one bardzo boleć”. – Muszę wiedzieć, czy będziesz z nami współpracował, czy mam cię oddać w ręce twojego szefa.

– Ty nie robić tego! – wykrzyknął przerażony Guta-Nay. – To okrutne wielce!

– Prawdopodobnie uściska cię, ucałuje i powie, jak bardzo za tobą tęsknił – odparł Niner.

– On poderżnąć moja... – zaczął Weequay.

– Jestem pewien, że to robi – przerwał komandos. – Chcesz powiedzieć nam coś więcej o robotach?

– Setka.

– Jakież BSR-y?

– Co?

– Bojowe superroboty. – Niner puścił karabin, który zawisł na uprzęży, i obiema rękami pokazał pękaty kształt automatu. – Wielkie.

– Nie – odparł Guta-Nay. – Przynajmniej ja nie widzieć.

– Powiedziałem ci, że powinniśmy się go byli pozbyć – przypomniał Fi. – Mimo to dźwigał całkiem sporo sprzętu, więc może potraktujemy go za to z pobłażaniem?

Metalowa kula zdalniaka uniosła się tylko trochę nad poziom koron drzew i z cichym świstem odleciała. W jednym kwadrancie pola widzenia Ninera ukazał się oglądany z powietrza krajobraz. W miarę jak zdalniak leciał nad ścieżkami i przemykał między gałęziami

drzew, stało się jasne, że w pobliżu nie ma nieprzyjaciół, co paradoksalnie było powodem do niepokoju. W końcu kula zanurkowała, a komandosi zobaczyli rozebraną do pasa znajomą postać, pochyloną nad prowizoryczną miednicą z kawałka plastoidowego pancerza, pełną wody z mydłem.

Kiedy zdalniak zawisnął nad Darmanem, komandos sięgnął po karabin, nawet nie unosząc głowy.

– Sierżancie, czy to ty? – zapytał.

Niner zorientował się, że patrzy w wylot lufy Dece Darmana. Od razu oprzytomniał.

– Od PZ dzieli nas mniej więcej dziesięć minut – poinformował. – Wybierasz się może na jakieś przyjęcie?

Wylot lufy karabinu zniknął z pola widzenia, a zamiast niego pojawiła się do połowy ogolona twarz komandosa.

– Tylko najpierw zapukajcie, dobrze? – odezwał się Darman.

– Ja też się cieszę, że cię widzę – odparł Niner. – Gdzie nabawiłeś się tej rany?

– Tej? – zapytał komandos. – Czy tamtej?

– Tego oparzenia.

– To robota pewnego Trandoshanina, a ściślej byłego Trandoshanina – wyjaśnił Darman. – Zwróciliśmy na siebie uwagę, co wcale mi się nie spodobało.

– Nasz dowódca nadal w jednym kawałku? – zainteresował się Niner.

– Jasne. Ta druga rana to jej sprawka – odparł podwładny. – Uczę ją, jak walczyć naprawdę, a nie tylko na niby. Muszę przyznać, że szybko chwyta, o co chodzi.

– No to trzymaj wodę w kociołku na ogniu – zażartował Niner. – Pozwoliliśmy sobie zaprosić pewnego gościa.

Lekko zniecierpliwiona twarz Darmana skurczyła się i zniknęła, a po chwili zastąpił ją widok oglądanego z góry Imbraani. Miasto było właściwie zbiorowiskiem rozproszonych farm i rozmieszczonych między nimi grup budynków, które wyglądały jak ośrodki przemysłowe. Atin polecił zdalniakowi wznieść się wyżej i w polu widzenia pojawiło się kilka innych pojedynczych budynków.

- Skieruj go nad willę – poleciał Niner.
- To otwarty teren, sierżancie – sprzeciwił się komandos. – Trochę ryzykowne.
- Wydaje mi się, że i tak straciliśmy przewagę, jaką dawało nam zaskoczenie.
- W porządku – zgodził się Atin. – Ale przy długiej ogniskowej.
- Co wy robić? – zaniepokoił się w końcu Guta-Nay, który na pewno uważał, że komandosi idą w milczeniu. Nie słyszał rozmów prowadzonych przez komunikatory w hełmach. Niner kilka razy zamrugał i wybrał inny kanał.
- Oglądamy willę – powiedział.
- Wiedzieć o willa – pochwalił się Weequay.
- Wszyscy wiedzieć o willa.

Niner ucieszyłby się z odwiedzin Jinart. Komandosi nie widzieli zmiennokształtnej istoty od poprzedniego dnia. Naturalnie Jinart mogła być wszędzie, ale wolała pozostawać niewidoczna. Komandos miał nadzieję, że nie wpadła w tarapaty.

Jeszcze pięć minut, pomyślał. Po prostu dłuższa chwila i staną się znów drużyną. Najważniejsze, że będą mieli dowódcę. Kiedy dotrą do punktu zbornego, odpoczną, umyją się i nareszcie pozbędą większości zmartwień. Zaczynali się czuć, jakby otrzymali dobrą wiadomość.

Naturalnie pozostawała jeszcze sprawa porwania Uthan, zniszczenia hodowli nanowirusów i wydostania się w jednym kawałku z Qiilury.



Etain niemal przyzwyczała się uważać anonimowy pancerz Darmana za coś znajomego i przyjaznego. Kiedy jednak spomiędzy drzew wyłoniły się trzy podobne do niego jak krople wody postacie, poczuła, że mąci jej się w głowie.

A potem zdjęły hełmy.

Padawanka wiedziała, że to nieuprzejmie tak się gapić, ale nie mogła oderwać spojrzenia od ich twarzy. W pewnej chwili zorientowała się, że powoli unosi dłoń do ust, jakby starała się ukryć wstrząs, jaki przeżyła na ich widok.

– Tak, przepraszamy za tego Weequaya, dowódco – odezwał się jeden z komandosów. Miał twarz i głos Darmana. – Wiem, że trochę śmierdzi. Będziemy musieli kazać mu się wykąpać.

Wyglądali zupełnie identycznie, z wyjątkiem tego, który miał straszliwą bliznę na twarzy. Pozostali dwaj różnili się od siebie tylko usposobieniem. Jeden był poważny, a drugi w miły sposób spokojny i beztroski. Wszyscy patrzyli na nią.

– Nie potrafię was odróżnić – wyznała Etain.

– Jestem RC... – zaczął któryś.

– Nie chodzi mi o numery – przerwała padawanka. – Wiem, że się jakoś nazywacie.

– To... nie jest sprawa oficjalna, dowódco – odparł ten sam żołnierz.

Darman spuścił głowę.

– To sprawa prywatna – wyjaśnił.

– Wszyscy wołają na mnie Fi – odezwał się spokojny komandos, który widocznie się nie przejmował oficjalnymi opiniami. – A ten obok mnie to Atin.

– Niner – przedstawił się poważny komandos i zasalutował. Etain nie umiała rozszyfrować emocji każdego z żołnierzy, ale zauważyła, że oszpeconego przez bliznę Atina dręczyły niemal namacalne wyrzuty sumienia. Padawanka wręcz czuła ich ciężar. Skupiła uwagę na Weequayu. Nie musiała pomagać sobie Mocą, aby się zorientować, że istota jest przerażona. W pewnej chwili Guta-Nay spojrział na nią i skulił się, jakby zamierzał paść na kolana.

Istoty tej rasy nie wyglądały identycznie i Etain uświadomiła sobie, że zna tego konkretnego Weequaya. To właśnie on ścigał japo polu barqa. Był gwałcicielem i mordercą, chociaż właściwie niczym się nie różnił od innych siepaczy Hokana. Młoda Jedi sięgnęła po świetlny miecz.

– Spokojnie – odezwał się Darman.

– Dziewcino? – zapytał zaniepokojony Guta-Nay.

– Zaraz ci dam dziewczinę – odparła Etain, ale Darman chwycił ją za rękę i padawanka zawstydzila się swojej reakcji. Kolejny raz dała się ponieść gniewowi. To właśnie gniew nie pozwalał jej zrozumieć sensu własnego powołania. Musiała zapanować nad tym uczuciem. Jeżeli Darman potrafił korzystać ze swojej siły bez złości, nie mogła być od niego gorsza.

– Dlaczego go tu ściągnęliście? – zapytała, wyłączając kciukiem klingę świetlnego miecza.

– Sądziłyśmy, że może mieć przydatne informacje – odparł Niner.

Etain bardzo chciała być przydatna, ale miała wrażenie, że potrafi tylko wykonywać czarodziejskie sztuczki, które służą do odwracania uwagi, ale nie wystarczają żeby mogła się uważać za pełnowartościowego wojownika. Wolałaby, żeby Darman przestał ją traktować, jakby tylko potrzebowała kilku wskazówek. Powinien jej powiedzieć, jak bardzo gardzi całą potencjalną energią którą Etain marnuje, bo nie potrafi panować nad sobą ani skupiać się na sprawach najważniejszych. W końcu nie był głupi. Musiał tak myśleć.

– Co właściwie powinniśmy wiedzieć, Niner? – zapytała.

Co myśli Hokan i co zamierza, dowódco – odparł komandos. – Pozwól mi spędzić z tym Weequayem trochę czasu.

Guta-Nay wyprostował się, cofnął o krok i pokręcił głową. Pewnie się spodziewał, że Etain potraktuje go tak jak Hokan.

Fi zachichotał.

– Guta-Nay przypuszcza, że zamierzasz mu odciąć... uhm, warkoczyk – powiedział.

Warkoczyk. Padawanka zupełnie o nim zapomniała. Zgarnęła włosy do tyłu, zaplotła szybko i wyciągnęła z kieszeni kawałek sznurka, żeby je przewiązać. To właśnie tym jesteś, pomyślała. Żyj stosownie do swojego powołania, choćby tylko dlatego, żeby usprawiedliwić wiarę, jaką pokłada w tobie Darman.

– Będziemy musieli trochę pogawędzić, Guta-Nay – powiedziała, wpuszczając za kołnierz koniec warkoczyka. – Usiądź.

Weequay miał związane ręce, więc spełnienie jej polecenia sprawiło mu pewien kłopot, ale Etain nie zamierzała ryzykować.

Obserwowała, jak Guta-Nay klęka i niezgrabnie przewraca się na bok niczym kukła. Pomogła mu usiąść i sama zajęła miejsce naprzeciwko niego przed wejściem do szałas. Jakiś czas się nie odzywała, bo chciała, żeby Weequay się uspokoił, zanim postara się wpłynąć na jego umysł.

Nagle usłyszała dobiegający zza pleców klekot pancerzy i odwróciła głowę. Ze zdumieniem zobaczyła, jak Atin obejmuje Darmana i klepie go po plecach. Pochwyciła pełne zakłopotania spojrzenie swojego towarzysza wędrowni.

Bez względu na to, dlaczego Atin borykał się z tak silnymi wyrzutami sumienia, najwyraźniej poczuł ulgę, kiedy zobaczył, że Darman jest cały i zdrowy. Po chwili obaj komandos się rozdzielili, jakby nie wydarzyło się nic szczególnego. Etain odwróciła się znów do Guta-Naya. Olśniło ją nagle, że chociaż żołnierze są opanowani i w nienaturalny sposób wyglądają tak samo, pod każdym względem są takimi samymi ludźmi jak ona.

Tyle że wyhodowanymi do walki.

Poczuła narastające wątpliwości. Postanowiła na razie o nich nie myśleć i popatrzyła na Weequaya. Guta-Nay nie odwzajemnił jednak jej spojrzenia.

– Nie boisz się – zaczęła cicho i wyobraziła sobie widok łagodnie spływającej wody w fontannie w domu jej klanu na Coruscant. – Jesteś odprężony i chcesz porozmawiać na temat Gheza Hokana.

Guta-Nay zareagował, jakby o niczym innym nie marzył.

– Nie widziałeś Jinart? – zapytał Darman.

– Ani razu od wczoraj – odparł Niner, który czyścił pancerz. W tej chwili przestało się liczyć to, jak bardzo będą się rzucali w oczy, a komandos nie znosił niechlujnego wyglądu. Darman rozłożył na części swój Dece i wycierał komorę zapłonową. Fi, który miał czuwać nad bezpieczeństwem pozostałych, obchodził perymetr prowizorycznego obozu z karabinem w dłoniach. – Czy jest tu, czy nie, powinniśmy ruszać w dalszą drogę – powiedział.

– Do willi czy do ośrodka?

– Z ostatniej informacji od niej wynikało, że do willi.

– Ale...

– Ta-a, właśnie – przerwał sierżant. – Mnie też byłoby trudno opuścić miejsce, które nadaje się do obrony. Ta willa to nic innego jak drewno na opał. – Umieścił na swoim miejscu oczyszczony naramiennik. – Pokaż mi jeszcze raz ten plan – rozkazał.

Darman złożył z trzaskiem swój DC-17 i wyciągnął z saszetki u pasa kulę z holomapami.

– Musiała się bardzo starać, żeby to zdobyć – zauważył.

– Nasza pani oficer? – domyślił się komandos. – Jinart chyba nie ma o niej zbyt wielkiego mniemania.

– Daj spokój, Niner – zachnął się Darman. – Ta kobieta to Jedi. To nasz dowódca.

– No i? – zagadnął sierżant. – Co właściwie o niej myślisz? Darman potarł nasadę nosa.

– Jest bardzo zadziorna i potrafi walczyć – zaczął ostrożnie.

– I co jeszcze?

– No cóż... nie jest taka jak Skirata, ale się szybko uczy. Powinieneś zobaczyć, jakie potrafi robić sztuczki Jedi. To coś więcej niż sama umiejętność toczenia walki.

Od czasu do czasu Niner powątpiewał w umiejętności niesklonowanych oficerów. Podobne wątpliwości żywili zresztą wszyscy komandosi. Nigdy wprawdzie nie wyrażali ich publicznie, ale Skirata uprzedzał ich, nieoficjalnie i na osobności, że czasami niesklonowani przełożeni mogą potrzebować ich pomocy. Zawsze należało wykonywać ich rozkazy, ale jeżeli nie były jednoznaczne, trzeba było także umieć dokonywać ich rozsądnej interpretacji. Oficerowie mogli nieumyślnie przyczynić się do śmierci podwładnego.

– Nikt nie będzie taki jak Skirata – stwierdził Niner, cały czas dyskretnie obserwując padawanę. Nie miał pojęcia, co zrobiła GutaNayowi, zmieniła go w prawdziwego gadułę. Wyglądała na znudzoną, jakby ktoś chciał jej koniecznie wyjaśnić absolutnie wszystkie szczegóły techniczne konstrukcji samopowtarzalnego blastera.

– Musisz przyznać, że to nie byle jaka umiejętność – odezwał się Darman.

Niner nie zamierzał się nad tym nie zastanawiać. Niepokoiło go, że odtąd nie będzie mógł być pewny, które decyzje podejmuje samodzielnie. Nie podobały mu się także inne emocje, jakie wzbudzała w nim padawanka. Nigdy jeszcze nie znalazł się tak blisko młodej kobiety. Etain była wymizerowana, zaniedbana i niezbyt pociągająca, z jej powodu czuł się jednak nieswojo, a sądząc po spojrzeniach, jakie rzucał mu Darman, prawdopodobnie obaj czuli to samo.

Obserwowali, jak Guta-Nay zwierza się dowódcy. W końcu wyraźnie zmęczona pani oficer wstała, podeszła do nich i spojrzała niepewnie na jednego i drugiego.

– Bardzo mi przykro, Darman – odezwała się do Niner a i zaraz wyraźnie zmieszana, wzruszyła ramionami. – Przepraszam. Naturalnie ty jesteś Niner. Wyciągnęłam z niego niewiele szczegółów, bo Guta-Nay nie jest raczej osobą, która zastanawia się nad tym, co widzi. Dowiedziałam się, że Hokan nosi verpiński karabin rozpryskowy i wykonany na zamówienie blaster typu KYD-21. Ma wiele trandoshańskiego sprzętu, a o ile orientują się członkowie jego milicji, w garnizonie stacjonuje nie więcej niż sto bojowych robotów. Hokan jest chyba także dobrym graczem... a przynajmniej lubi blefować i przechytrzać przeciwników.

Niner zastanowił się nad usłyszczanymi informacjami.

– Przydadzą się nam, dowódco – powiedział. – Dziękuję.

Chciałam się także przekonać, czy dam radę wezwać Jinart – dodała padawanka. – Ona pewnie potrafiłaby sprawdzić, co dzieje się w willi.

– Mogłabyś to zrobić? – zainteresował się Darman.

Jeżeli Jinart sama chce, daje mi się wyczuwać – wyjaśniła Etain. – Postaram się sprawdzić, czy ona potrafi wyczuć mnie. – Utkwiła spojrzenie w butach. – I proszę, nie nazywajcie mnie dowódcą – podjęła po chwili. – Nie zasłużyłam sobie na ten tytuł i dopóki na niego nie zasłużę... jeżeli kiedykolwiek to się stanie... mówcie mi po prostu Etain. Darman już o tym wie, prawda?



Komandos kiwnął głową, ale Niner nie wyglądał na zachwyconego jej propozycją. Lubił wiedzieć, kto gdzie stoi w hierarchii dowodzenia.

– Jak sobie życzysz – powiedział. – Czy mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Dlaczego powiedziałaś: „Naturalnie ty jesteś Niner”? Padawanka nie odpowiedziała od razu.

Wyczuwam każdego spośród was w trochę inny sposób – odezwała się w końcu. – Może wyglądacie identycznie, ale nie jesteście tacy sami. Na ogół nie identyfikuję osób na podstawie wpływu, jaki wywierają na Moc, ale potrafię to robić, jeżeli się skoncentruję.

– Wyczuwasz, że się czymś różnimy?

– Na pewno sami o tym dobrze wiecie – odparła młoda Jedi. – Ty wiesz, że jesteś Niner, a ty, że nazywasz się Darman. Podobnie jak ja i jak wszyscy inni ludzie, jesteście świadomi własnych tożsamości.

– Tak, ale...

– Wszystkie istoty są indywidualnymi osobami, co zresztą odzwierciedla ich esencja w Mocy – przerwała padawanka. – Samo życie sprawia, że różnimy się od siebie. Pod tym względem jesteście jak bliźnięta, tyle że jeszcze bardziej podobni jeden do drugiego. Najbardziej od pozostałych różni się Atin. Dlaczego ma tak silne wyrzuty sumienia?

Jej odpowiedź zaskoczyła Ninera. Komandos przyzwyczył się do tego, że został wyprodukowany. Wprawdzie członkowie jego drużyny i szkolący ich sierżant traktowali go jak mężczyznę, ale Kaminoanie na pewno nie uważali go za pełnowartościową istotę ludzką. Pierwszy raz jakiś dowódca, w dodatku Jedi, potwierdził głęboko zakorzenione, chociaż nigdy niewypowiedziane przekonanie komandosów, że nie są kimś gorszym niż niesklonowani ludzie. Nie musieli się z tym dłużej kryć ani uważać tego za oznakę buntu.

– Atin był jedynym członkiem pierwszej drużyny, który przeżył. Dostał później inny przydział i podczas akcji ponownie stracił wszystkich trzech braci – zaczął w końcu. – Od tamtej pory obwinia siebie za śmierć swoich towarzyszy.

– Biedny chłopak – zmartwiła się padawanka. – Rozmawiał z

wami na ten temat?

– Niewiele.

– Może ja bym spróbowała go przekonać, że to nie była jego wina?  
– zaproponowała Etain. – Wystarczyłaby niewielka zachęta...  
Obiecuję, że to nie będzie nic w rodzaju wpływu, jaki wywarłam na umysł Weequaya.

– To bardzo miło z twojej strony.

– Musimy nawzajem troszczyć się o siebie.

Niner uświadomił sobie, że nie obchodzi go już, czy padawanka ma, czy też nie ma większego pojęcia o walce partyzanckiej niż mott. Wykazywała najważniejszą cechę dowódcy, której nie można było przyswoić sobie w ciągu całego życia: troszczyła się o podwładnych.

Już tylko za to jedno zasługiwała na tytuł dowódcy.

– Kontakt, pięćset metrów – zameldował Fi.

Pozostali członkowie drużyny zrezygnowali z reszty zaimprovizowanego posiłku, na który składał się gulasz z suszonego mięsa, i włożyli hełmy. Etain ponownie się zdziwiła, jak szybko się poruszają. Zanim się obejrzała, żeby sprawdzić, gdzie znajduje się Weequay, komandosi zajęli pozycje w gęstym poszyciu i wymierzili przed siebie lufy karabinów.

Nie zamierzasz mówić ani krzycheć, Guta-Nay, pomyślała z naciskiem młoda Jedi. Chcesz się zachowywać zupełnie cicho.

Weequay chciał. Padawanka szybko się zorientowała, kto nadchodzi. Poczołgała się na kolanach i łokciach w krzaki i położyła się blisko Darmana.

– To Jinart – poinformowała. – Odpręż się.

Darman, Fi i Atin kucnęli, ale Niner się nie poruszył. Nadal leżał, nie odrywając oka od wizjera lunety, ale demonstracyjnie trzymał dłoń z daleka od spustu karabinu.

– Niner lubi mieć pewność – stwierdził Darman. – Bez obrazy.

Nagle trawa się zakołysała i obok klęczących komandosów przepłynęła żywa plama czarnego oleju. W jej wirach kołatało się coś paskudnego. W końcu przybrała naturalną postać Gurlanki z

ogromnym kawałem surowego mięsa w zębach. Jinart położyła mięso na trawie.

– Bardzo starannie was uprzedziłam – powiedziała, spoglądając na Ninera. Pociągnęła nosem i skierowała długi pysk w kierunku źródła charakterystycznej woni. Skupiła spojrzenie na GutaNayu, który drzemał ze związanymi rękami, oparty plecami o pień drzewa. – Jakie licho was opętało, żeby zabierać go na pamiątkę? – zapytała.

– Przypuszczaliśmy, że może się nam przydać – powtórzył Fi.

– Weequayów nie da się nawet jeść – stwierdziła Gurlanka i przeistoczyła się w istotę ludzką. – Lepiej niech to stworzenie nie widzi, kim naprawdę jestem... na wszelki wypadek. Czy już zaspokoiliście głód? Nie chcielibyście zjeść po kawałku merlie?

Fi zdjął hełm i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Mamy na to trochę czasu, prawda? – zapytał.

– Równie dobrze możecie walczyć z pełnym żołądkiem – stwierdziła Jinart. – Macie przed sobą niełatwe zadanie.

Fi podniósł udziec merlie i opłukał go wodą z manierki.

– Dar, zostało ci jeszcze trochę suszonych owoców? – zagadnęła.

Wysunął wibroostrze z płytki kłykciowej i zaczął ciąć udziec na kawałki. Etain zastanawiała się, jakim cudem komandos zachowuje niezmienną pogodę ducha. Nie wyobrażała sobie, żeby mógł kogokolwiek zastrzelić. W ciągu ostatnich kilku dni odkryła, że zawodowi żołnierze zazwyczaj nie bywają wściekli ani brutalni.

Nawet nie mówili jak twardziele. Kryło się w nich mnóstwo sprzeczności. Prali ubrania, golili się, gotowali i na ogół zachowywali się jak dobrze wychowani i wykształceni padawani. A potem wyruszali na wyprawy, podczas których wysadzali w powietrze różne obiekty, zabijali obce istoty i opowiadali sprośne kawały. Etain zaczynała się do tego przyzwyczajać, ale szło jej niesporo.

Atin pozostał na dworze, by mieć oko na Guta-Naya, a pozostali udali się do szałas, żeby wysłuchać opowieści Jinart.

– Oto wyniki moich obserwacji – zaczęła Gurlanka. – Hoka stwarza pozory, że potajemnie fortyfikuje willę Neimoidianina. Rzeczywiście stacjonuje w niej ponad pół setki bojowych robotów. Cały dom jest zaminowany, a większość ładunków rozmieszczono w

piwnicach z winem. Mandalorianin polecił jednak, żeby doktor Uthan wróciła do swojego ośrodka.

– Nasz wonny przyjaciel Weequay miał rację, kiedy wspominał o blefowaniu i przechytrzeniu przeciwnika – przypomniała Etain.

Niner wzruszył ramionami.

– Na miejscu Hokana zrobiłbym to samo – powiedział. – Przygotowałam się do obrony najbardziej wytrzymałego obiektu.

– Musimy się więc rozprawić z obydwoma celami – stwierdziła Jinart. – Dzieli je odległość zaledwie dwóch czy trzech kilometrów. Gdybyśmy zaatakowali tylko ośrodek doktor Uthan, po kilku minutach wpadną tam nas odwiedzić roboty z willi Neimoidianina.

Etain potarła czoło.

– Jeżeli ośrodek wzniesiono zgodnie z planami, prawdopodobnie jedynym sposobem dostania się do środka są frontowe drzwi – powiedziała.

Darman wzruszył ramionami.

– Potrafimy robić własne drzwi – zauważył. – Do tego celu służą przecież ładunki framugowe i urządzenia odcinające dopływ wody.

– Słucham? – zapytała padawanka.

– Instalujemy ładunki wybuchowe, które robią dziury w ścianach – wyjaśnił komandos. – Wolałbym jednak nie korzystać z tej metody, skoro mamy do czynienia z substancjami niebezpiecznymi dla życia. Nie chcemy stłuc żadnej butli ani nawet fiolki.

– Tam nie ma nawet awaryjnego wyjścia na wypadek pożaru – zauważyła padawanka. – Jedyne drzwi, żadnych okien, żadnych szybów wentylacyjnych.

– Wygląda na to, że nikt tu nie zawraca sobie głowy przepisami budowlanymi. – Darman wzruszył ramionami. – Frontowe drzwi, ściany albo ścieki. Ściany byłyby najlepsze, ale wówczas nie dostaniemy się do środka niepostrzeżenie.

Niner spojrział na niego, jakby czekał na propozycję.

– Rozdzielimy się i zaatakujemy oba miejsca równocześnie – zdecydował komandos. – Jeżeli narobimy wystarczająco dużo hałasu, może odwrócimy ich uwagę.

– No cóż, jeżeli Hokan był taki uprzejmy i zainstalował w willi

ładunki wybuchowe, nie możemy dopuścić, żeby się zmarnowały. – Darman studiował jakiś czas hologram z planem rozkładu pomieszczeń willi. – Drugi raz nie dadzą się nabrać na bombę w robocie, ale mamy mnóstwo materiałów wybuchowych, z których moglibyśmy zrobić właściwy użytek.

– Mówisz tak, jakby wasze zadanie miało być całkiem proste – zauważyła Etain.

– Przeciwnie, będzie bardzo trudne – powiedział komandos. – Ale szkolono nas do wykonywania właśnie takich zadań.

– Wolałbym, żebyście się jak najszybciej wdarli do ośrodka – stwierdził Niner.

– Powinniśmy jednak rozmieścić własne ładunki wybuchowe w willi... najlepiej w piwnicach z winem, gdyby się dało – stwierdził Darman. – Eksplodując, uwolnią dość energii, żeby wybuchły także ładunki Hokana. Gdybyśmy dali radę zainstalować chociaż jeden taki ładunek, siła eksplozji skieruje się w górę, a jeśli roboty znajdą się na wierzchu, będziemy mieli z głowy także ten problem.

– No dobrze, a więc na poziomie parteru mamy roboty – podsumował Niner. – Możemy się dostać do willi frontowymi drzwiami, przez ściany albo przez trzydziestocentymetrowej średnicy rurę kanalizacyjną.

– Świdrogrzmoty? – zaproponował Fi.

– Nie wwiercą się w grunt wystarczająco głęboko, żeby dotrzeć do piwnicy, a poza tym i tak nie mają wystarczającej siły eksplozji. – Darman nie odrywał spojrzenia od holograficznego planu. – Chyba że... Atin mógłby zmodyfikować je w taki sposób, żeby dało się wcisnąć do każdego kawałek termicznej taśmy. Zamierzałem ją wykorzystać do zniszczenia odpornych na blasterowe strzały drzwi ośrodka, ale mogę odciąć metr. Reszta powinna mi wystarczyć.

– A co powiecie na zdalniaka? – zapytał Atin. – Może dałoby się go skierować do wnętrza willi? Gdybyśmy usunęli ze środka aparaturę rejestrującą i zamiast niej wcisnęli termiczną taśmę... Kilka metrów powinno się zmieścić bez trudu.

– Na pewno zwrócą uwagę na wszystko, co lata – zauważył sceptycznym tonem Niner.

Jinart, która nadal wyglądała jak stara kobieta, przeniosła spojrzenie z jednej identycznej twarzy na drugą.

– Jak wielkie jest to urządzenie? – zapytała. Damian zacisnął dłoń w pięść.

– Mniej więcej takie – powiedział. – Zaraz ci pokażę.

– Mogłabym zanieść je do willi i zostawić pod samą ścianą jeżeli dacie radę pokierować stąd jego ruchami – zaproponowała.

Niner wskazał migotliwy wizerunek budynku.

– Gdybyśmy go wpuścili przez otwór wentylacyjny na dachu, wleciałby do głównego korytarza biegnącego od frontu na tyły willi – powiedział.

– A może wpuścić go główną rurą kanalizacyjną od tego przepustu mniej więcej dwieście metrów za domem? – zapytał Darman. – Ta wersja bardziej mi się podoba.

Etain także spojrzała na hologram, jakby się spodziewała, że wcześniej czy później pojawi się na nim odpowiedź.

– Wsadzenie willi w powietrze ma sens tylko wtedy, jeżeli przy okazji zniszczycie tyle bojowych robotów, ile się da – oznajmiła.

– Więc powinniśmy przekonać nieprzyjaciela, że zamierzamy zaatakować tylko willę – stwierdził Niner. – Musielibyśmy odwrócić jego uwagę, co byłoby możliwe, gdybyśmy mieli więcej ludzi. Niestety nie mamy.

Nagle Etain wpadła na pewien pomysł... chociaż wcale nie była z niego dumna.

– A co byście powiedzieli, gdyby przekazać tę informację bezpośrednio Hokanowi? – zagadnęła. – Moglibyśmy pozwolić, żeby Guta-Nay uciekł i wyjawiał mu, że planujemy atak na willę.

– Guta-Nay wie, że jest nas tylko czterech – stwierdził Darman. – Przepraszam, pięcioro.

– Sześcioro – poprawiła go Jinart, z przymusem się uśmiechając.

– Moglibyśmy mu wpoić przekonanie, że mamy w pobliżu jeszcze jedną drużynę czy dwie – zasugerowała młoda Jedi. – W obecnym stanie uwierzy we wszystko, co mu powiem. Musimy być jednak świadomi, że wysyłamy go na pewną śmierć.

Fi kiwnął głową.

– Ta-a, masz rację... ale jeżeli Hokan go zabije przed wysłuchaniem tych rewelacji, nasz plan spali na panewce – powiedział.

Był beztroski i pogodny, a jednak gruboskórny. W pierwszej chwili Etain się przestraszyła, ale zaraz uświadomiła sobie, że właśnie tak wygląda rzeczywistość. Gdyby Guta-Nay miał okazję, zgwałciłby ją i zabił. Na pewno nie dręczyłyby go później najłżejsze wyrzuty sumienia. A poza tym celem drużyny była fabryka śmiercionośnej broni, która mogła zabić miliony mężczyzn takich jak Niner, Fi czy Atin. Czy Darman, dodała w myśli. Gdyby komandosi nie zabijali, sami zostaliby zabici.

Niewiele trzeba było czasu, żeby wpajany jej od najmłodszych lat szacunek dla wszystkich form życia przerodził się w myśl: „Poświęć Weequaya”. Padawanka zastanowiła się, czy właśnie na tym polega deprawacja.

– Zrobię wszystko, żeby Guta-Nay miał jak najlepszą początkową kwestię – obiecała.

– To szumowina – odezwała się niespodziewanie Jinart. – Jego śmierć to niewielka cena, jeżeli pomoże wyrzucić z mojej planety Federację Handlową i wszystkich jej sługusów.

Mojej planety? Etain widocznie pomyślała o tym samym co komandosi, bo wszyscy zareagowali w taki sam sposób i spojrzeli wyczekująco na zmiennokształtną istotę.

– Nie mieliśmy pojęcia, że to twoja ojczyzna – odezwał się w końcu Niner.

– Moja – przyznała Gurlanka. – Jestem jedną z ostatnich istot swojej rasy. Różni najeźdźcy wypędzali nas z ojczyzny, chociaż wcale nas nie widzieli, a w tej chwili zrobiliby to samo, nawet gdyby mieli pojęcie o naszym istnieniu. Pomogę wam wyrzucić z Qiilury Neimoidian i wszystkie inne wrogie istoty obcych ras, które tu osiadły. Właśnie taką umowę zawarłam z Republiką. Wy pomożecie nam, a my wam. Tylko z tego powodu narażamy życie. Na pewno nie zależy nam na większej chwale waszej sprawy.

– Nikt nam o tym nie powiedział – odezwała się Etain. – Przepraszam. Nie mogę się wypowiadać w imieniu Republiki, ale

damy z siebie wszystko, żeby dotrzymać warunków tej umowy.

– Postaraj się o to – powiedziała Gurlanka i wymownym ruchem małej czarnej głowy wskazała komandosów. – Podobnie jak twoich młodych przyjaciół, jest nas niewielu, ale także umiemy wyrządzać duże szkody.

Młoda Jedi mogła tylko kiwnąć głową. Dobrze chociaż, że Jinart była brutalnie szczera. Może pozbawieni ukrytych myśli telepaci nie mieli innego sposobu przekazywania tego, co chcą powiedzieć? Nie mrugając, istota kierowała na nią pomarańczowe oczy, a młoda padawanka dopiero teraz zauważyła, że wszystkie cztery kły nad dolną wargą Gurlanki są zakończone podwójnymi szpicami.

– Pozostawię zapachowe ślady wokół tego obozowiska – oznajmiła Jinart jakby z przymusem. – Tej nocy nie będą was niepokoiły gdany.

Wyślizgnęła się z szałasów i wtopiła w krajobraz. Jakiś czas było słychać, jak z szelestem przeciska się między krzakami.

– No dobrze, przekonajmy się, co potrafi Guta-Nay – odezwał się Niner. – Jeżeli do jutra w południe nie zobaczymy oddziałów, które kierują się do willi, i tak do niej wpadniemy, ale będziemy musieli się rozdzielić i zaatakować obie grupy bojowych robotów. Naprawdę nie chcemy tego robić, ale nie mamy innego wyjścia.

– Znosi się na to, że cały wieczór będziemy wywodzili przeciwnika w pole – stwierdził Fi. – Czy ktoś ma ochotę na kolację?

Ich plan był skomplikowany, a najdziwniejsze w nim było to, że nie wymagał żadnych prób. Guta-Nay niczego nie podawał w wątpliwość i Etain zaczęła go traktować jak ogromne dziecko o sadystycznych skłonnościach, niezdolne do zrozumienia uczuć innych osób ani do panowania nad własnymi. Jedząc mięso merlie, uduszone z suszonymi owocami kuvara, rozmawiali o pozostawieniu porcji dla „drugiej drużyny”, która miała dołączyć do nich trochę później. Powtarzali co chwila, że ich celem będzie „willa”. Jeżeli na tym polegało wywodzenie nieprzyjaciół w pole, nie sprawiało im to żadnej trudności.

Mimo to Etain nie była dumna z wymyślonego fortelu. Kiedy przecinała więzy krępujące nadgarstki Weequaya, rzekomo, żeby mógł coś zjeść, wiedziała, że w rzeczywistości skazuje go na śmierć.



Pewną ulgę sprawiała jej świadomość, że kiedy się ściemni, a wszyscy demonstracyjnie odwrócą się do niego plecami, jakby zajęci własnymi sprawami, Guta-Nay postara się uciec i usprawiedliwi opinię Jinart, że w rzeczywistości jest tylko szumowiną.

Mimo to młoda Jedi nie potrafiła się pozbyć wyrzutów sumienia.

Fi i Darman chyba zasnęli, bo siedzieli ze zwieszonymi głowami. Trudno było to wiedzieć na pewno, bo nie zdjęli hełmów, ale opierali brody na napierśnikach, do których tulili karabiny. Mimo to padawanka nie wątpiła, że gdyby podeszła do komandosów, w ciągu sekundy rozbudziliby się i zerwali na nogi.

Spojrzała w górę. Straż pełnił Niner, który przycupnął w rozwidleniu konarów drzewa i kołysząc jedną nogą od czasu do czasu patrzył na coś przez lunetę karabinu.

Etain odwróciła się do Atina i wskazała czuwającego komandosa.

– Co może widzieć? – zapytała.

Atin, który siedział ze skrzyżowanymi nogami w kręgu rozłożonych kabli i detonatorów, uniósł głowę. Na trawie przed nim leżał fragment pancerza, który przedtem osłaniał jego plecy. Komandos wykorzystywał go jako półmisek, na którym układał kolejne elementy wyposażenia.

– Chodzi ci o zasięg? – zapytał. – Do trzydziestu kilometrów w warunkach dobrej widoczności. Czy ma łączność ze zdalnie sterowanym systemem pokładowym? Co tylko chcesz, dowód... przepraszam, Etain. – Wskazał na swój karabin i zaczął wciskać do zdalniaka ciasno zwiniętą czarno-białą wstążkę materiału wybuchowego. – Popatrz przez lunetę mojego Dece – powiedział. – Karabin jest zabezpieczony, ale niczego nie naciskaj.

Etain przyłożyła broń do ramienia. Karabin był o wiele lżejszy, niż mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka, a mimo kiepskiego oświetlenia oglądany przez lunetę obraz był zdumiewająco ostry. Pewną trudność sprawiło jej wyłączenie nałożonego na pole widzenia wizerunku, który pozwalał jej się skupić tylko na celu.

– Czy właśnie to widzicie przez przesłonę? – zapytała.

– Mniej więcej.

– Mogę włożyć hełm? – poprosiła padawanka. – Chcę się

przekonać, jakie to uczucie, kiedy ma się go na głowie.

Atin obrzucił ją sceptycznym spojrzeniem i wzruszył lekko ramionami.

– Nie będziesz miała wszystkich odczytów bez pozostałej części pancerza, ale i tak zobaczysz wystarczająco dużo – zapowiedział. – To sprzęt z najwyższej półki. Udoskonalono go specjalnie z myślą o tej wyprawie.

Padawanka sięgnęła po hełm i uniosła go nad głowę niczym dziwną koronę. Kiedy wcisnęła go na głowę, odniosła wrażenie ograniczenia swobody i duszącego upału, tak że omal nie zemdląła. Wzięła się jednak w garść i postanowiła wytrzymać.

– Gorąco – stwierdziła.

– Poczulabyś ulgę, gdybyś uszczelniła go z resztą kombinezonu – zapewnił Atin. Wstał i pojawił się w polu jej widzenia. – Widzisz to czerwone światełko w górnym rogu? – zapytał.

– Uhm.

– Spójrz na nie i dwukrotnie szybko zamrugaj.

Etain spełniła jego polecenie... i natychmiast rozpętał się istny chaos. Widziała tylko gmatwaninę linii, liczb i błyskających symboli. Nadal majaczył za nimi krajobraz, ale tańczące przed oczami informacje przyprawiły ją o zawrót głowy.

– To projekcyjny wyświetlacz w polu widzenia właściciela – wyjaśnił komandos. – Ratuje ci życie. Przysłowiowe oczy z tyłu głowy.

– Na razie rozprasza moją uwagę – sprzeciwiła się młoda Jedi. – Jak sobie z tym radzicie?

– Można się do tego szybko przyzwyczaić – odparł Atin. – Korzystamy z tych systemów całe życie. Można filtrować niezbędne informacje, podobnie jak się słucha konkretnej rozmowy w tłumie diskutujących osób.

Etain zdjęła hełm i głęboko odetchnęła chłodnym wieczornym powietrzem.

– Potraficie się porozumiewać w taki sposób, żeby żadne dźwięki nie wydostawały się z hełmu? – zapytała.

– Owszem, a na niektórych częstotliwościach nie słyszą nas nawet

ci z Dowództwa czy z Kontroli – przyznał komandos. – Zwykli żołnierze chyba nie mają takiej możliwości, ale my się od nich różnimy.

– Odrębne specjalizowane szkolenie? – domyśliła się padawanka.

– Zwykłych żołnierzy szkoli się od pierwszego dnia, żeby byli bardziej posłuszni niż my – wyjaśnił Atin. – My zaś jesteśmy bardziej posłuszni niż żołnierze z elitarnych oddziałów zwiadowców. Oni to właściwie dokładna wersja Jango Fetta.

Mówił o sobie, jakby był towarem, i Etain poczuła się nieswojo. Dziwni byli ci młodzi mężczyźni. Zewnętrznie w ogóle się od siebie nie różnili, ale każdy pozostał indywidualnością w odróżnieniu od hodowanych roślin. Padawanka rozumiała, że Republika znalazła się w poważnych tarapatach i musi stosować rozpaczliwe sposoby walki, ale zastanawiała się, ile jeszcze podobnie rozpaczliwych sposobów zniesie jej sumienie. Czasami dochodziła do wniosku, że takie metody to zniewaga dla Mocy, chociaż poddawani im ludzie chyba nic sobie z tego nie robili.

Zwróciła hełm Atinowi.

– Jesteście wykorzystywani, wiesz o tym? – zapytała, – Wy i wszyscy inni komandos.

– Żadnemu żołnierzowi nie jest lekko. – Wyraźnie zakłopotany Atin ściągnął brwi w udawanym skupieniu i zaczął się bawić kawałkiem kabla. Biegająca przez jego policzek i brodę świeża blizna wywierała niesamowite wrażenie, bo przecinała młodą skórę, a nie zmarszczki na twarzy zaprawionego w bojach weterana. – Ale ja lubię swoją pracę. Co innego mógłbym robić?

To było dobre, chociaż bolesne pytanie. Co miałyby robić którykolwiek z nich, gdyby został zwolniony z Wielkiej Armii? Padawanka wyciągnęła rękę i w odruchu współczucia chciała ścisnąć komandosa za ramię, ale jej palce natrafiły tylko na plastoid.

– Słyszałam, co ci się przydarzyło – zaczęła. Skupiła się, żeby jak najprecyzyjniej wykonać swoje zadanie: wpłynąć na jego umysł, żeby uświadomił sobie, co jest prawdziwe i rozsądne, ale zostawić w spokoju jego zrozumiały ból. – Nie ponosisz winy za to, co się stało z twoimi braćmi. Jesteś dobrym żołnierzem. Czasami szanse są zbyt

małe, żeby mogło się nam udać.

Atin, wpatrzony w swoje buty, w końcu wzruszył ramionami i uniósł głowę.

– Więc będę musiał dać z siebie wszystko, żeby nie zginęli także pozostali członkowie tej drużyny – powiedział. Trudno było poznać po jego twarzy, czy delikatny nacisk myśli Etain pomógł mu pogodzić się ze stratą dawnych towarzyszy, ale padawanka wyczuwała, że zmniejszyło się rozdarcie w otaczającej go tkance Mocy. Pomyślała, że jeżeli komandos będzie miał wystarczająco dużo czasu, rana w jego duszy może się zabiżnić.

Sklonowani komandosi nie mieli jednak dużo czasu. Na myśl o tym młoda Jedi poczuła się zawstydzona.

– Mogę ci w czymś pomóc? – zapytała.

– Możesz pomóc upchnąć do tego kilka zdalnie sterowanych detonatorów – odparł Atin. – Obiecałem Damianowi, że dokończę to za niego. – Wskazał niewielki pakunek ze skradzionymi w kamieniołomie materiałami wybuchowymi i podał jej coś w rodzaju paczki stalowych wykałaczek. – Wsuń je między wstęgę a główny ładunek. Dzięki nim każda zabawa staje się dużo bardziej widowiskowa.

– Co to jest? – zainteresowała się Etain.

– To IŁW – odparł komandos. – Doskonale do pokonywania rur odpływowych i szybów wentylacyjnych.

– Żadnych więcej akronimów – ostrzegła Etain.

– Improwizowane ładunki wybuchowe – wyjaśnił Atin. – Postaraj się, żeby wyglądały porządnie. Dar bardzo dba o swoje zabawki.

Jej zadanie było stosunkowo proste, ale wymagało sporej zręczności. Etain umiała się jednak szybko uczyć. Oboje siedzieli w milczeniu i skupieniu, produkując bomby od niechcienia, jakby łuskali ziarenka qana. Właśnie tak się to dzieje, pomyślała padawanka. Oto jak strażnik pokoju przeistacza się najpierw w żołnierza, a później w zabójcę.

– Czy mogę cię prosić, żebyś wyświadczyła mi pewną uprzejmość? – zapytał nagle Atin, nie odrywając spojrzenia od konstruowanej bomby.

– Naturalnie.

– Pozwolisz mi obejrzeć twój świetlny miecz?

Etain się uśmiechnęła.

– No cóż, pokazałeś mi swój karabin, więc powinnam ci pokazać moją broń. – Wyjęła metalowy cylinder i podała komandosowi. Atin otarł palce o kombinezon i ostrożnie ujął rękojeść. – Ten koniec jest niebezpieczny, a to przycisk kontrolny – dodała.

Atin nie zdradzał jednak chęci zapalenia energetycznej klingi. Wyglądało na to, że całą jego uwagę pochłania rękojeść i wyryte na jej powierzchni znaki.

– Włącz – zachęciła go Etain.

Z rękojeści wysunęła się z pomrukiem kolumna niebieskiego światła, ale komandos nawet nie zamrugał. Wpatrywał się w energetyczne ostrze z takim uniesieniem, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom.

– Nie czuje się, że to broń – stwierdził w końcu. – To coś pięknego.

– Sama go wykonałam – pochwaliła się młoda Jedi.

Dopiero wówczas wyraz twarzy Atina się zmienił. Jej słowa chyba coś poruszyły w jego duszy, jakby okazało się, że oboje lubią nie tylko konstruować śmiertcionośne zabawki, ale także bawić się nimi.

– Naprawdę imponująca broń – odezwał się Atin. Etain była zadowolona. Nie podobało się jej, że komandos traktuje ją jak dowódcę i oficera, ale zarazem czuła się wspaniale. A zatem jestem w czymś dobra, pomyślała. Ktoś to zauważył. Ogarnął ją optymizm, którego tak bardzo potrzebowała.

Atin wyłączył kciukiem klingę i z należyтым szacunkiem zwrócił jej świetlny miecz.

– Wolę jednak zachowywać dystans między sobą a nieprzyjacielem, a to broń do walki na bezpośrednią odległość – powiedział.

– Może powinnam poćwiczyć wywieranie wpływu na duże odległości? – zastanowiła się padawanka. – Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać umiejętność telekinezy.

Wrócili do owijania ładunków wybuchowych eksplodującymi taśmami i układania ich w stos. W pewnej chwili Etain usłyszała i

wyczuła, że Darman zastępuje Ninera na straży. Uczucie ich odrębnej obecności nasilało się i słabło, by w pewnej chwili zlać się w jedno, kiedy spotkali się po drodze.

W nocy Etain na przemian drzemała i sprawdzała, co się dzieje z GutaNayem. Bardzo się starała nie dać po sobie poznać, że go obserwuje. Koncentrowała się na wyczuwaniu jego obecności. Weequay siedział z kolanami przyciśniętymi do piersi po zawietrznej stronie pnia drzewa. Kiedy zapadła w drzemkę, padawanka nie wyczuwała aktywności jego umysłu, zupełnie jakby miała do czynienia z rośliną. Kiedy Guta-Nay się budził, jego umysł co prawda się ożywiał, ale w sposób chaotyczny jak umysł drapieznika.

W końcu zaczęło się rozwidniać. Długa i niespokojna noc dobiegała końca.

A Guta-Nay nadal siedział pod swoim drzewem. Nawet nie podjął próby ucieczki.

To właściwie oczywiste, że nie ma zamiaru uciekać, pomyślała Etain z ciężkim sercem. Jest przerażony na samą myśl o Hokanie. Chce zostać z nami. Mimo wszystko uważa nas za porządnym, cywilizowanym ludzi.

Znów przeraziła ją własna bezdusność. Jak mogła, choćby mimowolnie obliczać korzystne i niekorzystne strony takiego rozwiązania? Wstała i przeszła obok szalasu z liści, brezentu i kamuflującej sieci, która wyglądała na ręcznie uplecioną. Zauważyła, że Niner zasnął, nie zdejmując pancerza. Leżał skulony na boku z ręką podłożoną pod głowę. Atin czytał coś na ekranie komputerowego notesu, a Fi kończył jeść zimne resztki gulaszu z mięsa merlie. Uniósł głowę, spojrzał na nią i wyciągnął w jej stronę metalową puszkę.

– Nie, dziękuję – odparła padawanka. Na powierzchni gulaszu tłuszcz zakrzepł w nieapetyczne żółte kulki. Wyglądało na to, że żołnierze potrafią spać gdziekolwiek i żywić się byle czym.

Musiała dać sobie spokój z moralnymi rozterkami. Jej zadanie było oczywiste. Odpowiadała za tych mężczyzn zarówno jako Etain, jak i jako Jedi. Była im to winna i musiała zrobić wszystko, żeby przeżyli. Co więcej, lubiła ich. Obchodziło ją co się z nimi stanie, i chciała, żeby Atin żył wystarczająco długo, aby miał czas na uporanie

się z dręczącymi go wyrzutami sumienia.

Poza tym mogła zrobić coś, czego nie potrafili nawet oni.

– Guta-Nay – powiedziała, kładąc dłoń na ramieniu Weequaya. Pacholek Hokana otworzył oczy. – Guta-Nay, nie boisz się. Chcesz udać się do swojego mocodawcy i wyjawić mu, co wiesz. W zamian za darowanie życia zamierzasz mu przekazać informacje o żołnierzach Republiki. Chcesz mu powiedzieć, że planują atak na willę Neimoidianina, bo uważają że roboty w ośrodku doktor Uthan to tylko próba zamydlenia im oczu.

Guta-Nay wpatrywał się jakiś czas w pustkę, ale w końcu wstał. Przedzierając się przez krzaki, ruszył na wschód, w stronę Imbraani.

Etain uświadomiła sobie, że właśnie odebrała życie drugiej inteligentnej istocie.

Skubnęła czubek nosa, zacisnęła powieki i zaczęła rozmyślać, co właściwie się z nią stało. Co pomyślałby o niej mistrz Fulier, gdyby żył? Poczowała na sobie czyjeś spojrzenie i uniosła głowę.

Darman, siedząc w tym samym rozwidleniu gałęzi drzewa co przedtem Niner, patrzył na nią z góry.

– Ciężko wysłać kogoś na pewną śmierć – odezwała się Etain, udzielając odpowiedzi na jego nieme pytanie.

Nie widziała wyrazu twarzy Damiana ukrytej za przesłoną hełmu. Nie musiała jednak pomagać sobie Mocą, żeby znać jego myśli: podejrzewał, że któregoś dnia padawanka zrobi to samo z ludźmi takimi jak on. Uświadomienie sobie tej prawdy spadło na nią znienacka niczym zaskakujący cios.

– Można się do tego przyzwyczaić – zapewnił ją Darman.

Młoda Jedi nie była tego pewna.

# ROZDZIAŁ

# 14

*Strach to nic złego. Nie wolno się go nigdy wstydzić, pod warunkiem że nie przeszkadza ci pełnić służby. Strach to twój naturalny system ostrzegawczy, bo utrzymuje cię przy życiu, żebyś mógł nadal walczyć. Człowiek, który się nie boi, jest głupcem stanowiącym zagrożenie dla całego okrętu, a ja nie zamierzam tolerować głupców w naszej Marynarce.*  
— *Admirał Adar Tallon do nowego rocznika rekrutów Akademii Republiki*

Był pogodny jesienny poranek. Hoka stał na werandzie willi Ankkita i spoglądał na rosnące wokół drzewa. Wciąż jeszcze było na nich zbyt wiele liści, żeby miało mu się to podobać.

Nie wiadomo dokładnie, w którym miejscu, ale gdzieś pośród tych drzew kryli się żołnierze Republiki. Garstka żołnierzy.

O wiele mniej niż armia.

Mandalorianin zszedł po schodach i skierował się do kompleksu laboratoriów doktor Uthan. Nie spieszył się, więc zajęło mu to ponad kwadrans. W pewnej chwili doszedł do wniosku, że stanowi dobry cel dla strzelca wyborowego. Nie poczuł się zagrożony, bo nawet strzał z karabinu nie przebiłby na wylot mandaloriańskiej zbroi. Mimo to na wszelki wypadek skręcił na ścieżkę wiodącą przez niskopienny zagajnik. Dotarł nią na tyły kompleksu, gdzie wznosił się suchokamienny mur, i obszedł farmę, zanim skierował się do jedyne go wejścia.

Musiał przyznać, że pułapka wygląda bardzo zachęcająco. Linia



robotów przed wejściem stanowiła niezapomniany widok. Hoka przeszedł niespiesznie przed ich szeregiem, kilka razy przystając, żeby porozmawiać na temat ich uzbrojenia. Jeżeli ktoś go obserwował – żołnierz, szpieg czy gadatliwy farmer – powinien zrozumieć informację, jaką zamierzał mu przekazać.

Siedząca w ośrodku doktor Uthan nie powitała go jednak z czarującym spokojem.

– Czy to ostatni raz, kiedy kazał mi się pan przeprowadzać? – zapytała, bębniąc paznokciami po wypolerowanym metalu biurka. Jej dokumentacja i sprzęt wciąż jeszcze tkwiły w okratowanych pojemnikach. – Członkowie mojego personelu uważają tę sytuację za wyjątkowo stresującą. Ja też.

Hoka wyjął notatnik i wyświetlił nad blatem biurka holograficzny plan rozkładu pomieszczeń jej ośrodka. Wyglądał jak sześćcian w sześćcianie. Pod parterem mieścił się centralny rdzeń z otaczającymi go sypialniami, magazynami i gabinetami. W samym rdzeniu umieszczono osiem mniejszych laboratoriów, ulokowanych wokół dziewiątego, które było izolowanym pomieszczeniem. Korytarze pozostałej części kompleksu zaopatrzone w przegrody, które można było opuszczać i uszczelniać, żeby niebezpieczne dla życia substancje nie mogły wydostać się na zewnątrz. Kompleks nadawał się doskonale do obrony.

Hoka był pewny, że rozwój sytuacji nie zmusi go do obrony ośrodka. Postarał się, żeby wszystkie ślady prowadziły do willi Ankkita. Czekają tam na intruzów powitanie ze strony pięćdziesięciu robotów i ich działek, a także potężnych materiałów wybuchowych.

Mandalorianin chciał mieć to już za sobą.

– Pani doktor, to była naprawdę ostatnia przeprowadzka – zapewnił. – Proszę spróbować zrozumieć motyw, jakimi się kierowałem. Prawdopodobnie mamy do czynienia z niewielkim oddziałem komandosów. Ścigając ich, musiałbym zaangażować wszystkie siły i środki, więc postanowiłem zaprosić nieprzyjaciół do siebie. Spotkają się tu z moimi piechurami i ich działkami. Wywiąże się bitwa, do której moim zdaniem nie są wystarczająco dobrze przygotowani. Dysponuję po prostu zbyt dużą przewagą liczebną.

– Chyba nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi – stwierdziła badaczka.

– Jesteśmy w stanie obronić ten ośrodek – odparł Hokan. – Mam wystarczająco wiele robotów i odpowiednią siłę ognia. Wcześniej czy później nasi przeciwnicy zaczną ponosić straty.

– Jest pan tego pewny?

– Nikt nie może mieć pewności, ale wszystkie oznaki wskazują, że na planecie wylądowało tylko niewielu żołnierzy – wyjaśnił Mandalorianin. – Nie znaleźliśmy nigdzie śladów wielkiego transportowca. Zamierzając wysadzić w powietrze naziemną stację przekaźnikową w Teklet, nieprzyjaciele musieli ukraść materiały wybuchowe. Gdyby mieli wystarczająco dużo własnych, nie zawracaliby sobie głowy napadaniem na magazyn kamieniołomu.

– A może i to zrobili dla odwrócenia naszej uwagi? – podsunęła Uthan.

Hokan uniósł głowę znad holograficznego planu.

– Podczas bitwy nikt nie dysponuje ścisłymi informacjami – powiedział. – Żaden, choćby najlepiej ułożony plan nie wytrzymuje konfrontacji z rzeczywistością. To prawda, muszę polegać na uzasadnionych domysłach. W ten sposób postępował każdy dowódca w historii konfliktów zbrojnych.

Uthan kierowała na niego jakiś czas zimne czarne oczy.

– Powinien pan być ewakuować mój ośrodek z tej planety – odezwała się w końcu.

Hokan zaplótł ręce na piersi.

– Jeżeli zacznie się pani przenosić, stanie się pani łatwym celem – wyjaśnił cierpliwie. – Naraziłaby się pani na niebezpieczeństwo podczas pokonywania drogi między ośrodkiem a kosmoportem. Jeszcze większe niebezpieczeństwo groziłoby pani podczas próby odlotu z Qiilury, bo na orbicie planety unosi się republikański okręt szturmowy. Na dobitkę nie mamy systemu łączności oprócz gońców i kilku robotów, które przekazują wiadomości. Naprawdę lepiej będzie, jeżeli zostanie pani w tym ośrodku.

Uthan wskazała labirynt pomieszczeń za plecami.

– Jaki los czeka moje badania, jeżeli dojdzie do ostrej bitwy? –

zapytała. – Co się stanie z moim personelem? Tych pięcioro naukowców to najlepsi mikrobiolodzy i genetycy w całej Konfederacji Niezależnych Systemów! Pod wieloma względami są ważniejsi niż hodowle nanowirusów, którymi się zajmują. Zawsze możemy zacząć od nowa, nawet jeżeli ich dotychczasowe wysiłki pójdą na marne.

– Jeżeli opuszczą ten ośrodek, narażą się na takie same niebezpieczeństwa jak pani – ostrzegł Hokan.

– Rozumiem.

– Kiedy kazała pani zbudować ten kompleks, zażądała pani uwzględnienia wszystkich niezbędnych systemów i środków bezpieczeństwa – przypomniał Mandalorianin. – Musi więc pani wiedzieć, że ośrodek nadaje się do obrony.

Uthan niespodziewanie wbiła spojrzenie w unoszący się przed nią hologram. Ukazywał opuszczane za pomocą hydraulicznych siłowników awaryjne przegrody i komórki usytuowane wewnątrz większych pomieszczeń. Systemy wentylacyjne wyposażono w potrójne filtry. Ośrodek mógł zostać uszczelniony równie skutecznie jak butelka.

– Ale nie ochroni nas przed kimś, kto spróbuje wdrzeć się do środka – powiedziała badaczka. – Zastosowane tu zabezpieczenia miały na celu powstrzymać wszystko, co mogłoby się wydostać na zewnątrz.

– Powiedziała pani, że nanowirusy stanowią śmiertelne zagrożenie tylko dla sklonowanych żołnierzy – przypomniał Hokan.

Zapadła cisza, która wojownikowi wcale się nie podobała. Mandalorianin uzbroił się jednak w cierpliwość i czekał. Wpatrując się w badaczkę, z rozczarowaniem zauważył oznaki zdenerwowania na jej twarzy. Czekał, co jeszcze zechce mu powiedzieć. Zamierzał tak czekać cały dzień, gdyby to miało okazać się konieczne.

– Będą takie stanowiły – odezwała się w końcu badaczka.

– Twierdziła pani, że po kontakcie z nanowirusami inne osoby mogą się tylko poczuć trochę... jakiego to słowa pani użyła? Niedysponowane?

– Tak.

– A zatem jak bardzo niedysponowane się poczują, skoro zadaje

sobie pani tyle trudu, żeby uniemożliwić wirusowi wydostanie się na zewnątrz? – zapytał Hokan.

– Bardzo niedysponowane.

– Śmiertelnie niedysponowane?

– Możliwe – przyznała Uthan. – To zależy od tego, czy osoba narażona na działanie wirusa jest wyposażona w pewien zestaw genów...

Hokan przeżywał rzadką chwilę niezdecydowania. Nie przejmował się tym, że znalazł się bliżej niebezpiecznego wirusa, niż zamierzał. Ktoś go okłamał, a miał zwyczaj rozprawiania się z takimi osobami bardzo radykalnie. Powstrzymał się przed tym tylko dlatego, że miał do czynienia z kobietą.

W końcu jednak przestał się wahać. Przechylił się nad biurkiem, chwycił siedzącą po drugiej stronie Uthan za kołnierz wytwornej szaty i energicznym szarpnięciem poderwał ją z fotela.

– Bardzo nie lubię, kiedy ktoś mnie okłamuje – warknął. – Proszę tego nigdy więcej nie robić.

Patrzyli sobie w oczy z odległości zaledwie kilku centymetrów. Uthan dygotała, ale nie mrugała.

– Niech pan zabiera łapska ode mnie – odezwała się w końcu.

– Czego jeszcze mi pani nie powiedziała? – zapytał Hokan.

– To już wszystko – odparła badaczka. – Nie musiał pan znać szczegółów moich badań.

– To pani ostatnia szansa, żeby wyjawić mi to, co jeszcze powinienem wiedzieć.

Uthan pokręciła głową.

– Niczego więcej nie ma – oznajmiła. – Istnieją pewne problemy z wyizolowaniem fragmentów wirusa, który będzie atakował tylko organizmy klonów. Klony to też istoty ludzkie, a wszyscy ludzie mają ogromną większość wspólnych genów. Pan także.

Hokan trzymał ją jeszcze kilka sekund, ale w końcu puścił i pozwolił, żeby kobieta opadła na fotel. Naprawdę powinien był ją zastrzelić. Gdyby to zrobił, jej personel stałby się bardziej uległy. Problem w tym, że Uthan była ważną osobistością i nie mógł sobie pozwolić na jej zabicie. Na pewno nie chodziło tylko o to, że miał do

czynienia z kobietą.

– Proszę spróbować mnie zrozumieć – powiedział i poczuł się nagle bardzo niewyraźnie. – Pani słowa oznaczają że siedzimy na broni, która może nas zabić równie łatwo jak nieprzyjaciół. To nakłada ograniczenia na sposób naszej walki. – Wrócił do holograficznego planu i zaczął wskazywać palcem różne punkty. – Jest pani pewna, że nanowirus nie wydostanie się stąd do otoczenia?

Uthan spoglądała na jego twarz, nie na plan. Wpatrywała się w niego jak w kogoś obcego. Hokan pstryknął palcami i ponownie wskazał hologram.

– Proszę się ocknąć, pani doktor – burknął. – Niech pani zacznie wreszcie zwracać uwagę na moje słowa.

– To... to strefa ochronna pomieszczenia, w którym znajduje się śmiertcionośny wirus – odezwała się w końcu badaczka. – Z oczywistych powodów nikt nie może się tam wdrzeć. Sądziłam, że w razie potrzeby moglibyśmy się wycofać do tego miejsca i na jakiś czas schronić.

– Wolałbym, żeby pozostawała pani w innym pomieszczeniu niż hodowla nanowirusów – stwierdził Mandalorianin. – Prawdę mówiąc, najlepiej byłoby, gdyby przebywała pani w innym pokoju niż reszta personelu. Nie lubię trzymać wszystkich jajek w jednym koszyku. Jeżeli nieprzyjaciele wdrą się do ośrodka, podczas jednego ataku nie dadzą rady zniszczyć wszystkiego. Gdyby wyeliminowali personel, będziemy w stanie ocalić wyniki badań... i na odwrót.

– Te pomieszczenia nie stanowią równie skutecznej zapory dla biologicznego zagrożenia – sprzeciwiła się badaczka.

Ale są wystarczająco bezpieczne, żeby powstrzymać kogoś, kto mógłby chcieć do nich wtargnąć – stwierdził Mandalorianin. – Materiały niebezpieczne dla form życia mogą pozostawać cały czas w specjalnie zabezpieczonym centralnym laboratorium.

– Dobrze – powiedziała Uthan. – Zgadzam się na to.

Więc proszę wydać rozkaz podwładnym, żeby się przenieśli – zażądał Hokan.

– Myśli pan, że naprawdę do tego dojdzie? – zaniepokoiła się uczona. – Do walki?

– Raczej nie tutaj – odparł wojownik. – Ale gdyby coś nie wyszło, takie rozwiązanie zapewnia mi największą szansę powodzenia.

– W gruncie rzeczy przygotowuje się pan do walki, siedząc na bombie – zauważyła Uthan.

– Owszem. Na pani bombie – przyznał Hokan. – A jeżeli oboje na niej siedzimy, mamy motyw, żeby nie dopuścić do eksplozji, prawda?

– Uważam, że jest pan niebezpiecznym mężczyzną i szalonym ryzykantem.

– A ja uważam, że ma pani szczęście. Nic pani nie można zrobić z powodu wartości, jaką przedstawia pani dla sprawy Separatystów. – Hokan się wyprostował. Uthan pewnie spodziewała się po nim przeprosin, ale Mandalorianin nie widział powodu. Jako naukowiec musiała wiedzieć, że do rozwiązania problemu nie wystarczy znać połowy istotnych faktów. To była z jej strony lekkomyślność, niewybaczalna lekkomyślność. – Jeżeli pani chce, mogę przysłać do pomocy robota.

– Poradzimy sobie sami – zapewniła Uthan. – Wiem, jak ostrożnie obchodzą się roboty z delikatnymi przedmiotami.

Hokan wyłączył holograficzny plan, odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Kiedy znalazł się na korytarzu, podszedł do niego jeden z robotów.

– Kapitan Hurati przyprowadził więźnia i gościa – zameldował. – Twierdzi, że w obu przypadkach złamał pański rozkaz.

Hokanowi przyszło do głowy, że awansowanie Umbaranina do stopnia kapitana mogło mimo wszystko nie być dobrym pomysłem, ale wiedział, że Hurati jest sprytny. Przyprowadził obu – więźnia i gościa – żywych, chociaż powinien był ich zabić, więc na pewno miał ważny powód. Młody oficer nie był fajtlapą.

Mandalorianin postanowił rozstrzygnąć wątpliwości na korzyść podwładnego. Pilnujące frontowych drzwi roboty rozstały się, żeby zrobić mu przejście. Wszedł i zobaczył Huratiego w towarzystwie dwóch osób.

Jedną był trandoshański najemnik. Hokan od razu się domyślił, z kim ma do czynienia, skoro obca istota trzymała charakterystyczne narzędzie swojego fachu: samopowtarzalny blaster typu APC.

Druga osoba nie była wcale obca. Hokań dobrze znał swojego byłego porucznika, Weequaya Guta-Naya.

– Ja mieć informacje – oznajmił pospiesznie jeniec, kuląc się ze strachu.

– Lepiej, żebyś je miał – warknął groźnie Mandalorianin.

Do niesienia bagażu ubyla jedna osoba, więc Niner musiał podjąć kilka trudnych decyzji, co zabrać, a co zostawić. Spojrzał na ułożoną na trawie broń i stosy materiałów wybuchowych. Zdziwił się, kiedy sobie uświadomił, ile dotąd dźwigali, ale na razie musiał się zastanowić, czego nie będą mogli nieść na plecach podczas bitwy.

– Zawsze możemy ukryć część sprzętu blisko celu – zasugerował Fi.

– Dwa razy ta sama droga, to dwukrotnie większe ryzyko – stwierdził Niner.

Atin podniósł jeden z karabinów udarowych typu LJ-50. Bardzo nalegał, żeby zabrać je na wyprawę.

– No cóż, jeżeli mam się wdzierać do tego ośrodka, biorę tę udarówkę i matrycowy blaster typu APC – zdecydował.

A co, nie masz wielkiego zaufania do sprzętu Republiki? – zagadnął Fi.

– Nie ma sensu się kłócić o sprzęt – uciał Atin.

– Tylko się nie zaklinuj w jakimś ciasnym przejściu.

Niner miał rację. Każdy komandos miał nieść plecak, Dece, nasadki do karabinu i elementy działka, więc właściwie nie było miejsca na nic więcej. Sierżant nie chciał mówić tego głośno, ale on i jego podwładni mieli przed sobą zadanie, do którego wykonania były potrzebne dwie drużyny. Z czegoś trzeba było zrezygnować.

– Przecież wiecie, że ja też mogę nieść sprzęt – odezwała się Etain, chociaż wyglądała, jakby nie dała rady udźwignąć pustej manierki. Posiniaczona, rozczochrana i blada jak ściana, sprawiała wrażenie, jakby lada chwila miała upaść. – Zapytajcie Damiana.

Niner przełączył komunikator na łączność między hełmami.

– To prawda, Dar? – zapytał.

Komandos spojrzali w dół z punktu obserwacyjnego w rozwidleniu konarów drzewa.

– Da radę, sierżancie – zapewnił. – Możecie ją objuczyć jak bantha.

Mieli więc nieść elementy działka typu E-Web w pięcioro, co oznaczało, że mogą zabrać także dodatkowy ciężar w postaci sporego zapasu rezerwowych ogniw energetycznych i materiałów wybuchowych.

– No dobrze, a więc plan A – odezwał się Niner i wyświetlił holomapę ze swojego notesu. – Najbliższy odpowiedni punkt wyjściowy do natarcia znajduje się niespełna kilometr od ośrodka, w tym zagajniku. Rozłożymy się tam i wypuścimy dwa zwiadowcze zdalniaki, żeby przesyłały nam dokładne obrazy ośrodka i willi. W zależności od sytuacji możemy spróbować wrócić w ciągu dnia po zostawiony sprzęt. W każdą stronę to tylko dwa kilometry. Niby niewiele, ale jest jasny dzień, a jeżeli Guta-Nay wykonał zadanie, na pewno zwrócimy na siebie uwagę.

– Popieram – oznajmił Atin. – Będziemy potrzebowali tego sprzętu.

– Chcę usłyszeć, jak się przedstawia reszta planu A – powiedziała Etain.

– Jak postanowiliśmy, umieścimy zdalniaka z ładunkiem wstęgowym w piwnicy willi i postaramy się wysadzić ją w powietrze – odparł sierżant. – W tym czasie Fi będzie ostrzeliwał tyły ośrodka doktor Uthan, a kiedy Darman wysadzi w powietrze frontowe drzwi, ja i Atin wdrzemy się do środka. Jeżeli jednak nie damy rady umieścić zdalniaka w willi Ankkita, będziemy musieli przejść do planu B... to znaczy zaatakować równocześnie roboty i w ośrodku, i w willi.

Etain przygryzła dolną wargę.

– To prawie niemożliwe – powiedziała.

– Nigdy nie twierdziłem, że mamy duże szanse.

– Tym bardziej że ja nie przydam się wam na wiele podczas walki z robotami.

– Przydałabyś się, gdybyś miała taki drobiazg – odezwał się Atin,



podając jej trandoshański matrycowy blaster. – Świetlne miecze są doskonałe, ale nie zamierzamy się zbliżyć do nieprzyjaciół, prawda? Ten karabin daje całkiem spory rozrzut nawet podczas strzelania na niewielką odległość, więc nie musisz być dobrym strzelcem, żeby się nim posługiwać. – Wykonał obrazowy gest. – Bum! Potężne bum!

Padawanka wzięła broń, uważnie ją obejrzała i niczym zawodowy żołnierz zarzuciła na ramię.

– Nigdy się tym nie posługiwałam, ale szybko się zorientuję, na czym to polega – stwierdziła.

– To się nazywa miecz bojowego ducha, proszę pani.

– Powinniście wiedzieć, że potrafię nie tylko nosić ciężary, ale także przemieszczać różne przedmioty – poinformowała młoda Jedi.

– Przemieszczać?

– Posługując się Mocą.

– To może być bardzo przydatne – ucieszył się Fi.

Niner wcisnął w rękę komandosa magazynek z plazmowymi nabojami, żeby go uciszyć.

– Możemy cię potrzebować, żebyś przekonała doktor Uthan do współpracy z nami – powiedział. – W najgorszym razie mamy dla niej środek uspokajający, ale wolałbym, żeby sama szła, niż żeby stanowiła dla nas dodatkowy ciężar.

– Macie także plan C? – zainteresowała się padawanka.

– Alfabet to miła rzecz, proszę pani, bo jest w nim dość liter, żeby można było wybierać spośród wielu planów – powiedział Fi.

– Zamknij się – burknął Niner.

– Miał rację – stwierdziła Etain, ale zaraz odwróciła się i spojrzała w dół. – Jinart? – zapytała.

Gurlanka przybrała kształt lśniącego czarnego drapieżnika i wyślizgnęła się pomiędzy krzaków. Ostrożnie stawiając łapy, zaczęła obchodzić rozłożone na trawie karabiny i materiały wybuchowe. Każdą dokładnie obwąchiwała.

– Pokażcie mi, co muszę nieść – powiedziała.

– Dasz radę udźwignąć trzy zdalniaki? – zapytał Atin.

– Wszystkie trzy to bomby?

– Nie, dwa to holograficzne kamery – wyjaśnił komandos. – Tylko

jeden zawiera materiał wybuchowy.

– Nie ma sprawy – odparła Gurlanka. – Wyjaśnicie mi, co mam z nimi zrobić, kiedy dotrzecie do swojego...

– ...punktu wyjściowego do natarcia – dokończył Niner. – PWDN.

– Bawi was, kiedy inni nie potrafią nic zrozumieć?

– To element naszego mistycznego uroku – stwierdził Fi i przywiązał do pancerza jeszcze kilka siatek.

Podążając skrajem lasu, nadłożyli kilka kilometrów, ale dzięki temu pokonali najkrótszy odcinek po otwartym terenie. Etain – Niner wciąż jeszcze nie mógł się przyzwyczaić, żeby nawet w myśli zwracać się do niej po imieniu – starała się iść blisko Darmana. Wyglądało na to, że go polubiła. Pozostałych traktowała uprzejmie i ze zrozumieniem, ale Darmana darzyła chyba największą sympatią. Niner widział to wypisane na jej twarzy. Malowało się na niej zatroskanie. Od czasu do czasu docierały do niego strzępki ich rozmowy.

– Skąd znalazłeś w sobie tyle sił, żeby samemu nieść wszystkie elementy działka E-Web?

– Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że po prostu niosłem, bo musiałem.

Etain była Jedi. Skirata powiedział, że Jedi to mili goście, ale że nie mogą się troszczyć o każdego. Pod ostrzałem ludzie jednak bardzo szybko stawali się sobie bliscy. Niner nie chciał pytać Darmana, do czego zmierza. Na razie.

W końcu dotarli na skraj lasu, za którym ciągnęła się szeroka na jakieś sto metrów łąka porośnięta wysoką do pasa trawą. Fi ruszył przodem, a pozostali kilka metrów za nim. Nie mogli nawet marzyć o tym, żeby szybko bieć, nie chcieli zaś się czołgać, ale wokół nie było nikogo, kto by zauważył ich szare pancerze, więc po prostu szli, lekko pochyleni. Niner czuł, jak protestują mięśnie jego pleców. Nie miała znaczenia ogólna sprawność i kondycja. Kiedy napinało się mięśnie do granic wytrzymałości, odczuwało się ból.

Kiedy dotarli do niskopiennego zagajnika, nadszedł czas na zażycie środków przeciwbólowych. Niner odzepił płytkę naramiennika i odwinął fragment kombinezonu, ale nie zawracał

sobie głowy szukaniem żyły. Po prostu wbił igłę w mięsień.

– Znam to uczucie – odezwał się Darman. Zdjął plecak i usiadł obok niego ze skrzyżowanymi nogami. – Ktoś z was brał już może środki pobudzające? – zapytał.

– Jeszcze nie – odparł sierżant. – Chyba powinniśmy zdrzemnąć się z godzinę, zanim ruszymy w dalszą drogę. Musimy być absolutnie sprawni. – Zerknął na Etain i zastanowił się, jak mogłaby wyglądać po miesiącu jedzenia normalnych posiłków, nieprzerywanego snu i w czystym ubraniu. Sprawiała wrażenie bardzo delikatnej, chociaż dzielnie starała się im we wszystkim dorównać. – Ty też – powiedział do niej. – Zwłaszcza ty. Czy Jedi zażywają środki pobudzające?

– A właściwie jak one działają? – zainteresowała się padawanka.

– Czujesz się po nich jak po dziesięciu godzinach mocnego, spokojnego snu i czterech porządnym posiłkach – wyjaśnił komandos. – Dopóki nie przestaną działać.

– Powinam zaczerpnąć trochę energii Mocy, żeby pomogła mi zachować wytrzymałość – stwierdziła młoda Jedi. – Myślę jednak, że Mocy przydałaby się w tej chwili drobna pomoc. Możecie brać i mnie pod uwagę.

Usiadła i oparła głowę na splecionych rękach. Wyglądało, jakby medytowała. Niner przełączył komunikator na łączność między hełmami.

– Dar, chyba nam tu nie zemdleje, co? – zapytał. – Nie damy rady jej nieść.

– Jeżeli straci przytomność, to będzie oznaczało, że nie żyje – odparł komandos. – Uwierz mi, jest bardziej wytrzymała, niż wygląda. Przynajmniej pod względem fizycznym.

– Lepiej, żeby to była prawda – mruknął sierżant. – Rozmieścimy te zdalniaki.

Jinart wyszukała kilka wysoko położonych miejsc, w których mogli zainstalować zdalniaki z holokamerami. Jedno znajdowało się w rynnie budynku farmy, wzniesionego przed wejściem do ośrodka, a drugie na drzewie, z którego korony było widać dwustusiedemdziesięciostopniową panoramę willi i okolicy. Gurlanka usiadła na zadzie i utworzyła na brzuchu torbę z fałdu skórniego.

– Zazwyczaj noszę w niej młode – wyjaśniła. Umieściła w torbie trzy kuliste zdalniaki. Wyglądała z tym, jakby połknęła duże guzowate stworzenie. – Ale jeżeli wam nie pomogę, moje szanse na wychowanie następnego miotu zmaleją do zera, więc chyba postępuję słusznie.

Niner był jak zawsze zafascynowany widokiem Gurlanki. Doszedł do wniosku, że im częściej widuje istoty tej rasy, tym mniej o nich wie. Miał nadzieję, że któregoś dnia będzie miał okazję poznać je lepiej.

Do południa brakowało mniej więcej godziny. Atin wyjął pojemnik z połowymi racjami żywnościowymi i spłaszczony blaszany kubek, któremu nadał odpowiedni kształt. Umieścił w nim pozostałe racje i wyciągnął naczynie w stronę towarzyszy.

– Ile wam zostało? – zapytał.

– Zapas na pół dnia – odparł Fi.

– Mnie tyle samo – oznajmił Niner.

Darman sięgnął do plecaka i wyjął starannie owinięty worek wielkości cegły.

– Zapas na cały dzień plus suszone owoce kuvara i suche mięso – powiedział. – Jeżeli się tym podzielimy, wystarczy na dwa posiłki, zanim wyruszymy do akcji. Gdyby się nam udało, będziemy wycofywali się tak szybko, że nie starczy nam czasu na posiłek, a gdyby nasza wyprawa zakończyła się niepowodzeniem, szkoda byłoby umierać o pustym żołądku.

– Popieram – stwierdził Atin.

Niner zamierzał zapytać o to samo Etain, ale siedziała nieruchomo ze skrzyżowanymi nogami, zamkniętymi oczami i dłońmi na kolanach. Darman przyłożył palec do ust i pokręcił głową.

– Medytuje – szepnął najciszej jak umiał.

Niner miał nadzieję, że pomoże jej to odzyskać siły. Brakowało im drugiej drużyny, żeby mieli dość osób do wykonania tak trudnego zadania.



– Pozostało ci zaledwie dziesięć sekund życia – zapowiedział Ghez Hokan. Wyjął świetlny miecz Fuliera i przycisnął guzik na obudowie. Kolumna niebieskiego światła z pomrukiem obudziła się do życia. Mandalorianin zastanowił się, co powoduje, że za każdym razem ma taką samą długość. – Gadaj!

Guta-Nay, który sprawiał wrażenie bardziej oszołomionego niż kiedykolwiek, nie zareagował na widok energetycznej klingi.

– Ja być schwytany przez żołnierzy – powiedział. – Ja uciekł.

– To byli republikańscy żołnierze? – zapytał Hokan. – Ludzie?

– Tak. Oni mnie złapać. Kazać mi nieść ciężary. Hokan zgasił świetliste ostrze.

– Widocznie zwrócili uwagę na twój jedyny talent – powiedział. – Jak udało ci się uciec?

– Oni spali – odparł Weequay. – Nie uważali. Ja uciec.

– Ilu było tych żołnierzy?

– Czterech. I dziewczina.

– Dziewcina? – powtórzył zaskoczony Mandalorianin. Guta-Nay wskazał świetlny miecz.

– Miała takie jak to – powiedział.

A zatem towarzysząca im kobieta była rzeczywiście Jedi.

– Było ich tylko czterech? – zapytał Hokan.

– Oni mieli inna grupa – odparł Weequay. Wydał wargi, jakby się zastanawiał, jak wymówić nieznane wcześniej słowo. – Drużyna.

– Bardzo dobrze. Więc mamy dwie drużyny. Ośmiu ludzi. To by się zgadzało. – Mandalorianin odwrócił się do Huratiego. – A czego sobie życzy nasz trandoshański przyjaciel? – zapytał.

– Jest bardzo zdenerwowany, że musiał przerwać swoją działalność, panie majorze – odparł kapitan. – On i jego trzej współpracownicy proponują że pomogą panu uporać się z tym problemem.

– Podziękuj mu i przyjmij jego propozycję. – Hokan odwrócił się

do Guta-Naya. – Postaraj się przypomnieć sobie, czy żołnierze mówili, co zamierzają zrobić – powiedział. – Dokąd chcą się skierować?

– Do willa – odparł Guta-Nay.

Istoty inteligentne bywały naprawdę bardzo przewidywalne. Tubylcy mogliby za pieniądze zdradzić wszystko, donosić na sąsiadów, a nawet sprzedać własne córki. Hokan obawiał się podświadomie, że jego podstęp będzie zbyt oczywisty. Spojrzał na byłego podwładnego.

– Radzisz sobie całkiem nieźle – burknął. – Powiedz mi, jaki sprzęt mieli ci żołnierze.

– Blastery. Materiały wybuchowe. – Guta-Nay rozłożył ręce tak szeroko jak potrafił. – Wielkie, wielkie karabin. Oni mieć pancierz z nożami w rękawicach.

– Opisz ten pancierz – rozkazał Mandalorianin.

– Podobny do pana.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał zaskoczony Hokan.

Weequay wskazał jego głowę i nakreślił palcem w powietrzu literę T.

– Pana hełm.

Hokan nie potrafił uwierzyć w to, co usłyszał. Guta-Nay był wprawdzie nieokrzesanym brutalem, ale w jego opisie trudno byłoby dopatrywać się niejasności.

– Chcesz powiedzieć, że republikańscy żołnierze nosili mandaloriańskie zbroje? – zapytał.

– Ta-a. Właśnie tak.

– Jesteś tego pewny?

– Pewny.

– Coś jeszcze? – Hokan dziwił się sobie, jak mógł się spodziewać, że stojąca przed nim istota będzie potrafiła oszacować poziom cudzej inteligencji. – Widziałeś jeszcze coś niezwykłego? – zapytał.

Guta-Nay skoncentrował się, jakby od odpowiedzi miało zależeć jego życie. Wcale nie zależało, bo Hokan i tak zamierzał go zabić.

– Oni wszyscy wyglądają tak samo – odezwał się w końcu Weequay.

– Mieli na sobie takie same mundury? – domyślił się

Mandalorianin.

– Nie, mężczyźni – odparł Weequay. – Mieć takie same twarze.

Dzieci zwracają baczną uwagę na szczegóły i taką samą zdolność wykazują tępe dorosłe osoby. Guta-Nay opisywał to samo, o czym kiedyś wspominała Hokanowi doktor Uthan: identycznych i bezmyślnie posłusznych wojowników. Sklonowanych żołnierzy.

Hokan nie mógł uwierzyć, żeby sklonowani żołnierze umieli radzić sobie w taki sposób. Na dobitkę nie mógł skorzystać z wymyślonej przeciwko nim jedynej skutecznej broni, bo na obecnym etapie broń zabiłaby wszystkich, nie wyłączając Uthan i grupy jej naukowców.

Na szczęście sklonowanych żołnierzy było prawdopodobnie tylko ośmiu, a Hokan dysponował setką bojowych robotów. Miał także pod dostatkiem broni.

– Hurati? – zawołał. – Hurati!

Młody kapitan podbiegł do niego i zasalutował.

– Słucham, panie majorze? – zapytał.

– Chyba musimy się liczyć z możliwością równoczesnego ataku na oba obiekty – zaczął Hokan. – Nieprzyjaciele mają dwie drużyny. Przypuszczam, że jedna z nich zaatakuje wille, a druga przypuści szturm na bardziej oczywisty cel. Rozdziel plutony robotów w taki sposób, żeby mogły bronić obu placówek.

– Czy właśnie tak by pan postąpił, gdyby miał pan do dyspozycji dwie drużyny, panie majorze? – zapytał Umbaranin. – Nie skupiłby pan swoich sił?

– Właśnie tak bym postąpił, gdybym nie był pewny, że moje cele są w jednym miejscu – odparł Mandalorianin. – Nasi przeciwnicy nie mogą wiedzieć, kto i co znajduje się w którym obiekcie. Na pewno zaatakują nocą, bo chociaż nie brakuje im odwagi, nie są głupi. – Pokręcił głową, jakby wciąż jeszcze nie mógł się pogodzić z tym, co usłyszał. – Kto by pomyślał, że klony potrafią wykonywać takie zadania? – mruknął. – Uthan twierdziła, że są tylko mięsem armatnim, niczym więcej.

– Dowodzi nimi Jedi, panie majorze – przypomniał Hurati. – Może ich taktykiem jest ta kobieta?

To była ciekawa myśl. Hokan zastanowił się nad nią chwilę.

Spojrzał na Guta-Naya. Jego były podwładny stał sztywno wyprostowany, jakby nie okazywał strachu.

– Coś jeszcze? – zapytał go Hokan.

– Ja powieźć panu wszystko – odezwał się Weequay. – Pan pozwolić mi żyć?

Hokan ponownie włączył klingę świetlnego miecza i wyciągnął rękę w bok na wysokość prawego barku.

– Naturalnie, że nie – powiedział i machnął energetycznym ostrzem. – To wywarłoby niekorzystny wpływ na morale.



# ROZDZIAŁ

# 15

*A zatem jak usprawiedliwimy to, co w tej chwili robimy? Hodujemy mężczyzn, nie dając im wolności ani prawa wyboru, żeby walczyli za nas i ginęli. Odkąd to cele zaczęły uświęcać środki? Dokąd zmierza nasze społeczeństwo? Gdzie się podziały nasze ideały i kim właściwie staniemy się bez nich? Jeżeli w taki sposób będziemy szafowali życiem niewinnych istot, gdzie nakreślimy graniczną linię między nami a tymi, których uważamy za siejących zgorzenie złoczyńców? Nie znam odpowiedzi na te pytania, mistrzowie. A wy ją znacie?*

*— padawan Jedi Bardan Jusik do członków Rady Jedi*

Przez ciało Etain przebiegł skurcz, jakby się jej przyśniło, że spada w bezdenną czeluść. Młoda Jedi otworzyła oczy i skierowała spojrzenie prosto przed siebie.

– Nie żyje – oznajmiła.

– Kto? – zapytał Darman, który obserwował padawanę podczas medytacji i zastanawiał się, co może się jej przydarzyć podczas bitwy. Martwił się nie tylko o nią ale także za nią. Etain albo mogła się stać dla nich ciężarem, albo oddać im niewyobrażalne usługi. – Co się stało?

Niner spojrział na niego, jakby chciał zwrócić mu uwagę, że jego zdaniem nie zachowuje należytego dystansu podczas rozmowy z panią oficer... bez względu na to, co im wcześniej rozkazała, ale zaraz się zajął sprawdzaniem swojego notesu.

– Guta-Nay. – Padawanka potarła czoło, a na jej twarzy pojawił się wyraz rezygnacji. – Wyczułam to dzięki Mocy.

Fi powiódł spojrzeniem po pozostałych, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale Atin zmarszczył brwi i dał mu do zrozumienia, żeby dał spokój. Darman posłał im spojrzenie mówiące: „Zamknijcie się obaj”. Istniały różne sposoby przekazywania nieprzyjemnych uwag innym osobom, a komandos doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jeżeli zrobi to on, a nie ktoś z pozostałych.

– Hokan znalazłby go i tak, wcześniej czy później – powiedział. – Jeżeli Guta-Nay wywiódł go w pole na temat naszych prawdziwych zamiarów, przynajmniej częściowo odkupił swoją winę.

– Dar – odezwała się Etain. Zdrobienie jego nieoficjalnego imienia zabrzmiało wstrząsająco znajomo. – Zabiłam go równie pewnie, jakbym własnymi rękami poderżnęła mu gardło.

– Sama nam powiedziałaś, że był gwałcicielem – przypomniał Fi zirytowanym tonem. – Tej planecie nie będzie go brakowało.

– Zamknij się, Fi – burknął Darman. – Jego śmierć ocali życie innych osób.

– Ta-a, nas – nie dawał za wygraną Fi. Rozgniewany Darman odwrócił się w jego stronę.

– Powiedziałem ci, żebyś się zamknął, prawda? – warknął. Do rozmowy włączył się Niner.

– Obaj się zamknijcie – rozkazał. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni i rozdrażnieni. Zachowajcie siły na przeciwnika.

Darman przełknął ślinę i zrezygnował, chociaż miał nieprzepartą chęć powiedzenia Fi, żeby się odczepił od Etain. Fi nie wiedział o niej nic, absolutnie nic. W następnym ułamku sekundy Darman uświadomił sobie, że chciał ją ochronić, i natychmiast poczuł się zakłopotany.

Odwrócił się do młodej Jedi.

– Ma rację – powiedział. – Jedno życie w zamian za wiele.

– Cel uświęca środki, prawda? – Etain, która dotąd siedziała ze skrzyżowanymi nogami, wstała jednym płynnym ruchem. – A co z wami? – zapytała. – Co się stanie, jeżeli wyślę któregokolwiek z was na pewną śmierć?

Była naprawdę rozgniewana. Darman widział to po ściągniętych rysach jej twarzy i sposobie, w jaki gestykulowała chudą podrapaną ręką z zaciśniętą pięścią. Także wstał i kiedy Etain ruszyła na skraj zagajnika, podążył za nią.

– Przecież właśnie w tym celu nas wszystkich wyhodowano – powiedział. Tak wyglądała prawda. Nie żyłby, gdyby ktoś nie potrzebował żołnierzy... posłusznych i niezawodnych wojowników. W obecnej chwili jednak wcale tak nie uważał. Własna reakcja uświadomiła mu, że się mylił. Niespodziewanie pamięć podsunęła mu wizerunek płaczącego Kala Skiraty ze szklaneczką trunku w dłoni. „Biedne chłopaki. Co to właściwie za życie?” – Etain, robimy to, co musimy. Któregoś dnia będziesz musiała naprawdę wydać nam rozkaz, po którym niektórzy spośród nas zginą.

– Nas? – powtórzyła padawanka.

– Nas, żołnierzy, komandosów – uściślił Darman. – Nieważne.

– Możliwe, ale kiedy będę się mogła z tym pogodzić bez wyrzutów sumienia, przestanę być godna, żeby zostać Jedi.

– Oczywiście – odparł komandos. – Rozumiem.

– A jak ty się czujesz, kiedy zabijasz?

– Nigdy nie miałem czasu się nad tym zastanawiać – przyznał Darman. – Na Geonosis nasi przeciwnicy zabili moich braci i usiłowali zabić mnie. Nie byli podobni do nas.

A czy miałyby jakieś znaczenie, gdyby to był ktoś znajomy? – zapytała padawanka.

– Przecież nie znałaś Guta-Naya, a on nie był podobny do ciebie – przypomniał komandos. – Ani do mnie, jeżeli już o tym mowa.

– Nie miał pojęcia, o co jej chodzi. Nie przywykła do zabijania, więc nie było w tym nic dziwnego, że chociaż jest ich dowódcą, nie umie się pogodzić z czyjąś śmiercią. – Dla dobra naszej drużyny powinnaś być czujna i myśleć wyłącznie o wykonaniu zadania – powiedział. – Zastanów się nad tym.

Odwrócił się i podszedł do miejsca, w którym siedzieli Niner i pozostali. Mogliby włożyć hełmy i we własnym gronie zastanowić się, czy nie sprawili zawodu swojemu dowódcy. Na razie i tak Etain chyba nie zamierzała wydawać im rozkazów. Umieli jednak

przekazywać sobie myśli za pomocą wzroku. Darman miał nadzieję, że Fi zrozumie znaczenie jego uporczywego spojrzenia: „Odpuść sobie”.

Wyglądało na to, że zrozumiał i postanowił go usłuchać, bo na chwilę uniósł ręce z rozczapierzonymi palcami. Sprawa była zakończona.

Niner miał rację. Po wydarzeniach ostatnich dni wszyscy mieli nerwy napięte jak struny, więc postanowili się zająć sprawdzeniem sprzętu i broni.

Nigdy przedtem nie walczyliśmy jako drużyna, pomyślał Darman.

Prawdopodobnie wszyscy myśleli to samo. Darman sięgnął po hydrauliczny taran, żeby rozebrać go na części i złożyć. Zaczął od sprawdzenia, czy ręczna pompa zapewnia wystarczająco duże ciśnienie. Do urządzenia dołączono zestaw różnych pazurów, ale komandosi dysponowali oryginalnymi planami i szczegółami konstrukcji obu obiektów, więc wiedzieli, które elementy zestawu nie będą im potrzebne. Taran miał siłę ośmiu ton i mógł wyważyć drzwi, nawet gdyby zawiodły ładunki wybuchowe. Ręczne urządzenie było wprawdzie lżejsze, ale nie miało nawet połowy tej siły.

Darman lubił sprzęt do cięcia drzwi, ale do wyważania blasteroodpornych, stalowych płyt używał na Geonosis ładunków wybuchowych w postaci termicznej taśmy, a wersja wstępowa miała nawet większą siłę. Fala uderzeniowa przemieszczała się z prędkością ośmiu tysięcy metrów na sekundę, co w zupełności wystarczało do przecinania wytrzymałej stali. Nie można było szybciej się wdzierać do chronionych obiektów.

Komandosi wcale nie mieli zachować się cicho. Ich celem było użycie siły przeciwko nieprzyjacielowi, który wiedział o ich obecności.

– Hej, coś odbieram – odezwał się w pewnej chwili Niner i pospiesznie nasunął hełm na głowę. Z miejsca, w którym siedział, Darman usłyszał piknięcie sygnału alarmowego. – Jinart rozmieściła zdalniaki z kamerami.

Wpatrywał się w coś, co widział tylko on. Sądząc po szybkich ruchach głowy, musiał to być ciekawy widok. Pozostali komandosi

także włożyli hełmy.

– Co one robią? – odezwał się któryś. Drogą z willi do ośrodka maszerował pluton blaszaków. Z tempa ich marszu wynikało, że się spieszą. – Chyba wracają do laboratorium.

Kamera zdalniaka kierowała obiektyw w dół, na kilka rozproszonych po okolicy niewielkich budynków otaczających były dom mieszkalny jakiejś farmy. Nie zapewniała pełnego widoku wszystkich podejść do budynku, ale ukazywała ścieżkę wiodącą do frontowych drzwi i okolicę za kompleksem. Niewidoczna pozostawała przeciwległa strona dachu i teren bezpośrednio za tylnym murem.

Przed frontowym wejściem stał mężczyzna. Miał na sobie pancerz bardzo podobny do zbroi komandosów i przyciskał ręką do ciała dobrze znany hełm. Był w średnim wieku, a drapieżne rysy twarzy zdradzały pewność siebie typową dla Mandalorianina. To musiał być Ghez Hokan.

Darman usłyszał w słuchawkach hełmu, że koledzy wstrzymali oddech. Hokan rozmawiał z trandoszańskim najemnikiem. Wykonywał gwałtowne gesty, jakby dźgał powietrze, a od czasu do czasu wyciągał wskazujący palec, nie pokazując nim niczego konkretnego. Był ożywiony, ale panował nad sobą. Wszystko wskazywało, że wydaje rozkazy swoim oddziałom.

– Ta-a, Dar, chyba robią właśnie to, o czym myślisz – powiedział Niner. – Prawdopodobnie dokonują zmian w ostatniej chwili.

– Dlaczego mieliby to robić? – zapytał Darman, ale miał nieprzyjemne uczucie, że zna odpowiedź.

– Bo okazaliśmy się o połowę bardziej sprytni, niż powinniśmy – oznajmił sierżant. – Fierfek. Guta-Nay spisał się na medal. Aż za dobrze. Co byś zrobił, gdybyś doszedł do wniosku, że naprawdę będziesz miał do czynienia z dwiema drużynami?

– Założyłbym, że całkiem możliwy jest niezależny atak na oba obiekty – stwierdził komandos.

Atin wydał odgłos, jakby powoli wypuszczał powietrze z płuc.

– Och, coś wspaniałego – mruknął. – Wcześniej czy później będziemy mieli do czynienia z całą rodziną blaszaków. Ktoś może chce zaproponować plan C?

Stali, tworząc dziwną grupę. Przed upływem następnych trzydziestu minut mieli się dowiedzieć, czy Jinart dała radę zainstalować zdalniaka z kamerą także w pobliżu willi Neimoidianina Ankkita.

W pewnej chwili Darman poczuł, że ktoś stuka w pancerz osłaniający jego plecy. Odwrócił się i zobaczył Etain. Młoda Jedi ujęła się pod boki, a na jej twarzy malowała się obawa.

– Co takiego się stało, że wszyscy są zaniepokojeni? – zapytała. – Daj spokój, czuję to. Co się stało?

Darman zdjął hełm.

– GutaNayowi udało się przekonać Hokana, że zamierzamy zaatakować willę – powiedział. – Sugerując jednak, że mamy drugą drużynę, przesadziliśmy z przechytrzeniem przeciwnika.

– Dlaczego?

– Bo Hokan chyba pomyślał, że każda drużyna zaatakuje inny cel – odparł Darman. – A zatem nasze szanse zgromadzenia większości robotów w jednym miejscu zmalowały praktycznie do zera.

Etain przeczesła palcami zmierzwiłone włosy i zamknęła oczy.

– A więc czas na rozważenie nowej sytuacji – stwierdziła.

Darman włożył hełm, żeby przyglądać się wizerunkom rejestrowanym przez kamerę. Po mniej więcej kwadransie pojawił się obraz przesyłany przez drugiego zdalniaka. Trochę drżał, ale przedstawiał wyraźny widok willi Ankkita i sąsiednich budynków, oglądany z kołyszącej się gałęzi drzewa. Od frontowych drzwi odchodziła szeroka aleja.

Dopiero w tej chwili komandosi uświadomili sobie, z jakim trudnym problemem muszą się uporać. Gdyby Hokan starał się przenieść Uthan, istniała duża szansa, że ją zobaczą.

Darman przełączał kilka razy obrazy z obu kamer, ale na każdym widział mnóstwo robotów.

– No dobrze – odezwał się w końcu Niner. – Fi, ty pierwszy będziesz czuwał nad obrazami z kamer zdalniaków. Ja postaram się zorientować, czy możemy liczyć na jakieś wsparcie. Do tej pory „Majestatyczny” powinien był się znaleźć na wyznaczonej pozycji.

– Rozkazano nam zachowywać ciszę, dopóki nie będziemy chcieli,

żeby nas stąd zabrano – przypomniał Darman, spoglądając na Etain.

Niner także skierował spojrzenie na padawanę.

– Dowódczo? – zapytał. – Zniszczyliśmy naziemną stację przekaźnikową. Nieprzyjaciele nie przechwycą naszego sygnału.

Etain nie wahała się nawet chwili.

– Sierzancie, masz moją zgodę na nawiązanie łączności z „Majestatycznym” – oznajmiła. – Poproś o wszelką pomoc, jaka twoim zdaniem będzie nam potrzebna.

Fi uniósł rękę.

– Hej, chyba możemy liczyć na poprawę naszej sytuacji – powiedział. – Sprawdźcie obraz z okolic willi.

Darman dwukrotnie zamrugał i przełączył obraz. Wizerunek na projekcyjnym wyświetlaczu w polu jego widzenia ukazywał ubranego w niechlujną bluzę wyrostka, który podchodził do bocznych drzwi willi. Chłopak trzymał oburącz koszyk z owocami. Kiedy zapukał, drzwi otworzył robot i dzieciak wszedł do środka. Było w nim coś znajomego, chociaż Darman nigdy przedtem go nie widział.

Wyrostek miał bardzo charakterystyczny chód.

– Blaszkami nie zażądałyby owoców, prawda? – zapytał.

Sposób chodzenia chłopca przypominał mu starą kobietę, której twarz rozpląszczył kiedyś na ścianie stodoły.

– Jedno trzeba przyznać Jinart – powiedział. – Nie brakuje jej odwagi.

– Miejmy nadzieję, że da radę zanieść te owoce do piwnicy.

– Miejmy nadzieję, że stamtąd wyjdzie – dodała Etain.

Doktor Uthan chyba zapomniała, że Hokan poderwał ją z fotela szarpnięciem za kołnierz, a przynajmniej wszystko na to wskazywało. Siedziała na obitym beżową tkaniną fotelu, który zupełnie nie pasował do jej funkcjonalnie urządzonego gabinetu, i z demonstracyjną cierpliwością słuchała słów Mandalorianina.

– To bezprecedensowa okazja – odezwała się w końcu.

Hokan całkowicie się z nią zgadzał.

– Jestem świadom, że na razie nie opracowała pani systemu

przekazywania nanowirusa do organizmów ofiar, ale chyba mogę pani w tym pomóc. Wdychanie powinno wystarczyć, prawda? Czy moglibyśmy wprowadzić wirus do odizolowanego pomieszczenia? – Myślał o zasadzce i pułapce. – To wykonalne?

– To rzeczywiście jedna z opcji – przyznała badaczka. – Drugim jest kontakt ze skórą. Ale niezupełnie to miałam na myśli.

– A o co pani chodziło? – zapytał Hokan.

– O żywą istotę – odparła Uthan. – Chciałabym, żeby jednego z tych klonów schwytał pan żywcem.

– To niezupełnie to, co ja miałem na myśli – sprzeciwił się wojownik. – Od dawna mam problemy z chwytnością żywych przeciwników. Nie jestem w tym dobry.

– Nie może pan po prostu rozpylić tego środka w powietrzu, majorze – sprzeciwiła się badaczka. – Powiedziałam panu, że jeszcze nie wyodrębniliśmy specyficznych cech jego genomu.

– Moi żołnierze to roboty – przypomniał Hokan. – Zaszkozić im może rdza, ale nie wirusy.

– Gdybyśmy mieli żywy obiekt badań, prawie na pewno pozwoliłoby nam to szybciej osiągnąć stadium, w którym nanowirus mógłby zostać wykorzystany jako broń – wyjaśniła Uthan.

– Jeżeli udostępni mi pani nanowirusy, zrobię, co będę mógł, żeby przy życiu pozostał przynajmniej jeden klon – obiecał Hokan.

Uthan pokręciła głową. Związała przetykane jaskraworudymi i czarnymi pasemkami włosy na czubku głowy w tak ciasny kok, że nie wymykał się z niego ani jeden kosmyk, co nadawało jej jeszcze bardziej srogi wygląd.

– Nie mogę tego zrobić – powiedziała. – Może i zna się pan jak nikt inny na technikach walki, ale nie jest pan mikrobiologiem ani nie ma pan doświadczenia w obchodzeniu się z niebezpiecznymi substancjami. To zbyt groźny patogen, żeby stosować go na tym etapie prac badawczych. Nie jestem także gotowa poświęcać żadnej z nielicznych próbek, jakimi dysponujemy, na tak ryzykowną metodę odparcia ataku naszych nieprzyjaciół.

Hokan wiedział, że mógłby użyć siły, aby uzyskać dostęp do jej próbek, ale takie postępowanie nie miałyby sensu. Uthan miała



rację... jeżeli badania nad nanowirusem nie osiągnęły etapu, w którym można by go użyć jako broni, łatwiej mu będzie osiągnąć pożądany efekt przy użyciu skutecznych środków, jakie miał do dyspozycji.

– Szkoda – powiedział. – Postaram się dowiedzieć czegoś więcej na temat tej metody, kiedy się uporamy z bieżącym problemem.

– Więc co mamy robić teraz? – zapytała Uthan.

– Nie ruszać się z miejsca – odparł Mandalorianin. – Pozostać w tych pomieszczeniach z personelem, dopóki nie wydam innego polecenia.

– A jeżeli wywiąże się strzelanina?

– To samo.

– A jeżeli nieprzyjaciele się przedrą przez pańskie systemy obronne?

– Nie przedrą ale jeżeli chce się pani poczuć bezpieczniej, dostarczę pani broń ręczną do osobistej obrony.

Uthan skwitowała jego uwagę iście monarszym kiwnięciem głowy i sięgnęła po plik notatek. Zaczęła je przeglądać, od czasu do czasu przerywając, żeby zapisać coś na marginesie. Mimo wcześniejszego krótkiego spięcia z Hokanem najwyraźniej się go wcale nie bała. Może dzięki codziennemu kontaktowi ze śmiercionośnymi mikroorganizmami widziała wszelkie zagrożenia z innej perspektywy.

– Proszę o coś bardzo skutecznego – powiedziała, kiedy Mandalorianin się odwrócił i ruszył do wyjścia z gabinetu.

– Tu dowódca „Majestatycznego” – odezwał się jakiś mężczyzna. – Szybko się z tym uwinęliście. Wasza pozycja?

Niner nie widział obrazu na wyświetlaczu projekcyjnym w swoim polu widzenia, ale dźwięk był czysty jak kryształ.

– Na razie nie chodzi nam o to, żebyście nas stąd wyciągali, „Majestatyczny” – powiedział. – Potrzebujemy waszego wsparcia artyleryjskiego.

– Proszę powtórzyć.

Będziemy potrzebowali waszego wsparcia artyleryjskiego – spełnił

jego prośbę Niner. – Istnieje prawdopodobieństwo, że czeka nas tu ciężka przeprawa z setką bojowych robotów.

Na sekundę czy dwie zapadła cisza.

– Drużyno Omega, musicie wiedzieć, że my także możemy być tu zajęci – odparł w końcu kapitan okrętu. – W pobliżu naszej bak-burty unosi się jednostka Unii Technokratycznej.

– Czy to oznacza odmowę, „Majestatyczny”?

– Nie, ale możemy przerwać ogień, jeżeli sami będziemy musieli odpierać atak.

Zrozumieliśmy. Przekazuję współrzędne dwóch celów – powiedział komandos. – Na hasło „Zielone drewno” skierujcie ogień w pierwsze miejsce, a jeżeli otrzymacie hasło „Poszukiwaczka” – w drugie. W tej chwili nieprzyjaciele nie dysponują systemem łączności z wyjątkiem sieci robotów. Powtarzam, główna sieć łączności wrogów przestała istnieć. Czekać w pogotowiu.

– Zrozumieliśmy. Pracowite z was chłopaki, nie ma co. Czekamy w gotowości, Omega.

Niner zamknął oczy i poczuł, że przepływa przez niego fala ulgi. Nie był do końca pewny, w jaki sposób wykorzystają potężne działa „Majestatycznego”, ale przynajmniej mogli liczyć na ich wsparcie.

– Wymyślasz to wszystko podczas marszu, sierżancie? – zapytał Fi.

– A co, masz lepszy pomysł?

– Chodziło mi o te hasła.

– Tak?

– Gustowne.

– Nie żartowałem, kiedy pytałem, czy masz lepszy pomysł.

Fi zabębnił palcami po płytce pancerza osłaniającej udo.

– Szkoda, że nie ma tu Skiraty – powiedział. – Co to zawsze nam mówił? „Odwróćcie problem do góry nogami. Postarajcie się spojrzeć na niego z perspektywy waszego przeciwnika”.

Etain uniosła głowę i zaczęła nasłuchiwać, co było niemal pewną oznaką że zbliża się Jinart. Wyglądało na to, że łączy je jakaś tajemna więź. Chwilę później Gurlanka wślizgnęła się na teren punktu wyjściowego do natarcia i powiodła spojrzeniem po twarzach komandosów. Darman i Fi powitali ją bezgłośnymi brawami i

odgiętymi w górę kciukami.

– Doskonała robota, proszę pani – pochwalił Darman. – Zdumiewający kamuflaż.

– Dziękuję wam, panowie – odparła Jinart. – Upewniłam się, że Uthan nie ma w tej rezydencji. Wasze urządzenie tkwi teraz w piwnicy willi Ankkita pomiędzy skrzynką wina tarul z Naboo a okratowanym pojemnikiem, wypełnionym termicznymi detonatorami. Kiedy będziecie gotowi, możecie wyposażyć Qiilurę we własny pas asteroid.

– Po czymś takim nabiegną im łzy do oczu – stwierdził Fi.

– Nam także, jeżeli znajdziemy się zbyt blisko – zauważył Niner.

– Więc co teraz?

– Zróbmy to, czego uczył nas Skirata – zaproponował komandos. – Odwróćmy problem do góry nogami.

Kiedy w powietrzu zmaterializował się ponownie plan rozkładu pomieszczeń ośrodka, członkowie drużyny, Etain i Jinart usiedli wokół hologramu i wpatrzyli się w obraz, jakby szukali w nim natchnienia.

– Czy właśnie w taki sposób układacie plany operacji? – zainteresowała się padawanka.

– Nie zamierzaliśmy się uciekać do tej metody – odparł Niner. – Zazwyczaj zbieramy informacje, a dopiero później układamy i wykonujemy plany. Tym razem jednak stosujemy sposób, który Skirata określał mianem „samokorygującej się fuszerki”. To sytuacja, w której jeden problem dostarcza rozwiązania innego problemu. Nasze rozwiązanie kryje się w tym hologramie. Musimy tylko je odnaleźć. – Podejrzał, że podczas układania planu stanie przed nimi wiele niewiadomych. Każdy z komandosów miał za sobą tylko dwie prawdziwe wyprawy – i każdy musiał wtedy stawiać czoło podobnej sytuacji. Nie mieli pojęcia, co ich czeka, dopóki nie było za późno. Informacje. Najważniejsze okazało się zdobywanie rzetelnych informacji. – Istnieją trzy rzeczy, którym nie powinno się nigdy dawać wiary – podjął po chwili.

– To prognoza pogody, jadłospis w kantynie i informacje zebrane przez agentów wywiadu.

Skirata mawiał, że żołnierze zawsze zrzedzą. Niner nie miał zwyczaju narzekać, ale na pewno nie był zadowolony z obecnej sytuacji. Czekał na ich zadanie nie należało do tych, jakie najlepiej potrafili wykonywać żołnierze z oddziałów specjalnych Republiki. Komandosy powinni byli sami zebrać informacje, zidentyfikować cel i wezwać wsparcie ogniowe z powietrza, a później może jeszcze ocalić zakładników albo cenne dane. Mogli posunąć się nawet do dyskretnego wyeliminowania przeciwnika. Nikt nie przewidywał, że przyjdzie im równocześnie pełnić obowiązki artylerzystów i piechurów.

Gdyby Republika nie chciała, żeby Uthan przeżyła, mogła w ogóle nie wysłać komandosów na Qiilurę. Artylerzyści „Majestatycznego”, pozostając na orbicie, po prostu wzięliby na cel jej ośrodek, po czym wszyscy wróciliby do domu w samą porę na kolację. Nikt by nie musiał osłaniać pleców przed strzałami nieprzyjaciół ani dźwigać bez końca czterdziestopięciokilogramowego plecaka po rozmiękłym gruncie.

– Cieszę się, że traktujecie to z humorem zamiast pogodzić się ze swoim losem – odezwała się Etain.

Fi wzruszył ramionami.

– Jeżeli ktoś nie lubi żartów, nie powinien się zgłaszać do wojska – powiedział.

– Hej, wcale się nie zgłaszałem – zachnął się Atin.

Dobrze chociaż, że wszyscy wybuchnęli śmiechem. Młoda Jedi uświadomiła sobie, że pierwszy raz komandosy – naturalnie z wyjątkiem Fi – odkryli zabawne aspekty swojej sytuacji.

– Co zazwyczaj robimy w takich sytuacjach? – zapytał niespodziewanie Damian. – Jak na ogół opanowujemy cele? Przypomnijmy sobie kolejne czynności.

Niner spoważniał.

– Wybieramy cel, wdzieramy się do niego i neutralizujemy go – powiedział.

– W porządku. A jeżeli nie będziemy musieli toczyć walki, żeby się wedrzeć do środka?

– Nie bardzo cię rozumiem.

– Nieprzyjaciele się spodziewają że stoczymy z nimi walkę, kiedy będziemy się starali dostać do budynku – wyjaśnił komandos. – A gdybyśmy musieli walczyć, ale podczas ucieczki? – Darman zagłębił palec w hologram. – Czy dalibyśmy radę dostać się pod ośrodek i dopiero stamtąd się wdrzeć do centralnego pomieszczenia?

– Na tym planie pokazano tylko rury odpływowe – odparł komandos. – Rura ściekowa ma zbyt małą średnicę, żeby przedostał się nią człowiek, a to na pewno nie jest zadanie dla Jinart.

Gurlanka drgnęła.

– Nie narzucam się, ale gdybym wam mogła w jakiś sposób pomóc... – zaczęła.

Już i tak zrobiłaś dla nas więcej, niż mogliśmy się spodziewać – stwierdził Darman. Przechylając głowę raz w jedną raz w drugą stronę, zaczął się przyglądać planom. – Główny kanał ma w tym miejscu średnicę prawie metra, ale przy samym murze zwęża się do zaledwie trzydziestu centymetrów. Czy istnieje jakiś sposób dostania się do tej rury?

– Nie, jeżeli nie liczyć podejścia do muru na oczach robotów i podkopania się pod nim niczym gdan – odparł Niner.

Jinart usiadła prosto.

– Labirynt korytarzy gdanów – powiedziała.

– Zwierzęta kopią tunele, prawda?

– Wszędzie – przyznała Gurlanka. – Czasami powoduje to osiadanie budynków.

– Czy wokół ośrodka są jakieś tunele? Damy radę je odnaleźć? A jeżeli tak, czy będą miały wystarczająco dużą średnicę?

– Owszem, na pewno istnieją podziemne korytarze, bo kiedyś mieściła się tu farma, a gdany przepadają za mięsem merlie – odparła Jinart. – Tunele mogą być nawet całkiem szerokie, a ja bez trudu je odnajdę i wam pokażę. Prawdę mówiąc, mogę wam służyć za przewodniczkę po tych tunelach. W niektórych miejscach może jednak trzeba będzie je poszerzyć.

– Podstawowa procedura saperska – stwierdził Darman. – Tyle że nie mamy odpowiedniego sprzętu, więc będziemy kopali tym.

– Wyjął z saszetki u pasa spiczasto zakończoną składaną kielnię.

– Narzędzie do wykonywania okopów – wyjaśnił zwięźle. – Czasami przydaje się także do kopania latryn. Bardzo poręczne.

Etain spojrzała na Gurlankę.

– W jaki sposób odstraszasz gdany? – zapytała. – Dlaczego boją się ciebie i twojego zapachu?

– Och, bo się nimi żywimy – odparła beztrudnie obca istota. – Ale tylko wtedy, jeżeli usiłują się zbliżyć do naszych młodych.

– A więc postanowione – oznajmił Darman. – Pomożecie mi się dostać od dołu do centralnego laboratorium, a ja opanuję od wewnątrz pozostałe pomieszczenia ośrodka.

– Weź do towarzystwa Atina – rozkazał Niner. Nie chciał dodawać „na wypadek, gdybyś zginął”, ale jego zdaniem w akcji powinien wziąć udział jeszcze jeden technicznie uzdolniony komandos, który potrafiłby rozmieszczać ładunki wybuchowe i wysadzać drzwi. – Fi i ja ostrzelamy z zewnątrz frontowe wejście i rozprawimy się ze wszystkimi robotami, jakie się pokażą. Kiedy wyprowadzicie Uthan, a Etain pomoże nam stąd uciec, wysadzicie ośrodek w powietrze. Później pobiegniemy ile sił w nogach do punktu, z którego nas zabiorą.

– Popieram – odezwał się Atin i spojrzał na młodą Jedi. – Nie ma pani nic przeciwko temu? – zapytał.

Padawanka niechętnie pokiwała głową.

– Jeżeli tak ma wyglądać plan C, ma równie niewielkie szanse powodzenia jak plany A i B – stwierdziła. Poklepała Darmana po ramieniu, ale wyraźnie błądziła myślami gdzieś indziej. – Niestety nie mam lepszej propozycji.

– W porządku – powiedział Niner. – Wszyscy mają zażyć środki pobudzające. Bądźcie gotowi do wyruszenia z nastaniem nocy. Na przygotowania do akcji mamy cztery godziny. Powiadomię „Majestatycznego”.

– A jeżeli nie wykonacie zadania? – zapytała Etain.

– Wyślą inną drużynę – odparł Niner.

– I zginie więcej osób? – Padawanka pokręciła głową. – Gdyby to ode mnie zależało, z radością rozkazałabym dowódcy „Majestatycznego” rozpylić ten ośrodek na atomy... bez względu na

to, czy przebywa w nim Uthan, czy też nie.

– Boisz się, że zawiedziemy?

Etain uśmiechnęła się, ale widok jej uśmiechu mroził krew w żyłach.

– Nie, wcale tak nie uważam – powiedziała. – Możecie mi wierzyć. Wasza wyprawa zakończy się powodzeniem.

Niner starał się zwracać uwagę na to, jak oddycha. Gdyby najłżejszym westchnieniem okazał, że ma wątpliwości, pozostali komandosi od razu by zwrócili na to uwagę. Ich plan graniczył z szaleństwem, ale, jak mawiał Skirata, komandosi zapuszczali się tam, dokąd inni by się nie poważyli, i robili to, czego nie zrobiłby nikt inny.

A z pewnością do takich zadań należało wywalczenie sobie wyjścia z centralnego pomieszczenia ośrodka, pilnie strzeżonego i chronionego przez płyty z wytrzymałego stopu... z tej placówki zbudowanej jak twierdza, do której nikt się nie mógł wdrzeć. Z jakiegoś powodu Niner czuł się podniesiony na duchu.

„Możecie mi wierzyć. Wasza wyprawa zakończy się powodzeniem”.

Zastanowił się, czy to jego myśli. Jeżeli Etain wpływała na jego umysł, żeby zwiększyć jego wiarę w siły grupy, nie miał nic przeciwko temu. Mimo wszystko oficerowie powinni podbudowywać podwładnych. W obecnej chwili nie bardzo go obchodziło, jak Etain osiąga taki skutek.

# ROZDZIAŁ

# 16

*Co o tym sędzę? Naprawdę nie wiem.  
Nikt nigdy przedtem nie pytał mnie o zdanie.*

*— zwolniony ze służby sklonowany żołnierz RC-5093,  
w ośrodku dla weteranów na Coruscant.  
Chronologiczny wiek: dwadzieścia trzy lata,  
Biologiczny wiek: sześćdziesiąt lat*

Nad ziemią snuła się jesienna mgła. Nie była na tyle gęsta, żeby zapewnić osłonę, ale dawała Darmanowi poczucie bezpieczeństwa. Komandos „tammbował” za Atinem i Jinart, która wskazywała im drogę.

Czuł się jak chodząca fabryka bomb. Dlaczego kiedykolwiek się martwił, że ktoś może go zobaczyć? O jego pancerz obijał się jakiś element tarana, więc poprawił go w obawie przed wykryciem. Atin szedł przed nim z Dece w dłoniach. Trzymał palec wewnątrz kabłąka spustu, co najlepiej dowodziło, że ma się na baczności.

– Matowy czarny pancerz – westchnął Darman. – To pierwsza rzecz, o jaką powinniśmy się upomnieć, kiedy wrócimy. Czuję się jak nadajnik sygnału namiarowego.

– A czy to ma jakieś znaczenie?

– Dla mnie tak.

– Dar, nie ma żadnego znaczenia, czy nieprzyjaciele nas zobaczą, czy nie. Liczy się tylko to, jak wykorzystają tę informację. – Mimo to Atin rozglądał się uważnie na boki. – Powalił mnie kiedyś pocisk, ale



nie zdołał przebić płyty pancerza.

Komandos miał rację. Pancerz może i rzucał się w oczy, ale spełniał swoje zadanie. Darman także został kiedyś trafiony. Może w przyszłości sam widok pancerza wystarczy do odstraszenia przeciwników? Skirata określał coś takiego mianem „agresywnej propagandy”. Jego zdaniem mity pomogły wygrać równie wiele bitew jak rzeczywista przewaga.

Darman nie miał nic przeciwko temu, żeby Wydział Mitów Republiki udzielił mu niewielkiej pomocy.

W końcu znaleźli się w odległości czterystu metrów na południowy wschód od ośrodka. Jinart przystanąła u stóp łagodnego wzniesienia, wsunęła łeb między krzaki i zaczęła głośno węszyć.

– Zagłębimy się w tym miejscu – zdecydowała.

Nigdzie nie było jednak widać niczego, co wyglądałoby jak duża dziura w ziemi.

– Skąd wiesz, co tam jest? – zapytał Darman.

– Potrafię wykrywać powierzchniowo przedmiotów, poruszające się żywe istoty, wszystko – oznajmiła Gurlanka. – Nie muszę tego widzieć. – Znów zaczęła węszyć, a przynajmniej komandos odniósł takie wrażenie. W następnej chwili przyszło mu do głowy, że może Gurlanka jest obdarzona zmysłem echolokacji. – Zamierzacie tu stać całą noc i wystawiać się na strzały?

– Nie, proszę pani – odparł Darman i osunął się na czworaki.

Jinart może i nie musiała widzieć, ale on musiał. Mógł wprawdzie polegać na umożliwiającej widzenie w nocy przesłonie, ale brakowało mu porządnego, prawdziwego oświetlenia. Włączył reflektor w hełmie, ale równie szybko go wyłączył.

– Ummm – chrząknął niepewnie.

– Co się stało? – zapytał Atin.

– Nic – odparł Darman. To naturalne, że źle widzisz w ograniczonej przestrzeni, powiedział sobie. Kiedy skierował strumień światła przed siebie, uświadomił sobie, w jak ciasnym miejscu się znajduje. Korzystając z systemu widzenia w ciemności, dostrzegał tylko bardzo wąski wycinek terenu przed sobą. Czuł się jednak bezpieczny, zupełnie jakby pancerz odgradzał go od świata niczym

kokon, do którego się przyzwyczaił i nie potrafił się bez niego obejść.

Weź się w garść, pomyślał.

Słyszał dobiegający z przodu szelest łapek, ale odgłos oddalał się, nie zbliżał. Jego plecak raz po raz zahaczał o sklepienie i odrywał grudki gleby i kamienie. Tunel powstał dzięki tysiącom małych pazurów. Miał okrągły przekrój, bo gdany nie potrzebowały tyle miejsca do chodzenia co ludzie. Darman czuł, jak jego dłonie i kolana stykają się z zaokrąglonymi ścianami. Chwilami odnosił wrażenie, że się wspina skalnym kominem. Czasem wydawało mu się, że traci orientację. Zamykał wówczas oczy i energicznie potrząsał głową, żeby odzyskać właściwą zdolność reagowania na bodźce.

– Nic ci nie jest, Dar? – zapytał w pewnej chwili Atin. Darman słyszał w hełmie ciężkie sapanie. Do tej pory wydawało mu się, że to jego własne, podczas gdy to jego kolega oddychał z takim wysiłkiem.

– Jestem trochę oszołomiony – przyznał niechętnie.

– Opuść głowę i patrz na dno tunelu – doradził Atin. – Nie ustrzeże cię to co prawda przed zawrotami głowy.

– Ty też na nie cierpisz, hm? – domyślił się Darman.

– Ta-a, to coś niesamowitego – przyznał komandos. – W cechach, jakie przekazał nam Jango, z pewnością nie było zamiłowania do zwiedzania jaskiń.

Darman spuścił głowę i skupił się na kładzeniu jednej ręki przed drugą. Przełączył komunikator na projekcję głosu.

– Jinart, dlaczego takie małe zwierzęta kopią tak szerokie tunele? – zapytał.

– A próbowałeś kiedyś ciągnąć do domu na kolację całego merlie albo vheka? – odparła Gurlanka. – Gdany działają w grupach. Dzięki temu mogą ściągać do nory zdobycz o wiele większą niż one same. Przypuszczam, że zwróciliście na to uwagę.

– Z drugiej strony – odezwał się ostrożnie Atin – mogłabyś powiedzieć, że liczba jest ważniejsza niż siła.

– Dzięki za tę pozytywną uwagę, szeregowy Atin – odparła Jinart. – Proponuję, żebyś wybrał interpretację, która najbardziej podtrzyma cię na duchu.

Później już niewiele rozmawiali. W pewnej chwili spocony z

wysiłku Darman poczuł dziwny zapach, który z każdą chwilą stawał się intensywniejszy. Z początku drażnił jego powonienie, bo przypominał smród gnijącego mięsa, ale potem komandos zaczął w nim wyczuwać nasilającą się nutę goryczy i woń siarki. Przypominało mu to Geonosis. Nad polami bitew też unosił się paskudny odór. Maski filtracyjna chroniła wprawdzie przed bronią chemiczną i biologiczną, ale nie powstrzymywała zapachów. Okaleczone zwłoki i poszarpane wnętrzości wydzielały charakterystyczny, przerażający fetor.

Coś podobnego wyczuwał teraz. Zbierało mu się na mdłości.

– Fierfek – odezwał się Atin. – Za chwilę zwrócę to, co zjadłem na kolację.

– Zbliżamy się do ośrodka – poinformowała ich Jinart.

– Jak daleko jeszcze? – zainteresował się Darman.

– Ten smród to wyciek z systemu kanalizacyjnego – wyjaśniła Gurlanka. – Rury wykonano z nieglazurowanej miejscowej gliny.

– Czy na pewno tylko to czujemy? – zapytał Darman.

– Och, przypuszczam, że wasz organ powonienia reaguje także na gdany, a ściślej na fetor ich ostatnich zdobyczy – przyznała Jinart. – Te zwierzęta gromadzą w jaskiniach wszystko, czego nie zjedzą od razu. Tak, jeżeli nie jesteście przyzwyczajeni do tego zapachu, może rzeczywiście budzi obrzydzenie. – Znieruchomiała tak raptownie, że Darman zderzył się z jej zadem. Pomyślał, że jak na stosunkowo niewielkie rozmiary ciała Gurlanka jest zdumiewająco ciężka. – Ale to dobry znak. Najwyraźniej znaleźliśmy się niedaleko naprawdę dużej jaskini.

Darman poczuł niemal ulgę, że smród pochodzi po prostu z gnijącego mięsa, chociaż nadal przyprawiał go o mdłości. Dobrze chociaż, że to nie było jego mięso. Zachęcony perspektywą dotarcia do większego pomieszczenia, ruszył w dalszą drogę. W pewnej chwili jego rękawica pograżyła się w coś miękkim.

Komandos nie musiał pytać, co to takiego. Odruchowo spojrzął w dół. Jak wszyscy mężczyźni obarczeni bagażem wspomnień, od razu powrócił myślami do okresu szkolenia, kiedy czołgał się rowem wypełnionym wnętrzościami nerfów. Skirata biegł wtedy nad nim i

krzyczał, żeby czołgał się dalej, bo to „nic, absolutnie nic w porównaniu z tym, co może cię czekać na prawdziwym polu walki, synu”.

Nazywali ten test Wymiotnikiem. Mieli rację.

Zmęczenie potęgowało siłę i częstotliwość skurczów żołądka. Darman o mało nie zwymiotował, ale przecież nie mógł sobie na to pozwolić w uszczelnionym kombinezonie. Zamknął oczy i ciężko oddychając, podjął walkę z mdłościami. Przygryzł wewnątrz dolnej wargi tak mocno, aż poczuł smak krwi.

– Nic mi nie jest – powiedział do siebie. – Nic mi nie jest.

Atin oddychał chrapliwie. Prawdopodobnie i on się zmagał z odruchem wymiotnym. Pod względem fizjologicznym niczym się przecież nie różnili od siebie.

– Możecie się teraz wyprostować – oznajmiła nagle Jinart.

Darman włączył punktowy reflektor i przekonał się, że dotarli do pieczary tak obszernej, iż może wstać. Zauważył na ścianach wąskie tarasy, biegnące spiralnie od dna prawie ku sklepieniu jaskini. W wielu miejscach widniały otwory odchodzących od tarasów dwudziestocentymetrowych tuneli.

– To właśnie tu kryją się gdany, kiedy po ulewnych deszczach ich tunele wypełniają się wodą – poinformowała Gurlanka. – Nie są głupie.

– Któregoś dnia im podziękuję – mruknął Atin. – Jak blisko dotarliśmy rury kanalizacyjnej? Dasz radę ją zlokalizować?

Jinart przyłożyła łapę do ściany w miejscu pomiędzy otworami małych tuneli, umożliwiających ucieczkę z jaskini.

– Gdany wiedzą że za tą ścianą znajduje się lita konstrukcja – powiedziała i na chwilę umilkła. – Tak, wyczuwam strumyczki ciekącej wody. Ściana w tym miejscu ma grubość mniej więcej metra, może trochę więcej.

Darman uniósł ręce, żeby zdjąć hełm, ale po namyśle zrezygnował i zadowolił się postawieniem plecaka na dnie jaskini. Wyjął składaną kielnię i na próbę wbił szpic w ścianę. Miała konsystencję kredy. Spojrzał na Atina.

– No dobrze, pracujemy na zmianę po pięć minut, najpierw ja,

potem ty – zdecydował.

– A na końcu ja – odezwała się Jinart.

Darman uniósł rękę w geście sprzeciwu.

– Nie, proszę pani – powiedział. – Lepiej niech pani wraca do Ninera. Od tej pory jesteśmy zdani na własne siły, a jeżeli nic tu nie wskóramy, pozostali będą potrzebowali pani pomocy bardziej niż my.

Gurlanka wahała się chwilę, ale w końcu się odwróciła i bez słowa zniknęła w tunelu. Darman zastanowił się, czy nie powinien się być z nią pożegnać, ale to by mogło oznaczać, że nie spodziewa się jej więcej zobaczyć. A przecież zamierzał wyjść z budynku frontowymi drzwiami w towarzystwie Atina i doktor Uthan.

Szpicem kielni wydrapał na ścianie spory krąg i wbił narzędzie w ubitą glebę. Zdawało mu się, że pracuje bardzo powoli, więc nie ukrywał zaskoczenia, kiedy Atin poklepał go po naramienniku i gestem dał znać, że jego kolej. W ścianie zaczął powstawać otwór o średnicy dorównującej wzrostowi dorosłego mężczyzny.

– Nasz tunel będzie krótki, ale czy nie powinniśmy czymś podeprzeć jego sklepienia? – zaniepokoił się Darman. Zastanowił się, co można by poświęcić w charakterze stempla.

– Będziemy nim przechodzić tylko raz – zaprotestował Atin. – Jeżeli później się zawali, mówi się trudno.

– Może się zawalić, bo przecież użyjemy materiałów wybuchowych, żeby się dostać do środka – przyznał Darman. – Nie lepiej byłoby go zachować jako wyjście awaryjne?

– Naprawdę chcesz, żeby nas ścigali tymi tunelami? – zdziwił się komandos. – Bez trudu nas w nich usmażą. Jeden strzał z miotacza płomieni i będziemy wyglądali jak węgiel drzewny.

Atin pracował coraz wolniej, więc Darman zaczął odłupywać grudki gleby z drugiego boku otworu. Jakiś czas, pracując obok siebie, usuwali coraz ciemniejszą i bardziej wilgotną glebę. Starali się, żeby tunel miał na całej długości taką samą średnicę, bo nie chcieli się pochylać podczas wiercenia otworów w ściankach rury. Osłabiali jednak w ten sposób strukturę ziemnej ściany. Darman nie chciał, żeby się zawaliła, dopóki się nie dostaną do rury ściekowej.

Pomyślał, że może powinien był poprosić o pomoc Etain.

Korzystając z umiejętności Jedi, padawanka mogłaby podtrzymać sklepienie krótkiego tunelu. Nagle uświadomił sobie, że tęskni za nią. Zdumiewające, jak szybko zacieśniała się więź z inną osobą w takiej sytuacji.

Nagle kielnia Atina uderzyła w coś twardego. Rozległ się charakterystyczny głuchy stuk.

– Rura ściekowa – domyślił się komandos. – Czas na wiercenie otworów.

Kilka krótkich serii z Dece wyrwałyby całkiem spory otwór nawet w najgrubszej glinianej rurze, ale Darman podejrzewał, że przy okazji zwałiłoby im na głowę sklepienie jaskini, a na coś takiego na pewno zwróciłyby uwagę roboty. Trzeba było się zdecydować na powolną, ale cichą metodę. Ręczna wiertarka wchodziła w skład podstawowego zestawu do szybkiego wdzierania się do pomieszczeń, więc komandosi oczyścili z gleby spory krąg ściekowej rury i zaczynając od góry, zaczęli wiercić otwory w odstępach mniej więcej pięciu centymetrów jeden od drugiego. Dopiero kiedy doszli do samego dołu, z otworów zaczął wyciekać szlam.

Kopanie tunelu i wiercenie otworów zajęło im godzinę. Damianowi tak dokuczwały spływające po twarzy strużki potu, że w końcu zdjął hełm. Fetor był naprawdę trudniejszy do zniesienia niż kiedykolwiek, ale komandos postanowił o tym nie myśleć.

Atin wyjął manierkę, wypił spory łyk i podał ją koledze.

– Pomaga na odwodnienie – zauważył. – Jeżeli stracisz pięć procent płynu, przestaniesz trzeźwo myśleć.

– Ta-a, wiem – mruknął Darman. – A strata powyżej piętnastu procent cię zabije. – Wypił połowę reszty zawartości, zwrócił manierkę, otarł z twarzy pot i podrapał się energicznie po głowie. – Kolejna rzecz, na którą po powrocie musimy zwrócić uwagę rothańskim specjalistom – powiedział. – Powinni poprawić skuteczność klimatyzacji w naszych kombinezonach.

Uniósł taran i stanął obok odsłoniętego kręgu glinianej ścianki rury. Zaciśnął z całej siły palce obu rąk na rękojeściach. Tym razem musiał działać uważnie, żeby nie zniszczyć całej rury.

– Gotów? – zapytał.

- Gotów.
- Jeden, dwa...
- Trzy!

Darman stęknął. Trzpień tarana uderzył z siłą kilku ton w wyznaczone miejsce i okolony wywierconymi otworami krąg wpadł do środka rury. Z wnętrza wypłynęła kaskada cuchnącej czarnej mazi, która rozbryzgnęła się na nogach i butach komandosa.

– Och, coś wspaniałego – westchnął Darman. – Koniecznie musimy dopilnować sprawy naszych pancerzy. Następnym razem muszą być matowe i czarne.

Atin zdjął hełm i Darman uświadomił sobie, że kolega z trudem powstrzymuje się od śmiechu. W tej chwili, kiedy miejsce szlamu w rurze zajęło powietrze, doskonale przekazywało dźwięki do pomieszczeń na górze. Atin przyłożył dłoń do ust, zgiął się wzdłuż i chyba wbił zęby w pancerz osłaniający kostki dłoni. Cały się trząsał, a kiedy się wyprostował, po jego twarzy płynęły łzy. Komandos otarł je i przełknął ślinę, ale po chwili nie wytrzymał i wybuchnął bezgłośnym śmiechem.

Darman jeszcze nigdy nie widział, żeby Atin się śmiał, ale obecnie zanosił się od histerycznego śmiechu, bo jego towarzysz został obryzany odchodami. Według Darmana nie było w tym nic śmiesznego.

Chociaż... chyba jednak było. Darman poczuł w żołądku dziwne sensacje, nad którymi nie potrafił zapanować. Nie był pewny, czy to, co się dzieje, naprawdę jest zabawne, ale mimo to nie umiał się powstrzymać. Z całej siły walczył, żeby nie wybuchnąć śmiechem, aż rozbolały go mięśnie brzucha. W końcu napad śmiechu się skończył. Komandos wyprostował się i w niewytłumaczalny sposób poczuł się wyczerpany.

– Czy nie powinienem dać znać Ninerowi, że się przebiliśmy? – zapytał. Obaj komandosowie wytrzymali zaledwie trzy sekundy, bo później znów wybuchnęli histerycznym, chociaż bezgłośnym śmiechem.

Wiedza o tym, czym jest śmiech i jakie prymitywne odruchy go wyzwalają była czymś całkiem nowym. U źródeł śmiechu leżała ulga,

że niebezpieczeństwo właśnie ustąpiło. Śmiech był pradawnym sygnałem mówiącym: „Wszystko w porządku”.

Najgorsze jednak, że w rzeczywistości ich sytuacja wyglądała zgoła niewesoło. Prawdziwe niebezpieczeństwo dopiero się zaczynało.

Darman, który w końcu przyszedł do siebie, założył hełm i włączył komunikator.

– Sierzancie, tu Darman – odezwał się cicho. – Dostaliśmy się do rury. Możecie zaczynać, kiedy chcecie.

Niner i Fi ustawili samopowtarzalny blaster typu E-Web pół kilometra od frontowego wejścia. Odległość była bardzo mała, ale jeżeli nawet ktoś ich zauważył, nie uznał za stosowne zareagować.

– Zrozumiałem, Dar. – Niner zerknął na wyświetlacz chronometru umieszczonego na rękawicy osłaniającej lewe przedramię. – Widzisz już może klapę rury ściekowej?

Ze słuchawki jego komunikatora dobiegły tylko trzaski. Niner z niejaką satysfakcją pomyślał, że decydując się na wysadzenie w powietrze naziemnej stacji przekaźnikowej w Teklet, postąpił słusznie. Gdyby komandosi musieli zachowywać ciszę w eterze, nie mieliby szansy uwieńczenia powodzeniem swoich starań. Zbyt wiele niewiadomych wiązało się z ich zadaniem, żeby dali radę je wykonać tylko dzięki zawczasu ułożonym planom czy synchronizacji działań.

– Podążyłem za szlamem i natknąłem się na klapę – odezwał się Darman. – Chcesz rzucić na nią okiem?

Na wyświetlaczu w polu widzenia sierżanta pojawił się ziarnisty zielony wizerunek ogromnych, wypluwających wodę rur, które równie dobrze mogły mieć średnicę kilometra, jak i centymetra. Jeżeli już o tym mowa, mogły także przedstawiać endoskopowy obraz czyichś jelit. Tak czy owak, wywierało to przygnębiające wrażenie.

– Co jest nad tobą? – zapytał Niner.

– Brudna kwadratowa płyta, która nie wygląda jak pokrywa ścieku – odparł Darman. – Woda spływa do środka z innych rur. – Obraz się zakołysał, kiedy komandos opuścił głowę, żeby zerknąć na ekran komputerowego notesu. Widniał na nim niewyraźny plan rozkładu



pomieszczeń ośrodka. – Jeżeli wykonano tu wszystko zgodnie z dokumentacją ta płyta zawiera filtr śmiertelnych substancji, a więc to właśnie nad nią musi się znajdować najściślej izolowane pomieszczenie. – Ze słuchawki komunikatora wydobył się odgłos drapania. – Ta-a, numer seryjny zgadza się z tym na planie. Gdyby na górze wydarzyło się jakieś nieszczęście i trzeba było splukać posadzkę strumieniem rozpuszczalnika albo wody, właśnie tędy spłynęłyby przefiltrowane ścieki.

– Czy będziesz musiał wysadzić płytę w powietrze?

– No cóż, chyba nie da się jej odkręcić szpilką do włosów – odparł komandos. – Przytwierdzono ją za pomocą permabetonu. Nie chcieli ryzykować, że się obluzuje sama z siebie.

– A zatem nadszedł czas na pokaz fajerwerków w willi – stwierdził Niner. – Postarajmy się to zsynchronizować.

– W porządku. Daj mi parę minut, żebym zdążył rozmieścić ładunki wybuchowe.

Dwie minuty ciągnęły się bardzo długo. Niner odliczał sekundę po sekundzie. Uświadamiał sobie, że za jego plecami przechadza się tam i z powrotem młoda Jedi, ale przecież nie mógł zwracać uwagi osobie, która była jego dowódcą żeby przestała się denerwować i usiadła. Spojrzał na Fi, który klęczał za trójnogiem E-Weba i sprawdzał pole ostrzału. Wyglądał na zupełnie odprężonego. Niner zazdrościł mu tego opanowania. Jego żołądek cały czas wyprawiał dzikie harce. Zawsze tak się czuł podczas ćwiczeń, ale obecnie przeszkadzało mu to bardziej niż kiedykolwiek. Na domiar złego słyszał łomot własnego tętna, co nie pozwalało mu się skoncentrować.

Damian zgłosił się jedenaście sekund później niż powinien.

– Wszystko gotowe – zameldował. – Dam ci znać, kiedy będziesz mógł rozpocząć odliczanie. W tej chwili wycofujemy się z rury. Jeżeli sklepienie podziemnej jaskini się zawali, może będziemy musieli poświęcić trochę czasu, żeby ponownie dostać się do środka.

– Ile to według ciebie „trochę” czasu? – zagadnął dowódca.

– Może zawsze. Mimo wszystko siła eksplozji może nas zabić.

– Postarajmy się tego uniknąć, dobrze?

– Jasne.

Etain stała cały czas za plecami sierżanta. Komandos odwrócił głowę i spojrzał na nią, w nadziei, że padawanka zrozumie aluzję. – Nigdy przedtem nie działaliście jako jedna drużyna, prawda? – zapytała zupełnie niepotrzebnie.

– Nie – syknął Niner i powstrzymał się przed dodaniem „proszę pani”.

Poradzicie sobie bez problemu – stwierdziła młoda Jedi. – Jesteście najlepiej wyszkolonymi i najbardziej kompetentnymi żołnierzami w całej galaktyce. Co więcej, możecie być pewni, że wasza akcja zakończy się powodzeniem.

Niner już miał jej odpowiedzieć kilkoma soczystymi huttańskimi słowami, ale nagle zrozumiał, o co jej chodzi. Jego żołądek wrócił do stanu spokojnej równowagi. Komandos słyszał głos Darmana całkiem wyraźnie, a łomot pulsu w jego uszach ucichł. Zupełnie go nie obchodziło, w jaki sposób Etain osiągnęła taki skutek.

– Na dziesięć – odezwał się Darman. Niner wciąż jeszcze widział na wyświetlaczu w swoim polu widzenia obraz z czołowej kamery jego hełmu. Podwładny czołgał się wąskim tunelem. Wyglądało to, jakby Darman spływał rynną. Niner podświadomie oczekiwał, że kiedy rynna się skończy, komandos wpadnie do głębokiego basenu. – Pięć... – Obraz ściemniał, co mogło oznaczać, że Darman przycisnął głowę w hełmie do napierśnika. – Trzy... – Niner chwycił zdalny detonator. – Dwa... jeden... zero!

Sierżant nacisnął guzik.

Na ułamek sekundy wszystko wokół skąpało się w oślepiającym, złocistym, bezgłośnym blasku. Niner uświadomił sobie, że włącza się ochrona przeciwodblaskowa przysłony jego hełmu. Chwilę później poczuł drżenie gruntu i donośny grzmot, który mógł ogłuszyć, chociaż jego źródło znajdowało się dwa kilometry dalej. Miał wrażenie, że huk trwa kilka sekund, ale przekonał się, że słyszy odgłosy dwóch eksplozji: jednej w willi i drugiej w podziemiach ośrodka doktor Uthan.

Kiedy pojawił się słup ognia, a w powietrze wzbiły się kłęby zabarwionego bursztynowym blaskiem dymu, zareagowały roboty strzegące frontowego wejścia do ośrodka.

– Zaczekaj, Fi. – Niner musiał przełknąć ślinę, żeby odzyskać słuch. – Dar, Atin... zgłóście się, odbiór.

– Czy to byliśmy my, czy wy? – usłyszał głos podwładnego.

– I my, i wy – odparł sierżant. – Nic się wam nie stało, Dar?

– Zęby wciąż jeszcze się nam ruszają, ale jesteśmy cali.

– Te materiały wybuchowe wykonano na specjalne zamówienie, ale przyznaję, że zrobiliście z nich doskonały użytek – pochwalił dowódca. – Przypuszczam, że willa Ankkita ma w tej chwili nowy kryty basen.

– Sklepienie naszej jaskini wprawdzie się nie zapadło, ale trzyma się ledwo, ledwo – zameldował komandos. – Wchodzimy do środka.

Nad okolicą zapadła głucha cisza, jakby wszyscy czekali, co się jeszcze wydarzy. Fi przysunął trochę bliżej pakiet z pięcioma rezerwowymi ogniwiami energetycznymi, a Niner wymierzył Dece, żeby mieć lepszy widok frontu willi. Zobaczył chodzące tu i tam roboty i spoglądającego przez lornetkę umbarańskiego oficera, który omiatał spojrzeniem okoliczne pola.

– Gotów, sierżancie – zameldował Fi.

– Jeszcze chwila.

Z budynku mieszkalnego farmy wyszło kilka następnych robotów. Gdyby Niner nie widział planów, nigdy by nie uwierzył, co kryje się w środku pod przekonująco obskurnym drewnianym szalowaniem. W pewnej chwili wyczuł, że obok niego stanęła Etain.

– Proszę pani – powiedział. – Może będzie lepiej, jeżeli się pani gdzieś ukryje.

– Nic mi się nie stanie – odparła padawanka, spoglądając z utęsknieniem na trandoshański karabin udarowy. – Proszę mi dać znać, kiedy będę potrzebna.

Ze słuchawki komunikatora wydobył się znów głos Darmana.

– Jesteśmy gotowi do wejścia przez otwór po pokrywie rury ściekowej – zameldował komandos. – Pora na odwrócenie ich uwagi, sierżancie.

– Zrozumiałem. – Dowódca uklęknął obok Fi i położył dłoń w rękawicy na jego ramieniu. – Poślij kilka strzałów przed tamtą stodołę – rozkazał. – Tylko tyle, żeby się przywitać. Później możesz strzelać

bez rozkazu.

Fi nawet się nie poruszył. Rozległ się charakterystyczny szcęk energetycznego ogniwa i pojawiła się kula ognia, z której wyleciało kilka rozszczepionych desek. Stodoła zapłonęła jak pochodnia i całkiem się zapadła.

– O, jasny gwint – mruknął speszony Fi.

Strzał zwrócił uwagę bojowych robotów. Sześć automatów uformowało linię i ruszyło przez pole.

Fi otworzył do nich ogień. W kierunku komandosów poszybowały odłamki robotów, a nad ich hełmami przeleciały ze świstem pociski nieprzyjaciół, Niner poczuł na napierśniku uderzenie fali dźwiękowej. W pewnej chwili usłyszał skwierczenie stygnącego metalu i zauważył, że ogromna bryła przeleciała łukiem nisko nad jego głową. Nie widział, gdzie wylądowała, ale musiało to być bardzo blisko. Jego system widzenia w ciemności ukazywał grad odłamków w postaci gęstych jak deszcz, białych plam o nieregularnych kształtach. Kilka blaszaków przedarło się jednak przez ogniową zaporę, ale Niner powalił dwa granatami.

Do ataku ruszyła następna linia zrobotyzowanych piechurów. Fi strzelał do nich krótkimi seriami, a Niner brał na cel te, które ocalały po jego strzałach. Cały czas spadał na nich grad płonących metalowych odłamków. Od początku walki upłynęło zaledwie kilka minut, ale Atin strzelał do robotów z E-Weba w takim tempie, że mogło mu zabraknąć energii w zasobnikach. Niner domyślał się, że we dwójkę zniszczyli mniej więcej dwadzieścia automatów, co oznaczało, że co najmniej drugie tyle kryje się jeszcze w ośrodku. W końcu roboty przestały się ukazywać.

Nad polem zapanowała głucha cisza, która dzwoniła w uszach Ninera równie głośno jak odgłosy wcześniejszej bitwy.

– Nie znoszę, kiedy nieprzyjaciele odgadują nasze zamiary – stwierdził Fi. Oddychał z wysiłkiem, jak po długim biegu.

– Doszli do wniosku, że lepiej nie wychodzić na dwór – domyślił się Niner.

– Jeżeli zostało ich tylko dwadzieścia, moim zdaniem powinniśmy podjąć próbę wdarcia się do ośrodka.

Upewnijmy się najpierw, że nie będziemy tu mieli żadnych niespodziewanych gości. – Sierżant przełączył komunikator na daleki zasięg. – „Majestatyczny”, tu Omega, odbiór – powiedział. – „Majestatyczny”...

– Słyszemy was, Omega. Urządziliście wspaniały pokaz sztucznych ogni – odebrał w odpowiedzi. – Macie dla nas jakieś zadanie?

– „Majestatyczny”, chcę wam wskazać nowy cel – odparł Niner. – Macie obraz obszaru między „Zielonym drewnem” a „Poszukiwaczką”?

– Będziemy mieli, jeżeli przekażecie nam sygnał ze zdalniaka.

Niner zdjął plecak, odszukał zdalniaka i wypuścił go w powietrze.

– Roboty, orientacyjna liczba nie więcej niż pięćdziesiąt – powiedział. – Jeżeli kierują się do nas, wyświadczyć nam przysługę i pokrzyżujcie im szyki, dobrze?

– Zrozumieliśmy, Omega. Raport sytuacyjny?

– Dostaliśmy się do ośrodka – zameldował komandos. – Zmusiliśmy do pozostania w nim dwadzieścia czy trzydzieści robotów i nieznaną liczbę mokrzaków.

– Zechciejcie to powtórzyć, Omega.

– Do ośrodka wdarli się dwaj komandosi z naszej drużyny – oznajmił sierżant. – Dostali się przez rurę ściekową.

– Wy, chłopaki, naprawdę postradaliście repulsory.

– Taka myśl rzeczywiście przyszła nam do głowy – przyznał komandos.

– W porządku. W waszą stronę polecą zaraz kilka fajerwerków, Omega – usłyszał w odpowiedzi. – Pamiętajcie, że nadal mamy w pobliżu uzbrojoną jednostkę Unii Technokratycznej i kiedy damy ognia z laserów, spodziewamy się odpowiedzi z jej strony.

– Tylko uważajcie, jak mierzycie – odparł Niner. – Omega przerywa połączenie.

Jeżeli nie liczyć trzeszczenia stygnącego metalu, w okolicy ponownie zapadła cisza. Nie było słycać nawet szczebiotów i gwizdów nocnych ptaków. Nad polem snuł się dym ze zgliszc spalonej stodoły. Fi spojrział na Etain.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał.

Niner też poparzył na młodą Jedi. Obawiał się, że Etain będzie zdenerwowana, ale dziewczyna klęczała w trawie, jakby czegoś nasłuchiwała. Chwilę później z północy napłynął grzmot następnej potężnej eksplozji.

Padawanka zamknęła oczy.

– Proszę pani? – zagadnął zaniepokojony Fi.

Młoda Jedi ledwo zauważalnie pokręciła głową, jakby rozluźniała zdętwiałe mięśnie szyi.

– Nic mi nie jest – powiedziała. – Po prostu kosztowało mnie to więcej wysiłku niż się spodziewałam.

– Co panią tak zmęczyło?

– Dokonywanie zmian trajektorii lotu wszystkich lecących ku nam odłamków i szczątków – odparła Etain. – Eksplodujące roboty potrafią narobić okropnego bałaganu.

Niner nie miał pojęcia, o co jej chodzi, ale zrozumiał, kiedy odwrócił się i zobaczył wbity w grunt tuż za nim długą na metr płytę metalu o poszarpanych krawędziach. Przelatując nad jego głową o mało go nie ostrzygła. Etain uśmiechnęła się z przymusem.

– A czy potrafi pani także otwierać drzwi? – zapytał Niner.

Darman i Atin powiedli spojrzeniami po wyłożonych plastoidem ścianach pomieszczenia i zrezygnowali ze zdejmowania hełmów.

– To dobry sposób przekonania się, czy nanowirusy zdołają pokonać zaporę w postaci filtracyjnej maski – stwierdził Atin.

Darman zaczął badać szafki, czy nie zainstalowano w nich ładunków wybuchowych albo innych niespodzianek.

– Jeszcze nie mam wrażenia, że umarłem – powiedział. – A poza tym gospodarze nie zostawiliby tych próbek bez opieki. Prawdopodobnie nanowirusy tkwią zamknięte w uszczelnionych pojemnikach.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Jeżeli nie liczyć wyłożonych plastoidowymi płytkami ścian, wyglądało zupełnie jak gabinet lekarski na Kamino. Większość szafek miała przezroczyste drzwiczki, przez które było widać półki z fiolkami. Pośrodku zainstalowano

zajmującą całą wysokość pokoju uszczelnioną kabinę z otworami, w których tkwiły elastyczne rękawice. Kabina była pusta. W pomieszczeniu stała także chłodziarka wypełniona fiolkami, kolbami i niewielkimi pudełkami. Komandos nie miał jednak pojęcia, jak odróżnić pojemniki z wirusem od czegoś, w czym pracownik laboratorium przechowuje drugie śniadanie, a nie zamierzał wszystkich otwierać, żeby się o tym przekonywać. Kolejny raz znalazł się w sytuacji, w której powinien się kierować zasadą: M jak mnóstwo.

– Skoro nie ułatwili nam zadania i nie oznaczyli właściwego pojemnika etykietą z trupa czaszką i pieszczelami, na wszelki wypadek zamierzam zostawić ładunek implozyjny w każdym pomieszczeniu – zdecydował.

Obchodząc pokój, gładził dłońmi ściany, żeby przekonać się, czy ukryte w nich metalowe elementy konstrukcyjne nie uniemożliwią mu wysłania sygnału, ale zainstalowane w rękawicach czujniki pokazywały na projekcyjnym wyświetlaczu same zera. Mimo to komandos włączył komunikator, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście sygnał wydostanie się na zewnątrz.

– Tu Darman – powiedział. – Czy ktoś mnie słyszy? Odbiór.

– Tu Fi.

– Wewnętrzne laboratorium jest czyste – zameldował komandos. – Kiedy rozmieszczę ładunki wybuchowe, zabierzemy się do przeszukiwania pozostałych pomieszczeń ośrodka.

– Zbliżyliśmy się do frontowego wejścia – poinformował go Fi. – Na zewnątrz się uspokoiło, ale przypuszczamy, że nieprzyjaciele mają w środku wciąż jeszcze prawie trzydzieści blaszaków.

– Czy to wy odpowiadacie za te wstrząsy gruntu?

– To sprawa tych z „Majestatycznego”.

– Dobrze wiedzieć, że mamy w pobliżu Marynarę.

– A przy okazji, pozostawiamy otwarty kanał komunikatorów w hełmach – dodał Fi. – Dopilnujcie, żebyśmy otrzymywali oglądane przez was obrazy.

– Damy wam znać, kiedy zacznie nam to przeszkadzać w wykonywaniu zadania. Darman przerywa połączenie.

Komandos spojrział powątpiewająco na kolegę, odgiął kciuki ku górze i wyjął z plecaka ładunki implozyjne. W razie potrzeby mógłby skonstruować naprędce większość eksplodujących urządzeń, ale ładunki implozyjne wykazywały szczególne właściwości. Wytwarzały kulę ognia o tak wysokiej temperaturze i falę udarową tak silną, że mogły zniszczyć nie tylko każdy budynek w promieniu pięciuset metrów, ale także wszystkie mikroorganizmy i wirusy. Jak na taką niszczycielską moc wyglądały zaskakująco niewinnie, bo były mniejsze nawet od przeciętnego zdalniaka.

Darman miał wciąż jeszcze dwa takie ładunki. Wiedział, że użycie ich to gruba przesada, ale dzięki nim mógł się czuć bezpieczny. Wyjął z chłodziarki dwa pudełka i ostrożnie sprawdził ich ciężar. Wybrał lżejsze, co mogło sugerować, że jest częściowo opróżnione. Ustawił je na laboratoryjnym stole, wstrzymał oddech i zdjął przykrywkę.

Zobaczył kilka metalowych rurek zamkniętych szczelnymi korkami. W środku było wystarczająco dużo miejsca na jedno z urządzeń. Umieścił ostrożnie implozyjny ładunek i założył przykrywkę.

– Uważaj na nie – ostrzegł go Atin, wskazując pudełka.

– Jasna sprawa. – Komandos znalazł następne lekkie pudełko i zajrzał do środka. – Może być – zdecydował, wkładając drugie urządzenie. – Jeżeli nawet zaczną szukać, może przestaną, kiedy odkryją pierwszy ładunek. – Wstawił pudełko i zamknął drzwiczki chłodziarki.

– Nie zmniejszy to siły eksplozji? – zaniepokoił się Atin.

– Nie na tyle, żebyś to zauważył – uspokoił go Darman. – Możesz mi wierzyć.

– W takim razie pora na obchód ośrodka.

Na ścianie po prawej stronie dwuskrzydłowych drzwi zainstalowano panele wskazujące stan jakichś urządzeń. Prawdopodobnie miały informować system alarmowy, gdyby ktoś usiłował otworzyć drzwi. Obok nich widniał także guzik wielkości dłoni z napisem AWARYJNE ZAMYKANIE, CO było zrozumiałym środkiem ostrożności, jeżeli miało się do czynienia ze śmiertelnościami wirusami. Otwarcie drzwi przez komandosów



ujawniłoby wszystkim, że do ośrodka wdarli się intruzi. Atin podszedł do ściany i ostrożnie odkręcił płytę czołową panelu. Wyjął urządzenie zakłócające wielkości rylca i zbliżył je do odsłoniętych elementów i obwodów. Urządzenie wysyłało impuls elektromagnetyczny o niewielkim natężeniu. Żaden z komandosów nie chciał, żeby mocniejszy impuls został wytworzony w odległości kilku centymetrów od ich projekcyjnych wyświetlaczy... choćby nawet były uodpornione na działanie takich sygnałów.

– Zaczekajmy na następne wielkie bum – zaproponował Atin. – Żeby nasi wrogowie pomyśleli, że to вина kolejnego trafienia.

Kiedy grunt się znów zatrząsł, Atin przytknął wytwarzającą impuls elektromagnetyczny pałeczkę do obudowy kontrolnego panelu. Światelka oznaczające stan zamka zgasły, a drzwi cicho zasyczały, jakby puściła uszczelka. W gładkiej ceramicznej tafli pojawiła się pionowa szczelina, przez którą do izolowanego laboratorium wpadły odgłosy z zewnątrz: grzmoty eksplozji, krzyki oficerów i monotonne odpowiedzi robotów. Atin cofnął się od drzwi i gestem zrobił miejsce koledze.

Szczelina między skrzydłami drzwi była na tyle szeroka, że można było w nią wsunąć płaski czujnik endoskopu, a nawet pazury tarana. Komandos precyzyjnie wsunął czujnik na zewnątrz i spojrzął na przekazywany obraz. Światła na korytarzu migotały, ale nie zobaczył niczego, co by się poruszało.

– Odsuń się, żebym mógł wyważyć te drzwi – powiedział. – Później zaczekaj, aż wrzucę granat elektromagnetyczny i coś oślepiąco-ogłuszającego.

– Jedno i drugie? – zdziwił się Atin.

– Ta-a – mruknął komandos. – Nie chcę się z nimi rozstawać, ale mamy do czynienia zarówno z blaszakami, jak i z mokrzakami.

Darman wcisnął w szczelinę pazury tarana i zablokował sztaby we właściwej pozycji. Rozsuwanie drzwi było trudniejsze od ich wyważania, ale komandos nie chciał ich wysadzać w powietrze. Kiedy skończył, zaczął energicznie pompować, żeby zwiększyć ciśnienie. Siła ośmiu ton wystarczyła i skrzydła drzwi powoli rozsunały się na boki.

Atin ponownie wysunął na korytarz czujnik endoskopu, przeszedł przez próg i uniósł swój Dece.

– Czysto – zameldował.

Darman zdemontował taran i szybko przypiął go z powrotem do siatki na pancerzu.

– A zatem pomieszczenie po pomieszczeniu – zdecydował. – Czas na Dom Śmierci.

Wykonywali przedtem takie akcje wiele, wiele razy. Za każdym razem, kiedy wchodzili do Domu Śmierci podczas ćwiczeń na Kamino, ściany i mury miały inną konfigurację. Czasami komandosi wiedzieli, czego się mogą spodziewać, a kiedy indziej czuli się, jakby zabezpieczali pomieszczenia prawdziwego budynku. Nierzadko czekało ich wiele paskudnych niespodzianek, z którymi musieli się uporać, w miarę jak się pojawiały.

Tym razem jednak stawką w grze było coś więcej niż życie każdego żołnierza.

Atin pokazał gestem w lewo. Wewnętrzny korytarz miał kształt pierścienia z odchodzącymi na boki drzwiami i pojedynczą odnogą wiodącą do frontowych drzwi ośrodka. Dobrze chociaż, że nie było klatek schodowych ani szybów turbowind, które musieliby także zabezpieczać. Poruszając się w taki sposób, że niemal stykali się plecami, obaj komandosi znieruchomieli dopiero przed skrzyżowaniem. Wysunęli czujnik endoskopu na tyle, żeby przekonać się, co ich czeka.

– A niech to... – westchnął Atin, kiedy pierwszy robot wyskoczył zza rogu i dał ognia. Darman usłyszał dobiegający z przeciwnej strony klekot metalowych stóp i pełną zaskoczenia sekundę patrzył przez lunetę karabinu na bardzo zdumionego umbarańskiego oficera.

Dal ognia. Atin także. Jakiś czas obaj strzelali, każdy w inny koniec korytarza.

– No dobrze, pora na plan D – odezwał się w końcu Atin. – Niner, nie możemy się tu ruszyć. Odbiór.

– Kierujemy ogień na frontowe wejście. – Oprócz głosu sierżanta było słyhać w tle grzmoty zarówno bliskich, jak i odległych eksplozji. Właśnie z tego powodu Darman nie lubił odbierać podczas

walki sygnałów ze wszystkich komunikatorów. Nadmiar dźwięków rozpraszał jego uwagę. – Nasi przeciwnicy wycofali się do środka, ale nikt nie wychodzi na dwór.

– Na razie nie zlokalizowaliśmy doktor Uthan.

– Dacie radę utrzymać pozycję?

– Widzicie, gdzie jesteśmy? Zachodni korytarz, na lewo od frontowego wejścia.

Strzelając do dwóch robotów, które wyłoniły się z za rogu, Atin opróżnił magazynek swojego Dece. Potem zapadła cisza, zakłócana tylko przez odgłosy oddychania obu komandosów.

– Dar? – zaniepokoił się dowódca.

– Nadal tu jestem, sierżancie. – Stykając się plecami z Atinem, czekał nieruchomo i kierował spojrzenie dwadzieścia metrów przed siebie, w głąb lśniącego czystością korytarza. Po prawej stronie widział dwie pary drzwi z niekonwencjonalnymi zawiasami. Spojrzał na sufit, żeby odnaleźć awaryjne przegrody. Pierwsza znajdowała się po przeciwnej stronie Atina, a druga między nimi a centralnym laboratorium. Gdyby opadły, komandosi zostaliby odcięci od pozostałych pomieszczeń ośrodka i mogliby tylko czekać, aż ktoś ich zabije. Później zaś każdy mógłby bez trudu wejść do centralnego pomieszczenia ze śmiertczonośnymi wirusami i rozbroić implozyjne ładunki wybuchowe.

Wyglądało na to, że ktoś inny właśnie wpadł na ten sam pomysł, bo rozległ się stłumiony łoskot i cichy skowyt niewielkiego silnika.

Przegrody wysunęły się z gniazd w suficie i zaczęły powoli opadać.

– Atin, wracamy do centralnego laboratorium, natychmiast! – wykrzyknął Darman, chociaż wcale nie musiał. Obaj komandosi puścili się biegiem z powrotem do izolowanego pomieszczenia. Zanim dotarli do przegrody, opadła do wysokości bioder, ale przeczołgali się pod nią na kolanach.

Z głuchym łomotem zamknęła się za ich plecami. Zapadła tak kompletna cisza, że Darman był pewny, iż jeszcze gdzieś zamknęła się inna przegroda. Chwilę później rozległ się szcęk i grzechot otwieranego ręcznie zamka jakichś drzwi, po czym znów nastąpiła

cisza.

– Zaczynamy od nowa – westchnął Darman. – Przekonajmy się, co tu mamy.

Atin podszedł do drzwi i wysunął czujnik endoskopu. Odczekał chwilę, przykucnął i pokręcił głową.

– Pokaż – polecił Darman i spodziewając się katastrofy, przełączył projekcyjny wyświetlacz w swoim polu widzenia na obraz przekazywany przez czujnik endoskopu.

Przypuszczam, że właśnie coś takiego nazywa się ironią losu – mruknął Atin.

Darman podczołgał się do niego i przełączył obraz z czujnika endoskopu na przesłone swojego hełmu.

Tak, w tym przypadku „ironia losu” była odpowiednim określeniem. O mało nie wybuchnął śmiechem. Między rogiem korytarza a następną przegrodą widział dwie pary drzwi, jedne zamknięte i jedne częściowo otwarte. Zza uchylonych drzwi wyglądała jakaś istota ludzka.

– Kobiety mało różnią się jedna od drugiej, nie uważasz? – zagadnął Atin. – Ta tutaj ma najbardziej zdumiewające włosy, jakie kiedykolwiek widziałem.

Darman musiał mu przyznać rację. Nie oglądali w życiu wielu kobiet, ale tę by zapamiętali, nawet gdyby widzieli miliony. Miała niebieskoczarne włosy przetykane jaskraworudymi pasmami. Przypadek sprawił, że komandosi zostali uwięzieni w towarzystwie doktor Ovolot Qail Uthan.

Nie ucieszyli się, widząc verpiński karabin rozpryskowy.

# ROZDZIAŁ

# 17

KAPITAN „MAJESTATYCZNEGO” DO DOWÓDZTWA NA CORUSCANT  
JEDNOSTKA UNII TECHNOKRATYCZNEJ DRYFUJE W PRZESTWORZACH. OCENA  
USZKODZEŃ JEST NIEKOMPLETNA, ALE NIEPRZYJACIELSCY ARTYLERZYŚCI PRZESTALI  
ODPOWIADAĆ OGNIEM NA NASZE STRZAŁY. „ZEMSTA” CZEKA W GOTOWOŚCI DO  
WYSŁANIA ODDZIAŁU ABORDAŻOWEGO. NADAL BĘDZIEMY ZAPEWNIALI DRUŻYNIE  
OMEGA TURBOLASEROWE WSPARCIE ARTYLERYJSKIE.

– Kto włączył systemy alarmowe? Który di'kut wcisnął ten guzik? Niech ktoś mi to wreszcie wytłumaczy! – Ghez Hokan uświadomił sobie, że krzyczy. Przestał nawet udawać, że zachowuje się z godnością. – Podnieście tę di'kutlańską przegrodę!

W głosie kapitana Huratiego brzmiało napięcie. Obaj znajdowali się po niewłaściwej stronie pierwszej przegrody, w jedynym korytarzu, który prowadził do wejścia, a frontowe drzwi były zamknięte i zablokowane. Budynek był rzeczywiście doskonale zabezpieczony. Zgodnie ze słowami doktor Uthan zaprojektowano go tak, żeby w razie awarii nie wydostały się ze środka żadne niebezpieczne substancje. Systemy awaryjne spisywały się bez zarzutu.

– Nieprzyjaciele wdarli się do ośrodka, panie majorze – zameldował Umbaranin.

– Sam się zdążyłem tego domyślić, di'kucie – burknął Hokan, ale urwał, kiedy na frontowej ścianie eksplodował granat. – Jakim

cudem, na miłość...

– Jeszcze tego nie wiemy, panie majorze, ale awaryjne przegrody opadły, bo drzwi centralnego laboratorium nie przesłały sygnału, że są zamknięte – wyjaśnił Hurati. – Właśnie ten brak spowodował zadziałanie systemów alarmowych.

– Innymi słowy, zostały wyważone i zablokowane – domyślił się Mandalorianin.

– Tak jest, panie majorze.

Hokan odwrócił się do najbliższego robota.

– Czy ktoś na zewnątrz widzi dowody wskazujące, że nieprzyjaciele wdarli się do ośrodka? – zapytał.

Zapadła krótka cisza.

– Zaprzeczam – zameldował w końcu robot.

Och, jak bardzo Hokan tęsknił za przyzwoitym systemem łączności. Sądząc po natężeniu i kierunku napływających odgłosów eksplozji, mógł się tylko domyślać, że okolica jest ostrzeliwana z laserowych dział. Oznaczało to, że artylerzyści okrętu szturmowego Republiki w końcu pokazali, na co ich stać. Możliwe także, że w okolicy lądowały następne oddziały żołnierzy.

Nie to było jednak powodem jego niepokoju. Najgorszy problem polegał na tym, że ktoś wdarł się do ośrodka, ale nie frontowymi drzwiami. Nieprzyjaciele nie mogli się przecież przecisnąć przez rurę kanalizacyjną. W ośrodku w ogóle nie powinno być żadnych wrogów, ale Hokan słyszał odgłosy strzałów, a roboty meldowały o ponoszonych ofiarach.

To zaś mogło oznaczać tylko jedno: wewnątrz budynku przebywali komandosi Republiki.

Mandalorianin nigdy się nie uważał za nieomylnego, ale zawsze wydawało mu się, że jest wyjątkowo kompetentny. Uniemożliwił nieprzyjaciołom dostanie się do ośrodka, a jednak wrogowie znaleźli na to jakiś sposób. W pierwszej chwili pomyślał, że to wina Uthan, która tak bardzo chciała mieć żywy obiekt do badań, iż była gotowa zwabić i uwięzić jakiegoś komandosa, ale szybko odrzucił tę możliwość jako niedorzeczną. Badaczka nie miała środków ani okazji, żeby obejść systemy bezpieczeństwa.

Nanowirus znajdował się poza zasięgiem rąk Hokana, za przegrodami, które nie zamierzały się podnieść. Roboty cierpliwie posyłały blasterowe błyskawice w wykonaną z odpornego stopu grubą płytę, ale, jak wykazała wcześniejsza próba, mogło to najwyżej podnieść temperaturę powietrza na korytarzu do poziomu tropikalnego upału.

– Kto może mi powiedzieć, czy opadły wszystkie przegrody? – warknął Hokan, zwracając się do robota. Dzięki swojemu systemowi łączności przez komunikator z innymi robotami automat stał się dla niego bardziej przydatny niż Hurati. – Wszystkie?

Mandalorianin zastanawiał się gorączkowo, w jaki sposób wyciągnąć z ośrodka doktor Uthan i hodowlę nanowirusów. Na kontrolnej tablicy w przylegającym do głównego korytarza gabinecie płonęły same czerwone lampki, ale Hokan nie był pewny, czy powinien im wierzyć, czy nie.

– Wszystkie – usłyszał wreszcie odpowiedź. – Roboty zostały uwięzione w sekcji czwartej, piątej, siódmej i dwunastej.

Wojownik czuł się tak, jakby w środku bijatyki ktoś odciągnął go nagle od przeciwnika. Nieprzyjaciele nie mogli mu nic zrobić, ale i on nie mógł się im dobrać do skóry. Otwarte drzwi centralnego laboratorium oznaczały, że zarówno nanowirus, jak i doktor Uthan znajdują się po tej samej stronie awaryjnej przegrody, co komandosi. Jeżeli nieprzyjaciele dali radę wtargnąć do ośrodka, prawdopodobnie mogli uciec tą samą drogą.

Nagle frontowa ściana zadrżała.

Nawet jeżeli roboty strzegące drugiego obiektu ocalały po ataku na willę i przybyły na odsiecz, w jaki sposób mogłyby mu pomóc w obecnej sytuacji?

Hokan odwrócił się do Huratiego.

– Potrafisz się włamać do systemu bezpieczeństwa ośrodka i polecieć przegrodom, żeby się podniosły? – zapytał.

– Zrobię, co będę mógł, panie majorze – obiecał Umbaranin, chociaż jego mina wskazywała, że ma wątpliwości. Mandalorianin mógł być jednak pewny, że podwładny prędzej zginie, niż zrezygnuje z prób wykonania zadania.

Obaj wrócili do gabinetu, żeby poszukać w szafkach i szufladach instrukcji obsługi, narzędzi czy czegokolwiek, co mogłoby pomóc podnieść przegrody. W jednej z szafek Hokan znalazł łom, ale jego koniec był za gruby, żeby dało się go wcisnąć w ledwo widoczną szczelinę między płytami frontowych drzwi czy pod dolną krawędź przegrody. Sfrustrowany, rzucił narzędzie na posadzkę. Potoczyło się po płytkach z dźwięcznym stukotem.

Do otwarcia drzwi niezbędna była spora siła eksplozji, a on nie dysponował żadnym ładunkiem wybuchowym.

Hurati odkręcił płytę czołową alarmowego panelu i dźgał na chybił trafił czubkiem noża labirynt obwodów i przełączników. Hokan wyjął świetlny miecz i z rozmachem ciął energetyczną klingą blasteroodporną płytę przegrody. Pomogło mu to dać upust frustracji, ale skutku nie zauważył.

Vzzzmmm.

W powietrzu dała się wyczuć intensywna woń ozonu, a Hokan spojrzał na powierzchnię, która jeszcze chwilę wcześniej była zupełnie gładka. Zauważył wyraźne wgłębienie.

Zamachnął się ponownie świetlistą klingą tym razem w sposób bardziej kontrolowany. Zbliżył twarz do stygnącego stopu, zamknął jedno oko, zmrużył drugie i przyjrzał się z bliska powierzchni przegrody. Klinga broni Jedi rzeczywiście zagłębiała się w płytę.

Doszedł jednak do wniosku, że w tym tempie wycięcie otworu zajmie mu wiele godzin. A czas był luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić.

Coś wbiło się z hukiem w ścianę korytarza.

Darman nawet nie usłyszał odgłosu strzału z rozpryskowego karabinu. Użytkownik verpińskiego miotacza nie mógł być nigdy pewny trafienia, ale gdyby trafił, prawdopodobnie wszyscy by się o tym dowiedzieli.

– A niech to, ale szczerba – odezwał się Atin. – Nasza miła pani doktor chyba jednak nie zamierza się poddać bez walki.

– Niner, słyszycie to samo co my? – zapytał Darman. – Znaleźliśmy



ją. Tak po prostu.

W słuchawce hełmu rozległ się cichy odgłos czegoś, co się poruszyło. Komandos wyłączył obraz. W głosie dowódcy brzmiała niemal ulga.

– To pierwszy łut szczęścia, jaki się nam trafił – zauważył Niner.

– Ta-a, ale badaczka jest uzbrojona w verpiński karabin rozpryskowy.

– To delikatny miotacz i nie daje odrzutu – odparł sierżant. – A jeżeli chodzi o samą Uthan, postarajcie się ją nastraszyć.

– Parę razy już próbowaliśmy i nic z tego.

– Jeżeli potrzebujecie pomocy, to uprzedzam, że będziemy mieli pewne problemy z dostaniem się do ośrodka – stwierdził Niner. – Prawdopodobnie wszystkie awaryjne przegrody są w tej chwili zamknięte.

– Na zewnątrz wszystko w porządku?

– Jeżeli nie liczyć ostrzału z dział „Majestatycznego”, tak – przyznał sierżant. – Nie chcemy wskazywać im jako celu całego budynku, dopóki jesteście w środku.

– Moglibyście wrócić po drugi taran i spróbować wyważyć frontowe drzwi – zaproponował Darman.

– A chcesz, żebyśmy to zrobili?

– Postaramy się wyjść z doktor Uthan przez system kanalizacyjny – odparł podwładny. – Jeżeli nie damy rady, przystępujemy do planu D.

– Głowa do góry, wciąż jeszcze pozostają wam plany od E do Z – wtrącił Fi.

– Któregoś dnia, Fi, dobioreę ci się porządnie do skóry – obiecał Darman.

Atin uniósł rękę, żeby go uciszyć, i Darman usłyszał szmer prowadzonej bardzo cichym szeptem rozmowy. Chwilę później rozległ się trzask zamykanych drzwi i szczęk zamka. A zatem to nie były automatycznie zamykane drzwi awaryjne. Uthan miała towarzystwo.

– Jeszcze nie wie, na co mnie stać – powiedział do siebie Darman, odwijając kilka centymetrów termicznej taśmy. Wysunął za róg

czujnik endoskopu, bo mimo wszystko nie chciał wystawiać pancerza na strzał z verpińskiego karabinu. – Potrzeba czegoś więcej niż zwykły zamek, kochanie, żeby uniemożliwić mi dostanie się do środka.

Przylgnął plecami do ściany i zaczął powoli posuwać się w kierunku drzwi. Kiedy dotarł bardzo blisko, drzwi nagle się otworzyły i Darman stanął oko w oko z dwoma Trandoshanami, którzy na jego widok skamienieli. Może powodem był jego pancerz? Darman pamiętał, że czasami jego widok wywiera takie wrażenie.

Nie miał dokąd uciekać.

Przy niektórych okazjach można było zrobić właściwy użytek z broni, a przy innych nie. Dece nie były dobrą bronią na bezpośrednią odległość, chyba że używało się ich jako maczugi. Reagując odruchowo, Darman zamierzył się do ciosu, zanim zdążył zadać sobie pytanie, co zrobi z materiałem wybuchowym w dłoni. Wypuścił termiczną taśmę i postanowił grzmotnąć przeciwnika pięścią w twarz. Mimo opancerzonej rękawicy poczuł się tak, jakby uderzył w skałę. Trandoniec zatoczył się i cofnął dwa kroki, a w tym czasie jego kolega rzucił się na komandosa z nożem. Zawahał się jednak na sekundę i spojrzał najpierw na ostrze, a później na pancerz przeciwnika.

– Atin, nie zechciałbyś mi tu pomóc? – zapytał cicho Darman. Cofnął się krok i wysunął wibroostrze.

– A do czego ci... och.

– Ta-a. Och – powtórzył komandos.

Zainstalowane na stałe wibroostrze miało tę zaletę, że nikt nie mógł ci go wytrącić z dłoni, jeżeli przy okazji nie zamierzał odciąć całej ręki. Trandoniec widocznie się zastanawiał, czy tego nie zrobić, ale kiedy się rzucił na przeciwnika, ostrze jego noża ześlizgnęło się po płytce naramiennika.

Darman zaatakował Trandońca głową, odepchnął go pod ścianę i przytrzymując jedną ręką usiłował drugą wsunąć wibroostrze w miękkie ciało. Z początku zamierzał je wbić w gardło – główne arterie krwioobiegu, szybki skutek – ale przeciwnik ścisnął z całej siły jego nadgarstek. Komandos musiał użyć całej siły, żeby nieprzyjaciel nie wbił mu w gardło klingi noża. Wyglądało na to, że obaj znaleźli się w

impasie.

Kombinezon był odporny na ciosy nożem. Ale czy na pewno?

Darman wciąż jeszcze nie widział Atina. Musiał dać sobie radę sam, a nie mógł zrobić tego szybko, skoro walczył z Trandońcem. Nadszedł czas na zastosowanie taktyki zaczerpniętej z barowych bijatyk, z którymi Skirata starał się zapoznać wszystkich komandosów. Darman dotknął butem łydki przeciwnika i z całej siły opuścił opancerzoną podeszwę na jego stopę. Trandoniec zwolnił ucisk palców zaledwie na ułamek sekundy, ale komandos niczego więcej nie potrzebował. Zdążył kilkakrotnie dźgnąć go wibroostrzem. Nie był pewny, gdzie trafia, ale słyszał rżenie przeciwnika, z każdą chwilą cichsze.

Skirata miał rację. Zadanie przeciwnikowi ciosu w tułów było zbyt wolnym sposobem zabicia wroga. Darman przycisnął przedramię do szyi Trandońca i przytrzymał go cały czas, kiedy przeciwnik osuwał się plecami po ścianie. Dopiero kiedy wróg runął na posadzkę, komandos uklęknął na jego piersi i wbił mu wibroostrze w szyję w taki sposób, żeby klinga przecięła tchawicę.

Kiedy obca istota przestała się ruszać, Darman wstał i spojrzał na Atina. Jego towarzysz, głośno klnąc, stał nad zwłokami drugiego Trandońca. Wokół było widać pełno krwi, ale to nie była krew Atina.

– Poradziłbym sobie nawet bez twojej pomocy – stwierdził Darman.

– Mógł odwrócić twoją uwagę – zauważył Atin. – To na czym skończyliśmy?

Miałem zamiar posłużyć się swoim uniwersalnym kluczem. – Darman schylił się i podniósł z posadzki termiczną taśmę. Otarł ją o rękaw, zainstalował detonator i przymocował do zamka drzwi. Stanęli obok zawiasów, a Atin wymierzył w drzwi trandoshański blaster matrycowy, z którym tak nie chciał się rozstać.

– Atin, mamy ją brać żywcem – przypomniał Darman.

– Ma towarzystwo – powiedział kolega. Darman spojrzał na jego blaster.

– Więc możesz go użyć, ale tylko w ostateczności – zezwolił.

– Powiedzieliby nam, gdyby chcieli się jej pozbyć definitywnie. –

Wyjął granat ogłuszający i drugi miniaturowy, z emiterem elektromagnetycznych impulsów, bo za drzwiami mogły się znajdować także bojowe roboty. Chwilę żonglował jedną ręką obiema kulami.

– No dobrze, wysadzam zamek i wrzucam obie zabawki. Pierwsze pięć sekund nie będą wiedzieli, co się dzieje. Ja porywam Uthan, a ty strzelasz do wszystkiego, co jeszcze będzie się ruszało.

– Zrozumiałem.

– Osłaniaj mnie.

Łup! Drzwi eksplodowały i w powietrze poszybowały drzazgi kuvarowego drewna. Darman pochylił się i wrzucił do środka obie niespodzianki. Pomieszczenie wypełnił na dwie sekundy oślepiający błysk o natężeniu dwóch tysięcy kandel i huk o sile stu sześćdziesięciu decybeli. Darman wpadł do środka, zanim to sobie uświadomił. Kiedy Atin zaczął posyłać pociski z matrycowego blastera w różne punkty pomieszczenia, rzucił się na Uthan i przyspilił ją do posadzki.

W końcu kurz i dym się rozproszyły. Darman spojrzał na skrepowaną kajdankami badaczkę. Nie pamiętał, kiedy ją skuł, ale złożył to na karb przyływu adrenaliny. Z jakiegoś powodu spodziewał się oporu, Uthan jednak tylko cicho jęczała. Przywykł do wytrzymałości Etain i musiał sobie przypomnieć, że Uthan jest zwyczajną kobietą... niewyćwiczoną, nieodporną i – jeżeli nie liczyć umysłu – nieprzedstawiającą szczególnego zagrożenia.

Podniósł jej verpiński karabin i wymierzył w ścianę. Usłyszał tylko cichy furkot i broń się zacięła. Niner miał rację... verpińskie karabiny nie dawały odrzutu. Mogło też być tak, że miniaturowy emiter elektromagnetycznych impulsów na jakiś czas przysmażył elektroniczne obwody broni.

– Tu Darman – zameldował. – Mamy Uthan. Powtarzam, mamy Uthan.

Usłyszał radosny okrzyk Fi, ale zaraz do rozmowy włączył się Niner.

– Czy to znaczy, że już skończyliście? – zapytał.

Jeszcze tylko się upewnimy, czy o czymś nie zapomnieliśmy –

powiedział Darman. – Hej, Atin?

Obejrzał się przez ramię. Kolega z matrycowym blasterem w dłoniach wpatrywał się w posadzkę, na której leżały ciała czterech osób. Jakby powiedział Fi, panował spory bałagan.

Trzy ofiary były Trandoshanami, a czwarta młodą rudowłosą kobietą która nie tylko nie była powabna, ale nawet możliwa do rozpoznania. Darman zastanowił się, czy dziewczyna nie jest przypadkiem córką Uthan, ale zaraz przyszła mu do głowy inna możliwość. Spojrzał na badaczkę.

– Ile ma tu pani osób personelu? – zapytał. Zdjął hełm i odwrócił Uthan na plecy, żeby spojrzeć jej w twarz. – Ile? – powtórzył.

Wyglądało na to, że badaczka powoli odzyskuje panowanie nad sobą.

– Zamordowaliście moją asystentkę – oznajmiła.

– Miała blaster – powiedziała Atin cicho.

Darman pochylił się i potrząsnął kobietą.

– Proszę pani, niedługo wysadzę ten budynek w powietrze, więc pani współpracownicy, jeżeli jakichś pani ma, i tak zginą – uprzedził.

Uthan wpatrywała się w jego twarz z roztargnieniem, jakby jej to w ogóle nie obchodziło.

– Naprawdę jesteś klonem? – zapytała w końcu.

– Chciałbym powiedzieć, że jedynym, ale wie pani, że tak nie jest – odparł komandos.

– Zdumiewające – stwierdziła Uthan.

– Personel? – powtórzył z naciskiem Darman.

– Pozostało jeszcze czworo – wyznała kobieta. – To zwykli naukowcy. Cywile.

Darman otworzył usta i bez zastanowienia powtórzył słowa, które wpajał im kiedyś Skirata:

– Nie wszyscy żołnierze noszą mundury, proszę pani. Najwyższy czas, żeby ci naukowcy wzięli odpowiedzialność za rolę, jaką odgrywają w tej wojnie.

Tak, to była sprawa osobista. Nic podczas tej wojny nie mogło być bardziej osobistego niż wirus skierowany tylko przeciwko tobie i twoich braciom. Komandos postanowił nawiązać łączność z dowódcą.

– Tu Darman – powiedział. – Sierzancie, gdzieś w tym budynku znajdują się także członkowie personelu doktor Uthan. Co mamy robić? Starać się ich stąd wyprowadzić?

– Skontaktuję się z „Majestatycznym”. Zaczekaj chwilę. – Na jakąś minutę łączność z Ninerem się urwała, ale później Darman znów usłyszał głos dowódcy w słuchawkach hełmu. – To nie jest konieczne. Zabierzcie tylko Uthan i dajcie nam znać, kiedy zamierzacie wysadzić ośrodek w powietrze.

– Wykonywali tylko rozkazy – zaprotestowała badaczka.

– Ja też je wykonuję – przypomniał Darman. Związał Uthan linką od spadochronu i zakneblował kawałkiem prześcieradła. Zawiązał jej także kaptur na głowie, sam włożył hełm i zarzucił sobie Uthan na ramię. Pomyślał, że ucieczka z nią tunelami gdanów będzie nie lada wyzwaniem. Ruszył do centralnego laboratorium, a Atin podążył za nim.

Wślizgnęli się z powrotem do rury ściekowej. Darman miał nadzieję, że znajdą drogę na powierzchnię bez pomocy Jinart jako przewodniczki.

Hokan czuł szczypanie potu napływającego do oczu. Zgasił energetyczną klingę i zbadał wyraźne wgłębienie w przegrodzie.

Nie było bardzo głębokie ani nie powstawało wystarczająco szybko i Hokan o tym wiedział. Chodziło mu tylko o to, żeby się czymś zająć. Nie mógł pomóc Huratiemu, więc wyładowywał frustrację na stopie, z którego wykonano blasteroodporną przegrodę, ale osiągnął tylko tyle, że zatechłe powietrze stało się jeszcze bardziej gorące.

W pewnej chwili usłyszał syk powietrza. W pierwszej chwili pomyślał, że puściła jakaś uszczelka. Nie puściła.

Winę za syk ponosił Hurati.

Mandalorianin w kilku susach pokonał odległość do gabinetu. Obawiał się, czy młody kapitan nie uległ porażeniu, bo – choć nie bardzo chciał się do tego przyznać – troszczył się o jego bezpieczeństwo. Okazało się jednak, że Umbaranin jest cały i zdrowy.

Oparty o biurko, stał ze spuszczoną głową i cały się trząsał. Kiedy się wyprostował, na jego spoconej twarzy malował się szeroki uśmiech. Po jego nosie spłynęła kropla potu i chwilę wisiała na czubku, zanim Hurati zgarnął ją czubkiem palca.

– Proszę spojrzeć na płytę czołową kontrolnej tablicy, panie majorze – powiedział.

Hokan odwrócił się i zerknął na urządzenie. W mozaice czerwonych światełek widniało obecnie kilka zielonych.

– To przegrody druga, szósta i dziewiąta, proszę pana – ciągnął Hurati. – Teraz będę się starał otworzyć pozostałe. Musiałem wypróbować wszystkie sekwencje, a to bardzo wiele permutacji. – Pokręcił głową i znów zaczął ostrożnie dźgać czubkiem noża płytkę z obwodem drukowanym. – Musi pan jednak wiedzieć, że kiedy przegrody się podniosą pozostaną zablokowane i nie będą mogły opaść.

– To lepiej niż gdyby miały pozostać zablokowane w położeniu zamkniętym – odparł Hokan.

Obserwując kontrolną tablicę, zauważył, że kolejne światełka, jedno po drugim, zmieniają barwę z czerwonej na zieloną. Chwilę później poczuł na twarzy podmuch chłodnego powietrza.

Otworzyły się frontowe drzwi.

Mandalorianin spodziewał się, że przeleci przez nie rakietą albo salwa blasterowych błyskawic, ale wpadało tylko ciche i chłodne, chociaż przesycone wonią dymu nocne powietrze.

– Hurati – odezwał się Hokan. – W tej chwili nie mógłbym cię bardziej kochać, nawet gdybyś był moim synem – zaczął. – Przypomnij mi któregoś dnia, że to powiedziałem.

Wyciągnął blaster i puścił się biegiem głównym korytarzem. Minał kilka robotów, przeskoczył nad poszarpanymi metalowymi płytkami i zwłokami zabitego Umbaranina, po czym wpadł do pomieszczenia, w którym pozostawił Uthan pod opieką trandoszańskich strażników.

Na poły świadomie się spodziewał, że zobaczy ją leżącą z dziurą w głowie obok nich na posadzce. Miał taką nadzieję, bo to by oznaczało, że Republika nie będzie mogła skorzystać z wyników jej doświadczeń. Przekonał się jednak, że badaczka zniknęła. Pochylił się, podniósł

verpiński blaster i spróbował z niego strzelić, ale broń cicho zafurczała i zamilkła. Domyślił się, że albo Uthan nie dała rady z niej wystrzelić, albo komandosi posłużyli się granatem wytwarzającym silny impuls pola elektromagnetycznego.

Ostrożnie stąpając między zwłokami, wyszedł na korytarz wiodący do centralnego laboratorium. Obawiał się pułapek, więc tylko w przelocie zaglądał do mijanych po drodze pomieszczeń pomocniczych, magazynów i schowków. Otwierając kolejne drzwi, usłyszał dobiegający z ciemności cichy płacz. Włączył oświetlenie.

W kącie kuliło się czworo pozostałych przy życiu członków zespołu naukowobadawczego doktor Uthan: trzech młodych mężczyzn i trochę starsza od nich kobieta. Jeden z laborantów trzymał blaster, ale kierował lufę w posadzkę. Na widok Hokana wszyscy zamrugali i zamarli.

– Zostańcie tu – polecił Mandalorianin. – Może tylko wy ocalejecie z całego programu badań nad nanowirusem. Nie ruszajcie się stąd.

Nic nie wskazywało, żeby się dokądkolwiek wybierali.

W końcu Hokan dotarł do izolowanego pomieszczenia. Jediną oznaką że wydarzyło się tu coś złego, był widoczny pośrodku posadzki szerniały otwór o poszarpanych krawędziach, w miejscu, w którym kiedyś znajdowała się ukryta kłapa systemu ściekowego.

Wojownik powiódł spojrzeniem po ścianach, półkach i szafkach. Popęłnił błąd. Pozwolił sobie na straszliwe niedopatrzenie. Nie zadał sobie trudu sprawdzenia, jak wyglądają pojemniki z nanowirusami ani ile ich przechowywano. Przez oszklone drzwi szafek widział puste miejsca na półkach. Szarpnął uchwyty, ale drzwiczki były zamknięte.

Wrócił korytarzem do pomieszczenia, w którym kulili się laboranci, i chwycił za ramię pierwszego z brzegu młodego mężczyznę.

– Wiesz może, jak wyglądają te nanowirusy? – zapytał. Młodzieniec zamrugął.

– Mają strukturę opartą na... – zaczął niepewnie.

– Idiota – przerwał Hokan i wymierzył wskazujący palec we własne oko, aby szybciej dać do zrozumienia, że chodzi mu o wygląd.

– Jak wyglądają pojemniki, w których się je trzyma? Ile ich było?



Pospiesz się! Zaczynij myśleć! – Poderwał laboranta na nogi i niemal zaciągnął korytarzem do centralnego pomieszczenia. – Pokaż mi je! – zażądał.

Chłopak wskazał szafkę z nieprzezroczystymi drzwiczkami.

– Czternaście fiolek ze stopu jakichś metali, zamkniętych w próżnioszczelnej kasetce – powiedział.

– Otwórz szafkę i sprawdź, czy jeszcze są – polecił Mandalorianin.

– Nie mogę – odparł laborant. – Wszystkie klucze i kody dostępu ma Uthan.

– Czy nieprzyjaciele mogli otworzyć szafkę i po prostu znów ją zamknąć?

– W normalnych okolicznościach powiedziałbym, że to niemożliwe, ale sam kiedyś mówiłem, że niemożliwe jest dostanie się do tego ośrodka.

Miejsce, w którym znajdowała się kiedyś kłapa systemu ściekowego, było teraz dziurą o poszarpanych brzegach, wyłożonych zwęglonymi i połamanymi płytkami. Metalowe obramowanie było powyginane i poskręcane. Hokan spojrział w głąb mrocznego otworu i zobaczył rumowisko.

W pierwszej chwili nie był pewny, czy naprawdę ma do czynienia z ludźmi, czy może z jakimiś dziwnymi, nieznanymi formami życia. Wiedział, dokąd uciekają. Musiał ich wytropić, by uniemożliwić im porwanie doktor Uthan i wyników jej badań nad nanowirusami.

Jeżeli czegoś takiego mogła dokonać garstka sklonowanych żołnierzy, Hokan niemal bał się pomyśleć, do czego mogą być zdolne miliony.

# ROZDZIAŁ

# 18

*Podczas walki nigdy nie dysponuje się kompletnymi informacjami, drodzy panowie. Właśnie taką sytuacją określa się jako wojenny zamęt. Można albo siedzieć bezczynnie i się zastanawiać, co jest prawdą, a co nie, albo dojść do wniosku, że nieprzyjaciel także tego nie wie, i ze względów psychologicznych oddać kilka strzałów. Naprawdę dobra armia to taka, która musi tylko potrząsnąć szabelką, żeby wygrać wojnę.*

— Sierżant Kai Skirata

– Omega do „Majestatycznego”. Stop, stop, stop. Przerwać ogień.

Niner odczekał kilka sekund, zanim się poruszył. Pamiętał, że na północny zachód od ośrodka rosną drzewa, ale obecnie ich nie widział. Nie można było uzależniać niczyjego życia od celności artyleryjskiego wsparcia. Poczołgał się naprzód na brzuchu i wsparł na łokciach, żeby omieść spojrzeniem teren przed sobą. Najpierw skorzystał z lornetki przesłony hełmu, a później z lunety swojego DC-17.

Nic się nie poruszało, chociaż i tak nikt obdarzony odrobiną zdrowego rozsądku nie wystawiałby się na strzały i nie stawał pośrodku jaskrawo oświetlonych drzwi wejściowych.

Ośrodek stracił zupełnie drewniane szalowanie, które nadawało mu wygląd domu mieszkalnego miejscowej farmy, a frontowe drzwi z wytrzymałego stopu były obecnie szeroko otwarte. Kilka pierwszych sekund Niner niemal się spodziewał, że zobaczy wychodzących przez

nie Darmana i Atina, a Kai Skirata zawoła: „Koniec ćwiczeń!” Tym razem jednak komandosi nie brali udziału w ćwiczeniach, a noc się jeszcze nie skończyła.

Zajmujący stanowisko za jego plecami Fi sięgnął po swój Dece i wymierzył nasadkę snajperską w drzwi, żeby dać ognia do każdej osoby na tyle szalonej, aby wychodzić na podwórze. Gdyby jednak z ośrodka rzeczywiście ktoś wyszedł, i to z podniesionymi rękami, Niner podejrzewał, że kolega nie poświęciłby nawet ułamka sekundy, żeby się zastanowić przed strzałem.

– Dar, Atin, czy możecie potwierdzić swoją pozycję? – zapytał.

Musiał poczekać na odpowiedź.

– Jesteśmy gdzieś, gdzie jest ciemno jak w piekle i cuchnie jak diabli, a ja ciągnę półprzytomną kobietę – odezwał się w końcu Atin.

– To całkiem jak upojne chwile w „Pozaświatowcu” – stwierdził sierżant, chociaż nie miał pojęcia, jak naprawdę wygląda wnętrze nocnego klubu i prawdopodobnie nigdy nie miał się tego dowiedzieć. Pomyślał, że rzucona od niechcienia uwaga musiała wypłynąć z jego podświadomości. – Czy Uthan jest ranna?

– Dar miał powyżej uszu użerania się z nią i zaaplikował jej porcję środka uspokajającego – wyjaśnił komandos.

– Ile jeszcze upłynie czasu, zanim będziecie mogli zdetonować ładunki?

Ze słuchawek hełmu Ninera wydobyły się stłumione dźwięki. Brzmiały, jakby Atin rozmawiał z kolegą bez pośrednictwa komunikatora. Prawdopodobnie zdjął hełm, żeby wypić łyk wody. Porwana kobieta wydawała niezrozumiałe pomruki, ale Niner usłyszał wyraźnie głos Darmana.

– Zamknij się, dobrze?

Nie musiał się uciekać do pomocy lekarza, żeby określić poziom hormonów stresu w krwi komandosa. Po chwili znów usłyszał głos Atina.

– Przy tym tempie marszu za jakieś pół godziny.

– Fi, jak szybko dałbyś radę pokonać kilometr? – zapytał Niner.

– Bez obciążenia i z odpowiednią motywacją? – odparł kolega. – Mniej więcej w trzy minuty.

Największym problemem komandosów była na razie synchronizacja. Musieli uniemożliwić wyjście z ośrodka wszystkim, którzy jeszcze w nim przebywali, dopóki Darman nie znajdzie się w odpowiedniej odległości, aby wywołać wybuch ładunków implozyjnych. Niner ciekaw był, jak długo mogą jeszcze czekać artylerzyści „Majestatycznego” i ile czasu upłynie, zanim załoga okrętu będzie musiała stoczyć walkę z jednostką Unii Technokratycznej. Postanowił się tego dowiedzieć.

– „Majestatyczny”, tu Omega – powiedział. – Co robi w tej chwili ta jednostka Technokratów?

– Przechyla się na bakburcie i trochę dymi, Omega – usłyszał w odpowiedzi.

– Wynika z tego, że i wy mieliście sporo roboty.

– Damy wam znać, jeżeli będziemy naprawdę zajęci. Wysyłamy po was kanonierkę. Będzie czekała, kiedy dotrzecie do punktu ewakuacyjnego.

Niner wycofał się na czworakach do miejsca, w którym leżał Fi, i trącił komandosa.

– Właściwie mógłbyś się teraz udać z Etain do punktu ewakuacyjnego – powiedział. – Dam sobie sam radę z utrzymaniem tej pozycji.

– Nie.

– Mam ci wydać rozkaz?

– Wiem, że jesteś sierżantem, ale w tej chwili ignoruję twoje rozkazy.

Po drugiej stronie Fi pojawiła się padawanka w towarzystwie Jinart.

– O co chodzi? – zapytała.

– Wysyłają po nas kanonierkę – odparł Niner. – Proponuję, żebyście ty i Fi udali się do punktu ewakuacyjnego i czekali tam, aż wyląduje.

– Gdzie jest Darman?

– Pokonał mniej więcej pięćdziesiąt metrów od ośrodka i znajduje się teraz w tunelu – odparł komandos. – Ciężko mu idzie.

– A jednak to najszybszy sposób wydostania się stamtąd –

stwierdziła Gurlanka. – No, chyba żeby wykopać ich z tego tunelu.

– Przekopanie pięciu metrów gruntu bez narzędzi czy ładunków wybuchowych zajmie mnóstwo czasu. – Niner odwrócił się do Etain. – Czy mogłaby pani im jakoś pomóc? – zapytał.

Młoda Jedi odgarnęła z twarzy kosmyk zmierzwionych włosów.

– Jeżeli Jinart określi najwęższe miejsce tunelu, mogę postarać się rozepchnąć glebę na boki – powiedziała. – Im dokładniej to sobie wyobrazę, tym większe będę miała szanse posłużenia się Mocą. Muszę wiedzieć, co się dzieje w moim umyśle.

– Potrafię określić miejsce, w którym przebywają – obiecała Gurlanka.

Fi spojrzał na padawanę.

– Tylko niech pani nie zapomni o zabraniu swojego świetlnego miecza – powiedział. – Ale proszę go użyć tylko wówczas, kiedy chybi pani z tego. – Wręczył jej swój blaster.

Etain wsunęła go za pas.

– Przekonałeś mnie – stwierdziła.

Jinart pokonywała odległość bardzo szybko. Kiedy biegła z pyskiem przy ziemi na wszystkich czterech łapach, Etain miała kłopoty z dotrzymaniem jej kroku. Rytmicznemu sapaniu wężącej Gurlanki towarzyszyły chrapliwe dźwięki oddechu młodej Jedi.

Przeszukując wzdłuż i wszerz pole na wschód od ośrodka, starały się zlokalizować fragment tunelu, którym wycofywali się obaj komandosi. W pewnej chwili Etain wyczuła Darmana. Byli blisko.

– Czy kierujesz się zapachem, Jinart? – zapytała zdyszana padawanka.

– Nie, wsłuchuję się w echa.

– Słuchasz nosem? – zdziwiła się Etain.

– To moja sprawa, gdzie mam uszy. – Jinart zamarła, wbiła czubek pyska w grunt i kilka razy głośno prychnęła. – Tu. Kop tu – poleciała.

– Chyba wiedzą że jesteśmy dokładnie nad nimi – odezwała się młoda Jedi.

– Niedokładnie – wyprowadziła ją z błędu Gurlanka. – Znajdują się

w tunelu dziesięć metrów dalej. Gdybyś zaczęła rozpychać grunt nad miejscem, w którym są mogłabyś ich zupełnie pogrzebać.

Etain nie była pewna, czy odpowiedź Jinart jest informacją z zakresu procedury ratunkowej, czy też komentarzem na temat jej kompetencji jako padawanki, ale nic jej to nie obchodziło. W tunelu znajdował się Darman, który potrzebował jej pomocy. Atin także tam tkwił, ale młoda Jedi skupiła myśli na Darmanie, bo komandos... bo był jej przyjacielem.

Prawie mogła sobie wyobrazić, jak tłumaczy jej, że uczuciowość to luksus, na który dowódca nie może sobie nigdy pozwalać.

– A zatem zaczynamy – powiedziała bardziej do siebie niż do Jinart.

Uklękła obok trasy, którą biegł tunel, i oparła dłonie płasko na powierzchni gruntu. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie labirynt podziemnych chodników o nierównych ścianach i o sklepieniu, z którego zwieszają się korzenie drzew, podobne do splątanych sznurów. Dostrzegła niewielkie kamienie i pokłady bursztynowej gliny.

Kiedy skupiła się jeszcze bardziej, zauważyła mniejsze korzonki, a nawet pojedyncze drobiny minerałów i żyłki organicznego materiału. Uświadomiła sobie, że oddycha coraz wolniej. Czuła się, jakby płuca w jej ciele nie poruszały się same z siebie, ale kurczyły je i rozkurczało otaczające ją powietrze... powoli i rytmicznie kurczyło je i rozkurczało.

I w końcu zobaczyła wolną przestrzeń wokół każdej mikroskopijnej cząsteczki. Odstępy między drobinami były niewyobrażalnie małe, ale nie wypełniała ich próżnia. Etain czuła to. Panowała nad materią na podstawowym, subatomowym poziomie. Całym ciałem wyczuwała panujące w niej ciśnienie.

Musiała tylko nadać jej nowy kształt.

Wyobraziła sobie, że wolne przestrzenie po bokach tunelu kurczą się i maleją. Ścisnęła ściany, ale zarazem je wzmacniała, żeby tunel się nie zawalił. Zobaczyła, że nad jej głową – bo wydawało jej się, że sama leży w tunelu na plecach i patrzy na sklepienie – rozszerza się wolna przestrzeń.

Cząsteczki rozsuwały się coraz dalej na boki, a wolna przestrzeń wpływała między nie i przemieszczała. Później zaś przestrzeń popłynęła w górę, żeby je unieść, i w końcu została tylko ona.

Etain uświadomiła sobie, że coś chłodnego i wilgotnego styka się z grzbietami jej dłoni, i otworzyła oczy. Klęczała w miękkiej, sypkiej glebie, która wyglądała, jakby cierpliwy ogrodnik przesiał ją, żeby przygotować do siewu ziarna.

Spojrzała w dół i zobaczyła świeży wykop. Po obu bokach widniały pryzmy, usypane tak równo, jakby wyrzuciła ją koparka.

– To było coś niesamowitego. – Młoda Jedi usłyszała dobiegające z boku słowa Jinart. W tonie jej głosu brzmiał niemal bałwochwalczy podziw. – Naprawdę niesamowitego.

Etain przysiadła na piętach. Zamiast wyczerpania, jakie zazwyczaj ją ogarniało, kiedy posługiwała się Mocą do przemieszczania przedmiotów, czuła się pokrzepiona. Jinart wskoczyła do wykopu i zniknęła. Kilka minut później z ciemności w dole wyłoniła się podświetlona na niebiesko, znajoma przesłona hełmu z rozcięciem w kształcie litery T. Tym razem ten widok nie wprowadził padawanki w przerażenie.

– Zawsze możesz liczyć na pracę w przemyśle wydobywczym, dowódcu – odezwał się Darman.

Kiedy się wygramolił z wykopu, Etain bez zastanowienia podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. Czuła się dziwnie, obejmując kogoś, kto wyglądał prawie jak android, ale jej serce przepelniała ulga, że komandos nie zginął. Chwilę później poczuła się zakłopotana, puściła go i cofnęła się krok.

– Ta-a, byłem w rurdze ściekowej – przyznał Darman takim tonem, jakby dręczyły go wyrzuty sumienia. – Przepraszam.

Z okopu dobiegł nagle głos Atina.

– Dar, zamierzasz tam stać całą noc i podlizywać się dowódcy czy raczej pomożesz mi wypchnąć ten pakunek na górę? – zapytał komandos.

– Jakżebym mógł o tym zapomnieć – mruknął Darman.

Postępując i klnąc, obaj wywlekli w końcu na skraj wykopu dokładnie związaną doktor Uthan. Etain ściągnęła kaptur z głowy

badaczki i spojrzała w jej półprzymknięte oczy. Kobieta co kilka chwil odzyskiwała i traciła przytomność.

– Ile jej zaaplikowaliście? – zaniepokoiła się padawanka.

– Wystarczająco dużo, żeby się zamknęła – odparł Darman. Etain miała nadzieję, że badaczka nie zadławi się na śmierć własnymi wymiocinami. Zawsze istniało takie ryzyko w przypadku silnych dawek środków uspokajających. Komandosi nie po to zadali sobie tyle trudu, żeby pozwolić jej umrzeć. Atin nachylił się, a Darman dźwignął Uthan i zarzucił mu ją na plecy.

– Zmiany co dziesięć minut – stwierdził Atin. – Będę liczył.

– Mam nadzieję, że okaże się warta tego trudu – odezwała się młoda Jedi.

– Ja też – przyznała Jinart. – Musicie sami wyruszyć w dalszą drogę. Zrobiłam wszystko, co mogłam. – Spojrzała na Etain. – Nie zapominaj o nas, Jedi. Pamiętaj, co zrobiliśmy dla Republiki. Liczę na to, że pomożesz nam odzyskać tę planetę. Dotrzymaj swojej obietnicy.

Gurlanka obrzuciła jeszcze Etain przeciągłym spojrzeniem, po czym rozplynęła się po powierzchni gruntu niczym czarna ciecz i zniknęła w poszyciu.

– I pomyśleć, że o mało jej nie zastrzeliłem – odezwał się Darman, kręcąc głową. Komandosi pozbierali sprzęt i ruszyli do punktu ewakuacyjnego. Zwrócili uwagę, że tym razem wokół nich nie kręci się ani jeden gdan.

Ghez Hokan ustawił młodych naukowców w szeregu na korytarzu za frontowymi drzwiami ośrodka i gestem dał znak Huratiemu.

– Na mój rozkaz zgasisz światło – powiedział.

– Panie majorze, co zrobimy, skoro nasz śmigacz został zniszczony? – zapytał Umbaranin.

Hokan uznał, że to dość głupie pytanie jak na tak błyskotliwego oficera. Podwładnemu chodziło pewnie o to, jak daleko niewyszkoleni cywile dadzą radę zajść piechotą zanim dostaną się w ręce nieprzyjaciół.

– Będziemy biegli – powiedział. – Po prostu biegli.



Odwrócił się do czworga biologów. Liczył na to, że – jak często w takich przypadkach – strach zwielokrotni ich siły.

Spojrzał na jedyną kobietę.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

– Cheva – odparła laborantka.

– No cóż, Chevo, kiedy zgasną światła, trzymaj się blisko mnie i biegnij tak szybko jak potrafisz – powiedział. – Rozumiesz?

– Tak.

– A jeżeli kapitan albo ja krzykniemy „padnij”, natychmiast rozplaszczysz się na ziemi. Zrozumiałaś?

– Może pan być pewny, że tak.

– Hurati, biegniesz ostatni – rozkazał Mandalorianin. – Tylko uważaj, żebyś nikogo nie zgubił.

Hokan spodziewał się, że lada chwila rozpocznie się znów laserowe bombardowanie z orbity. Na zewnątrz było wprawdzie cicho, ale wojownik miał przecucie, że ostrzał się rozpocznie, kiedy tylko wybiegną z ośrodka. Nie mógł go bronić, bo zablokowane frontowe drzwi nie dawały się zamknąć. W ciemności kryła się jeszcze co najmniej jedna drużyna nieprzyjacielskich komandosów. Jego ostatnią szansą była ucieczka z pozostałymi przy życiu naukowcami doktor Uthan i ukrycie ich w bezpiecznym miejscu. Dopiero później Hokan zamierzał wyruszyć na poszukiwania samej badaczki.

Tak czy owak, planował za wszelką cenę ocalić z jej programu badań nad nanowirusem wszystko, co się uda. Na razie nie układał planów na dalszą przyszłość.

– Jesteś gotów, Hurati? – zapytał.

– Tak jest, panie majorze – usłyszał w odpowiedzi.

Hokan włożył mandaloriański hełm, po części dla poprawy samopoczucia, ale głównie dla ochrony.

– Światła!

# ROZDZIAŁ

# 19

KAPITAN „MAJESTATYCZNEGO” DO DOWÓDZTWA NA CORUSCANT  
CZEKAMY W GOTOWOŚCI NA POWRÓT LAAT/I Z QIILURY. INFORMUJEMY, ŻE  
WYKRYLIŚMY DWA OKRĘTY FEDERACJI HANDLOWEJ, NADLATUJĄCE Z RAMIENIA TINGEL  
W CELU WZMOCNIENIA GARNIZONU PLANETY. „ZEMSTA” ZAJMUJE POZYCJĘ, ŻEBY  
CHRONIĆ NASZĄ FLANKĘ.

– Oddaliliśmy się prawie kilometr od ośrodka – poinformował Darman. – Możemy zaczynać w każdej chwili.

Niner klepnął otwartą rękawicą w bok hełmu. Chyba zaczynał mieć taki nerwowy tik.

– Dobrze – powiedział. – Do zobaczenia w PE.

– Daj mi jeszcze kilka minut.

Fi odgiął niedbale kciuki ku górze i poprawił płytkę naramiennika. Pięć minut w ich sytuacji potrafiło się ciągnąć jak wieczność.

– Hej, co tam się dzieje? – zapytał nagle Niner. – Dar, wstrzymaj się. Zaczekaj chwilę.

Światło padające przez otwarte drzwi frontowe ośrodka zgasło i automatycznie włączyły się systemy komandosów, które umożliwiały im widzenie w ciemności.

W pierwszej chwili Niner pomyślał, że widzi Darmana albo Atina. Mógł mieć halucynacje, bo oddziaływanie środka pobudzającego zaczynało ustępować. Zaraz jednak uświadomił sobie, że hełm z rozcięciem w kształcie litery T, który ma przed sobą, w rzeczywistości

należy do Hokana. Otworzył ogień. Wahał się zaledwie pół sekundy, ale w takich sytuacjach pół sekundy to wieczność. Nie zauważył, żeby kogoś trafił.

Fi posłał serię plazmowych błyskawic i wstrzymał ogień. Czekali cierpliwie. Jakiś czas nic się nie działo. Potem w wejściu do ośrodka znów się coś poruszyło i ktoś krzyknął „padnij!” Trzy ciemne sylwetki nie usłuchały i wciąż jeszcze stały, kiedy trafiły je plazmowe błyskawice.

Znów zapadła cisza. Niner odczekał chwilę. Kiedy zaczęli się czołgać w stronę ośrodka, żeby mieć lepsze pole ostrzału, ktoś poderwał się z poranej strzałami ziemi i szybko przebiegł na tyły budynku.

Niner i Fi posłali jeszcze kilka błyskawic i wstrzymali ogień. Czekali jeszcze jakiś czas, ale nikt więcej się nie poruszył.

– Może ktoś jeszcze czai się w przedsionku, sierżancie. Posłać tam przeciwpancerny granat? – zapytał Fi. – Nie uśmiecha mi się ucieczka, jeżeli będą nas ścigały roboty.

Niner wiedział, że standardowe granaty nie wywołają eksplozji termicznych detonatorów.

– Poślij od razu sześć – powiedział. – A później nastaw E-Weba na samozniszczenie.

Fi wymierzył z blastera i poprawił broń na trójnogu. Niner usłyszał przybierający coraz wyższe tony skowyt, jakby ktoś uruchamiał silnik repulsorowy, ale później wszystkie dźwięki zostały zagłuszone przez huk wystrzeliwania i eksplozji pierwszych trzech granatów.

Z frontowych drzwi ośrodka strzeliły płomienie i buchnęły kłęby czarnego dymu.

– Mam nadzieję, że to prawdziwy koniec ćwiczeń – burknął Niner. Obaj komandosi zerwali się i zaczęli biec. Przeskoczyli nad bruzdami zaoranego pola, przedarli się przez dwa żywopłoty i w końcu wpadli między drzewa. Niner nawiązał łączność z Darmanem przez komunikator hełmu. Wykrztusił tylko trzy słowa: – Działaj, działaj, działaj!

Okolicę za ich plecami rozjaśnił oślepiająco biały błysk. Sekundę

albo dwie później fala uderowa pchnęła z całej siły Damiana w plecy i obaliła go na trawę. Komandos uderzył ustami w wewnętrzną powierzchnię przesłony hełmu i poczuł na języku krew. Kiedy uniósł głowę i chciał wstać, zobaczył Fi, który także leżał na brzuchu z wyciągniętymi do przodu rękami i zerkał w jego stronę.

– Nie, sierżancie – powiedział, chyba nadal całkowicie zadowolony z życia. – Koniec ćwiczeń nastąpił dopiero teraz.

Ghez Hokan spadł z siodełka raketowego skutera i potoczył się po trawie. Jego pojazd się wywrócił, ale silnik nie przestał pracować. Mandalorianin uświadomił sobie, że w jego uszach wciąż jeszcze dzwoni grzmot eksplozji. Zamarł, osłonił głowę i czekał na nadlatujące błyskawice blasterowych strzałów, ale zapadła cisza.

Wstał z wysiłkiem i podniósł raketowy skuter. Lotka sterująca była trochę zgięta, ale nadawała się do naprawy. Hokan otrzepał zbroję z kurzu i wskoczył na siodełko.

Przyjrzał się swoim dłoniom na kierownicy. Na lewej rękawicy widniały wilgotne czarne plamy. Mandalorianin pamiętał, że właśnie za tę rękę trzymała go Cheva. Biegła obok niego, jak jej rozkazał, ale kiedy została trafiona, jej krew obryzgała jego rękawicę. Hokan uświadomił sobie, że od wielu lat nie czuł takiej przykrości z powodu czyjejś śmierci.

Dość tego, pomyślał. Miękniez, chłopie. Weź się w garść.

– Panie majorze! – Jeden okrzyk nie wystarczał, żeby rozpoznać osobę. Hokan odwrócił głowę, żeby sprawdzić, kto go woła, ale właściwie domyślał się, kto mógł zadać sobie dość trudu, aby dotrzymać mu towarzystwa. – Panie majorze!

Hurati podleciał od tyłu i unieruchomił swój raketowy skuter obok maszyny przełożonego. Na siodełku za Umbaraninem nikt nie siedział. Hokan nie musiał nawet pytać, co się stało.

– Bardzo mi przykro, panie majorze – odezwał się Hurati. – Kiedy zaczęła się strzelanina, naukowcy skamienieli. Nawet nie padli, jak im pan rozkazał.

– Cywile właśnie tak się zachowują – mruknął z rezygnacją Hokan.

– Ta eksplozja... to był ośrodek – ciągnął Umbaranin. – Sądząc po barwie błysku, mieliśmy do czynienia z implozją o bardzo wysokiej temperaturze, a nie strzałem z laserowego działa.

– Czy to może mieć jakieś znaczenie?

– Takiej eksplozji nic nie wytrzyma, nawet pojemnik odporny na blasterowe strzały – wyjaśnił podwładny. – Jeżeli w ośrodku przechowywano próbki nanowirusa, wszystkie zginęły w wybuchu.

A zatem Separatyści nie dysponowali już ani hodowlą śmiertelnej broni, ani żadnym naukowcem, który by miał jakiegokolwiek doświadczenie w tej dziedzinie. Jeżeli Hokan chciał cokolwiek ocalić z programu badań, musiał uwolnić doktor Uthan.

Zważywszy na zasięg eksplozji implozyjnego ładunku, nieprzyjaciele musieli się posłużyć zdalnymi detonatorami, i to bardzo czułymi. Mandalorianin stwierdził z ulgą, że w koszyku bagażowym swojego skutera ma kilka granatów wytwarzających impuls elektromagnetyczny. Spojrzał na podwładnego.

– Znajdziemy ich – zapowiedział.

A przecież nie miał nawet pojęcia, w którym miejscu komandosi opuścili system kanalizacyjny ośrodka. Skąd miał zacząć poszukiwania? Nieprzyjaciele zamierzali odlecieć z Qiilury, więc gdzieś musiał na nich czekać jakiś statek. Z zebranych na Geonosis informacji wywiadowczych wynikało, że zazwyczaj w takich przypadkach przylatywała kanonierka, której załoga zabierała żołnierzy i ewakuowała rannych z pola walki.

Qiilura była cichą zacofaną rolniczą planetą. Odgłosy pracujących jednostek napędowych i silników można było usłyszeć z odległości wielu kilometrów, zwłaszcza w nocy.

Hokan wyłączył repulsor skutera, wyteżył słuch i uzbroił się w cierpliwość.

Etain wyczuła obiekt na długo, zanim go zobaczyła czy usłyszała.

Zawsze dotąd sądziła, że nie potrafi wykrywać robotów, ale zauważyła, że na Moc wywiera wpływ coś wielkiego, co z każdą chwilą się zbliżało. Nie była pewna, czy to obiekt mechaniczny, czy

organiczny. Nie wyczuwała promieniującego od niego zagrożenia, które wzbudzałoby w niej coś więcej niż lekki niepokój.

Po jakimś czasie usłyszała świst powietrza i monotonne brzęczenie. Przystanęła i uniosła głowę, a Atin i Darman poszli w jej ślady.

– Uwielbiam ten odgłos – westchnął komandos.

– Co to takiego?

– Coś, co zabierze nas z tego szamba w jednym kawałku – odparł Darman. – To larty. Kanonierka.

Dźwięk dobiegał prawie znad ich głów. Etain zaczęła przeszukiwać nocne niebo i w końcu zauważyła ciemną sylwetkę czegoś, co przesłaniało gwiazdy. Statek nie miał zapalonych świateł pozycyjnych. W pewnej chwili lekko się zakołysał, a odgłos pracy silników zmienił natężenie. Darman zareagował, jakby ktoś do niego coś powiedział. Wykonał gest i kiwnął głową po czym pomachał ręką. Kanonierka nabrała prędkości, uniosła się trochę wyżej i odleciała.

– Namierzyli nas dzięki transponderowi komunikatora – poinformował komandos. – Dobry, stary Niner. Błogosławię go za to, że wysadził w powietrze stację w Teklet.

Atin podrzucił sobie Uthan wyżej na plecy.

– Twój powóz, księżniczko – powiedział o wiele radośniej, niż Etain mogłaby go o to podejrzewać. Wyczuwała, że dręczące go wyrzuty sumienia osłabły, ale nie zanikły. – Wolałabyś siedzieć z przodu?

Uthan doszła do siebie po środkach uspokajających na tyle, że zaczęła wyginać związane ciało. Etain doszła do wniosku, że badaczka jest jedyną znaną jej osobą która potrafi wyrazić wściekłość samym tylko wyginaniem ciała. Nie zazdrościła żołnierzowi, który będzie musiał ją rozwiązać.

– Teraz twoja kolej, Dar – odezwał się Atin.

– W porządku.

Darman był zadowolony, ale zarazem trochę rozdrażniony. Etain dobrze to wyczuwała. Wyprawa komandosów na Qiilurę dobiegała końca i została uwieńczona powodzeniem. Padawanka chciałaby zapytać Darmana, co zrobi po powrocie do bazy, ale domyślała się, co

usłyszy: mnóstwo snu, gorący prysznic i dobre jedzenie. Komandos miał naprawdę skromne wymagania. Młoda Jedi pomyślała, że mógłby stanowić dobry przykład nawet dla adeptów czy adeptek Jedi.

Miała nadzieję, że z czasem zostanie kompetentną panią oficer. Chciała zasłużyć na szacunek Darmana.

– Pospiesz się, Dar – odezwał się z irytacją Atin. – Uthan zaczyna mi ciążyć, jakby ważyła tonę. Teraz twoja kolej.

– A co powiesz na to? – zapytała Etain i uniosła badaczkę, używając Mocy. Zaskoczony Atin zaczął się odwracać, żeby się przekonać, co mu tak ulżyło. Darman podbiegł do niego, żeby się z nim zrównać.

Trzask. Atin runął na twarz.

W pierwszej chwili Etain pomyślała, że tylko się potknął, ale Darman rozciągnął się jak długi na trawie obok niego, więc od razu poszła w jego ślady. Zauważyła, że komandos leży na plecach towarzysza i trzymając gotowy do strzału karabin, osłania go własnym ciałem. Atin nie krzyczał, ale wydawał rytmiczne dźwięki brzmiące jak ach-ach-ach... zupełnie jakby próbował zaczerpnąć powietrza. Rzucona bezceremonialnie na ziemię Uthan potoczyła się po trawie.

– Człowiek trafiony – odezwał się nienaturalnie spokojnie Darman. Etain słyszała go wyraźnie, bo komandos nie przełączył komunikatora w hełmie. – Sierzancie, Atin oberwał.

Padawanka nie usłyszała odpowiedzi Ninera. W następnej chwili Darman otworzył ogień krótkimi seriami i nad jej głową zaczęły przelatywać jaskrawe błyskawice strzałów.

Dlaczego nie wyczuła, że ktoś znalazł się za jej plecami? Po prostu pozwoliła sobie na chwilę nieuwagi. To była jej wina. Jeśli Atin umrze, jego śmierć do końca życia będzie obciążała jej sumienie.

Darman przerwał ogień. Całe zamieszanie trwało niespełna trzydzieści sekund. Jeżeli nie liczyć Atina, otaczający ich świat wrócił do poprzedniego stanu.

Darman zauważył coś przez lunetę karabinu, czego Etain nie widziała. Zerwał się, pobiegł przed siebie i wymierzył karabin w jakiś obiekt na powierzchni gruntu. Włączył miniaturowy reflektor hełmu.

– To jeden z oficerów Hokana – powiedział. – Kapitan.

– Nie żyje? – zapytała padawanka Usłyszała odgłos pojedynczego strzału.

– Teraz już tak – stwierdził komandos.

Etain nie była już tak zbulwersowana jak wówczas, kiedy Darman skrócił męki rannego Umbaranina. Tym razem pochłaniał ją niepokój o życie podwładnego. Jej punkt widzenia uległ radykalnej zmianie.

Atin leżał niepokojąco cicho. Kiedy Darman odwrócił go ostrożnie na bok, oboje stwierdzili, że w płytce pancerza, mniej więcej dwadzieścia centymetrów pod prawą pachą, widnieje dziura o poszarpanych brzegach. Z rany wypływała krew. Darman wyjął z saszetki u pasa niewielki, szary, podłużny pojemnik o zaokrąglonych krawędziach i wysypał jego zawartość na trawę. Wcisnął w ranę coś, co wyglądało jak polowy opatrunek, i przymocował go do pancerza.

– Daj spokój – odezwał się Atin. Jego głos lekko drżał. – Zostawcie mnie. Idźcie dalej.

– Nie zgrywaj przede mną bohatera, bo ci przyłożę – powiedział komandos.

– Nie żartowałem – oznajmił Atin. – Przede wszystkim zabierzcie stąd Uthan.

– Zamknij się, dobrze? – warknął Darman. – Nikogo nigdzie nie zostawię. – Jego ruchy były oszczędne i precyzyjne, jak przystało na kogoś, kto wielokrotnie brał udział w ćwiczeniach z udzielania pierwszej pomocy na polu walki. Dał Etain znak głową. Padawanka chwyciła dłoń rannego komandosa i z całej siły ją ścisnęła. – Teraz wiemy, co verpińskie miotacze potrafią zrobić z pancerzami typu Katarn – dodał Darman. – Spokojnie, bracie. Już cię mam. – Usunął płytkę osłaniającą udo Atina, odwinął fragment kombinezonu i odsłonił skórę. Sięgnął po dwie krótkie jednorazowe strzykawki. – To będzie trochę bolało – uprzedził. – Leż spokojnie.

Wbił szybko obie igły w udo kolegi, jedną po drugiej. Nabazgrał coś pisakiem na hełmie Atina i ponownie przytwierdził płytkę osłaniającą udo.

Etain spojrzała na litery P i U wypisane na czole hełmu rannego komandosa.



– „P” oznacza środek przeciwbólowy – oznajmił Darman. Ułożył kolegę z powrotem na plecach. – A „U” to środek powstrzymujący wpływ krwi. To na wypadek, gdyby lekarze nie mieli czasu go zbadać, a chcieliby się dowiedzieć, co mu zaaplikowałem. To, co za chwilę zobaczysz, może ci się wydać bardzo dziwne, ale zaufaj mi... wiem, co robię.

Atin leżał na plecach i oddychał z wysiłkiem. Darman położył się na nim na wznak, przełożył ręce przez oczka siatek przymocowanych do pancerza kolegi i odwrócił się w taki sposób, że leżał twarzą do ziemi z Atinem na grzbiecie. Wsparł się na rękach i podkurczył nogi, a kiedy wstał, ranny komandos spoczywał jak przyklejony na jego plecach. W pierwszej chwili trochę się zakołysał, ale nie spadł.

– To najłatwiejszy sposób dźwigania i niesienia ciężkiego mężczyzny – wyjaśnił Darman. Mówił z wyraźnym wysiłkiem.

– Mogłam go ponieść zamiast ciebie – powiedziała Etain.

– Ta-a, ale to mój brat – odparł komandos. – A poza tym i tak będziesz dźwigała doktor Uthan.

Młoda Jedi poczuła wyrzuty sumienia, że nie sprawdziła, co się z nią stało. Badaczka leżała na trawie, związana, zakneblowana i niewątpliwie przerażona. Etain podeszła i pochyliła się nad nią.

– Ocknij się, pani doktor – powiedziała. Chciała ją podnieść, ale natrafiła dłonią na coś zimnego i mokrego. Z miejsca pod żebrami Uthan wystawała spiczasta drzazga z jasnoszarego plastoidu... odłamek pancerza Atina. Rana badaczki poważnie krwawiła.

– O nie, tylko nie to – westchnęła padawanka. – Darman, spójrz!

– Fierfek – mruknął komandos. – Po całym tym przeklętym...

– Nie martw się, żyje.

– Zabierzmy ją do punktu ewakuacyjnego. Miejmy nadzieję, że nasi wybawcy będą mieli lekarza na pokładzie.

Rozczarowanie przygniotło ich niczym ciężki kamień. Etain dobrze to wyczuwała. Była tak bardzo zniechęcona i przygnębiona, że straciła ochotę do działania. Stwierdziła jednak, że skoro niepowodzenia nie powstrzymują Damiana, ona także nie może się poddać. Jego nieugięte zdyscyplinowanie było niemal namacalne. W ciągu kilku dni nauczyła się od niego więcej, niż kiedykolwiek byłaby

w stanie dowiedzieć się od Fuliera. Tyle razy była o włos od śmierci, że przeżyte wspólnie chwile zapadły głęboko w jej serce.

Etain rozumiała, że więź, która połączyła ją z komandosami, w ciągu następnych lat przysporzy jej wiele bólu. To jeszcze gorsze, niż gdyby się zakochała. To był zupełnie inny poziom przywiązania – oparty na dzieleniu tych samych niebezpieczeństw. Mistrz Fulier powiedziałby, że odkochać też się można, ale Etain wiedziała, że tego rodzaju więzi nie da się nigdy zerwać, bo nie można zmienić historii.

Pochyliła się, pociągnęła Uthan za rękę i zarzuciła sobie badaczkę na plecy. Upewniła się, że kobieta leży wygodnie na jej barkach.

– Ruszajmy w drogę, Darman – rozkazała zwięźle, z trudem rozpoznając własny głos. Brzmiał zupełnie inaczej niż głos młodej adeptki Jedi.

Niner wiedział, że Hokan jest nadal na wolności. Widział go, a przynajmniej kogoś w jego zbroi, jak wybiegał z ośrodka. Darman zastrzelił tylko jego młodego oficera w stopniu kapitana. Mandalorianin prawdopodobnie robił to samo co zabity Umbaranin: próbował odgadnąć miejsce pobytu komandosów, namierzając ich kanonierkę. To, co miało ich uratować, mogło więc przyczynić się do ich zguby.

– Jeszcze mniej więcej kilometr – odezwał się Fi. – Masz jakieś wieści o stanie Atina?

– A co, nie masz włączonego dalekosiężnego kanału komunikatora? – zdziwił się Niner.

– Nie. To by rozpraszało moją uwagę, a na to w tej chwili nie mogę sobie pozwolić.

Dowódca zaczynał się domyślać, w jaki sposób funkcjonuje Fi. Kolega po prostu nie przejmował się niczym, co mogłoby odwrócić jego uwagę, zupełnie jakby się wyłączał. Jeśli było trzeba, wyłączał jakieś urządzenie. Sierżant ciekaw był, kto go tego nauczył, bo na pewno nie Skirata. Kai Skirata działał instynktownie i to się rzucało w oczy.

– Mam nadzieję, że następne zadanie będziemy wykonywali gdzieś

na terenie zabudowanym – stwierdził Niner. Myśl pozytywnie, patrz w przyszłość, powiedział sobie. Miłe, hałaśliwe, dezorientujące miasto z wieloma kryjówkami i mnóstwem bieżącej wody. Inwigilacja. Zbieranie danych. Łatwa Uliczka.

– Nie, to będzie dżungla – sprzeciwił się Fi.

– Chyba jesteś chory.

– Dżungla to prawie jak miasto – wyjaśnił komandos. – Może się tam także mnóstwo wydarzyć.

– Mówisz tak, bo martwisz się o to, co stało się z Atinem.

– Zamknij się, sierżancie – burknął Fi. – Martwię się o siebie, zrozumiałeś?

– Naturalnie, że tak.

– Dlaczego po prostu nie zbombardowaliśmy całej okolicy z przestworzy?

– Nie mieliśmy wystarczających informacji – wyjaśnił Niner. – Wirus mógł się znajdować w kilku miejscach. Gdybyśmy nie zbombardowali od razu wszystkich, moglibyśmy dowiedzieć się o tym, kiedy byłoby za późno.

– A już zaczęliśmy się stawać taką dobrą drużyną...

– Atin wciąż jeszcze żyje, Fi. – Niner zaczął iść tyłem, bo zamykał pochód. – Nadal żyje. Jedi potrafią uzdrawiać, a Darman udzielił mu prawidłowo pierwszej pomocy.

Niner nigdy nie lubił iść na końcu patrolu, zwłaszcza w nocy. Jeszcze mniej mu się podobało, kiedy idąca na czele osoba krzyczała „padnij!”

Rozpłaszczył się w trawie i sprawdził, dokąd Fi kieruje lufę swojego Dece.

– Skuter – wyjaśnił szeptem podwładny. – Zgadnij, kto to. Przelatuje przed nami z prawej na lewo. To musi być Hokan.

– Dasz radę go załatwić? – zapytał sierżant.

– Będę miał czysty strzał, kiedy minie te drzewa.

– No to nie marudź.

Niner też skierował lufę karabinu w stronę skutera i zaczął odliczać sekundy. Ruch maszyny za aleją kuwarowych drzew wytwarzał w wizjerze jego lunety efekt stroboskopowy. W pewnej

chwili dzięki systemowi widzenia w ciemności komandos zobaczył błysk energii i osoba kierująca pojazdem spadła z siodła.

– Właśnie tak trzeba to robić – pochwalił Niner.

Odczekali wymagane kilka sekund, aby się upewnić, że Hokan został rzeczywiście trafiony. Nie widzieli nikogo, kto by się poruszał. Niner dostrzegał tylko błyski oczu gdanów w trawie. Prawdopodobnie przynajmniej niektóre zwierzęta uznały, że walka dobiegła końca i mogą bezpiecznie wyjść z ukrycia.

Niner wstał, a Fi przyklęknął na jedno kolano. Hokan poderwał się z trawy niczym duch. Zatoczył się, przeszedł kilka kroków i uniósł broń.

Niner nie usłyszał odgłosu jego strzału, ale pocisk przeleciał ze świstem obok niego i z głośnym trzaskiem wbił się w jakieś drzewo. Verpińskie karabiny rozpryskowe były ciche i celne i gdyby Fi nie trafił przedtem Hokana, Niner miałby w ciele taką samą dziurę jak Atin.

– Sierzancie, kiedy go zabiję, będę mógł zabrać jego pancerz? – zapytał Fi.

– Ale musisz go sam z niego ściągnąć – zastrzegł Niner.

– Tylko takiej motywacji potrzebowałem. Dzięki.

– Widzisz go jeszcze?

– Nie...

Blasterowa błyskawica wbiła się w trawę mniej więcej metr przed Fi, a z miejsca trafienia strzeliły iskry. Komandosi nie mieli przed sobą pozbawionego mózgu blaszaka ani głupawego Weequaya. Ich przeciwnik był Mandalorianinem, urodzonym wojownikiem... niebezpiecznym, nawet kiedy był ranny.

Pod każdym względem podobnym do nich.

– Myślisz, że tamta kanonierka będzie na nas czekała? – zapytał Fi.

– Ani sekundy, odkąd na jej pokładzie znajdzie się Uthan – odparł Niner.

– Fierfek. – Fi zainstalował nasadkę do wystrzeliwania granatów i wymierzył Dece w stronę przeciwnika. – Może nie powinniśmy byli się pozbywać E-Web. – Ciemność nocy rozjaśnił błysk eksplozji, ale zaledwie Fi uniósł trochę głowę, w jego kierunku poleciały blasterowe

błyskawice. Wbiły się jednak w grunt metr dalej od celu niż poprzednio. – Postaram się go zająć, a ty zajdź go z prawej.

Niner ułożył Dece na zgiętych rękach i zaczął się czołgać na czworakach. Zanim zdążył pokonać dziesięć metrów, powietrze nad nim zaskwierczało, a czubki traw nad jego głową ścięła kolejna blasterowa błyskawica.

Gdyby nieprzyjaciel nie miał tego verpina, zadanie komandosów byłoby o wiele łatwiejsze.

„Majestatyczny” także nie będzie czekał na nich bez końca. Działanie środków pobudzających zupełnie ustąpiło i Niner zaczynał odczuwać wpływ wielu dni tambowania, braku snu i nadmiernego hałasu. Od czasu do czasu składał sobie jakąś obietnicę i poprzysiągł sobie, że jeżeli on i Fi nie odlecą z Qiilury, nie opuści jej także Ghez Hokan.

Nieważne, Mandalorianin, czy też nie, komandosi walczyli tylko z jednym mężczyzną. Tymczasem nieprzyjaciel miał przeciwko sobie dwóch, którzy przynajmniej dorównywali mu klasą. Niner nie lekceważył przeciwnika, ale końcowy rezultat tej walki był niemal z góry przesądzony: wcześniej czy później Hokanowi skończy się zapas energii w ogniwach. Mimo to czas nie działał na korzyść komandosów.

– Niedobrze – mruknął sierżant. – Darman, tu Niner. Jaką masz pozycję?

Podwładny był wyraźnie zdyszany.

– Ciężko nam idzie, sierżancie – zameldował. – Od PE dzieli nas jeszcze mniej więcej dziesięć minut.

– Zapytajcie ich, czy zgodzą się na nas zaczekać. Chcemy się tylko pożegnać z Ghezem Hokanem.

– Mogę zostawić na chwilę Atina i...

– Nie zezwalam, Dar – uciął dowódca. – Damy sobie radę sami, niech tylko jeden z naszych strażów strzaska jego pancerz. Czekać na nas.

Fi zaczął się czołgać naprzód, żeby mieć lepsze pole ostrzału. Niner uświadomił sobie, że zaczyna się niecierpliwić. Rozejrzał się po okolicy w poszukiwaniu osłony, którą mógłby wykorzystać, żeby zająć

Hokana z boku. Zauważył błysk wystrzału, ale nie usłyszał niczego z wyjątkiem głosu kolegi, który zaczął coś mówić przez komunikator, kiedy nagle ogłuszył go przenikliwy pisk.

Później wszystko ucichło i ściemniało.

W pierwszej chwili Niner pomyślał, że został trafiony. Nie słyszał głosu Fi ani nie widział danych na projekcyjnym wyświetlaczu. System widzenia w ciemności nie wyświetlał na przesłonie jego hełmu zielonego obrazu pola i rosnących za nim drzew. Niner uświadamiał sobie jednak, że nadal trzyma swój Dece i że jego łokcie wbijają się w glebę. Nie czuł bólu, ale to jeszcze niczego nie dowodziło. Ciężko ranne osoby nie czuły niczego, nawet bólu.

Dopiero po kilku długich sekundach domyślił się, że wszystkie systemy elektroniczne jego hełmu odmówiły posłuszeństwa. Poczul, że mu gorąco, i odgadł, że pancerz nie dostarcza powietrza.

Zdjął hełm, zmrużył oczy i spojrzał przez lunetę DC-17 na pole bitwy. System widzenia w ciemności lunety działał prawidłowo. Niner zauważył, że Fi także zdjął hełm, wsunął dłoń do środka i gorączkowo starał się w nim coś przełączyć.

Granat elektromagnetyczny, pomyślał komandos. Hokan potraktował nas jak automaty.

Rzeczywiście impulsy elektromagnetyczne wykorzystywało się podczas walki przeciwko robotom, ale takie same sygnały oddziaływały równie skutecznie na delikatne obwody elektroniczne, z których usług korzystały mokrzaki. Udoskonalone hełmy typu Katarn, trzykrotnie droższe niż wersja noszona przez zwykłych żołnierzy, zawierały dziesiątki skomplikowanych prototypowych systemów, wrażliwych na działanie właśnie takich impulsów.

Niner zawrócił i zaczął się ostrożnie czołgać w kierunku Fi. Daleko od niego przeleciało kilka wystrzelonych na oślep blasterowych błyskawic. Sierżant zbliżył twarz do głowy podwładnego.

– Przysmażył nasze hełmy – szepnął Fi. – Czy oni naprawdę nie poddają tych urządzeń wyczerpującym testom?

Na pewno jakiś cywil doszedł do wniosku, że nikt nie będzie używał elektromagnetycznych impulsów przeciwko mokrzakom – odparł Niner.

- Ta-a, pogadam sobie z nim po powrocie do bazy – mruknął Fi.
  - Hełmy powinny wkrótce odzyskać sprawność..
  - Kiedy? – zapytał Fi.
  - Nie mam pojęcia. Na szczęście Dece są wciąż na chodzie.
  - Musimy tylko poczekać, aż Hokan wystawi głowę.
  - Mógłbym go poczęstować jedną z oślepiająco-ogłuszających zabawek Darmana – zaproponował Fi.
  - I tak nie wystrzelisz jej za pomocą Dece.
  - A w ogóle gdzieś go widzisz?
  - Nie... nie. Chwileczkę. Teraz widzę.
- Niner musiał przesunąć lufę kilkakrotnie z boku na bok, żeby ponownie zobaczyć Hokana przez lunetę karabinu.
- Masz pod ręką jakieś improwizowane ładunki wybuchowe? – zapytał.
  - Sześć – odparł Fi.
  - Jak daleko dasz radę je rzucić?
  - Dostyć daleko.
  - To rzuć, ale tak daleko na boki, jak potrafisz... w taki sposób, żeby eksplodowały wokół niego.
- Niner otworzył ogień zaporowy, a Fi kilka razy podrywał się i ponownie rozpląszczał w trawie. Za każdym razem rzucał naprędce skonstruowaną małą bombę. Kiedy skończył, sierżant sięgnął po zdalny detonator.
- Ja przycisnę ten guzik, a ty odbiegnij w tamtym kierunku i postaraj się go zająć z flanki – rozkazał.
- Fi odwrócił się na bok i wsparł na prawej ręce, żeby móc szybciej się zerwać. Niner przycisnął guzik detonatora i jego podwładny poderwał się do biegu.
- Nic się nie wydarzyło. W ziemię między nimi wbiła się kolejna blasterowa błyskawica i Fi od razu padł na trawę.
- Naprawdę będziemy musieli pogadać z projektantami na temat uodpornienia naszej elektroniki – odezwał się spokojnie komandos.
  - Obawiam się, że trzeba wrócić do staromodnej żołnierki – mruknął Niner.
  - Właśnie zużyłem ostatni bagnet.

- Sierżant Kai na pewno by coś wymyślił.
- Masz może jego numer?
- Zamierzam zacząć jęczeć.
- Słucham? – zdziwił się Fi.
- Nie śmieć się. Ten gość to czubek. Jeżeli dojdzie do wniosku, że zostałem ciężko ranny, nie oprze się pokusie i podejdzie, aby poderżnąć mi gardło.
- A wówczas ja będę miał dla niego niespodziankę – domyślił się Fi.
- Cokolwiek, bylebyś się pospieszył.
- No dobrze, chłopcze – zdecydował komandos. – W takim razie zaczynaj.

Niner uświadomił sobie nagle, że nie ma pojęcia, jak powinny brzmieć krzyki ciężko rannego mężczyzny. Na szczęście słyszał wrzaski i jęki konających na polu walki, więc postanowił po prostu ich naśladować.

Odchylił głowę do tyłu i zaczął.



# ROZDZIAŁ

# 20

*Przestałem się orientować, kim są dobrzy goście, ale wiem, kim jest nieprzyjaciel. Naszym wrogiem jest łamanie zasad. Strona, która postępuje wbrew zasadom, przegrywa wojnę, a pierwszą i najważniejszą zasadą jest troska o los towarzyszy broni.*

— Kai Skirata

Kanonierka była najpiękniejszą jednostką, jaką Darman kiedykolwiek widział.

Kiedy przedarł się przez gąszcz krzaków i stanął na skraju nieco wcześniej zaoranego pola, zobaczył ją w całej okazałości. Bańki osłon sterowni lśniły jak hologramy Miasta w Chmurach, a wieżyczki działek miały symetrię jak najwspanialsze budowle na Naboo. Komandosowi podobały się nawet zardzewiałe i wgniecione miejsca na skrzydłach.

– Spójrz tylko na nią, Atin – powiedział. – Prawdziwe dzieło sztuki... Atin?

– ...aha.

– Już prawie jesteśmy na miejscu.

– ...uhm.

Z pokładu okrętu zeskoczył żołnierz w białym pancerzu, a zaraz po nim sanitariusz rasy Gran w mundurze służby medycznej. Darman poczuł, że obaj zdejmują z jego pleców ранego Atina, i chwilę zmagął się, żeby wyplątać ręce z jego sieci. Podążył za noszami, żeby

porozmawiać z sanitariuszem.

– Pocisk z verpina, prawa strona klatki piersiowej – zaczął. – Środki uśmierzające ból, pięć centymetrów sześciennych...

– Widzę – odparł Gran. – Doskonała robota, szeregowcze. A teraz wskakuj na pokład tego statku.

Kiedy komandos wodził spojrzeniem po okolicy, inni żołnierze podbiegli do Etain i zdjęli Uthan z jej barków. Młoda Jedi szła powoli do kanonierki, oglądając się co kilka kroków za siebie. Z przedziału dla żołnierzy zeskoczył generał Arligan Zey i powitał ją skinieniem głowy. Padawanka zwolniła, a potem przystanąła, żeby odpowiedzieć mu takim samym gestem.

Zważywszy na okoliczności, Darman uznał to za bardzo oficjalną formę powitania. Ten przykład przestrzegania etykiety Jedi kontrastował ze scenami jak z sennego koszmaru. Sanitariusz, rojąc się wokół Atina i Uthan, demontowali części pancerza komandosa, rozcinali ubrania, podłączali systemy transfuzyjne i wołali o przyniesienie następnych opatrunków. Darman czuł się, jakby żył w dwóch równoległych światach, gdzie mieszkańcy jednego nie byli świadomi istnienia drugiego.

Zey nie zwrócił uwagi na Darmana, za to żołnierz z elitarnych oddziałów zwiadowców, który zeskoczył z pokładu kanonierki i stanął obok generała, zdjął hełm i bez słowa wpatrywał się w komandosa. Potem w ciemnym wnętrzu statku poruszyło się coś czarnego, co powoli wyszło na zewnątrz. Miało lśniący długi pysk. Od razu zaczęło węszyć.

To był Valaqil, który wrócił do domu. Darman domyślił się tego, bo istota wyglądała identycznie jak Jinart.

– Widzę, że szeregowiec Atin nadal kolekcjonuje blizny – odezwał się Valaqil. – A moja towarzyszka życia nie może się mnie doczekać. Muszę iść.

Jinart? – spytał zakłopotany Darman i wzruszył ramionami. – Bardzo nam pomogła, proszę pana. W rzeczywistości była piątym... nie, szóstym członkiem naszej drużyny.

– Na pewno opowie mi o wszystkim ze szczegółami. W ciągu ostatnich kilku dni była okropnie podniecona – odparł Valaqil.

Ruszył długimi susami przez pole i zniknął w gąszczu krzaków. Darman miał nadzieję, że Republika nie sprawi zawodu obojgu Gurlanom. Służyli jej równie wiernie jak każdy żołnierz.

– Spisałaś się bardzo dobrze, padawanko – przemówił Zey. – Tym bardziej że nie mogłaś korzystać ze wskazówek mistrza. Prawdę mówiąc, zachowałaś się zdumiewająco dobrze. Przypuszczam, że członkowie Rady Jedi wezmą pod uwagę twoje zasługi i skrócą okres, jaki pozostał do chwili twojej próby. Naturalnie spędzisz go pod nadzorem innego mistrza.

Darman spodziewał się, że na twarzy Etain pojawi się wyraz zachwyty lub zakłopotania, co byłoby całkiem zrozumiałe. Młoda Jedi musiała sobie uświadamiać, że jeszcze nie jest materiałem na rycerza Jedi, a czasami nawet nie zasługuje na miano padawanki, ale Darman wiedział, że jedynym celem jej życia jest stać się pełnowartościową Jedi.

Tymczasem pochwały generała nie zrobiły na niej żadnego wrażenia. Etain zachowywała się, jakby w ogóle nie usłyszała słów Zeya.

– Mistrzu, gdzie są Niner i Fi? – zapytała. Zey spojrzał ze zdumieniem.

– Kto? – zapytał.

– Przepraszam, mistrzu – zreflektowała się padawanka. – Dwaj pozostali członkowie Drużyny Omega.

Damian poczuł na sobie coraz bardziej przenikliwe spojrzenie zwiadowcy. Ledwie kilka razy widział przedtem takich żołnierzy i czuł przed nimi większy respekt niż przed innymi członkami sił zbrojnych.

Zey pokręcił głową.

– Wy dotarliście pierwsi – powiedział.

– Tamci też wkrótce przyjdą panie generale – zapewnił Darman. Przełączył komunikator na łączność między hełmami. Jeżeli żołnierz z elitarnych oddziałów zwiadowców go podsłuchiwał, nie mógł nic na to poradzić. – Sierzancie? Fi? – zaczął. – Czas się stąd zabierać.

Nie usłyszał jednak w słuchawkach żadnego dźwięku, nawet trzasków zakłóceń. Przełączył komunikator na inny kanał, ale i w nim

panowała głucha cisza.

– Niner, Fi, słyszycie mnie? – zapytał. Sprawdził wskazania systemów diagnostycznych swojego projekcyjnego wyświetlacza i upewnił się, że jego hełm funkcjonuje prawidłowo. Oczami wyobraźni ujrzał się znów w jaskini na Geonosis, jak stoi za stygnącym, trzeszczącym E-Webem i usiłuje nawiązać łączność z Talerem, Vinem i Jayem. Wówczas także nie widział na wyświetlaczu projekcyjnym w swoim polu widzenia biometrycznych danych z ich kombinezonów.

Nie, tylko nie to, pomyślał. Proszę...

– Proszę pani, nie odbieram od nich żadnych sygnałów – zameldował.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała Etain.

Damian z trudem się przemógł, żeby wykrztusić:

– Ich hełmy nie funkcjonują. Przypuszczam, że nie udało się im przeżyć.

– Zginęli? – zapytał Zey.

– Żyją – stwierdziła stanowczo padawanka.

– Proszę pani, zupełnie nie mogę z nimi nawiązać łączności.

– To nic nie znaczy. Oni żyją – powtórzyła młoda Jedi. – Jestem pewna, że nie zginęli.

Musimy lecieć – stwierdził Zey. – Jeżeli za chwilę nie wystartujemy, możemy się dostać w sam środek bitwy z okrętami Federacji Handlowej. Zwróciliśmy na siebie uwagę, a to nie dobrze. – Generał podszedł do dwóch sanitariuszy starających się utrzymać przy życiu doktor Uthan. – Przeżyje?

– Jest w bardzo ciężkim stanie, proszę pana – odparł jeden. – Musimy ją stąd zabrać.

– Starajcie się za wszelką cenę utrzymać ją przy życiu – polecił Zey. – Przygotować się do odlotu. Etain...

– Mistrzu, na planecie pozostało jeszcze dwóch ludzi – przerwała padawanka.

– Nie żyją.

– Nieprawda, wyczuwam ich – stwierdziła młoda Jedi. – Nawet wiem, gdzie się znajdują. Nie zostali nawet ranni. Musimy na nich zaczekać.

– Musimy także ocalić Uthan i zabrać stąd tych dwóch komandosów.

– Tamci zniszczyli wszystkie próbki nanowirusa – przypomniała Etain. – Czy to nie ma żadnego znaczenia? Nie możemy ich teraz opuścić.

Damian wiedział, że padawanka osiągnęła stan, w którym albo zasłabnie, albo zrobi coś niezwykłego. Miała ściągnięte rysy i rozszerzone źrenice. Na widok jej twarzy komandos poczuł ciarki na plecach. W ciągu ostatnich kilku dni widział ją parę razy w takim stanie.

Silniki kanonierki obudziły się do życia. Etain postawiła jedną nogę na pokładzie, ale nie oderwała drugiej od gruntu Qiilury.

Z wysiłkiem przełknęła ślinę. Niech pani nie działa pochopnie, pani oficer, nalegał w myślach Damian. Czuł jednak to samo co ona. Cały pot, strach i ból miały pójść na мамę... a przecież mogli byli po prostu zbombardować ośrodek i wrócić do domu. Co właściwie osiągnęli? Atin walczył o życie, a Niner i Fi nie żyli albo mieli pozostać na powierzchni planety.

– Nie odlecę bez nich – stwierdziła z uporem padawanka. – Ubolewam, że okazuję ci nieposłuszeństwo, mistrzu, ale nie mogę postąpić inaczej.

Na twarzy Zeya odmalowała się widoczna irytacja.

– Zrobisz, jak ci rozkażę – powiedział cicho. – Narażasz na szwank los tej wyprawy.

Potrzebujemy tych ludzi – obstawała przy swoim młoda Jedi. – Nie zasługują, żeby ich spisywać na straty.

– Wszyscy na to zasługujemy.

– A zatem ja również, mistrzu. – Etain spojrzała spode łba na Zeya. Wyglądała, jakby rzucała mu wyzwanie, a nie zamierzała się podporządkować jego woli. – Obowiązkiem oficera jest troska o dobro swoich ludzi.

Widzę, że nauki mistrza Fuliera nie podkreślały dostatecznie roli posłuszeństwa, za to dopuszczały poleganie na emocjach... – zaczął Zey.

Darman ośmielił się mu przerwać. Nie mógł znieść widoku dwojga

kłócących się Jedi. Czuł się w najwyższym stopniu zakłopotany.

– Ja zostanę, proszę pani – powiedział. – Niech pani leci z Atinem... i dopilnuje, żeby nie stało mu się nic złego.

Mimo częstych zapewnień Skiraty, że ich życie ma jakieś znaczenie, Darman pogodził się z niewielką wartością, jaką przedstawiało ich życie w hierarchii Republiki. Taka hierarchia była w Wielkiej Armii nie tylko czymś oczywistym, ale także nieuniknionym i koniecznym. Życie komandosa miało większą wartość niż życie sklonowanego żołnierza, a życie zwiadowcy z elitarnych oddziałów było cenniejsze niż życie komandosa. Mimo to Darman uważał się za pełnowartościowego człowieka, odkąd zetknął się z lojalnością i troską ze strony Etain. Tak, Niner i Fi zasługiwali na lepszy los. Wszyscy na niego zasługiwali.

Zey zignorował uwagę komandosa. Nie odrywał spojrzenia od twarzy młodej Jedi.

– Musisz lecieć – powtórzył. – W naszą stronę zdużają kolejne okręty Separatystów. Wiem, jak wielki sprawia ci to ból, ale...

Etain oderwała nagle stopę od powierzchni Qiilury i jednym susem wskoczyła do przedziału dla żołnierzy. W pierwszej chwili Darman pomyślał, że zmieniła zdanie pod wpływem perswazji mistrza Jedi, ale okazało się, że wcale jej nie zna. Padawanka odpięła świetlny miecz, wysunęła energetyczną klingę i zbliżyła jej szpic na odległość dłoni do energetycznego kabla, biegnącego środkiem podłużnego żebrowania pomieszczenia. Jednym ruchem mogła uniemożliwić wszystkim odlot z Qiilury. Zey zacisnął szczęki. Nikt się nie poruszył z wyjątkiem sanitariusza rasy Gran, który opiekował się Atinem. Wyglądało na to, że nie przejmuje się niczym, co się dzieje wokół niego. Prawdopodobnie nabrał tego nawyku, ratując życie osób pod ostrzałem na polach wielu bitew.

– Mistrzu – oznajmiła padawanka. – Albo z Qiilury odlecą wszyscy członkowie Drużyny Omega, albo nikt.

– Zachowujesz się bardzo głupio, Etain. – W głosie mistrza Jedi brzmiał niezwykle spokoj. – Musisz zrozumieć, że to konieczne.

– Nie, mistrzu, zupełnie tego nie rozumiem.

Za chwilę zastosuje wobec niej jakąś sztuczkę Jedi, pomyślał

Darman, Nie, nie, tylko nie to, proszę... Nie widział wyrazu twarzy żołnierza z elitarnych oddziałów zwiadowców, ale prawdopodobnie malowało się na niej zdumienie.

– Etain, jako Jedi musisz się przeciwstawiać zacieśnianiu więzi z kimkolwiek – tłumaczył Zey.

Och, wcale jej nie zna, pomyślał komandos. Gdyby tylko postarał się...

Wyglądało, że padawanka naprawdę zamierza przeciąć zasilający kabel świetlnym mieczem.

– I właśnie jako Jedi twierdzimy, że szanujemy wszystkie formy życia – zbiła argument Zeya. – Czy jesteśmy gotowi żyć w zgodzie z tym przekonaniem? Czy życie tych żołnierzy jest warte mniej niż nasze tylko dlatego, że to my ich stworzyliśmy? Czy są kimś gorszym niż my, bo kiedy zginą, możemy zamówić ich więcej?

– To są żołnierze, Etain – przypomniał Zey. – Żołnierze giną podczas walki.

– Nie, mistrzu, to są ludzie – sprzeciwiła się młoda Jedi. – Walczyli bardzo dzielnie. Odpowiadam za nich i wolałabym raczej umrzeć niż żyć nadal ze świadomością, że zawiodłam ich zaufanie.

Zapadła absolutna cisza. Zey i Etain wyglądali, jakby usiłowali się przekonać bez słów. W pewnej chwili mistrz Jedi zamknął oczy.

– Wyczuwam, że twoja pewność siebie ma źródło w Mocy. – Westchnął i odwrócił się do komandosa. – Jak właściwie się nazywasz? – zapytał. – Darman? Więc jednak rzeczywiście macie imiona? Darman, idź, dokąd cię skieruje. Etain ceni wasze życie bardziej niż możliwość zostania rycerzem Jedi.

Młoda Jedi zrobiła ruch, jakby zamierzała podążyć za nim.

– Pani tu zostaje – oznajmił mistrz Jedi. – Bardzo proszę.

– Nie – sprzeciwiła się padawanka. – Nie zostawię was. Żadnego. – Trzymała świetlny miecz, jakby nie zamierzała się już z nim rozstać. – Wiem, że to przejaw wyjątkowej niesubordynacji, mistrzu Zey, ale naprawdę nie sędzę, żebym była w tej chwili gotowa zostać rycerzem Jedi.

– Masz absolutną rację – stwierdził spokojnie Zey. – A my potrzebujemy tych ludzi.

Darman poszedł za Etain, ale jeszcze w przelocie zerknęła na generała.

Zey z trudem powstrzymał uśmiech. Komandos mógłby przysiąc, że mistrz Jedi jest dumny z młodej padawanki.

Ghez Hokan wystrzelił już prawie wszystkie ładunki. Zostało mu tylko wibroostrze, świetlny miecz Fuliera i ostatnie dwa pociski w verpińskim karabinie rozpryskowym. Przycisnął z całej siły rękawicę do zranionego miejsca i uniósł ją do oczu, żeby sprawdzić, czy z rany nadal sączy się krew.

Nie czuł żadnego bólu, ale rękawica była wilgotna. Blasterowa błyskawica wbiła się głęboko w jego ciało. Przenikała się przez skórę, nerwy, tłuszcz i przypaliła naczynia krwionośne, ale odsłoniła żywą tkankę, z której sączyło się osocze.

Mandalorianin był ciekaw, jak ciężką ranę musiał odnieść komandos, skoro tak głośno krzyczy. Szlochanie, chaotyczne wrzaski i jęki czasami cichły, ale po chwili znów się zaczynały.

Nie widział towarzysza rannego mężczyzny, ale wiedział, że ma przeciwko sobie dwóch komandosów, bo ostrzelano go z dwóch stron naraz. Może towarzysz rannego żołnierza zginął? Hokan uzbroił się w cierpliwość i uważnie nasłuchiwał. Słyszał odgłosy towarzyszące umieraniu wielu osób. Bez względu na rasę i wiek, niemal we wszystkich okrzykach powtarzało się słowo „matka”.

Sklonowani żołnierze nie mieli jednak matek, więc ten, którego trafił, przyzywał sierżanta. Sierżant miał na imię Kai czy jakoś podobnie. Mandalorianin nie był tego pewny.

Z jakiegoś powodu nie mógł znieść krzyków konającego żołnierza. Może dlatego, że już nie potrafił pogardzać słabością? Bez względu na to, co sądził o Republice i jej odrażających świętoszkowatych Jedi, tu miał do czynienia z mandaloriańskim wojownikiem... wykorzystanym i porzuconym na pastwę losu.

Powinien skrócić jego męki. To była jedyna przyzwoita rzecz, na jaką mógł się zdobyć. Ranny mężczyzna mógł odpowiedzieć ogniem, więc to, co Hokan zamierzał, nie było okazywaniem słabości, wcale a



wcale. Zamierzał po prostu zakończyć bitwę.

Uklęknął i powiódł spojrzeniem po okolicy. Wszędzie było czysto. Mimo to położył się i zaczął pełznąć z nisko opuszczoną głową w kierunku, skąd dobiegały wrzaski i jęki.

Głos rannego z każdą chwilą cichł i w końcu przemienił się w szloch.

– Sierzancie... Nie zostawiaj mnie... Sierzancie Kału! Och... jak boli, jak boli, jak boli...

Jak śmiała Republika wykorzystać Jango Fetta do stworzenia tego bluźnierstwa! Jak sam Fett mógł do tego dopuścić? Hokan zbliżał się coraz bardziej. Natknął się w trawie na ciemny kształt. Dostrzegł umazany błotem jasnoszary metaliczny pancerz, niezwykle podobny do jego zbroi, ale szerszy i bardziej skomplikowany.

Podszedł bliżej i zobaczył twarz żołnierza z szeroko otwartymi ustami. Mężczyzna przyciskał dłonie do napierśnika i głośno szlochał.

Wyglądał rzeczywiście jak Jango Fett... a ściślej jak Jango Fett przed wielu laty.

Hokan wyprostował się i uklęknął kilka metrów od rannego komandosa. Nie ukrywał zaskoczenia.

– Przykro mi, bracie – powiedział. Świetlny miecz szybko zakończyłby męki przeciwnika, ale Hokan zhańbiłby innego Mandalorianina, gdyby go zabił bronią Jedi. Czułby się, jakby zgotował mu taki sam los, jaki spotkał na Geonosis samego Jango. Zamiast miecza wyciągnął więc wibroostrze. – To nie twoja wina – dodał. – To oni zrobili z ciebie takiego mazgaja.

Komandos otworzył oczy i spojrzał na coś, co znajdowało się za plecami Hokana. Mandalorianin nie zdziwił się, bo pamiętał, że wielu konających mężczyzn zachowuje się w taki sposób. W ostatniej chwili życia wszyscy chyba widzieli duchy.

Dopiero wówczas usłyszał charakterystyczny odgłos zapalanej klingi świetlnego miecza, ale było za późno.



– Wspaniale odcięła mu pani głowę – pochwalił Niner.

Pierwszy raz w życiu Darman widział sierżanta tak wstrząśniętego. Dowódca otarł twarz wewnętrzną stroną rękawicy.

– A gdzie ty się podziewałeś, Fi? – zapytał. – Serdeczne dzięki. Hokan mógł mnie posiekać na plasterki, a podobno to ty miałeś go zabić.

Fi pochylił się i zaczął szperać w kieszeniach kurtki pozbawionego głowy ciała Mandalorianina.

– No cóż, widziałem za nim Dara i panią oficer Etain, więc domyśliłem się, że nic ci nie grozi – powiedział i zamilkł, koncentrując się na poszukiwaniach. – Znalazłem, proszę pani – podjął po chwili. – Chyba powinienem to pani oddać. – Wręczył padawance krótki metalowy cylinder świetlnego miecza mistrza Kasta Fuliera. Zwrócenie broni było sprawą honoru. – Te miecze spisują się świetnie przeciwko mandaloriańskiemu pancerzowi, prawda? – zapytał.

Na twarzy Etain nie malował się jednak wyraz triumfu. Padawanka przyjęła cylinder i jakiś czas obracała go w dłoni, a w końcu wsunęła do kieszeni. Darman nie mógł się doczekać, aż padawanka zgasi klingę własnego miecza. Trzymała go w lekko drżącej dłoni, a błękitne ostrze pomrukiwało i migotało. Etain miała dziwnie martwe spojrzenie. Darman bał się, że Fi wygłosił oczywistą w takiej chwili uwagę: że cios świetlnym mieczem jest ładnym i czystym sposobem odbierania życia... żadnych wnętrzności, żadnego bałaganu. Na szczęście kolega zdecydował się zachować wisielczy humor dla siebie. Kilkoma krokami pokonał odległość do odciętej głowy Hokana, żeby zdjąć z niej oryginalny mandaloriański hełm, który postanowił sobie przywłaszczyć.

– Nie zechciałaby pani tego wyłączyć? – zapytał łagodnie Darman.  
– Skończyliśmy tu już robotę.

Niner wstał i zasalutował młodej Jedi w najbardziej oficjalny sposób, jak na paradzie.

– Dziękuję, dowódco – powiedział. – Nie ma pani nic przeciwko temu, żebym od tej pory się tak do pani zwracał?

Etain wróciła do rzeczywistości i zgasiła kolumnę błękitnego światła.

– To dla mnie zaszczyt – powiedziała.

Darman połączył się przez komunikator z generałem Zeyem i przekonał się, że mistrz Jedi dotrzymał słowa. Kanonierka wciąż jeszcze na nich czekała. Utworzyli więc kolumnę i najpierw pomaszerowali, a później pobiegli truchtem do punktu ewakuacyjnego.

Wokół kanonierki unosiła się chmura skłębionego pyłu. Repulsory okrętu pracowały na biegu jałowym od tak dawna, że żar wypychanego w dół powietrza wysuszył na popiół górną warstwę gruntu.

Etain nie martwiłaby się specjalnie, nawet gdyby kanonierka odleciała. Mimo wszystko nie opuściła swojej drużyny. W obecnej chwili nic innego nie miało dla niej znaczenia. Chociaż dobrze wiedziała, że Niner został wykorzystany jako przynęta, jego „przedśmiertne”, udawane jęki miały ją prześladować do końca życia. Komandos musiał takie głosy słyszeć przynajmniej raz, skoro umiał je naśladować tak zatrważająco wiernie. Etain czuła się źle, ale nie dlatego, że zabiła Gheza Hokana. To świadomość własnej słabości napawała ją wstydem.

Dopiero w tej chwili w pełni zrozumiała, dlaczego Jedi nie mogą się z nikim wiązać.

Żołnierz z elitarnych oddziałów zwiadowców zaplótł ręce za plecami i powoli spacerował z pochyloną głową po kwadracie, ale Etain nie wierzyła, że po prostu jest pogrążony w zadumie. Prawdopodobnie wsłuchiwał się w gwar rozmów, jakie dobiegały ze słuchawki osobistego świata jego hełmu.

Generał Zey siedział cierpliwie na platformie kanonierki.

– Jesteś już gotowa? – zapytał na jej widok.

Etain wyjęła z kieszeni świetlny miecz mistrza Fuliera i wręczyła go generałowi.

– Odzyskała go Drużyna Omega – oznajmiła. – Doszłam do wniosku, że powinnam go zwrócić.

– Wiem, co w tej chwili przeżywasz, padawanko – zapewnił mistrz Jedi.

– Ale to dla mnie żadna pociecha, mistrzu – odparła Etain.

– Troska o żołnierzy, nad którymi powierzono ci dowództwo, jest bardzo ważna, ale sprawi ci ból, jeżeli za bardzo się z nimi zżyjesz – zaczął Zey. Chyba wiedział, o czym mówi. – Podczas wojny muszą być ofiary.

– Wiem – przyznała młoda Jedi. – Chodzi mi o to... po prostu wiem, że to pełnowartościowi ludzie, i nic nie zatrze tego faktu w mojej świadomości. Żaden sklonowany żołnierz, żaden komandos ani nawet zwiadowca z elitarnego oddziału nie będzie odtąd dla mnie anonimową osobą. Zawsze będę się zastanawiała, kto się kryje za przesłoną tego czy innego hełmu. Jak mogę być prawdziwą Jedi i nie traktować ich jak ludzi, ze wszystkimi tego konsekwencjami?

Zey przyglądał się dziwnie uważnie swoim dłoniom.

– Z podobnym dylematem musiał się zmierzyć każdy dobry dowódca w historii – odezwał się w końcu. – Ciebie także to czeka.

– Skoro jestem ich dowódcą czy mogę im towarzyszyć podczas następnej wyprawy? – podchwyciła padawanka.

– Podejrzewam, że to nie byłoby najlepsze rozwiązanie – odparł mistrz Jedi.

– Więc co będę teraz robiła? – zagadnęła Etain. – Jak mogę po tym wszystkim powrócić do pełnienia codziennych obowiązków?

– Podczas wojny nie istnieje nic takiego jak codzienne obowiązki – pouczył ją Zey. – Nie odlatuję z Qiilury. Zamierzam zrobić tu wszystko, co będę mógł.

– Zrobić?

– Jak sądzisz, co się stanie z naszymi sprzymierzeńcami Gurlanami, jeżeli teraz ich zostawimy? Na planecie nadal przebywają ich wrogowie – przypomniał mistrz Jedi. – Przyleciałem tu, żeby we

współpracy z Valaqilem i Jinart uprzykrzyć Separatystom życie na Qiilurze tak bardzo, jak to tylko możliwe.

– Cieszę się, że dotrzymujemy swoich obietnic, mistrzu – powiedziała padawanka.

– Znasz tę okolicę lepiej niż ktokolwiek inny – przyznał Zey. – Staniesz się dla nas cennym nabytkiem.

– A kiedy dołączy do nas więcej żołnierzy?

– Obawiam się, że na razie trzeba będzie nadal działać potajemnie – stwierdził mistrz Jedi. – Będziemy musieli po prostu zniknąć.

My, pomyślała Etain. Nie potrafiła sobie wyobrazić niczego gorszego niż pozostanie na Qiilurze sam na sam z przerażającymi wspomnieniami i z perspektywą niepewnej przyszłości. Zdążyła się zaprzyjaźnić z drużyną komandosów, którzy w ciągu kilku następnych dni mieli zostać wysłani na kolejną wyprawę, a ona miała pracować u boku mistrza, którego w ogóle nie знаła. Była znów sama... przerażona.

– Etain, masz obowiązki – odezwał się cicho Zey. – Wszyscy je mamy. Wykonywanie ich bywa czasami bardzo trudne. – Nie musiał dodawać tego, co na pewno myślał: że padawanka powinna się rozstać z każdym, z kim zaczęło ją łączyć podczas wojny jakiegoś uczucie. Musiała pozwolić komandosom odlecieć.

W takiej samej sytuacji jak ona bywali każdego dnia żołnierze.

– Ja... chciałabym przyczynić się do pomyślnej przyszłości Qiilury, mistrzu – odezwała się w końcu Etain. Miała nadzieję, że Darman nie pomyśli, iż odwraca się do niego plecami, jakby był dla niej tylko dzielnym robotem, którego ceni się podczas walki i odrzuca, jeżeli przestanie być potrzebny. – Ucieszyłabym się jednak z informacji, jak radzi sobie Drużyna Omega.

– Rozumiem – przyznał Zey. – Mimo wszystko wybór należy do ciebie. Możesz odlecieć z drużyną albo zostać na Qiilurze. Możesz nawet zażądać, żeby został tu z tobą jeden członek drużyny.

Jeden członek drużyny, powtórzyła w myśli padawanka. Może mistrz Jedi uważał ją za zwykłą dziewczynę? Może przypuszczał, że za bardzo się przywiązała do młodego mężczyzny, wiedząc, że żadne nie będzie mogło kontynuować tej znajomości? Na pewno poddawał

ją próbie i zmuszał do dokonania właściwego wyboru... wyboru rycerza Jedi. To prawda, zależało jej na Darmanie, bo to ona go ukształtowała. Mimo to obchodził ją los wszystkich, bo po prostu byli ludźmi.

– Nie sędzę, żeby troska o żołnierzy była oznaką słabości – powiedziała. – Tego dnia, kiedy przestanie nas obchodzić ich los, odwrócimy się tyłem do samej Mocy.

Wbiła paznokcie w dłonie. Zey miał rację. Rozstanie sprawi jej ból. Usiadła na platformie obok mistrza Jedi, zamknęła oczy i bez słowa starała się odzyskać panowanie nad sobą.

Żołnierz z elitarnych oddziałów zwiadowców uniósł nagle głowę.

– Panie generale, stanowczo musimy startować – powiedział.

– Generale Zey – odezwał się Niner, przykładając rękawicę do skroni. – Przepraszamy, że kazaliśmy panu czekać. Czy jesteśmy gotowi do odlotu?

– Nie mamy dość czasu na omówienie rezultatów wyprawy, ale może chcielibyście spędzić chwilę ze swoim dowódcą – zaproponował Zey i gestem polecił zwiadowcy, żeby podążył za nim. To był ze strony mistrza Jedi bardzo szlachetny gest. Etain obserwowała, jak generał kieruje się w stronę rufy kanonierki, rzekomo w celu nadzorowania wyładowywania sprzętu, a w rzeczywistości po to, żeby mogła na osobności zamienić kilka słów z komandosami. Zastanowiła się, czy pewnego dnia ktoś wyląduje na Qiilurze gwiazdowym myśliwcem mistrza Jedi.

Postanowiła na razie się o to nie martwić. Kiwnęła ręką na komandosów, żeby podeszli do niej.

– Co się z wami teraz stanie? – zapytała.

– Czeką nas następna wyprawa – odparł Darman. – Czyżby przydzielili panią do nas?

Padawanka zastanowiła się, czy nie skłamać. Spojrzała na komandosa.

– Niezupełnie – powiedziała. – Zostaję z generałem Zeyem na Qiilurze.

Darman i Niner wbili spojrzenie w trawę i pokiwali głowami, jakby się z tym zgadzali. Fi uniósł brwi.

– Będzie mi pani naprawdę brakowało, dowódco – zapewnił. – I to w chwili, kiedy zaczynaliśmy się stawać taką dobrą drużyną! To typowe dla armii, hm? – zapytał. Szturchnął płytką rękawicy w plecy Ninera, jakby chciał popchnąć go w stronę kanonierki. – Pora na nas, sierżancie – zauważył.

– Mam nadzieję, że kiedyś znów będę mógł służyć pod pani rozkazami, dowódco – powiedział Niner i zasalutował. – I proszę nigdy więcej nie wyobrażać sobie, że nie zasługuje pani na ten tytuł, dobrze?

Etain wolałaby, żeby komandos nie zostawiali jej sam na sam z Darmanem. Pożegnanie powinno się odbyć szybko, żeby nie miała czasu na myślenie i na zbędne emocje.

– Zdecydowałam się pozostać na Qiilurze – oznajmiła. – W rzeczywistości wolałabym lecieć z wami i stać się pełnoprawnym członkiem waszej drużyny, ale nie jestem dowódcą jakiego potrzebujecie.

Darman zachował milczenie. Nie było w tym nic dziwnego. Gdzie komandos mógł się nauczyć, jak ma wyglądać rozstawanie się z bliską osobą? Całe krótkie życie spędził pośród „braci”, tocząc symulowane albo prawdziwe walki. W innych sytuacjach stawał się znów dziesięcioletnim chłopcem. Etain wyczuwała jego zakłopotanie i dezorientację tak wyraźnie, jakby mogła ich dotknąć.

– Mógłbyś zostać tu ze mną i z generałem Zeyem – podsunęła. Wiedziała bym przynajmniej, że nie dzieje się z tobą nic złego, dodała w myśli. – Masz możliwość wyboru.

Naprawdę zachowywał się jak dziecko. Wbił spojrzenie w ziemię i pstrykał jakimś przełącznikiem na obudowie swojego karabinu, tam i z powrotem, bez końca.

– Tylko ja, proszę pani? – zapytał w końcu. Padawanka odniosła wrażenie, że poddaje go próbie.

– Tak – przyznała.

Odgłos pracujących repulsorów kanonierki przybrał wyższe tony i przeszedł w piskliwy skowyt. Zniecierpliwiony pilot dawał do zrozumienia, że najwyższa pora wystartować.

– Przykro mi, dowódco – odezwał się w końcu Darman.

Najwyraźniej naprawdę się zastanawiał, czy nie przyjąć jej propozycji. – Mam do wykonania zadanie.

– Nie zamierzam udawać, że rozstaję się z tobą z lekkim sercem – szepnęła młoda Jedi.

Komandos patrzył na nią bez mrugnięcia.

– Mam przed sobą mniej więcej dziesięć lat życia – powiedział. – Chcę pozostać z braćmi i nadal robić to, na czym znam się najlepiej. Tylko to naprawdę umiem... czuję się, jakbym wracał do domu. – Pochylił głowę i włożył hełm. Momentalnie stał się jeszcze jednym pozbawionym twarzy komandosem. – Niech pani uważa na siebie, dowódcu.

– Ty także – odparła padawanka. Przyglądała się, jak komandos podbiega do kanonierki i chwytając wyciągniętą rękę Fi, który pomógł mu wskoczyć na pokład.

Skowyt silników przybrał jeszcze wyższy ton i okręt lekko zadrżał.

Etain odwróciła się i odeszła przygarbiona, żeby stawiać mniejszy opór strumieniowi powietrza z silników. Skulona, podbiegła do najbliższego drzewa, usiadła po zawietrznej i oparła się plecami o gruby pień.

Dopiero wówczas pozwoliła, żeby po jej twarzy popłynęły łzy.

Wszystko, czym była i czym miała się stać w przyszłości, zawdzięczała sklonowanemu żołnierzowi, który pokładał w niej niczym nieuzasadnioną wiarę, że stanie się taką Jedi, jaką sobie wyobrażał. Mogła obecnie czerpać energię Mocy w sposób, jakiego nigdy by się nie nauczyła u boku Fuliera.

Przypomniła sobie spojrzenie komandosa, pełne bezgranicznego zaufania. Pamiętała, jak ze stoickim spokojem wykonywał swoje obowiązki, jak godził się z tym, że bez względu na okoliczności jego życie będzie krótkie i najeżone niebezpieczeństwami. Ani razu nie uzalił się nad własnym losem. To jemu Etain zawdzięczała najważniejszą lekcję w życiu.

Otarła oczy nasadą dłoni. Miała nadzieję, że Zey jej nie widzi.

Nie wiedziała, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy Darmana albo jego kolegów z Drużyny Omega, ale jednego była pewna: już nigdy nie potraktuje żadnego sklonowanego żołnierza, komandosa czy

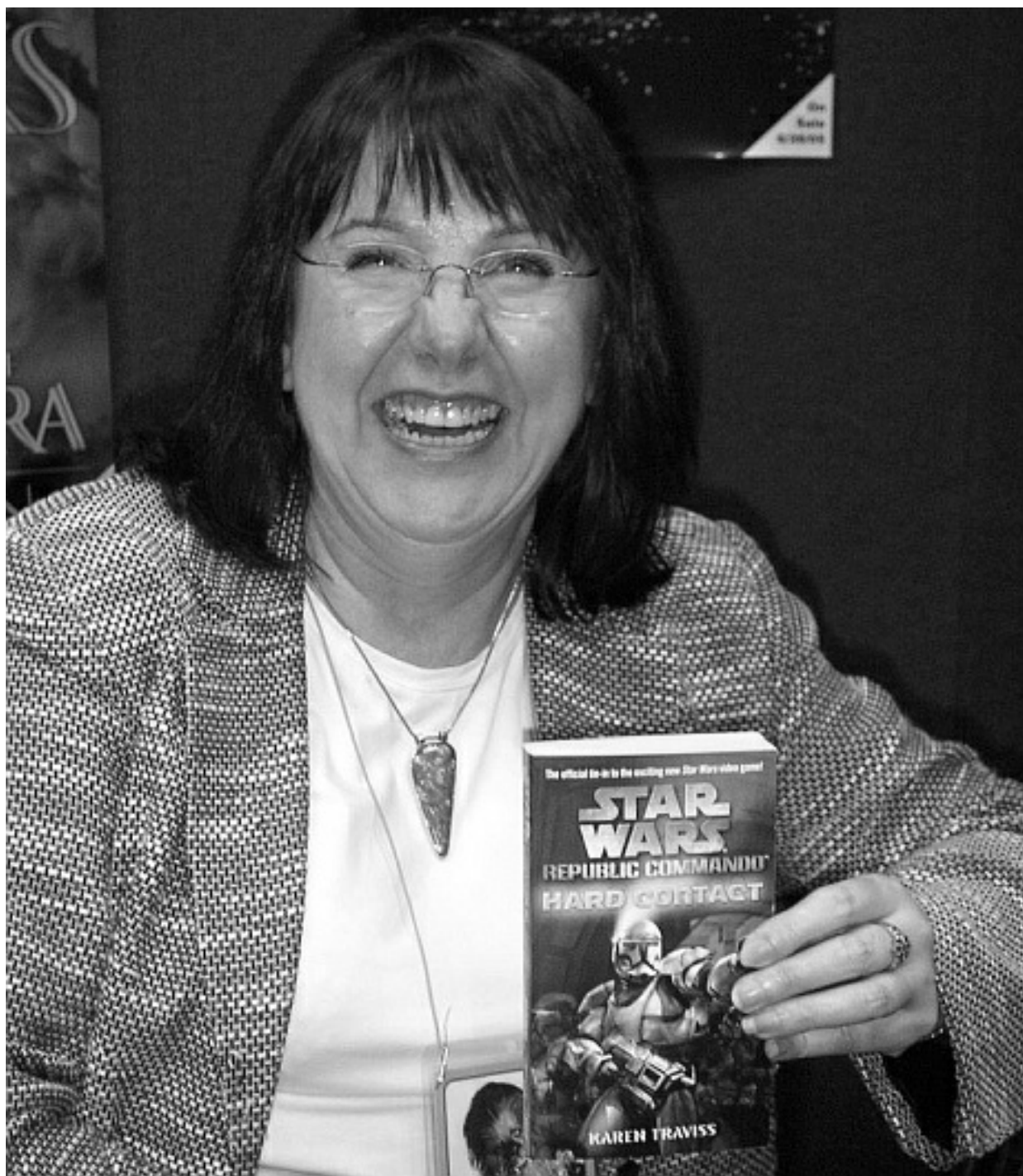


zwiadowcy z elitarnego oddziału, którego może pośle do walki, jak anonimowy, pozbawiony znaczenia automat, który łatwo spisać na straty. Pod ponurymi hełmami kryły się istoty ludzkie. Ci mężczyźni różnili się od niej tylko tym, że nie mieli przed sobą równie długiego życia i nie mogli sami decydować o swoim losie.

Etain Tur-Mukan wstała spod drzewa i wyszła na skraj pola, żeby odprowadzić spojrzeniem kanonierkę, która wzbijała się w jaśniejące niebo.

# PODZIĘKOWANIA

*Dawno, dawno temu, w odległym kinie, pewna recenzentka oglądała i oceniała najnowszy film zatytułowany Gwiezdne Wojny. Gdyby wiedziała, że wiele lat później będzie pisała tę powieść, na pewno sporządziłaby więcej notatek... I dlatego bardzo dziękuję redaktorkom i redaktorom: Shelly Shapiro (Del Rey), Keithowi Claytonowi (Del Rey) oraz Sue Rostoni (Lucasfilm) za mądre rady; wielu fanom Gwiezdnych Wojen za to, że tak serdecznie powitali mnie w swoim świecie; a przede wszystkim Ryanowi Kaufmanowi z LucasArts – wyroczni, erudycie i w ogóle serdecznemu kumplowi, który nie szczędził czasu ani informacji i nigdy nie tracił cierpliwości, kiedy pytałam po wielokroć: „No dobrze, ale czy ten pancierz musi być biały?” To były najprzyjemniejsze chwile, moi drodzy. Dziękuję.*



## KAREN TRAVISS

Karen Traviss jest autorką pięciu powieści z serii Star Wars: *“Republic Commando - Hard Contact”*, *“Triple Zero”*, *“True Colors”*, *“Order 66”* i *“501st”*, a także trzech powieści z cyklu *“Star Wars:*

*Legacy Of the Force*: “*Bloodlines*”, “*Revelation*” i “*Sacrifice*” oraz dwóch tomów “*Clone Wars*” - “*Clone Wars*” i “*No prisoners*”. Niemal wszystkie z nich osiągnęły w Stanach Zjednoczonych statusy bestsellerów.

Mieszka w Wiltshire, w Anglii. To główna scenarzystka gry *Gears of War 3*, pisarka z listy bestsellerów *New York Timesa* oraz *USA Today*, a także dziennikarka i korespondent wojenny, były oficer prasowy policji i funkcjonariusz służby pomocniczej *Royal Navy*.

# Spis treści

## CHRONOLOGIA WOJEN KLONÓW

PROLOG

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

PODZIĘKOWANIA

O AUTORZE